



Joanna HINES

KIEDYS UWAŻAŁA SEKRETY ZA DZIECINNĄ
ZABAWĘ. DZIS NIE MOŻE SIĘ OD NICH UWOLNIĆ

PIĄTY SEKRET

«Książnica»

Hines Joanna

Piąty sekret

Jane przeżywa kryzys małżeński - ma dość słodkiego jak miód męża i problemów finansowych wspólnej firmy. Kiedy dowiaduje się, że jej przyjaciółka z lat dzieciennych została brutalnie zaatakowana i zapadła w śpiączkę, ozywają w jej pamięci wspomnienia tragicznej śmierci ukochanego brata. Wtedy właśnie zaskakuje ją nocny telefon od przyjaciela proszącego o pomoc. Ciekawość i chęć odmiany monotonnegożycia popychają Jane do wyprawy w przeszłość. Odkryje sekrety dręczące ją od dzieciństwa lecz prawda będzie bolesna.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rankiem tego dnia, kiedy doszły nas słuchy na temat Esme, jak zwykle przepełniał mnie niczym nie uzasadniony optymizm. Nic, ale to zupełnie nic nie zapowiadało mających nastąpić zmian ani tym bardziej burzliwych wydarzeń. No dobrze, przyznaję, że sytuacja nie przedstawiała się różowo: Laura i Billy z racji rozpoczynających się właśnie ferii jesiennych mieli spędzać większość czasu w domu, który jak przewidywałam, wkrótce zamieni się w arenę bratobójczych walk; na zewnątrz lało jak z cebra, a na dodatek w dużej szklarni czekało na nas jedenaście tysięcy sadzonek sałaty, wymagających rychłego wetknięcia w życiodajną glebę. Niemniej podczas śniadania nawet ta perspektywa nie była w stanie zepsuć mi dobrego humoru.

Owen przeglądał przy stole pocztę, a ja przyglądałam się jemu. Nawet w wystrzępionym swetrze i wytartych dżinsach prezentował się nieziemsko przystojnie. Można by pomyśleć, że po tylu latach znajomości — poznaliśmy się jeszcze jako dzieci — i siedmiu latach małżeństwa powinnam być odporna na jego wdzięki, cóż z tego jednak, skoro wciąż fascynował mnie jego widok. Uwielbiałam mu się przypatrywać, kiedy był zajęty jakąś codzienną czynnością, niczym anioł Botticellego wynoszący śmieci.

Kiedy tak z uwagą obracał w palcach każdą kopertę, odczytując adres nadawcy, po czym odkładał ją na rosnącą przed nim równiutką kupkę, mars na jego czole, który od pewnego

czasu na dobre się tam zdomowi}, stał się jeszcze głębszy. Jakby na przekór sobie nachyliłam się przez stół, żeby rzucić okiem na korespondencję. Dzisiejszy ładunek wieści zawierał cztery upomnienia odnośnie do nie uregulowanych rachunków, których termin zapłaty minął tygodnie temu, dwie reklamówki zachęcające nas do wydania pieniędzy, których nie mieliśmy i raczej nie mieliśmy mieć, oraz utrzymany w oschłym tonie list z banku, którego urzędnik czarno na białym dowodził, że swoją głęboką depresję finansową zawdzięczamy ni mniej, ni więcej tylko brakowi poszanowania dla ich oferty. Nie uszło mojej uwagi, że żadna z firm, które były winne pieniądze nam, nie poczuła się na siłach, żeby przysłać czek.

— To gnojki — skomentowałam.

Ku mojemu zdumieniu Owen uśmiechnął się szeroko, a ja poczułam się, jakby nagle zaświeciło słońce.

— Więc stąd to wziął — powiedział.

— Kto... skąd? — nie zrozumiałam.

— Wczoraj nasz syn nazwał listonosza gnojkiem, jak gdyby posłaniec był czemukolwiek winien. — Owen odwrócił się do Billy'ego, który skończywszy owsiankę siedział z otwartą buzią, jak to mają w zwyczaju astmatyczni czterolatki. — Listonosz tylko dostarcza listy — wyjaśnił dziecku — które wysyłają inni ludzie. Poza tym to nieładnie wyzywać ludzi od gnojków, nie zdobędziesz sobie w ten sposób przyjaciół.

Billy pociągnął nosem, zlązł z krzesła, po czym obszedł stół dookoła i z mozołem wgramolił się Owenowi na kolana. Mimowolnie jęknęłam.

— A nie lepiej mu po prostu powiedzieć, że nie wolno mieć niewyparzonej jadaczki i przeklinać? — spytałam.

— Ach tak... — Słoneczny uśmiech Owena zniknął, jakby przesłoniła go chmura gradowa. — To ta słynna teoria, mówiąca, że dzieci należy bić, żeby nie wdawały się w bójkę...

Nie wiem, czy on to robi celowo czy nie, ale ta jego powściągliwość i zdrowy rozsądek w każdej sytuacji naprawdę działają mi na nerwy.

— Dość tych sofizmatów. Psujesz mi śniadanie — zripo-stowałam.

— Przepraszam.

— Nie przepraszaj, do cholery! Przez to czuję się jeszcze gorzej. W jego oczach zapalił się ogień gniewu, tylko na ułamek sekundy, ale zdołałam go dostrzec, nim Owen mrugnął powiekami przybierając kamienny wyraz twarzy. Laura wodziła wzrokiem pomiędzy nami. Wreszcie podjęła decyzję, przysunęła się z krzesłem do ojca i odezwała cieniutkim głosem:

— „Cholera” to też przekleństwo, prawda, tatusiu? Owen wyciągnął rękę i poklepał małą po głowie, a potem delikatnie zsunął Billy'ego z kolan. Jeszcze zanim wstał, zaczął zbierać brudne naczynia. Twarz miał zaciętą, jak zawsze gdy siłą starał się nad sobą zapanować, co ostatnio zdarzało mu się coraz częściej — przynajmniej w moim towarzystwie. Obserwowałam go, jak napuszcza wody do zlewu i metodycznie myje kubek po kubku, talerz po talerzu, by w końcu położyć je wszystkie do góry nogami na ociekaczu. Kiedy był małym chłopcem, wyglądał tak, że żadna starsza pani, z tych co mijają go na ulicy, nie mogła się powstrzymać, żeby nie przystanąć i do niego nie potiutiać. Minęło tyle lat, a on nadal ma strzechę słomianych włosów, długie rzęsy wokół piwnozielonych oczu i delikatne, niemal kobiece rysy. Jedyne co się zmieniło, to wyraz tych wielkich, szeroko otwartych oczu, które w dzieciństwie patrzyły na świat z bezpośrednią naiwnością, teraz wszakże z dnia na dzień stawały się coraz zimniejsze i bardziej odpychające. Inna sprawa, że temu połączeniu wrażliwości i rezerwy mało która kobieta potrafiła się oprzeć, i to bez względu na wiek. Naturalnie Owen nigdy nie robił użytku ze swego najmocniejszego atutu, był na to za szlachetny; udawał, że nie dostrzega wrażeń, jakie robi na płci przeciwnej, a być może rzeczywiście nie był go świadomy, sądząc, że w jego wyglądzie nie ma nic specjalnego.

Patrząc na Owena zdałam sobie nagle sprawę, że nie wiem, czy go jeszcze kocham czy już nienawidzę. Wiedziałam tylko, że w jego obecności czuję się coraz bardziej nieswojo i że często w sytuacjach takich jak ta, kiedy nie podjął rzuconej przeze mnie rękawicy, z jakiegoś powodu ścisną mnie w dołku. Nie, nie byłam już oczarowana jego charme'em; raczej do pasji doprowadzał mnie jego ośli upór i niezdolność do przy-

znania się do błędu. No bo przecież gdyby potrafił przyznać, że me jest nieomylny, dawno by uznał nasze małżeństwo za kolosalną, niewybaczalną pomyłkę.

Daj, ja to zrobię — przerwałam ciszę, nie mogąc znieść, jak skrobie resztki z talerzy, żeby nakarmić Dronga, domowego kota. W odpowiedzi padło spokojne: - Już skończyłem — co mnie jeszcze bardziej zirytowała. Przygarbiłam się na krześle i całą siłą woli walczyłam ze sobą, żeby nie wyżyć się na przypiętym do miski Drongu; oczyma wyobraźni widziałam, jak mój niedojedzony tost ląduje na jego przegowanej głowie. — Może byśmy odłożyli sadzenie sałaty do jutra? — zaproponowałam. — Już mamy opóźnienie.

— Tak, wiem — poddałam się. Dnia i tak nie dałoby się uratować. — Boże, jak ja nienawidzę sałaty. Więcej nawet, czuję do niej obrzydzenie i pogardzam nią. Jak ktokolwiek przy zdrowych zmysłach może chcieć ją kupować? Założę się, że sałata jest niezdrowa. Cała skażona salmonellą... Owen powiedział:

— No, to ja się zbieram. Zacznę bez ciebie.

— Myślę, że jestem uczulona na sałatę — spróbowałam z innej beczki.

— Nie może być!

— Skórę na dłoniach mam całą popękaną.

— Następnym razem włóż gumowe rękawiczki — poradził mi Owen, stojąc przy drzwiach i dopinając kombinezon. — Chodź, Billy, pomożesz mi nosić tacki.

Billy wzul czerwone kalosze i poczłapał za ojcem. Minęli stojącą pod zadaszeniem mieszarkę do cementu i betonowe bloczki i wyszli na siąpiący wciąż deszcz. Mój dobry humor prysł jak bańka mydlana.

Kolejny dzień w cieniu Pana Idealnego, pomyślałam z przekąsem i westchnęłam ciężko. Przed oczyma stanął mi Opasły Albert. O, ten z pewnością nie zrywałby się z łóżka bladym świtem. Zamiast karnie maszerować do szklarni, leżałby teraz rozwalony pod kołdrą i chrapał w najlepsze. Czasami tylko dzięki Opasłemu Albertowi

udawało mi się nie wybuchnąć. Teraz także uspokajałam się, szkicując go na odwrocie koperty z banku. Flejtuch, nie ruszający się sprzed telewizora i nie widzący dalej własnego nosa. Lubił się drapać po wielkim brzuszysku, obleczonym w brudny podkoszulek, pobekując przy tym z ukontentowania. Lubił krzyczeć, głośno się śmiał i gasił niedopałki w fusach od kawy. A ja to wszystko jakoś wytrzymywałam, mogłam się żalić przyjaciółkom i cieszyć ich współczuciem. Wyobraźnia to jednak dobra rzecz.

Bardzo bym chciała móc spędzić cały ranek na malowaniu obrazu Kochanego Tłusciocha, jak go inaczej nazywałam, na ścianie nad pralką. Już to widziałam: Opasły Albert na wakacjach na Costa del Sol, opalony kałdun wylewa mu się zza gumki pstrokatych kąpielówek.

Byłam pewna, że Opasły Albert nie jadałby sałaty!

Ani nie byłby zdolny spłodzić dziecka takiego jak Laura, która właśnie stanęła przede mną. Miała zaledwie sześć lat, a już widać było, że to wykapany tatuś: jasne włoski, delikatne rysy — i ta sama, pełna wyrzutu twarz. Jej subtelne piękno chwyciło mnie za serce, ilekroć na nią spojrzałam, teraz także, lecz zazwyczaj coś przerywało tę sielankę. Tym razem Laura powiedziała:

— Nie mam się w co ubrać... Znowu — dodała z rozmysłem. —

Wszystkie moje ubrania są brudne.

— A to? — machnęłam ręką w jej kierunku.

Miała na sobie sweterek i spodnie, nieco wyblakłe od częstego prania i być może nie pierwszej świeżości, ale z pewnością nie brudne.

— To? — Laura popatrzyła po sobie z pogardą, dwoma palcami odciągając dzianinę od ciała. — To się nie nadaje, żeby wyjść między ludzi.

— Mało prawdopodobne, żebyś dzisiaj poszła gdzieś z wizytą — odparłam.

— Ale przecież niewykluczone — odparowała.

Laura ubolewa, że taka ze mnie kiepska praczka i prasowaczka, od czasu kiedy jej nauczycielka z okazji Dnia Matki zadała na lekcji pytanie, za czyją sprawą ich szafy są pełne czyściutkich ubrań. Moja córka już chciała wykrzyknąć: „Ależ

wcale tak nie jest!", kiedy chór dziecięcych głosów ją ubiegł: „Za sprawą mamusi!" W ten sposób Laura dowiedziała się, że coś ją w życiu omija. Przekopywałam się właśnie przez stertę brudnej bielizny, piętzącą się w łazience na podłodze, kiedy moich uszu doszedł przenikliwszy od jednostajnego szumu deszczu za oknem odgłos tłuczonego szkła, po którym niemal natychmiast rozległ się przeraźliwy wrzask dziecka. Zanim dobiegłam do szklarni, Laura już tam była i wyjaśniała zapłakanemu Billy'emu, że „być prawie skaleczonym" to nie to samo co „zostać naprawdę skaleczonym", gdyż — przede wszystkim — nie boli. Wszędzie wokół wały się ostre szklane odłamki.

Przykucnęłam i objęłam Billy'ego.

— No, Billy, nic się nie stało.

— To samo mu właśnie mówiłam — wtrąciła swoje trzy grosze, głosem starej małej, Laura.

— On się po prostu przestraszył — powiedziałam.

— Przecież wiem — wzruszyła ramionami i zaczęła zbierać z ziemi szkło.

— Nie ruszaj! — wrzasnęłam. — Bo się skaleczysz. Laura popatrzyła na mnie z pogardą.

— Nie jestem dzieckiem...

Owen już zmierzał w naszą stronę z twarzą pobielającą z gniewu.

— Złapałeś ich? — spytałam, ale mnie zignorował. Zamiast tego upomniał córkę:

— Nie dotykaj, bo możesz się skaleczyć. Chryste, Jane, czemu jej nie zabroniłeś?

Laura cofnęła gwałtownie rękę, jakby ją coś ugryzło, i rzuciła mi pełne zadowolenia spojrzenie.

— Zatem ich nie złapałeś.

— Tym razem nie... — schylił się, żeby wziąć Billy'ego na ręce — ale ich jeszcze dopadnę.

Pamiętam, że kiedy po raz pierwszy zobaczyliśmy ten ogród ze starym kamiennym murem, żwirowymi alejkami, drewnianymi szopami i dawną chatką ogrodnika, która miała stać się naszym domem, nie zastanawialiśmy się, dlaczego

w tym uroczym miejscu nie została się jedna cała szyba. Cena została odpowiednio obniżona, a wynajęcie szklarza nie kosztowało znowuż tak wiele. Dopiero później, gdyśmy się już wprowadzili, odkryliśmy, że tuż za naszym tylnym murem przebiega ścieżka wydeptana przez zmierzających z wioski do centrum handlowego i z powrotem. Na przestrzeni lat, kiedy stara posiadłość stała pusta, miejscowe dzieciaki nabrały nawyku rzucania przez płot kamieniami dla —jak się domyślam — frajdy usłyszenia pękającego szkła. Nie raz słyszeliśmy ich śmiechy i okrzyki, ale ilekroć w te pędy wypadaliśmy za bramę i obiegaliśmy mur dookoła, na ścieżce nie zastawaliśmy żywego ducha. Dostyc szybko dotarło do nas, że prowadzenie szkółki ogrodniczej niesie także problemy nie mające bynajmniej nic wspólnego z ogrodnictwem.

Z czasem te ataki przestały być zwykłym utrapieniem i zaczęły nas poważnie niepokoić. Poza naszą działką leżał wrogi świat, od którego oddzielał nas zaledwie skromny mur — zdarzało się, że czułam się jak ci pierwsi osadnicy przemierzający prerię powolnym wozem, podczas gdy wokół aż roiło się od groźnych Indian. Tam w sukurs osaczonym mogła przyjść kawaleria, nam nie chciała pomóc nawet lokalna policja.

— Laura i Billy nie są tu bezpieczni — powiedziałam.

— Nic im nie będzie. Te łobuzy jeszcze nigdy nie chuliganiły dwa razy w ciągu tego samego dnia.

— Ale ja nie czuję się bezpieczna — powtórzyłam. Owen wzruszył ramionami i odwrócił się ode mnie; zajął się układaniem polistyrenowych tacek z sadzonkami w równych odstępach na całej długości szklarni. Deszcz walił o dach, woda kaskadami spływała po szklanych ścianach, a ja stałam tam i myślałam, że chyba nigdzie indziej na świecie człowiek nie jest tak boleśnie świadom brzydkiej pogody. Pozornie osłonięty, jest jednak narażony na monotonny łoskot i szum, a przez każdą pękniętą szybkę (nie wspominając już o tych wybitych), przez każdą najmniejszą szczelinę przecieka woda. Panujące w środku zimno sprawia, że wilgoć zdaje się jeszcze wilgotniej sza, a wszechobecna woda i para wodna czynią wszystko zimniejszym. Jakby człowiek stał pod wodospadem Niagara. Wszakże w starej dobrej Anglii, w taki jak tamten

listopadowy dzień, deszcz pada na tyle mocno, że zagłusza klekotanie zębów, co stanowi niejaką pociechę.

Ludzie mają całkowicie wypaczony obraz naszej pracy. Na ogół widzą nas przy niej latem, w piękny słoneczny dzionek, i nabierają przekonania, że są świadkami wiejskiej idylli. „Och, ale z was szczęściarze”, mówią z zachwytem, przyglądając się, jak dzieci biegają po ogrodzie z miniaturowymi łopatkami i grabkami albo pchają małe plastikowe taczki. Zazdroszczą nam bliskości natury i ruchu na świeżym powietrzu. Kiedy staramy się zaprotestować, tłumacząc, że nasze życie to nie tylko słońce i kwiatki, patrzą na nas niedowierzająco. Zimą nie miewamy gości — każdy kto ma choć krztynę rozsądku, nie opuszcza przytulnego domu ani ogrzewanego biura, w którym się w swoim mniemaniu potwornie nudzi i wciąż nam zazdrości pracy na wolnym powietrzu — tak więc nikt nie zna drugiej, prawdziwej strony naszej egzystencji. Tylko my wiemy o czerwonych z zimna dłoniach i zmartwiałych od wilgoci stopach, rosnącej stercie nie popłaconych rachunków, jak również o podejmowanej wciąż na nowo, lecz rzadko kiedy zwycięskiej walce z podstępnie zakradającą się zgnilizną i pleśnią.

Zbierając odłamki szkła poczułam, że w lewej ręce znów odezwał się ból stawów. Cudownie, pomyślałam, jeszcze nie mam trzydziestki, a już mogę się pochwalić reumatyzmem. Wreszcie podniosłam ostatni kawałek, upewniłam się, że na pewno żaden nie pozostał w ukryciu, grożąc, że potniemy się przy pracy na plasterki, i już miałam zabrać się do sadzonek, kiedy usłyszałam dzwonek u bramy zainstalowany z myślą o klientach.

W ułamku sekundy nastrój mi się poprawił, choć przecież jedna jaskółka nie czyni wiosny, jak mówią. Mimo to z lżejszym niż przed chwilą sercem wybiegłam na deszcz i potruchtałam ścieżką wiodącą do domu, mijając po drodze równe rzędkie dopiero co kupionych doniczek. Klient oznaczał bowiem potencjalną transakcję, co samo w sobie było rzadkością o tej ponurej porze roku, a potencjalna transakcja równała się potencjalnemu przypluwowi gotówki. Dostrzegłszy z daleka sylwetkę knypowatego staruszka, wąsatego i opatu-

lonego płaszczem, jakby wybierał się na Syberię, pogrążonego w lekturze katalogu ogrodniczego, poczułam, jak kielkuje we mnie nadzieja, że oto zaraz, wyciągnawszy zza pazuchy gruba-śny plik banknotów, zamówi pięć tysięcy flanc pierwiosnków.

Przywitałam się z nim serdecznie. W odpowiedzi zostałam zmierzona podejrzliwym wzrokiem.

— Szukam choinki — zakomunikował. Oklapłam.

— Nie prowadzimy choinek — odparłam. — Poza tym jest na nie za wcześnie.

— Ale ja potrzebuję jednej teraz.

— Przykro mi — bezradnie rozłożyłam ręce.

— No to co mi pani może zaproponować?

— Pierwiosnki — poinformowałam z ochotą. — Specjalizujemy się w pierwiosnkach... prymulkach — przetłumaczyłam na wszelki wypadek.

— Niektóre z nich można sadzić na podmokłym gruncie, a prawie wszystkie są łatwe w uprawie...

Nie dał mi skończyć.

— Od biedy mógłbym się skusić na gwiazdę betlejemską.

— Przykro mi, nie prowadzimy tego typu roślin — powtórzyłam. —

Obawiam się, że nie jestem w stanie panu pomóc, jeśli chodzi o dekoracje świąteczne. Niemniej gdyby szukał pan oryginalnego upominku, mogę zaproponować pierwiosnki kubkowate, będą w sprzedaży już za miesiąc i gwarantuję, że uroczo się prezentują w każdym domu.

— Wyraziłem się chyba jasno! Chcę dokonać zakupu teraz! — wydarł się na mnie i dodał: — Nie jest pani zbyt uprzejma.

— W takim razie może powinien pan spróbować w centrum ogrodniczym po drugiej stro...

— Jestem stąd — przerwał mi w pół słowa. — Mieszkam niedaleko i pomyślałem sobie, że będzie wam zależało na nowym kliencie.

— Jak to miło z pańskiej strony — rzuciłam, nim ugryzłam się w język.

Niezbyt właściwie słowa i całkowicie niewłaściwy ton.

Przewiercał mnie na wylot paciorkowatymi oczkami, raz po raz poprawiając pasek u płaszcza.

— Nie ma potrzeby zachowywać się niegrzecznie — wydusił wreszcie.

— Cóż, widzę, że fatygowałem się tutaj na darmo.

Zalała mnie fala wyrzutów sumienia.

— Och nie, proszę zaczekać. Jestem pewna, że coś dla pana znajdę...

Krewki staruszek swoim zwyczajem wpadł mi w słowo.

— I z pewnością poradzę znajomym, żeby pod żadnym pozorem tutaj nie przychodzili — aż posapywał ze zdenerwowania.

Gdyby był ptakiem, wszystkie pióra miałby nastroszone, pomyślałam.

Już otwierał usta, aby kontynuować tyradę, kiedy dostrzegł zbliżającego się ku nam Owena. Przekalkulował swoje szanse i zapewne doszedłszy do wniosku, że dwójki nie przegada (jakby Owen w ogóle miał zamiar wziąć moją stronę!), postawił wyżej kołnierz i sprężystym krokiem ruszył w kierunku zaparkowanego przed bramą lśniącego nowością niemieckiego auta.

W głowie tłukły mi się słowa wypowiedane głosem mojego brata

Luciena:

„Odejdź precz! Puść mnie, siwy łotrze!” Opadła stara ręka.

Musiałam bezwiednie wymruczeć te słowa, gdyż niedoszły klient przystanął na moment, po czym jednak zamiast się odwrócić w celu niewątpliwie burzliwej konfrontacji, wzruszył tylko ramionami i wsiadł do swego samochodu.

Owen podszedł do mnie w chwili, gdy tamten odjeżdżał. Nie był zdziwiony tym widokiem — od dawna zarzucał mi, że nie potrafię obchodzić się z klientami.

— O co tym razem poszło?

— Ten siwy łotr szukał choinki.

— A na co mu choinka w listopadzie?

— Właśnie próbowałam to z nim wyjaśnić. Ale wiesz co? Potraktujmy to jak znak; takich jak on pewnie będzie więcej. Zatem chyba powinniśmy kupić trochę drzewek i je sprzedawać. Kto wie, może nawet uda nam się coś na tym zarobić...

Owen się skrzywił, jakbym zaproponowała mu pakt z diabłem.

— Jane, my prowadzimy szkółkę ogrodniczą, co oznacza, że sprzedajemy to, co sami wyhodujemy, na tym to polega, a nie na handlowaniu czymś, co kupimy od kogoś innego. Poza tym nie mamy miejsca na choinki.

— Taa... dlatego że każdy skrawek wolnej przestrzeni obsadziłeś jak nie sałata, to cholernymi pierwiosnkami.'

— To się nazywa specjalizacja.

Kolejna awantura wisiała na włosku; ostatnio zdarzały się nam one coraz częściej, a paskudna pogoda i kiepskie interesy w niczym tu nie pomagały. W tym biznesie najciężej jest przetrwać jesień. Prymulki jeszcze nawet nie raczkują, tylko siedzą w kojcach swoich doniczek w postaci jasnozielonych liściastych rozetek. Dopiero gdzieś w połowie grudnia pierwsze z nich złączą kwitnąć, podobnie inne zimowe odmiany, których zadaniem jest zwalczać panującą wokół szarość swymi wesołymi kolorami: liliowym, mandarynkowym i migotliwym różem. W marcu kwitnie już prawie wszystko i wtedy, na widok ponurej zieleni przeistaczającej się w feerię barw niczym z dalekowschodniego bazaru, zdarza mi się odzyskać nadzieję. Oślepiająca i złamana biel, rdze i ochry, czerwień płomienia, ziemi i słońca, indygo i akwamaryna, przejrzysty lazur śródletniego nieba, maciupkie kwiatuszki przypominające zagubione klejnoty i te większe, wydzielające upojny aromat łąk i pastwisk, i owoców winorośli... Jednakże w początkach listopada była to odległa, zakrawająca na cud przyszłość.

Z pewnością nie powstrzymałabym się od krytyki Owenowej filozofii ogrodnictwa, gdyby nie donośny dzwonek, który rezonując w pustym domu, docierał aż do ogrodu. Z wielką ulgą zaniechałam kłótni i z czystym sumieniem pomaszerowałam odebrać telefon. Mina mi zrzedła, kiedy usłyszałam, kto dzwoni.

— Jane, skarbie — wyrzucała z siebie moja matka z prędkością karabinu maszynowego, zawsze mówiąca tak, jakby chciała dać do zrozumienia, że jej życie jest pełne ekscytujących wydarzeń, i wymusić na odbiorcy posłuch i równie szyb-

ką reakcję — gdyby ktoś podejrzany kręcił się koło waszego domu, powiedziałaś mi o tym, prawda?

— Niekoniecznie — odparłam. — A czemu pytasz?

— Czyli nie zauważyłaś nikogo obcego? — dopytywała się, zignorowawszy mnie zupełnie. — Nikt dziwny do was nie dzwonił? Oprócz ciebie — nie, pomyślałam.

— Dziwny w jakim sensie, Faith? — spytałam na głos.

— No chyba potrafisz odróżnić normalną osobę od podejrzanej!

— A dlaczego zadzwoniłaś z tym do mnie właśnie dzisiaj?

— Och, to tylko takie teoretyczne pytanie. Ale dobrze słyszeć, że nie macie żadnych kłopotów...

— Z samego rana ktoś znów stłukł nam kawałek szklarni — wtrąciłam.

— Jane, doprawdy już dawno powinniście byli coś z tym fantem zrobić.

— Niby co?

— Nie wiem, ale chyba nie chcesz, żeby dzieci były narażone na niebezpieczeństwo?

— Bardzo ci dziękuję, że mi na to zwróciłaś uwagę — sarknęłam.

— Nie mów tak do mnie, Jane. Wiesz przecież, że chcę tylko pomóc.

Poza tym to chyba nie zbrodnia zatelefonować do własnej córki i zapytać o zdrowie wnuków, co? Nawiasem mówiąc, jak się miewają Laura i Billy? Wieki ich nie widziałam.

— Przecież nie potrzebujesz zaproszenia.

— No tak... Ale nie jest mi się łatwo wyrwać, Erie jest taki zajęty...

— To obrzydliwe!

— Co takiego?!

Na progu tylnych drzwi siedział z zadowoloną miną Dron-go, nasz wyjątkowo umaszczony pręgus, który właśnie ze znawstwem smakosza zabierał się do czegoś, co jeszcze przed chwilą było malutkim futrzastym stworzonkiem — to znaczy zanim Dron-go na moich oczach nie zmiażdżył mu łepka.

— Nie, nic... — oderwałam wzrok od okrutnej sceny. — Drongo jest niegrzeczny.

— Naprawdę, Jane, trudno się z tobą rozmawia... — ucięła moja matka i się rozłączyła.

— Ciekawe, po kim to mam? — powiedziałam do głuchej słuchawki. I chociaż powinnam być mądrzejsza, to zawołane ostrzeżenie, jakie padło z jej ust, poważnie mnie zaniepokoiło. W końcu przedmieścia z dnia na dzień stają się coraz bardziej niebezpieczne, o czym przekonaliśmy się rano na własnej skórze. Gdyby nie wcześniejszy incydent w szklarni, być może zignorowałabym strachy rodzicielki, a swoje podenerwowanie złożyła na karb rozmowy z nią, co zawsze wyprzedzało mnie z równowagi, jednakże czające się wokół trudne do zdefiniowania zagrożenie zrobiło swoje. Kiedy ktoś głośno zapukał do drzwi, podskoczyłam z sercem w gardle.

— Hóp, hop! Jest tam kto? To tylko ja! — usłyszałam kobiecy głos. Dina. Niewiele znałam osób stanowiących mniejsze zagrożenie. Można by ją nazwać otyłą gdyby nie to, że jej sylwetka była raczej zwarta, przywodziła na myśl zgrabnego i silnego kuca. Jej obfite piersi i biodra litościwie skrywał sweter z owczej wełny i zaprasowane na kant sztruksy. Na szyi miała zamotaną apaszkę, spiętą małą bursztynową broszką, a włosy jak zwykle w idealnym ładzie — z natury rosły do tyłu, a poza tym w ryzach utrzymywało je mnóstwo szylkretowych spinek i aksamitnych wstążek. Twarz Diny promieniowała zdrowiem i dobrocią, co było na swój sposób atrakcyjne, jeśli kogoś pociąga zwyczajność.

Jej przybycie odroczyło mój sałatowy wyrok.

— Witaj, Dino — rzekłam. — Cześć, Duncan.

— Dzień dobry, Jane — odpowiedział chłopiec, ciekawie rozglądając się po kuchni.

Nie wiem dlaczego, ale zawsze boję się, kiedy dziecko znajomych poddaje ocenie mój dom. Dorośli są na tyle wyrobieni, że w najgorszym wypadku powiedzą: „Hmm, to miejsce ma potencjał”. Ich latorośle jednak widzą, że król jest nagi, i nie

boją się tego przyznać na głos, za nic mając moje wysiłki, by kuchenną ścianę nad blatem roboczym zamienić w dowcipną podróbkę martwej natury pędzla któregoś z wielkich Holendrów. Z niepokojem czekając na werdykt, przyglądałam się Duncanowi. Nie miał nic ze swojej matki, bardziej przypominał ojca, prawnika na usługach londyńskiej firmy księgowej. Patrząc na wierną, acz miniaturową kopię Aidana można było powziąć podejrzenie, że sine cienie pod oczami są wynikiem ślęczenia nad aktami sądowymi, a nie wynikają ze zwykłej w tym wieku fascynacji gramami komputerowymi.

Nie doczekawszy się uwagi, że meble są koślawe, urządzenia przedpotopowe, a podłoga wymaga zamiecenia, odetchnęłam z ulgą na tę wspaniałomyślność.

— Napijesz się kawy, Dino? — zaproponowałam.

— No, może zdążę, pod warunkiem że się uwiniesz. — Dina rzuciła nerwowe spojrzenie na zegarek.

— Dokąd się tak śpieszysz? — spytałam, wyciągając kubki i słoik neski.

— Za godzinę jestem umówiona do fryzjera, a że byłaś tak miła, żeby przetrzymać Duncana u siebie, zadzwoniłam jeszcze do przyjaciółki i zaprosiłam ją na lunch na mieście.

— O mój Boże, na śmierć o tym zapomniałam — pacnęłam się ręką w czoło.

— Ależ Jane, ja nie mogę odwołać ani jednego, ani drugiego.

Zrobiło się jej chyba przykro, więc czym prędzej ją uspokoiłam, że oczywiście zajmę się Duncanem, nie ma problemu. W końcu tyle razy podrzucałam jej Laure i Billy'ego, że wypadało się od czasu do czasu odwdzięczyć. Jedyny szkopał tkwił w tym, że o ile moje dzieci uwielbiały spędzać czas u Duncana, on wręcz nienawidził naszego domu — teraz także przybrał zafrasowany wyraz twarzy. Było nie było, mieszkał w „dworku”, którego przynajmniej jedno skrzydło w pełni zasługiwało na to miano, i nie lubił zniżać się do poziomu chaty ogrodnika.

Z Diną i Aidanem zaprzyjaźniliśmy się wkrótce po przeprowadzce. W pierwszych dniach tutaj każdego wieczoru tak bardzo łaknęliśmy posiłku przy nakrytym obrusem stole,

cieplej kąpieli i zwykłego ludzkiego zainteresowania oraz po prostu wytchnienia, po tym jak przez paręnaście godzin z rzędu użeraliśmy się ze wszystkim i wszystkimi, żeby uruchomić szkółkę ogrodniczą i doprowadzić do stanu używalności część mieszkalną (choć to drugie schodziło na plan dalszy zarówno w przeszłości, jak i współcześnie — widać ogrodnicy mieli mniejsze potrzeby niż ich drogocenne roślinki), że przyjmowaliśmy dobroć sąsiadów za coś oczywistego i nawet przez moment nie zastanowiliśmy się, co oni z tego mają. Z czasem dotarło do nas, że nasze pojawienie się dopełniło obrazu ich sielskiego życia na wsi — a my tym samym staliśmy się symbolem sąsiadów „zza płota”, bo choć Aidan co dzień dojeżdżał do miasta do pracy, to jego dusza była na wskroś duszą rolnika. W ładniejsze weekendy potrafił wzuć wellingtony i krok w krok za Owenem chodzić po ogrodzie, rozprawiając o kompoście i zakwaszeniu gleby. Pewnego razu nawet go podejrziałam, jak ukradkiem zerwał źdźbło trawy i włożył je między zęby, przybierając jeszcze mądrzejszą minę niż zazwyczaj. Podejrzewam, że szczerze ubolewał, iż naszych działek nie dzieli klasyczny płotek, o który można by się po sąsiedzku opierać i przerzucać nad nim dobrymi radami. I chociaż nie do końca odpowiadała nam narzucona rola „wsioków”, to z wdzięcznością przyjmowaliśmy wszelką pomoc, w tym opiekę nad dziećmi, jako że wygodnie założyliśmy, iż Laura, Billy i Duncan są w na tyle zbliżonym wieku, że się polubią.

Kiedy byłam w dołku, a takich momentów w moim życiu nigdy nie brakowało, postrzegałam naszą przyjaźń w nieco innym świetle.

Wydawało mi się wówczas, że Dina wykorzystuje mnie, żeby się przede mną chwalić, na co ja — z powodu wady swego charakteru zakrawającej na masochizm — się zgadzałam. Dina ze wszystkim radziła sobie doskonale, jak podejrzewałam, działa się tak za sprawą dobrych rad udzielanych w kolorowych czasopismach, gdyż miała całą stertę wycinków a to z poradami, jak usunąć bez śladu plamę po czerwonym winie, a to z adresami i numerami telefonów sklepów, w których można kupić chwościki do kotar. Na własne oczy widziałam, że w zamrażarce ma równiutko poporcjowane kawałki mięs z nalepkami: „De volaille dla dwojga” czy „Kebab ze

szpinakiem i kozim serem dla 24 osób". Dina była przygotowana na każdą ewentualność, ja odwrotnie — każdy dzień stanowi! dla mnie wyzwanie.

Kiedy tak siedziałam z Diną przy jednym stole i popijałam kawę, uświadomiłam sobie, jak niechlujnie muszę przy niej wyglądać.

Wprawdzie nie pamiętałam dokładnie, ale było bardzo prawdopodobne, że od rana nie zdążyłam się jeszcze uczesać. Co więcej, mój jedyny atut: szczupła sylwetka, której czasem mi w żartach zazdrościła, przy niej prezentowała się nad wyraz nieciekawie — czułam się koścista i patykowata niczym strach na wróble i nie miałam złudzeń, że stare spodnie i bluza dodają mi uroku. Na dodatek mam krótkie myszowate włosy i pociągłą, by nie rzec szczurzą twarz, na której mało komu chce się zawiesić dłużej oko. Pamiętam, że kiedy miałam piętnaście lat, jakaś litościwa dusza powiedziała mi, że wyglądam prześlicznie, gdy się uśmiecham, co ja natychmiast zinterpretowałam tak: „A kiedy się nie uśmiechasz, wyglądasz paskudnie”.

Przerwałam przedłużające się milczenie.

— Dina, słuchaj, nie widziałaś przypadkiem, żeby w sąsiedztwie kręcił się ktoś podejrzany?

— Nie. A co, powinnam? — zaciekała się. Westchnęłam ciężko.

— Sama nie wiem. Po prostu rozmawiałam dziś z matką. Faith, ilekroć do mnie dzwoni, mówi dziwne rzeczy, ale dzisiaj przeszła samą siebie.

Wyraźnie coś ją niepokoiło, lecz nie chciała powiedzieć co. Pytała tylko, czy nie zauważyłam kogoś podejrzanego. Pomyślałam sobie nawet, że może coś na temat naszej okolicy trafiło do wiadomości w telewizji.

— A ty kogoś widziałaś? — Dina przerwała mój pogmatwany wywód, odprowadzając wzrokiem Duncana, który w końcu postanowił poszukać Laury i Billy'ego i właśnie oddalał się od nas posuwistym krokiem.

— Tylko siwego łotra, szukającego choinki na święta.

— Kogo? — obrzuciła mnie niepewnym spojrzeniem.

— No wiesz: „Odejdź precz! Puść mnie, siwy łotrze! Opadła stara ręka...” To był cytat... — wyjaśniłam, kiedy napotkałam jej pusty wzrok, i zaraz uściśliłam: — Z „Pieśni o starym

żeglarzu", mój brat wprost za tym wierszem przepadał... Myślę, że podobnie jak większość dzieci. Pamiętam, że ja jeszcze lubiłam kawałek o lady Shallot i jej klątwie...

Zorientowałam się, że Dina mnie nie słucha; wpatrywała się w rysunek, który nabazgrałam rano na odwrocie koperty.

— A to, na Boga, kto?

— To portret pamięciowy osobnika, o którym wspomniała moja matka.

— Przecież przed chwilą twierdziłaś, że nikogo takiego nie widziałas!

— Masz rację, nie widziałam. Opasły Albert to wytwór mojej wyobraźni.

— Tfuj! Jest obrzydliwy! — Ze wstrętem odsunęła zmaltretowaną kopertę, a ja irracjonalnie poczułam się dotknięta w imieniu Opasłego Alberta. I ani trochę nie poprawiło mi humoru, kiedy zreflektowawszy się, dodała: — To znaczy postać jest obrzydliwa, nie rysunek. Naprawdę masz zdolności, może nawet talent, wiesz? — Wzruszyłam tylko ramionami, a Dina nieoczekiwanie zachichotała. — Już myślałam, że to ten twój znajomy... No właśnie, gdzie moja pamięć?... Miałam ci pokazać... No, gdzież to jest? — niecierpliwiła się gmerając w torebce. — W magazynie, który przyszedł wczoraj z pocztą, był o nim artykuł.

— Nie rozumiem.

Ale tak naprawdę od razu zrozumiałam. Ponieważ miałam tylko jednego znajomego, byłego znajomego, o którym pisywano artykuły.

Dina wreszcie znalazła wyrwaną z kolorowego czasopisma i złożoną w czworo kartkę. Rozprostowała ją i położyła równo na stole i w tym samym momencie poraził mnie czarno-biały, gruboziarnisty uśmiech Roba. Jak zwykle prezentował się z klasą, choć na luzie, jakby był zbyt zajęty człowiekiem, żeby przywiązywać wagę do tak banalnych spraw jak wygląd czy ubiór, ale i tak — przypadkiem rzecz jasna — efekt jego niestarań był oszałamiający. Miał na sobie ciemną koszulę bez jednej fałdki, ale za to rozpiętą pod szyją, a brunatne włosy (oczywiście na zdjęciu były czarne, ale ja wiedziałam, że są brunatne) idealnie przystrzyżone, choć artystycznie zmierz-

wionę. Poznać było, że żartuje sobie z fotografem albo z kimś, kto stoi za nim, gdyż w kącikach oczu pojawiły się charakterystyczne zmarszczki śmiechu. Jakimś cudem zawsze udawało mu się połączyć mądrość i humor, i empatię, i zabójczy wygląd. Nie mam pojęcia, jak on to robił. Proszę państwa, oto Rob Hallam — gwiazda mediów, równie nieoczekiwana, jak niechętna rozgłosowi.

Przerzuciłam wzrokiem artykuł, który jak się okazało, zawierał to samo co wszystkie poprzednie na temat Roba. Jego historia była na tyle interesująca i nietypowa, stanowiąc zaprzeczenie mitu „od pucybuta do milionera”, że aż warta powtarzania przy każdej nadarzającej się okazji. Urodził się w Australii nieco ponad trzydzieści lat temu, ale kiedy skończył ósmy rok życia, posłano go do angielskiej szkoły z internatem. W efekcie po dziś dzień nie wie, gdzie są jego korzenie, i pogodził się z losem wiecznego tułacza (jak wyczytałam, zdradził to przeprowadzającej z nim wywiad dziennikarce w chwili wyjątkowego „porozumienia dusz”, co było równie chwytliwe jak fałszywe, zważywszy, że tyle samo zdradzał wszystkim). Chociaż miał trudne dzieciństwo, a oderwanie od miejsca, w którym się wychował, zaburzyło jego wewnętrzny spokój, odnosił sukces za sukcesem: najlepszy uczeń w szkole, pierwszy student na roku, dyplom Uniwersytetu Oksfordzkiego, badania naukowe i wreszcie praca w mediach.

I nagle — trach!

Pracował właśnie nad kawałkiem o bezdomnych i z właściwą sobie dbałością o szczegóły postanowił na własnej skórze odczuć życie nędzarzy, gdy jak grom z jasnego nieba spadło na niego aresztowanie i oskarżenie o napad z bronią w ręku. Przez cały czas z niezachwianą pewnością siebie utrzymywał, że jest niewinny, jednakże i tak go skazano. Odsiedział niemal połowę z ośmioletniego wyroku, zanim obrońcom udało się rzucić nowe światło na sprawę dzięki niezbitemu teraz alibi oraz zeznaniom faktycznego złooczyńcy. Rob został zwolniony z więzienia, ale cztery lata tam spędzone odcisnęły potężne piętno na jego życiu. To co niegdyś zaczęło się jako czasowe zainteresowanie usuniętymi poza nawias społeczeństwa,

przerodziło się w osobistą krucjatę. Spod jego pióra wyszedł scenariusz znaczącego dokumentu, który wyprodukował własnym sumptem, a który oparty był na jego doświadczeniach, jak również na doświadczeniach ludzi poznanych za kratami. W świecie mediów — tym razem z drugiej strony mikrofonu — poczuł się jak ryba w wodzie i miesiącami nie znikał z ekranu ani eteru. Ktoś nazwał go mówcą wszystkich odrzuconych, którego establishment po prostu musi wysłuchać.

Przed półtora rokiem dał upust dręczącej go pasji, angażując się w otworzenie Branden House, nowoczesnego przytuliska dla bezdomnych eks-pensjonariuszy zakładów karnych. Krążyły plotki, że zamierza kandydować w wyborach. Znajdował także czas, żeby prowadzić na antenie program zatytułowany „Lżejsze spojrzenie na ciężkie sprawy”, do którego zapraszał różnych ludzi, sam prezentował swoje poglądy i przedstawiał fakty.

W artykule napisali: „Rob Hallam — człowiek, który rozpoczął reformę społeczeństwa.”

(Rob Hallam — człowiek, który zdradził przyjaźń, pomyślałam.)

Lecz to nie artykuł o Robie Hallamie ani nie jego rzucające się w oczy zdjęcie wprowiło mnie w pomieszanie. Spowodowała to mniejsza fotografia, umieszczona w skromnym prawym dolnym rogu strony. Widniał na niej Rob — oczywiście! uśmiechający się wyrozumiale — jakżeby inaczej! jak zwykle łączący w sobie fizyczną atrakcyjność i zadumę mającą sugerować troskę i dobre serce, na tle Branden House i w otoczeniu personelu i pensjonariuszy. U jego boku stała niepozorna kobieta o prostych ciemnych włosach i dużych oczach, w których igrała pustka, i to właśnie ta kobieta zwróciła moją uwagę. Gdyż była nią Esme. Co ona tam mogła robić? myślałam. Z trudem przychodziło mi ją sobie wyobrazić jako nawróconą przestępczynię, równie nieprawdopodobne wydawało mi się, że należy do personelu przytuliska. Płynął stąd jedyny rozsądny wniosek: Esme i Rob znów są razem!

— Na drugiej stronie jest ciąg dalszy — wtrąciła Dina, widząc moje zainteresowanie.

Rzeczywiście byt. Następna fotografia, tym razem tylko Roba i Esme, trzymających się za ręce i spacerujących wśród jesiennego krajobrazu; podpis pod zdjęciem głosił: „W ostatnim półroczu Rob Hallam odzyskał równowagę ducha w pełnym bezpieczeństwa i miłości związku ze swą ukochaną z lat dzieciennych, Esme Drummond”.

Nie powiem, dziabnęło mnie to, choć gdyby ktoś mnie zapytał dlaczego, nie potrafiłabym udzielić konkretnej odpowiedzi. Po prostu poczułam się znów jak dziecko, którego dwoje najlepszych przyjaciół oddała się chichocząc konspiracyjnie. Wyobraziłam ich sobie szepczących czule słówka w ekskluzywnej restauracji, chodzących razem do teatru, jeżdżących na drogie wakacje, śmiejących się ze starych dowcipów i wspominających dawne czasy.

Mają prawo wszystko to robić, pomyślałam, i nic mi do tego. Od niemal dziesięciu lat nie rozmawiałam z żadnym z nich.

— Ironia losu, nieprawdaż? — skomentowała Dina.

— Jak to?

— No... że po tym wszystkim, co mu się przytrafiło, związał się z córką adwokata. O, tutaj o tym piszą — odwróciła artykuł w swoją stronę i odczytała: — „Najwyraźniej Rob Hallam nie żywi urazy do prawników bądź też postanowił się zabezpieczyć na przyszłość, wybranką swego serca czyniąc córkę Johna Drummonda, byłego adwokata Rady Królewskiej...”

— Byłego wyśmienitego adwokata Rady Królewskiej — poprawiłam ją.

— Lucien tak zawsze o nich mówił...

Pogardliwym tonem na dodatek. „Tylko tacy występują w przyrodzie: «wyśmienici». Słyszał kto kiedy o zwykłym? Nieee... Podobnie jak wszyscy ci, którzy przeżyli katastrofę, wykazali się «hartem ducha», a dzieci będące pacjentami szpitala są «kruche». Zauważyłaś to?”

Ja tak, Dina najwyraźniej nie, bo patrzyła na mnie teraz nic nie rozumiejącym spojrzeniem. Nie po raz pierwszy w trakcie naszej znajomości pomyślałam, że mój brat zmarnowałby się przy Dinie, która plotkarskim szeptem zapytała mnie:

— Jak dobrze się znaliście?

— Z Robem? Hmm...

— Był, zdaje się, przyjacielem twojego brata.

— Tak, to prawda. Bardzo się przyjaźnili... — przed oczyma stanęły mi obrazki z przeszłości, Lucien pastwiący się nad Robem na przeróżne sposoby — ...to znaczy w pewnym sensie

— Wspomniałaś mi kiedyś, że często spędzaliście razem letnie wakacje...

— Och, nie tak znów często — zaprotestowałam.

— A ta Esme... też się koło was kręciła?

— O tak. Przecież mieszkaliśmy w domu wynajętym od jej rodziców.

— Nad morzem.

— Nie! — Byłam zdziwiona tym przesłuchaniem i liczbą faktów, jakie znała Dina, choć niektóre jej się poplątały. — To było nad rzeką. Dinie nie robiło to większej różnicy. Drażyła dalej.

— A Owen? On też się z wami bawił?

— Nie od samego początku. Zaczął przyjeżdżać jakoś później...

W zamyśleniu przejechała dłonią po wyrwanej z czasopisma kartce, na dłużej zatrzymując palec przy twarzy Roba.

— Nie zdawałam sobie sprawy, że Rob Hallam jest taki przystojny — rzekła. — Oczywiście nie umywa się do Owena, ale mimo wszystko... — Chrzaknęłam niezobowiązująco, chociaż już wcześniej sama pomyślałam o tym samym. Zniknął gdzieś chłopiec, którego znałam, o zaciętym wyrazie twarzy, kwadratowej szczęce i nieciekawym nosie; zmieniły się nawet jego wiecznie rozbiegane, pełne niepokoju oczy. Widać zaangażowanie i jasno wytyczony cel w życiu potrafią zdziałać cuda. — Czy mi się zdaje, czy mówiłaś też, że byliście w sobie zakochani? Naturalnie nic takiego nigdy jej nie powiedziałam, lecz Dina była wytrawną plotkarką żądną wieści z życia sławnych ludzi, nowinek, którymi mogłaby zabawiać swoje przyjaciółki podczas nudnego lunchu. — Kiedy Rob i ja się znaliśmy, byliśmy dziećmi — poinformowałam ją sucho.

— A po ile mieliście lat?

— Osiem, dziewięć... coś koło tego.

— No dobrze — detektyw Dina nie dawała za wygraną

— ale później? Przecież Rob studiował razem z twoim bratem, musiałaś go więc wtedy widywać.

— Co najwyżej wpadliśmy na siebie parę razy. Czuję na sobie jej palący wzrok.

— No i? Podobał ci się wtedy?

Staralam się zapanować nad wyrazem twarzy, stawiając na szczerość.

— Naprawdę trudno mi to wyjaśnić... — Prawda. _Nie

jestem pewna, czy sama to do końca rozumiem... — Cała prawda. — No wiesz, oczywiście, że w pewnym sensie między nami iskrzyło, ale równocześnie dzieliła nas jakaś bariera...

— I tylko prawda. — Niemal jakbyśmy byli rodzeństwem... Urwałam, gdyż mógł mnie zdradzić ton głosu. Starszy inkwizytor Dina będzie musiała zadowolić się tym, co usłyszała, chociaż kiedy na nią zerknęłam, zauważyłam, że wpatruje się we mnie z powątpiewaniem, jakby była przekonana, że Rob i ja jednak zostaliśmy kochankami. Z żalem pomyślałam, że gdyby tak się stało, wszystko byłoby o wiele prostsze. Do dziś pamiętałam każdego faceta, z którym poszłam do łóżka, zanim związałam się na dobre z Owenem — ich imiona, daty, nawet ulubione pozycje — i żaden z nich nie wzbudzał we mnie silniejszych emocji, chociaż swego czasu wierzyłam, że w jednym czy dwóch jestem zakochana. Z Robem wszakże było inaczej.

— Ostatni raz widzieliście się na pogrzebie, prawda?

— Rob nie przyszedł na pogrzeb.

— Mimo że był niemal jak rodzina?

— Cóż, tak chcieliśmy o nim myśleć, ale... Dina już przechodziła do następnego wątku.

— I wtedy zwróciłaś uwagę na Owena?

— Hmm, można tak to ująć.

Zdecydowanie wolałam nie mówić ani nie myśleć o czasach, kiedy Owen pomagał mi pozbierać się do kupy. Było to zbyt bolesne, zwłaszcza że obecnie wiedziałam, że po dziś dzień mój mąż żałuje ówczesnej wspaniałomyślności, którą

z większym pożytkiem dla siebie mógł był ulokować gdzie indziej. Poza tym nie miałam zamiaru zwierzać się Dinie.

— To niesamowite — zauważyła, kiedy cisza się przedłużała — że kiedyś znaliście się jako dzieci, a teraz wciąż jesteście razem. To znaczy ona i Rob, ty i Owen.

Przytaknęłam w milczeniu. Dina jeszcze raz spojrzała na fotografię uśmiechniętego Roba, z wyrazem twarzy mówiącym: „Jaka szkoda, że nie tobie się dostał!”

Poczułam gniew — na nią i na siebie, gdyż taka sama myśl pojawiła się w mojej głowie

Kiedy Dina wreszcie odjechała swym małym sportowym autem, wróciłam do szklarni. Duncan siedział na odwróconej do góry dnem donicy i trzął się z zimna, mimo że miał na sobie anorak; Owen sadził sałatę, Laura udawała, że mu pomaga, szczebiocząc wesoło, zapewne o tym, co chciałyby dostać pod choinkę, a Billy bawił się samochodzikiem, wjeżdżając i wyjeżdżając z tuneli oczu i ust dyni porzuconej po niedawnym Halloween.

Patrzyłam na nich, tracąc z wolna resztki dobrego humoru, z którym się obudziłam. Czułam się winna, że Owen pracuje sam, podczas gdy ja oddaję się ploteczkom i popijaniu kawy w ciepłej kuchni (poczucie winy wzrosło, kiedy uprzytomniłam sobie, że mogłam przynieść mu filiżankę, ale tego nie zrobiłam). Równocześnie przepełniała mnie żal, że wszyscy inni prowadzą ciekawsze życie: Dina siedziała u fryzjera i pozwalała koło siebie skakać, Rob i Esme pławili się w póź-nojesiennym słońcu i na nowo odkrytym szczęściu. A mnie przypadła w udziale opieka nad Duncanem, wyrwanym ze swego naturalnego środowiska, którego wyznacznikami było centralne ogrzewanie i puszyste dywany, i niczym wygnaniec z lepszego świata rozpaczliwie spoglądającym spod nasuniętego głęboko na oczy kaptura. Ogarnął mnie wstyd.

Ruszyłam zwawym krokiem środkiem szklarni, po czym zwolniłam i wreszcie przystanąłam dokładnie w połowie. Wokół unosił się zapach świeżo poruszonej gleby, przygotowanej na przyjęcie sadzonek.

Najpierw została spulchniona, a następnie wygładzona grabkami, by na równej powierzchni

dało się wytyczyć linie jak spod igły, do których trafić miały miniaturowe sałatki, wyglądające jak kostka brązowego cukru z zieloną grzywką. Owen jednostajnym ruchem sięgał po każdą sadzonkę z osobna i troskliwie opuszczał ją w wybrany dołek. Co za precyzja! pomyślałam przestępując z nogi na nogę i czekając, aż się ze mną zrówna, gdyż nie chciałam swoją obecnością wytrącić go z rytmu.

— To naprawdę śmieszne! — powiedziałam, kiedy był w zasięgu głosu.

— Co takiego? — spytał.

— Jak możesz tracić czas na tę głupią sałatę, skoro wiesz równie dobrze jak ja, że zarobimy na niej tyle samo co na paru kupionych i odsprzedanych z zyskiem choinkach?!

— Myślałem, że już to sobie wyjaśniliśmy.

— Jeśli nawet, to co z tego? W dalszym ciągu nie widzę sensu w tym, żeby męczyć się bardziej niż to konieczne. Wiesz, podejrzewam, że ty się zwyczajnie obawiasz, że dla odmiany moglibyśmy zarobić trochę grosza! Bóg mi świadkiem, że wolisz się umartwiać, niż żyć jak człowiek!

— Ja się nie umartwiam, Jane. Odpowiada mi ta praca.

— W takim razie jesteś niespełna rozumu.

Owen wzruszył ramionami i przeszedł do kolejnego rzędu. Wziąć z tacy sadzonkę, schylić się, umieścić ją w dołku, zrobić krok do przodu i... powtórzyć całą operację po raz drugi, dziesiąty, setny... Sama myśl, że można chcieć spędzić cały dzień na tak straszliwie nudnym zajęciu, sprawiła, że rozboleła mnie głowa. Co tam rozboleła! Ja wprost czułam, jak frustracja zaciska stalowe obcegi na mojej czaszce. Po paru chwilach i dziesiątkach zasadzonych sałat Owen znów znalazł się koło mnie.

— Chciałaś coś jeszcze? — zapytał z wyrazem twarzy, który równie dobrze mógł świadczyć o obojętności jak nienawiści; nawet po tylu latach znajomości nie potrafiłam go rozgryźć.

— Szczerze powiedziawszy, tak. Spójrz tylko na Dunca-na, siedzi tam jak półtora nieszczęścia, narażony na uderzenie kamieniem albo skaleczenie fruującym szkłem. Jeśli nawet masz za nic zdrowie własnych dzieci, weź poprawkę na to, że Duncan jest synem naszych przyjaciół. Nie pozwolę, by stała mu się tutaj krzywda. Zabieram go stąd na cały dzień.

— Dokąd? — padło lakoniczne pytanie, jakby moja tyrada nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia.

— Do mojej matki — odparłam, sama nie wiedząc, skąd ten pomysł. Z drugiej jednak strony, gdzieś indziej jest ciepło, sucho i nie trzeba płacić za wstęp?

Reakcja Owena, a raczej jej całkowity brak, podziałała na mnie jak czerwona płachta na byka.

Opasły Albert, myślałam, już by toczył pianę z ust. Opasły Albert darłby się na mnie przez dziesięć minut, a ja nie pozostawiałabym mu dłużna, co nie przeszkodziłoby nam pogodzić się wśród ogólnego poczucia akceptacji albo i czegoś więcej. Och, Albercie, westchnęłam w duchu, dlaczego musiałam wyjść za czołowego angielskiego pacyfistę małżeńskiego?

Owen właśnie doszedł do końca ostatniego rzędu tej sekcji i zaczął gmerać przy zraszaczach, żeby zapewnić sałatkom odpowiednie nawilżenie. Jeśli chciałam kontynuować rozmowę, czy raczej monolog, dla którego jednak niezbędny mi był słuchacz, musiałam do niego dołączyć, obchodząc łukiem obsadzone grządki.

— Nie masz mi nic do powiedzenia?! — wybuchnęłam. — Nie martwi cię, że to wszystko zostanie na twojej głowie? Nie masz z tym żadnego problemu?

— Zaczekaj chwilkę — sapnęłam. — No, udało się, nareszcie.

Zraszacz ożył i życiodajna woda zaczęła kapać na wdzięczne roślinki. O mój Boże, pomyślałam, teraz pada już nawet wewnątrz.

— No? — przypomniałam Owenowi o swojej obecności. Odwrócił się do mnie i powiedział:

— Jane, moim jedynym problemem w chwili obecnej jesteś ty. Nie mam pojęcia, o co ci w ogóle chodzi.

— Wydawało mi się, że wyrażam się jasno.

— Spróbuj jeszcze raz.

Kiedy spóźniłam się z odpowiedzią o ułamek sekundy, pokazał mi plecy i zajął się kolejną partią sadzonek, ja zaś ze smutkiem skonstatowałam w duchu, że aby przykuć jego uwagę na dłużej, trzeba umieć fotosyntetyzować. Wciąż jednak byłam świadoma, że niemal tuzin tysięcy sadzonek to nie

przelewki i zadanie ponad siły jednej osoby. Zawahałam się w swoim wcześniejszym postanowieniu, nie potrafiąc wykrzesać z siebie choćby tyle odwagi, by starczyło na obronę własnego egoizmu.

— Może bym ci pomogła przez godzinę czy dwie...

— Poradzę sobie.

Poczułam się rozczarowana, gdyż w głębi duszy miałam nadzieję, że Owen wypowie magiczne słowa, iż mnie potrzebuje i nie da sobie rady beze mnie. Poczułam się także urażona, podejrzewając, że oto teraz karze mnie za pomocą własnej samowystarczalności. Tak czy inaczej zostałam wmanewrowana w tę sytuację i wcale mi się to nie podobało, zwłaszcza że każde wyjście było złe.

— Hej, nie zgrywaj męczennika. Zostanę, jeśli chcesz. Zamarł w pół kroku, z natężeniem wpatrując się w grudkę ziemi u czubka swego buta, przełknął głośno ślinę i powiedział:

— Decyzja należy do ciebie. Dzieciakom dobrze zrobi krótka wycieczka — i podjął pracę.

Jeden zero dla Owena, pomyślałam. Nie miałam pojęcia, czy jest na mnie zły — emocje innych ludzi tak łatwo przejrzeć, nie mojego męża jednak. W jego wypadku trzeba mieć baczenie na najbliższy tik: drgnienie mięśnia w kąciku oka, skurcz ścięgien na przegubie... Czasem czułam się przy nim jak pechowy archeolog, który musi odtworzyć życie codzienne całej cywilizacji na podstawie jednej marnej rozbitej skorupy.

Postanowiłam się odgryźć i obrzuciłam go pochmurnym spojrzeniem, które w moim mniemaniu pełne było świętego oburzenia, cóż z tego jednak, skoro Owen zdążył się już odwrócić do mnie tyłem. Aby postawić tamę zalewającemu mnie smutkowi, spróbowałam sobie wyobrazić malowidło pt. „Męczeństwo św. Owena od ogrodników” — w stylu zbliżonym do niemieckiego malarstwa średniowiecznego. Widniało na nim najbardziej odpychające wcielenie Owena, który unosi ku niebiosom pociemniałe z bólu piwnozielone oczy z czającym się w nich pytaniem: „Czy długo jeszcze, Panie mój?” Obok niego na stosie spętana stoi jego żona, a nad nim podfruwa mały demonek o nastroszonych włosach i obrzuca oboje soczystozielonymi sadzonkami.

Marne to było pocieszenie. Wyobrażanie sobie obrazów, których nigdy nie namaluję, było wszystkim, co w ostatnich latach pozostało z mojej młodszej pasji.

Dzieci ze zwykłą dla siebie perwersją wcale nie miały ochoty iść do babci. Duncan opuścił swój donicowy tron i zniżył się do zabawy z Billym: z pustych tac po sadzonkach budował wielopoziomowy parking dla jego samochodzików. Laura z przerażeniem przyjęła perspektywę opuszczenia ojca.

— Biedny tatuś — jęczała. — Sam samiutki przez cały boży dzień. — Nagle się otrząsnęła ze smutku i wyciągnęła do Owena rączkę ze swoją ulubioną lalką. — Nie martw się, tatusiu, Wendy cię nie opuści. — Chwilę potem lalka, zagłębiona w ziemi po pas, dołączyła do sadzonek. Spośród brązu i zieleni wystawał plastikowy jasnorożowy korpus przyodziany w ciemniejszą różową baletową sukienkę na ramiączkach, z którego pod kątem prostym sterczały spiczaste piersi; plastikową główkę na obrotowej szyi zdobiła rozwiana na wszystkie strony strzecha blond włosów. Nie zamykające się oczy lalki patrzyły prosto przed siebie, a usteczka nadal się uśmiechały, z czego należałoby wnioskować, że nie miała nic przeciwko towarzystwu sałaty.

— Dziękuję, skarbie. — Owen podniósł Laurę i mocno ją uściskał, a ona aż pisnęła z ukontentowania. — Mam tylko nadzieję, że Wendy nie zaszkodzi mały prysznic — powiedział i oboje wybuchnęli wesołym śmiechem.

Nie chcąc pozostać w tyle, Billy przydreptał w swoich za dużych kaloszach. Patrząc na niego z czułością pomieszaną z odrazą pomyślałam, jak bardzo się różni od swej nieskazitelnej starszej siostry. Z nosa mu kapowało, usta miał lekko rozchylone ze spodenek wychodziła koszula; zawsze wydawał mi się na skraju katastrofy grożącej jego całkowitą dezintegracją. Teraz zamaszystym jak na czterolatka ruchem wbił tuz obok Wendy swoją sportową cortinę, a Owen postawił Laurę na ziemię i wziął chłopca na rękę, co najwyraźniej oboje uszczęśliwiło.

Nie byłam zazdrosna, co to, to nie, jednakże ilekroć widziałam, z jaką swobodą Owen obcuje z dziećmi, ogarniała mnie złość. Zachowywał się przy nich tak bardzo naturalnie i spontanicznie. Czuli się świetnie we trójkę i ani trochę mnie nie potrzebowali — takie przynajmniej odnosiłam wrażenie. Widząc, jak je tuli i śmieje się z nimi, obserwując, jak nawet apatyczny Duncan ożywia się w jego towarzystwie, dostrzegając na twarzy Owena ten chłopięcy zawadiacki uśmiech, którego ostatnio nie dane mi było oglądać w innych okolicznościach, z tym większym bólem uświadamiałam sobie, że przy mnie zachowuje się zgoła inaczej, jest powściągliwy i pełen rezerwy, odległy, sztywny i nieswój. Pakując dzieci do furgonetki, markotnie pomyślałam, że właściwie powinno mi go być żal: to musi być straszne żyć z kimś, na kogo człowiek nie może już patrzeć, lecz jest zbyt uparty, by to przyznać nawet przed samym sobą. — Biedny tatuś... — powtarzała Laura, nie zmieniawszy śpiewki. — Sam samiotki...

— Biedny, a juści! — warknęłam, nie mogąc tego dłużej zdzierżyć. — Chciałam mu pomóc, ale powiedział, że da sobie radę.

Laura nawet na mnie nie spojrzała, uznawszy widać, że moja wersja nie zasługuje na komentarz; poza tym była zbyt zajęta wrywaniem chłopcom jedynej dostępnej w aucie poduszki, na której chciała usiąść, im zostawiając stare worki i płócienne plecaki.

— A u nas w aucie pasy bezpieczeństwa są także na tylnych siedzeniach — odezwał się głucho Duncan.

— Cóż, a w naszym nie ma tylnych siedzeń, więc pasy bezpieczeństwa są niepotrzebne — rzuciłam w odpowiedzi, próbując zmusić firmową furgonetkę do startu.

Nadaremno.

Dzieci zaczęły się wiercić i kłócić o jakieś głupstwo, podczas gdy mnie ogarniała wściekłość. Poruszać się tym zardzewiałym i pocharkującym ze starości pojazdem, w którym notorycznie śmierdzi kompostem, to jedno, ale siedzieć w środku i nie móc się poruszyć — o, to było znacznie gorsze.

Przez moment rozważałam, czyby nie grzmotnąć głową o kierownicę i litościwie pozbawić się świadomości na jakiś czas, ale ostatecznie zrezygnowałam z tego dosyć drastycznego rozwiązania i ograniczyłam się do przekleństwa, waląc pięścią w deskę rozdzielczą. Z tyłu zapadła cisza — zwykła reakcja dzieci zaniepokojonych, że są na łasce i niełasce dorosłego, który niezbyt dobrze sobie radzi w życiu, nawet z tak banalnymi sprawami jak uruchomienie samochodu. No pięknie, pomyślałam, teraz będę musiała poprosić Owena o pomoc. Zaraz jednak nasunęła mi się jeszcze straszliwsza alternatywa: furgonetka zdechła na amen i już nigdy nie opuszczę tego klaustrofobicznego miejsca. Przez kilka dobrych chwil musiałam walczyć o oddech. — Trzeba zawołać tatę — poradziła Laura głosem sześćioletniej staruszki. — Zna się na tym tyle co ja — odparłam, ale z braku lepszych pomysłów i tak po niego poszłam. — Akumulator się wyładował — ocenił Owen zajrzawszy pod maskę. Te trzy słowa powiedziały wszystko o jego wiedzy na temat mechaniki. Mojej także, jeśli już o to chodzi. — Popchnę was. Postaraj się zaparkować na lekkiej górcie, a gdybyś tak nie chciał zapalić, to z tyłu są takie dwa kable, które możesz podłączyć do czyjegóż akumulatora... — Tak, wiem — przerwałam mu. — Pamiętam. Byliśmy winni naszemu mechanikowi astronomiczną kwotę za ostatni przegląd, który postawił tę kupę złomu na nogi, czy raczej koła, toteż kupno nowego akumulatora nie wchodziło na razie w grę. Kiedy popchnięta silnym ramieniem Owena furgonetka zaczęła ze mną niechętnie współpracować na lekko pochyłej drodze, wśród niepewnych okrzyków dzieci, mających zapewne nadzieję, że nie będę już przeklinać ani na nie krzyczeć, złożyłam sobie w duchu obietnicę. Przyrzekłam sobie, że pewnego dnia będę w stanie odwiedzać ludzi, którzy nie mieszkają na szczycie wzgórza. Deszcz nie ustał, zrzędł tylko nieco i zaczął teraz wprost na przednią szybę. Włączone na najwyższe obroty wycieracz-

ki protestowały, piszcząc gumowymi końcówkami po szkłe, a z tyłu, gdzieś za dziećmi, coś rytmicznie postukiwało. Na ogół za każdym razem gdy udało mi się wyrwać z domu, potrafiłam cieszyć się ich towarzystwem; uwolniona od sprzecznych uczuć, jakie ostatnio wzbudzał we mnie Owen, z chęcią włączałam się w ich zabawy i paplaninę. Tego dnia jednak ogarnął mnie przemożny smutek, który nie chciał odejść nawet wtedy, gdy furgonetka wesoło turkocząc przyśpieszała na śliskiej drodze. Nadchodziło znajome uczucie, że oto tylko krok dzieli mnie od czarnej dziury smętku.

Pamiętam, jak ktoś — zapewne był to Lucien — po raz pierwszy powiedział mi o istnieniu czarnych dziur, tych niewidocznych przestrzeni, które połykają wszelką materię i nie wypuszczają ze swych szponów nawet światła, gdyż w ich wnętrzu panuje nieprzenikniona żarłoczna ciemność. Pomyślałam wtedy: „To określenie by pasowało. Całe dotychczasowe życie spędziłam na skraju takiej właśnie czarnej dziury”. Odkąd sięgam pamięcią, czułam się otoczona, by nie rzec osaczona, przez to co niewidoczne, ukryte przed moim wzrokiem, niewyjaśnione. Ciemne. Mroczne. Tym razem to nieprzyjemne uczucie przywołał poranny telefon od mojej matki. I rzucony w szklarnię kamień. I jeszcze spotkanie z siwym łotrem. Przypuszczam jednak, że ani sama rozmowa z Faith, ani nawet ona w połączeniu z kolejnym incydentem w szklarni i niemiłą konfrontacją z klientem nie dopełniłyby dzieła, gdyby nie to, że tracona została jakaś czuła, acz dotąd uśpiona struna w mojej pamięci. Przypomniałam sobie rozmowy dorosłych, urywane w pół słowa, kiedy wchodziłam do pokoju, nieustanne przeprowadzki, niezrozumiałe uwagi gości i moje pytania pozostawione bez odpowiedzi, ukradkowe spojrzenia rzucane mi przez obcych ludzi na ulicy. Nic z tego nie rozumiałam i zawsze czułam się jak pionek w jakiejś skomplikowanej grze, której zasad nie znałam i co gorsza nikt nie kwapił się, by mi je objaśnić.

Wyrzucona poza nawias, nigdy nie czułam się częścią większej całości, dla mnie zrozumiałej. No, może nie nigdy... Był pewien okres, cztery letnie wakacje, żeby być ścisłym,

gdy poznałam, jak to jest znaleźć się w samym sercu bynajmniej nie mrocznego, lecz przepelnionego słońcem i zielenią wszechświata. Nie chciałam dłużej ze sobą walczyć, z cichym westchnieniem poddałam się i zanurzyłam we wspomnieniach, w skry-tości ducha zastanawiając się, czy i inni w przeszłości znajdują ucieczkę od prawdziwego życia. A może tylko ja sięgam pamięcią wstecz, aby jeszcze raz zanurzyć się w świecie tak drogim, a jednak niedocenianym, dopóki nie został starty z powierzchni ziemi? Może tylko ja mam w umyśle to sekretne wyjście awaryjne, którym podążam, ilekroć życie codzienne z jego zmartwieniami i monotonią staje się nie do zniesienia? Ilekroć przerastają mnie deszcz i nie zapłacone rachunki, niejasne ostrzeżenia i kłótnie, w których nie ma wygranych?...

Nauczyłam się dozować sobie wspomnienia, w obawie że wskutek zbyt częstego do nich sięgania wyblakną i znikną w mrokach niepamięci. Dom Drummondów, o wdzięcznej nazwie Glory Cottage. Okna otwarte na oścież, upojny zapach kwitnącego sadu. Jednostajny szum rzeki. Woń podmokłej ziemi, butwiejących liści i mchu. Gładki trawnik rozciągający się pomiędzy drewnianą szopą na łódź a pojedynczą rosochatą wierzbą. Miejsce, które było centrum mojego... nie: naszego życia przez cztery letnie sezony.

Pięcioro dzieci leżących półkolem na trawie. Czworo zasłuchanych i wpatrzonych w piątę jak w obraz. Cztery pary oczu, cztery pary uszu skierowane na Luciena-magika. Na Luciena, mojego brata.

— Każde z was musi pomyśleć sobie słowo. Najfantastyczniejsze, najcudowniejsze, najbardziej niebywałe słowo, jakie kiedykolwiek usłyszeliście — mówi Lucien.

Rob poprawia się nerwowo na swoim miejscu.

— Jakie słowo? — pyta.

— To ty masz wiedzieć, głąbie.

Szmer bystrego nurtu rzeki uwydatnia ciszę, która zapada, gdyż nikt nie chce ryzykować i wyrywać się przed szereg — to grozi popełnieniem kompromitującego błędu.

Wreszcie odzywa się Lucien.

— Esme, ty jesteś najmłodsza, więc zaczniesz. — Esme marszczy brwi, opuszcza głowę. Jej proste ciemne włosy opadają na twarz, zasłaniając ją prawie całkowicie. Palcami prawej dłoni przesypuje szary rzeczny piasek. — No, dalej — zachęca ją Lucien.

— Hmm...

Owen wyciąga się na wznak, podkłada ręce pod głowę i przez długie cienkie liście wierzby spogląda na rozpościerające się ponad nami niebo. Już jako dziecko ma nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Harmonia — mówi cicho, jakby do samego siebie.

— Esme miała być pierwsza — upomina go Lucien.

— Hmm... — Dziewczynka zamyśla się raz jeszcze, marszczy śmiesznie brwi, dając nam do zrozumienia, że naprawdę się zastanawia, i wreszcie jej twarz rozświecila uśmiech.

— Czekolada — powiada zadowolona. Lucien przewraca oczyma.

— Spróbuj jeszcze raz. Pamiętaj, że to musi być słowo, które aż rezonuje, kiedy się je wypowiada, słowo pełne znaczenia, któremu można poświęcić cały dzień, słowo-przygoda... — Esme patrzy na mojego brata pustym wzrokiem.

— Słowo takie, jak na przykład jerychoński albo alchemia, albo katastrofa...

— No dobrze. To.

— Które z nich?

— Kata... coś tam.

— Katastrofa?

— Tak, właśnie to. Moim słowem na dzisiaj będzie katastrofa. — I Esme, dumna z siebie, zadziera podbródek i uśmiecha się szeroko.

Ja także uśmiecham się na wspomnienie Luciena i jego obsesji na punkcie wielosylabowych słów. Opromienieni jego entuzjazmem, zaczynamy się nimi przerzucać.

— Ekscytacja — mówi Rob.

— Niespodzianka — dodaje Lucien.

— Arpeggio... Arpedžio... — Owen decyduje się zmienić swoje słowo.

— Koszenilina — proponuję.

— Katastrofa — podtrzymuje swoje Esme.

Wszyscy zgodnie przewracamy oczyma i jęczymy teatralnie, choć z tego co wiem, Esme nigdy nie pojęła, dlaczego jej słowo, wystarczająco dobre za pierwszym razem, nagle spotkało się z ogólną dezaprobatą.

ROZDZIAŁ DRUGI

Gdziekolwiek moja matka zamieszkała, jej dom zawsze było łatwo znaleźć dzięki wystawionej na frontowym trawniku tablicy „Na sprzedaż”. Lucien twierdził, że przeprowadzamy się tak często dlatego, że mama chciałaby kiedyś przy okazji zamieszkania zgubić swojego drugiego męża, a naszego ojczyma, Erica. Moim zdaniem jej głęboka potrzeba zmiany otoczenia wynikała z jeszcze silniejszego pragnienia, by bez przerwy definiować się na nowo. Każdy kolejny dom urządany był w odmiennym stylu i stanowił jakby scenę, na której mogła występować Faith. (Zawsze praktyczny Owen utrzymywał, że częste zmiany miejsca zamieszkania są swoistą lokatą kapitału, jako że Faith i Erie kupowali domy tanio, a odsprzedawali je po astronomicznie wysokiej cenie, po tym jak już je odnowili i po swojemu urządzili.) Tak czy inaczej prowadząca nomadyczny tryb życia Faith z biegiem lat coraz dłużej zabawiała w jednym miejscu — na przykład jej ostatni nabytek, mały szeregowy domek z początków dwudziestego stulecia położony w jednym z malowniczych miasteczek południowego wybrzeża, służył jej za lokum przez całe dwanaście miesięcy, co było swego rodzaju rekordem. Podjeżdżając pod niego teraz, zauważyłam wszakże zwiastun rychłej przeprowadzki: przy ogrodzeniu widniała obskurna wielka tablica z numerem telefonu agencji nieruchomości. Moja matka jest aktorką. To znaczy była nią bardzo krótko, zanim na świat przyszedł mój brat, lecz nawet w tym

niedługim okresie recenzenci rozplýwali się nad nią, porównując ją do utalentowanej młodej Peggy Ashcroft (osobiście nie widziałam żadnego z tych pochwalnych peanów w druku). O ile mi wiadomo, Faith nie postawiła stopy na scenie od przeszło trzydziestu lat, jednakże w głębi duszy sercem — i głosem — pozostała aktorką i miała nią być do końca życia.

Owen powiedział kiedyś, że w młodości była pewnie nielichą pięknnością, ale ja jakoś nigdy tego nie zauważyłam, choć rzeczywiście obcy ludzie postrzegali ją jako atrakcyjną. Lucien odziedziczył po niej zgrabną budowę ciała, ciemne włosy i rzadko z nimi idące w parze zielone oczy. Dla równowagi ja nie miałam po matce nic. Co gorsza, nie miałam także pojęcia, skąd wzięły się u mnie mysie włosy, nieokreślonej barwy oczy i daleka od zgrabnej sylwetka. Mogłam tylko przypuszczać, że swe nieciekawe cechy zawdzięczam ojcu — albo przynajmniej genom przekazywanym od pokoleń w jego rodzinie. Niestety w żaden sposób nie potrafiłam tego sprawdzić.

W ostatnich latach figura Faith nieco się zaokrągliła, a włosy lekko posiwiały, co jednak w niczym nie zburzyło jej idealnej prezencji — nawet ja musiałam to przyznać.

— Najdroższa Jane! — Matka przywitała mnie z udawanym entuzjazmem, który błyskawicznie wyparował, kiedy na progu zobaczyła resztę czeredy. — Czyżbyś wreszcie od niego odeszła?

— Tylko na ten dzień. Gdzie Erie? — rozejrzałam się wchodząc do holu.

— Wyszedł do klubu... Miał umówione spotkanie z samego rana.

W przeciwieństwie do większości słomianych wdów, których mężowie regularnie je porzucali dla swej jedynej prawdziwej pasji — golfa, Faith traktowała obsesję Erica z szacunkiem, jak gdyby jego niekończące się wędrówki od pierwszego do osiemnastego dołka były ciężką i niezwykle odpowiedzialną pracą, wymagającą jego stawiennictwa także w weekendy (biedactwo!). A Ericowi to pochlebiało, gdyż jak zwykle okazał się zbyt tępy, żeby zrozumieć, iż Faith podczas

jego nieobecności najzwyczajniej w świecie cieszyła się wolnością. Wprowadzając mnie do środka, Faith zapuściła żurawia nad moim ramieniem. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak Billy z werwą skacze po kałuży, opryskując Laurę i Duncana brudnymi strugami. Pozostała dwójka piszczala, ale ani myślała schronić się za progiem.

— O, masz jeszcze jedno dziecko! — wykrzyknęła oskar-zycielsko.

— Z pewnością pamiętasz, że to Duncan, syn sąsiadów. Możemy już wejść?

Niechętnie odstepiła od drzwi i z ponurą miną obserwowała, jak trzy pary małych, lecz bardzo brudnych stóp tupią po jej holu.

— Właśnie wychodziłam — poinformowała mnie sucho. — Przez ciebie muszę zmienić plany. Gdybyś wcześniej zadzwoniła...

— Przepraszam, jakoś o tym nie pomyślałam. Naprawdę mi przykro.

I rzeczywiście przez jakiś czas było. Dopiero nieco później, kiedy z wizytą przyszła Deirdre, zrozumiałam, że matka kłamała odnośnie do swych planów na dzień. Jak zwykle chciała się wydać ważniejsza i bardziej zajęta, niż była faktycznie, mnie zaś chciała pokazać, jak bardzo komplikuje jej życie, zawracając głowę sobą i dziećmi.

Deirdre przybyła z odsieczą w samą porę, gdyż od paru minut nie miałyśmy z matką o czym rozmawiać, a obie wołałyśmy nie poruszać tematów, które mogłyby się skończyć awanturą. Skomplementowałam jej najnowszy wystrój wewnątrz, który przywodził mi na myśl obrazy Henriego le Douaniera Rousseau — wszystkie ściany i zasłony były w delikatny liściasty rzucik i nie sposób było przejść dwóch kroków, żeby nie wpaść na jakąś roślinę doniczkową albo coś w rodzaju pergoli, meble zaś (ławy i stoły z surowego drewna, parę nielakiero-wanych ratanowych foteli) raziły prostotą graniczącą z prymitywizmem. Z konieczności wyraziłam zachwyty kredensem i półeczkami, które wyglądały, jakby sklecił je do kupy wio-

skowy głupek, wyłowiwszy pierwiej z morza fragmenty wraku pirackiego statku, pomalowały zaś miejscowe przedszkolaki.

Gdzieś pomiędzy jednym fałszywym komplementem a drugim spróbowałam ją wybadać, czym tak się rano zdenerwowała, że aż do mnie zadzwoniła z dziwnie brzmiącym ostrzeżeniem, ale jak było do przewidzenia, zbyła mnie machnięciem ręki i jakimś banałem na temat troski o wnuki. Być może nie wiedziałam o Faith za dużo, dwie sprawy wszakże nie pozostawiały wątpliwości: nigdy nie podejmowała działań bez ważnego powodu i zawsze zatrzymywała ów powód dla siebie.

Wprost uwielbiała otaczać się aurą tajemniczości, a kiedy zapominałam się i nieopatrznie dążyłam do konfrontacji, ona miała dla mnie w zanadru taki specjalny uśmiech i spojrzenie... Twarde niczym metal, od którego odbijały się wszelkie moje ewentualne pytania. Zdarzało się także, iż wyzywała mnie tym spojrzeniem, bym ją przesłuchała na jakąś okoliczność, tak była pewna siebie i swej metalicznej tarczy. Tak, to spojrzenie i uśmiech, trzymające mnie na dystans, nie były miłe, lecz jeszcze gorzej czułam się, kiedy przybierała wyraz zranionej niewinności w stylu „Jak śmiesz mnie prześladować po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam?!” Wtedy nie śmiałam zadać nawet najzwyklejszego pytania, byle tylko nie okazać się wyrodną córką. Zatem i tym razem prędko się poddałam, chociaż zdawałam sobie sprawę, że matkę coś poważnie niepokoi i że ma to związek ze mną oraz dziećmi.

Wreszcie nastąpił moment, kiedy Faith poczuła się w obowiązku zapytać o Owena i szkółkę, ja zaś jak zwykle udzieliłam odpowiedzi bardziej wynikającej z lojalności wobec męża niż szczerości wobec matki, która od samego początku pogardzała naszym pomysłem na życie. No dobrze, sama psioczyłam w domu na ciężką pracę i biedę, ale za nic nie chciałam usłyszeć tego samego z jej ust.

Deirdre pokazała się dosłownie w ostatniej chwili ciszy przed burzą.

— Deirdre, najdroższa — wykrzyknęła z ulgą matka — tak bardzo się cieszę, że cię widzę. Mam nadzieję, że ci to nie będzie przeszkadzać, ale Jane zwała mi się na głowę z całą

hordą dzieciaków i oczywiście bez uprzedzenia. Zapewne nie uda nam się porozmawiać, dopóki nie wyjadą...

Deirdre zatrzepotała powiekami, ale starała się nie okazać zażenowania. Była to obecna „przyjaciółka od serca” mojej matki; zawsze taką miała, ilekroć się gdzieś zadomowiła. Deirdre, Annabel, May, Selina — imiona się zmieniały, lecz poza tym niewiele je różniło. Faith otaczały tłumy kobiet, które ją wprost uwielbiały. Każdy normalny człowiek wołałby się znaleźć na bezludnej wyspie aniżeli w towarzystwie tych nudziar, Faith jednak nie była normalnym człowiekiem, a jej zdolność przyjmowania bezkrytycznych pochwał przechodziła wszelkie pojęcie i nie znała wstydu.

Deirdre, chcąc ratować sytuację, zachwyciła się głęboką zielenią nowej tapety w holu oraz kinkietami przypominającymi muszlę małża, dzieci natomiast i tak nas nie słuchały, zaabsorbowane arką.

Nie uszło mojej uwagi, że z czasów mojego i Luciena dzieciństwa tylko ona ostała się w domu. Z opowieści wiedziałam, że Faith wygrzebała ją na jakimś targu staroci, kiedy Lucien był malutki i odtąd była to jego, a potem także moja ulubiona zabawka, do której naszym zdaniem nie umywało się pstrokate plastikowe barachło innych dzieci. Zwierzęta zostały wyrzeźbione z drzewa jesionowego, miały niemal dziesięć centymetrów wysokości i były gładkie jak szkło od częstego dotykania. Wkrótce stały w dwóch lekko się wijących rzędach na gołych podłogowych deskach salonu Faith, zgrabnie się wkomponowując w zarośla dookoła.

Duncan trzymał w dłoni samotną zebkę i niespokojnie się rozglądał.

— Co się stało, Duncan? — spytałam.

— Nie mogę znaleźć drugiej zebry — odparł zmartwionym głosem.

Matka, która właśnie mówiła Deirdre, jak należy dbać o saintpaulię fiołkową, urwała i odnalazła mnie wzrokiem. Uśmiechnęliśmy się zgodnie w rzadkiej chwili wzajemnego zrozumienia.

— Wiem — powiedziałam do chłopca.

Duncan zmarszczył czoło. Strasznie spokojne było z niego dziecko... Jeszcze kilka lat, nieraz myślałam, a znajdzie pracę jako urzędnik fiskusa. Zdziwiło mnie więc, gdy zaczął nerwowo uderzać figurką osieroconej zebry o podłogę.

— Powinny być dwie — poskarżył się.

Lucien spoglądał na tę scenę z kilku portretów i fotografii rozsianych po całym salonie i się uśmiechał. Na dawniejszych zdjęciach przypominał ciemnowłosego jasnookiego elfa z tą swoją spiczastą (albo jeśli ktoś woli: w kształcie serca) twarzą i malującą się na niej przewrotną inteligencją. Późniejsze portrety ukazują go już dojrzalszego, ale i z nich przebija ta jego elfowatość, żywotność, której nigdy ani przedtem, ani potem nie widziałam u nikogo innego. Lucien łatwo popadał w skrajności — bądź tryskał humorem, bądź dla odmiany był śmiertelnie poważny, tak że nawet teraz, otoczona jego uśmiechniętymi wizerunkami, niemal słysząc jego donośny śmiech, nie mogłam pozbyć się wrażenia, że nie wiem, jak by zareagował w tej sytuacji. W dziwny sposób poczułam, że mój brat wystawia mnie na próbę.

— Jak to, Duncan, to ty nic nie wiesz? — zwróciłam się do coraz bardziej zniecierpliwionego chłopca. — Dawno, dawno temu, kiedy miałam mniej lat niż ty teraz, druga zebra uległa tragicznemu wypadkowi... Niespełna rozumu Jack Russell, nazywany także Bimbo, włożył ją do buzi i... trach! Próbowaliśmy ją ratować, ale odgryzł jej głowę, tak że zostały ledwie drzazgi i sprawa była naprawdę beznadziejna. No i od tej pory nieszczęśliwy Pan Zebra płynie na arce sam...

— A zebry — matka wpadła mi w słowo, nie mogąc odmówić sobie przyjemności dokończenia historii za mnie — zniknęły z hrabstwa Sussex na dobre.

Laura, pozornie całkowicie pochłonięta wypasaniem swojej żyrafy na kurzu pod kanapą, uśmiechnęła się pod nosem wysłuchawszy dobrze sobie znanej i lubianej bzdurnej opowieści. Duncan jednak nie był przekonany.

— Wcale nie — pokręcił głową z powątpiewaniem, po czym bardziej stanowczym tonem dodał: — Widziałem ich całe mnóstwo w zoo.

— Duncan, ależ z ciebie nudny formalista — westchnęłam.

— Nieprawda — zaprzeczy! płaczliwie.

— Jak możesz to wiedzieć, skoro nawet nie znasz znaczenia słowa „formalista”?

— Właśnie że znam!

— Jane, skarbie — wtrąciła moja matka — daj mu spokój. Czasem zachowujesz się jak dziecko...

Wzruszyłam ramionami i wyszłam do kuchni, po drodze rzucając przelotne spojrzenie Lucienowi. Uśmiechał się do mnie tryumfalnie zza szybki, gdzie niegdyś umieściła go czuła ręka matki.

Widzisz, Jane, mówił jego uśmiech, nigdy nie uda ci się odtworzyć mojej magii. J a przykułbym ich uwagę na godziny, zmusiłbym tego podłego Duncana, żeby wył z żalości nad losem biednej, pozbawionej głowy Pani Zebry. Opowiedziałbym mu, i on by mi uwierzył, że na eony przed Potopem po stepach Susseksu kłusowały stada dzikich zebr. Sprawiłbym, że dzieciak drżałby na samo wspomnienie oszalałego Bimba zbliżającego się do bezbronnej zebry z obnażonymi kłami i pianą na wargach. T y, Jane, możesz oczywiście próbować, ale nigdy, powtarzam: nigdy mi nie dorównasz.

Ogarnęła mnie żalność. Nie dlatego, że nie dorastałam Lucienowi do pięt, lecz dlatego że pustki, którą po sobie zostawił, nic i nikt nigdy nie zapelni. Uczucie było tak nieprzyjemne, że wzbudziło we mnie irytację.

— Och, przymknij się — warknęłam, kiedy czajnik zaczął wydawać charakterystyczny pisk.

Przez na pół uchylone drzwi kątem oka dostrzegłam, jak matka w udawanej rozpaczycy wzdycha na moje złe zachowanie.

W pewnym momencie porzuciłam nadzieję, że kiedykolwiek doczekamy się lunchu, i jeszcze raz przeszłam do kuchni, żeby przyrządzić dla siebie i dzieci parę kanapek z masłem, ale właśnie wtedy do domu wkroczył Erie, co sprawiło, że matka poderwała się na równe nogi i w mgnieniu oka sproku-rowała hałdę wymyślnych tostów z serem, szynką i — jakżeby inaczej — z sałatą.

Erie poklepał mnie jowialnie po plecach, po czym odsunął się o krok do tyłu i kołysząc na piętach w przód i w tył niczym staromodny policjant poczciwina, zadał nieoczekiwane pytanie:

— Jak się mają twoje potworki?

— Całkiem dąbrze, dziękuję — odparłam.

— Świetnie. Świetnie — skwitował moją odpowiedź i na tym rozmowa się urwała.

Niespecjalnie mnie to zdziwiło, gdyż Erie nigdy nie należał do osób lubiących uciąć sobie dłuższą pogawędkę, choć mógł na takiego wyglądać — posiadał wszelkie manieryzmy dobrodusznego wujaszka, nie zrozumiałem jednak istoty tejże wiktoriańskiej dobroduszności.

Popatrywał na ludzi z pogodnym, inteligentnym błyskiem w oku i ci zaraz myśleli: „O, cóż to za miły człowiek”, do czasu gdy wychodziło na jaw, że Erie tak naprawdę nie jest ani miły, ani pogodny, nie mówiąc już o tym, że nie grzeszy także zbyt dużą bystrością umysłu. Odkąd pamiętam, Lucien i ja zawsze się dziwiliśmy, co też nasza matka widziała w tym mężczyźnie, że zdecydowała się go poślubić. Mój brat, mając niecałe dziesięć lat, z wielką pewnością siebie stwierdził, że „mama wyszła za Erica dla seksu”, co wtedy było dla nas powodem równie dobrym jak każdy inny, chociaż z biegiem czasu uprzytomniliśmy sobie, że ktoś z dumą noszący mały wąsik, blezery w serek i jednobarwne krawaty i przypominający członka ekskluzywnego klubu (bądź przerośniętego ucznia szkoły prywatnej) jest mało prawdopodobnym kandydatem na sypialnianego ogiera. Wówczas Lucien zmienił front i zaczął rozpowiadać kolegom, że matka cierpi na rzadką chorobę psychiczną o francusko brzmiącej nazwie ennuifilia, co jego zdaniem znaczyło ni mniej, ni więcej tylko upodobanie do nudy. Posunął się nawet do tego, że przy jakiejś okazji wręczył Ericowi pierwszą nagrodę w postaci błyszczącej szarfy z rozetą, podobną do noszonych przez koronowane głowy, co Erie w swej naiwności zinterpretował jako dowód uznania pasierba dla jego osoby. Wzbudził tym samym jeszcze większą pogardę Luciena, który uważał go przecież za najnudniejszego człowieka w południowej Anglii. Jednakże nawet Lucien przyznawał, że

Erie ma swoje dobre strony — na przykład teraz dzięki niemu nie umarliśmy z głodu (a w końcu jedzenie jest ważniejsze niż stymulująca konwersacja).

Podczas lunchu Deirdre wyskoczyła z pytaniem:

— Jane, jak ci idzie malowanie? Masz na to w ogóle czas?

— Nie za bardzo — odrzekłam lakonicznie.

— Co za szkoda! — zatroskała się, chyba szczerze, chociaż mogła być tak przyzwyczajona do prawienia komplementów matce, że zwyczajnie nie umiała inaczej. — Portret Billy'ego znakomicie ci się udał.

Mimowolnie aż się cała rozpromieniłam i nim zdołałam pomyśleć, co robię, pochwaliłam się:

— Jakies dwa tygodnie temu namalowałam też Laureę. Obrazek przesłałam matce w spóźnionym prezencie urodzinowym. Chciałabyś go zobaczyć?

Faith właśnie dokładała Ericowi sałaty.

— Doprawdy, Jane, nie wydaje mi się, żeby Deirdre chciała...

— Ależ wręcz przeciwnie! Obejrzę go z wielką przyjemnością — ucieszyła się Deirdre, nie zauważając, że coś jest nie tak.

— No cóż, obawiam się, że stało się małe nieszczęście

— zaczęła niepewnie matka, wpatrując się w środek stołu.

— Bardzo mnie to przygnębiło, ale ten malunek zaplątał się pomiędzy kolorowe czasopisma i...

— Faith, na miłość boską, chyba nie chcesz powiedzieć, że go wyrzuciłaś z makulaturą?!

— Jane, skarbie, nie denerwuj się...

— Ale, mamo, to był prezent na twoje urodziny!

— Wiem, moja droga, i uważam, że to było bardzo ładnie z twojej strony, że o mnie pomyślałaś i w ogóle... — Gestem ucieszyła rodzając się na moich ustach protesty. — I jestem pewna, że go nie wyrzuciłam... Jak mogłaś pomyśleć coś podobnego? Naprawdę czasem się o ciebie martwię, Jane... No ale wracając do tematu. Jakkolwiek by na to patrzeć, dałaś mi zwykły kawałek papieru, nie zadałaś sobie nawet trudu, żeby obrazek oprawić ani nic. Wiesz przecież, że nigdy bym nie wyrzuciła portretu swojej wnuczki!

— Zatem chcesz mi wmówić, że dostał nóg i sam wskoczył do kosza na śmieci?

— Przestań zachowywać się jak rozkapryszona dziewczynka, Jane! Wszyscy obecni wiedzą, że nikt tak jak ja nie wspierał cię, kiedy... — końcówkę tej perory zagłuszyło moje zgrzytanie zębów. — Naprawdę się cieszę, że znalazłaś sobie takie fascynujące hobby, ba, więcej nawet, uważam, że niektóre z twoich prac są bardzo dobre. — Uznawszy, że mnie zneutralizowała, zwróciła się do jedynej zainteresowanej słuchaczki, zmieniając nieco temat. — Musisz wiedzieć, Deirdre, że cała nasza rodzina jest wyjątkowo utalentowana. Lucien także... Pamiętam, że jako jedenastoletni chłopiec uzyskał z ust nauczyciela nie lada pochwałę. A w szkole średniej jego profesor od przedmiotów artystycznych nalegał, bym rozważyła wysłanie Luciena do akademii sztuk pięknych — roześmiała się na to wspomnienie. — Wyobrażasz sobie? Biedny staruszek był potem strasznie rozczarowany, chyba jako jedyny, gdyż wszyscy inni pedagodzy od samego początku widzieli mojego syna na uniwersytecie w Oksfordzie albo w Cambridge. Akademia sztuk pięknych, też coś — prychnęła Faith, zrównując tym samym karierę artysty z zajęciem hieny cmentarnej. — Tylko by się tam zmarnował!

No, tego już było dla mnie za wiele! Pragnęłam zemścić się jakąś ciętą, idącą w pięty ripostą za te wszystkie lata upokorzeń, które spędziłam ucząc się na sekretarkę w miejscowym college'u, choć w głębi ducha marzyłam o szkole artystycznej, lecz nie miałam odwagi nawet o tym wspomnieć, spodziewając się lekceważącej odpowiedzi: „Ty, Jane, artystką? No wiesz?...”, ale wszystko na co się zdobyłam, pośpiesznie zbierając się z dziećmi do wyjścia, to celowe potrącenie jednego z portretów uśmiechniętego od ucha do ucha Luciena. Spadł z hukiem na podłogę, ale na szkle nie pojawiła się nawet jedna rysa.

Matka troskliwym gestem podniosła relikwię z podłogi i zaemokała.

— Biedna Jane. Zawsze byłaś taką niezdara.

Kiedy parę chwil później chłodno zegnałyśmy się przy drzwiach, zadzwonił telefon. Faith rzuciła się do aparatu.

— Piperowie — przedstawiła się wyniośle. Gdy znów się odezwała, całkowicie zmieniła ton. — O mój Boże, co za straszne... Co też ty... — Jeszcze potem nastąpiła zupełna cisza, co było niezwykle rzadkie w wypadku Faith trzymającej w dłoni słuchawkę.

Korzystając z okazji, wymknęliśmy się chyłkiem.

— Wasza babcia to niebotyczna krowa — pozwoliłam sobie na uwagę, włączając stacyjkę.

— Muuuu... — zamuczał Billy, zachwycony, że samochód zapalił za pierwszym podejściem.

Odwróciłam się, żeby mu pogrozić palcem, i zobaczyłam, że Laura wydeła usta imitując pełen dezaprobaty wyraz twarzy Owena. Kiedyśmy wolno odjeżdżali spod domu, krzyknęła zaniepokojona.

— Mamo, zatrzymaj się! Babcia do nas macha, chyba chce ci coś powiedzieć.

— No to się cholernie spóźniła — wycedziłam przez zęby, modląc się w duchu, żeby silnik nie zgasł, i z fantazją, o którą nigdy bym się nie podejrzewała, pewnie włączyłam się w ruch uliczny, tak że jakiś facet musiał ostro przyhamować.

— Ale babcia wyraźnie daje znaki, żebyś stanęła.

Zerknęłam we wsteczne lusterko i z satysfakcją obserwowałam, jak Faith bawi się w semafor, co przy jej zaokrąglonej figurze wyglądało nader śmiesznie.

— Nie przejmuj się, Lauro — rzekłam z szerokim uśmiechem. — Babcia przypomniała sobie jeszcze jakąś skazę na moim charakterze i chce mi o niej powiedzieć, zanim odjedziemy.

— Ale... — Laura z trudem powstrzymywała łzy, przyciskając nos do szyby i próbując odczytać przekaz babci z ruchu jej warg.

— Co to jest skaza na charakterze? — rzeczowym tonem spytał Duncan. Coś, czego mój brat był pozbawiony, wymamrotałam pod nosem, po czym aby sobie poprawić humor, warknęłam na córkę.

— Laura, przestań natychmiast! Dobrze znasz babcię i wiesz, że lubi wszystko wyolbrzymiać. Jeśli ma dla nas ja-

kaś ważną informację, zawsze może do nas zatelefonować, prawda?
Chora, ta kobieta jest zwyczajnie chora, mówiłam do siebie w myśli. Ktoś mógłby nazwać mnie zawistną zazdrośnicą, ale ja nie zmieniałabym zdania: obsesja mojej matki na punkcie jej jedyne go, nieważne — żywego czy zmarłego syna była nienormalna. Odkąd Lucien umarł, ja i Faith walczyły ze sobą niczym dwa wygłodniałe sępy nad bielącym się na prerii szkieletem, za wyłączny cel mając zachowanie dla potomnych własnej jego wersji. Tyle że niestety ilekroć matce udało się dorwać do głosu i wychwalać pod niebiosa zalety Luciena, ilekroć zakłócała jego wieczny spokój peanami na cześć Luciena Doskonałego, Luciena Cudownego Dziecka, Luciena Geniusza, ja czułam, że oddaję jej pole. Nie znaczy to, że moim zdaniem Lucien nie był genialny. Nawet ja — zwłaszcza ja — musiałam to przyznać. Lecz Lucien, jakim ja chciałam go pamiętać, był także, a może przede wszystkim, człowiekiem, dobrym i łagodnym. Był moim starszym bratem, w którego przez całe dzieciństwo byłam wpatrzona jak w obraz i który uczynił te lata znośnymi. To on miał dla mnie zawsze czas, to on czytywał mi bajki na dobranoc, odpowiadał na moje nie kończące się pytania i uczył mnie wiązać sznurówki. Kiedy zaczęłam chodzić do szkoły, nie kto inny jak Lucien dopilnowywał, abym była schludnie ubrana i uczesana i że bym miała naostrzone ołówki w piórniku. Moja matka nie zniżała się do tak prozaicznych detali, zresztą dla niej nigdy się naprawdę nie liczyłam. Wyłącznie przy Lucieniu czułam, że istnieję.

A potem on... Och, nie cię szlag, bracie. Tylko na tobie mogłam polegać, a ty wziąłeś i umarłeś. Na wieczność zakonserwowany w najlepszym dla mężczyzny wieku dwudziestu trzech lat. Tęskniłabym za tobą jeszcze bardziej, gdyby tylko nie przepełniał mnie gniew za to, co mi zrobiłeś i co po sobie zostawiłeś: wątpliwe dziedzictwo przejawiające się w świadomości, że jestem „ta druga”, „ta gorsza”...

A co z ojcem, zapytacie. Czy żadna z tych przepełnionych entuzjazmem Selin i Annabeli nigdy nie zauważyła braku jego fotografii na kominku? Żadnej z nich nie wydało się to ani trochę dziwne, by nie rzec podejrzanę? Ze nie ma nawet

jednego malutkiego zdjęcia, jak gdyby zniknął bez śladu albo może nawet nigdy nie istniał?...

Rex Turner — widniało na moim akcie urodzenia, którego to dokumentu nie widziałam na oczy do dnia, kiedy był mi potrzebny do załatwienia formalności związanych ze ślubem (do tego czasu wyobrażałam sobie, że zostałam niepokalanie poczęta, początkowo za sprawą boską, a później gdy już weszłam w wiek nastoletniego buntu i odrzucania wszystkich świętości, przez sztuczną inteligencję albo nawet kosmitę). Rex Turner był Ziemianinem, co więcej: był mężem mojej matki, na długo zanim urodził się Lucien, co dawało przesłanki, by sądzić, że w tej zamierzchłej przeszłości darzyli się uczuciem. A mimo to Faith dołożyła starań, aby wszelki ślad po nim zaginął. Nie zostało się nic: żadne zdjęcie, list, książka, pierścionek zaręczynowy czy choćby strzęp wspomnienia.

Niewidzialny człowiek. Wyobrażałam go sobie, jak przychodzi do mojej szkoły — na wieczorek kulturalny czy dzień sportu — cały wystrojony w najelegantszy garnitur, wyglansowane buty, a nawet kapelusz z szerokim rondem, jakie nosili bohaterowie oglądanych przeze mnie filmów, ale pozbawiony ciała — i twarzy. „Witaj, Jane” — powiedziałyby powietrze pomiędzy kołnierzykiem a rondem kapelusza. — „Jestem twoim ojcem.” Tak naprawdę nie miało znaczenia, jakim człowiekiem był niewidzialny Rex Turner, którego nie dane mi było poznać i który w żaden sposób nie odcisnął śladu na moim życiu, jeśli nie liczyć jego nieobecności. Ważne było to, że zapoczątkował całą serię znikających z mego życia mężczyzn. Rex, Lucien, Rob...

Czy Owen będzie następny?

Miałam do wyboru albo traktować to śmiertelnie poważnie, albo obśmiać swoje obawy. Niestety wzruszenie ramion i pogwizdywanie nie poprawiło mi samopoczucia.

Po drodze do domu wyżywałam się na dzieciach, tak więc kiedy zajechaliśmy na miejsce, były wymęczone i poirytowane. Owen wyszedł nam od razu na spotkanie, jakby nasłuchiwał naszego powrotu, a mars na jego czole był jeszcze głębszy aniżeli rano przy śniadaniu. Przez ułamek sekundy wyobrazi-

łam go sobie uśmiechniętego i radosnego na mój widok, lecz ta niecodzienna myśl szybko pierzchła. Sprawiała zbyt wiele bólu, by zatrzymać ją w umyśle na dłużej. Poza tym Owen wyraźnie leciał z nóg i uśmiech zdecydowanie do niego nie pasował. Poczułam ukłucie winy z powodu porzucenia go na pastwę sałaty, jednakże zaraz zebrałam się w sobie i zaczęłam przygotowywać linię obrony.

— Słyszałaś już? — zapytał mnie, gdy tylko wysiadłam z samochodu. Laura w biegu zdejmowała kurtkę, którą z rozmachem rzuciła w holu, jakimś cudem trafiając brata metalowym suwakiem prosto w nos. Billy uderzył w ryk, a Duncan włókł się z tyłu, zde gustowany przyglądając się całej scenie.

— Jak mogłam cokolwiek słyszeć? Przy nich nie sposób usłyszeć własnych myśli — wypaliłam.

Owen zwrócił się do syna.

— Billy, dosyć tego. Nic ci się nie stało, więc nie ma powodu do hysterii.

— Chłopiec już chciał zaprotestować, że jest ciężko ranny, ale zauważył minę ojca i dał sobie spokój. — Dzwoniła twoja matka — mówił dalej do mnie Owen.

— Już zdążyła zatelefonować i na mnie naskarzyć?

— Nie chodzi o ciebie. Chodzi o Esme.

— Esme? Jak to? — patrzyłam na Owena, nic nie rozumiejąc.

Laura wykorzystała moment ciszy i nieszczęśliwym, acz donośnym głosem zaczęła zdawać relację z nieudanego jej zdaniem dnia, lecz Owen kategorycznym tonem poprosił ją, żeby dołączyła do oglądających telewizję Billy'ego i Duncana i pozwoliła mu zamienić parę słów z matką, jak mnie określił, co nieczęsto mu się zdarzało. Poczułam, jak kiełkuje we mnie podejrzenie, że stało się coś złego.

— Owen, o co tu chodzi?

Podszedł do drzwi salonu i domknął je za Laurą, potem odwrócił się do mnie i zmarszczył czoło, jakby zastanawiał się, jak najlepiej przekazać mi wiadomość.

— Zdarzył się wypadek... To znaczy to nie był wypadek. Esme została zaatakowana, chociaż jeszcze nie wiadomo przez kogo...

— Ale z nią wszystko w po...

— Zapadła w śpiączkę po tym, jak napastnik uderzył ją w głowę. Lekarze mają nadzieję, że z tego wyjdzie, ale... — Owen zdawał mi dalej relację, ja jednak nie słyszałam słów.

Zdarzył się wypadek... Wypadek...

To były słowa z przeszłości, słowa przynależne do innego czasu i miejsca, słowa wieszczące śmierć Luciena. Pod żadnym pozorem nie powinny powracać echem teraz, po tylu latach, a jednak dźwięczały w powietrzu niczym nie przebrzmiała melodia, silny akord. Wypadek...

Nie!

— Coś musiałeś pokręcić, Owen — powiedziałam stanowczo. — Jeszcze tego ranka oglądałam Esme na zdjęciu w gazecie, świetnie wyglądała, lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Na pewno ktoś pomylił tożsamość ofiary... Zresztą kto by chciał atakować Esme, dlaczego właśnie ją, na litość boską?...

— Wiem, Jane. Mnie też trudno się z tym pogodzić, ale taka jest prawda, niestety. Jej ojciec zadzwonił do Faith prosto ze szpitala, do wypadku doszło wcześniej tego popołudnia. Okazuje się, że Esme od paru miesięcy mieszkała w schronisku Roba albo w jego mieszkaniu, które jest położone tuż obok... Naturalną kolejną rzeczą podejrzenie padło na pensjonariuszy...

— Gości — wpadłam mu w słowo. — Rob woli nazywać ich gośćmi.

— Teraz go szukają.

— Roba? A gdzież on się podziewa w takiej chwili? I kto go szuka?

— Policja oczywiście. Pomocna może być każda informacja, głównie na temat osób, z którymi Esme się ostatnimi czasy kontaktowała. Żal mi Roba... Jeśli okaże się, że sprawcą jest któryś z jego pensjona... to znaczy gości, w złym świetle postawi to całą jego dotychczasową pracę.

— Mam gdzieś jego pracę, schronisko i tych ludzi! Doprawdy, Owen, spodziewałam się po tobie więcej empatii!

Biedna Esme leży w komie w jakimś szpitalu, a ty rozczulasz się nad losem Roba i jego przekłętą schroniska dla byłych przestępców. Zrobił krok w moją stronę i się zatrzymał.

— Jane... To zrozumiałe, że jesteś podenerwowana. Mnie też jest przykro z powodu Esme. Ale w niczym jej nie pomożemy kłóćąc się. Twoja złość nie wybudzi Esme... Może jeszcze wszystko będzie dobrze — rzekł unosząc ramiona i oferując mi pocieszenie.

Zawahałam się. W głębi ducha pragnęłam schronić się w jego uścisku, jednakże wiedziałam, że jeśli raz pozwolę sobie okazać słabość, już nic mnie nie obroni przed potwornością tego, co się stało.

Nie ruszyłam się z miejsca, zadarłam wyżej podbródek.

— A niby dlaczego nie mogę być zła? Nie każdy potrafi tak jak ty być wiecznie zimny, opanowany i poukładany. Na całe szczęście...

— Och, dałabyś spokój, Jane. — Odwrócił się na pięcie i dodał ze wzruszeniem ramion: — Skoro mnie nie potrzebujesz, pójdę lepiej dokończyć robotę.

Poczułam, że dygoczę z wściekłości.

— Jak w ogóle możesz teraz myśleć o tej twojej głupiej sałacie?! Spróbuj mi tylko powiedzieć, że życie toczy się dalej, a zacznę krzyczeć.

— To by ci mogło pomóc.

— Jak śmiesz tak się do mnie zwracać?! Jak gdybym była małą dziewczynką! Powinieneś opowiedzieć mi o wszystkim... Gdzie to się stało, co ten degenerat jej zrobił, czy policja wpadła już na jakiś trop? No właśnie, pewnie jak zwykle się obijają, zamiast ścigać przestępców.

— Jestem pewien, że robią co w ich mocy.

— Na litość boską, przestań być taki cholernie rozsądny.

— A ty, Jane, przyjmij do wiadomości, że nie tylko ty cierpisz z powodu tego, co się stało.

— Och! T y cierpisz? To ci dopiero nowina! A niby po czym mam to poznać, skoro zawsze... skoro ty nigdy... Mógłbyś chociaż... — zaczęłam się plątać.

Już miałam nadzieję, że Owen wreszcie okaże cię emocji, kiedy przerwało nam pukanie do drzwi, po czym w holu stanął Aidan. Przyszedł po Duncana.

— Cześć, sąsiedzi. Nie przeszkadzajcie sobie... Jak już dojdzie do rękoczynów, będę wam sędziował.

Napięcie zelżało. Owen wepchnął wciąż zaciśnięte pięści do kieszeni spodni roboczych, wyraźnie starając się nad sobą zapanować. Unikał mojego wzroku, jednakże udało mi się uchwycić w jego oczach wyraz bólu, który powiedział mi, że to co Owen mówił wcześniej, zanim na scenie pojawił się Aidan, było prawdą. Był zdenerwowany, było mu przykro, być może nawet cierpiał z powodu tego, co przytrafiło się Esme. Nagle zapragnęłam doń wyciągnąć rękę do zgody, lecz zdawałam sobie sprawę, że po tym jak się przed chwilą zachowałam, odrzuci mnie jak nic. Zresztą już się pozbierał i gładkimi zdaniem informował Aidana, co zaszło. Ten spoglądał na mnie od czasu do czasu, z zafrasowaną miną słuchając sprawozdania i zastanawiając się pewnie, czy nie zacznę przypadkiem histeryzować.

W obecności Aidana zawsze czułam się nieswojo. Nie określiłabym go mianem atrakcyjnego ani przystojnego, był patykowaty jak i jego syn i pamiętam, że kiedy się poznaliśmy, ze zdziwieniem skonstatowałam, że mąż ładnej Diny ma strąkowate włosy i twarz bladą do tego stopnia, że wygląda, jakby dopiero co ucztował na niej wampir. Jednakże jego zachowanie stało w całkowitej sprzeczności z wyglądem. Mówił głębokim, uwodzicielskim basem i czuł się w moim towarzystwie swobodnie, jakby był pożeraczem damskich serc. Najbardziej zdziwiło mnie, że jego pewność siebie była przekonująca. W trakcie naszej znajomości raz czy dwa podejrzewałam, że przymierza się, by do mnie uderzyć, chociaż każdorazowo natychmiast wyśmiałam się w duchu, jako że nie należę do ponętnych niewiast, które są podrywane choćby przez bladoliczych prawników. Poza tym małżeństwu Diny i Aidana zdawało się nic nie brakować.

Tamtego wieczoru Aidan patrzył na mnie wpółczująco i ścisnął mnie za rękę, ale to mi wystarczyło. Po raz pierwszy w pełni doceniłam jego przyjaźń. Wszakże kiedy zaproponował, byśmy zjedli u nich kolację, żeby zapomnieć o ostatnich

przeżyciach, oboje, Owen i ja, zgodnie odmówiliśmy, tłumacząc się, że musimy pozostać blisko telefonu na wypadek dalszych wiadomości.

— Wpadnijcie chociaż wieczorem na drinka — namawiał wyciągając Duncana z salonu. — To znaczy jeśli zmienicie zdanie... Jesteście zawsze mile widziani.

Podziękowaliśmy za zaproszenie chórem.

Później uświadomiłam sobie, że chcąc wyciągnąć nas z domu, próbował ochronić Owena przede mną, i roześmiałam się gorzko w duchu, kiedy mój mąż zaraz po wyjściu Aidana z synem zniknął na powrót w szklarni, nie poświęcając mi nawet przelotnego spojrzenia.

Przycisnęłam czubki palców do skroni, czując, jak czarna dziura zbliża się do mnie na niebezpieczną odległość. Nieprzenikniony wzrokiem wir, który wcześniej pochłoniął Luciena, i zapewne mego ojca także, teraz zagrażał mojej przyjaciółce. Nie byłam pewna, czy dam radę to znieść po raz kolejny.

Zajęłam się przygotowywaniem kolacji, lecz ręce nie przestawały mi się trząść ze zdenerwowania, a serce tłukło się w klatce z żeber niczym wyrywający się na wolność ptak. Przez głowę przelatywały mi setki pytań. Co się tam naprawdę stało? O co chodziło napastnikowi? Kim on był? Dlaczego w moim życiu jest tyle niewiadomych? Tajemnic? Sekretów?... W końcu zaczęłam przeklinać Esme. Głupia, głupia, powtarzałam w duchu. Miała wypadek. Pozwoliła, by przytrafił się jej wypadek. Zawsze była taka nieostrożna... Niewiele ludzkich wad wyprowadzało mnie z równowagi, ale z pewnością jedną z nich była nieostrożność. Lucien wykazał się nią, wspinając się na tamten szczyt w Dorsecie, a teraz Esme... Czyż oni za nic mieli uczucia innych? Ani przez moment nie zastanowili się, jak ich lekkomyślne poczynania wpłyną na tych, co po nich pozostaną? Bo to przecież my musimy się trzymać i wymyślać menu na kolację dla dwójki głodnych i zmęczonych dzieci, podczas gdy wokół świat drży w posadach i wali się nam na głowę... Później jeszcze raz zadzwoniła Faith.

— Och, moje kochanie, słyszałaś już?

Głos drżał jej z emocji, jak za najlepszych teatralnych czasów, chociaż gwoli sprawiedliwości muszę przyznać, że mówiła przez ściśnięte gardło, jak gdyby wcześniej naprawdę płakała. Na mnie jednak jej sztuczki nie robiły najmniejszego wrażenia.

— Oczywiście, że słyszałam. Od Owena.

— Ja wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nie potrafię wyobrazić sobie nieszczęsnej Esme, jak walczy z jakimś oszalałym psychopata... I pomyśleć, że biedactwo jest teraz w śpiączce i nie wiadomo, czy kiedykolwiek się obudzi.

— Hmm... — chrząknęłam niezobowiązująco.

— Jej ojciec natychmiast do mnie zadzwonił. Niegdyś bardzo się przyjaźniliśmy, prawie tak samo jak ty i Esme... Wprost nie mieści mi się to w głowie — powtórzyła. — Zaraz jadę do szpitala, chociaż nie sądzę, by dało się zrobić cokolwiek, by jej pomóc, ale i tak czuję, że muszę przy niej być.

Kurczowo zaciskałam palce na słuchawce, aż rozboleły mnie kostki i musiałam zmienić rękę. Przyjrzałam się prawej dłoni z niejakim zdziwieniem. W ciągu trzech tygodni, kiedy Lucien leżał w szpitalu, nim tam ostatecznie zmarł, moja matka nie opuszczała jego pokoju na dłużej niż parę minut, ot, żeby wyjść do toalety i poprawić makijaż. A podczas pogrzebu prezentowała się bosko w czerni. I teraz zamierzała powtórzyć przedstawienie. Zastanowiłam się nawet przelotnie, co na siebie włoży, ale za nic nie chciałam sprawdzać, czy wytypowałam prawidłowo; nie miałam ochoty stanowić jej widowni. Wiem, to brzmi strasznie cynicznie, jak gdybym odmawiała jej prawa do ludzkich uczuć. Jestem pewna, że na swój sposób matka to przeżywała — w końcu naprawdę lubiła Esme, mnie wszakże napawało wstrętem, że wszystko, nawet cierpienie i żalobę, musiała upodlić swym graniem. Przypuszczalnie dlatego, naoglądawszy się jej sztucznych póz w dzieciństwie i młodości, podświadomie postanowiłam nie rozczulać się nad Laurą i Billym i nie robić z ich pojawienia się i dorastania dramatu. (Czasem dopadała mnie obawa, że poświęcam im za mało uwagi, ale tłumaczyłam się sama przed sobą, że moje uczucia dla nich są tak szczerze i tak głębokie, że nie mogę, po prostu nie mogę, skalać ich nadętą sztucznością.)

— Jane, jesteś tam jeszcze?

— Tak.

— No i co zamierzasz w takiej sytuacji?

— Na początek usmażyć trochę paluszków rybnych dla dzieci.

— No tak — westchnęła rozdzierająco Faith. — Zawsze praktyczna Jane. Doprawdy nie wiem, jak ty to robisz... Ja się czuję tak, jakbym już nigdy nie miała włożyć niczego do ust. Na samą myśl o jedzeniu dostaję mdłości... — urwała, a moich uszu doszły dziwne dźwięki. Wyobraziłam sobie, że matka właśnie pochłania wielką kanapkę z szynką, żeby potem w szpitalu mogła ofiarnie odmawiać pożywienia.

— Czy to wszystko, mamó? Jestem trochę zajęta...

— Jak zwykle zimna jak ryba Jane. — Matka przybrała charakterystyczny dla siebie złośliwy ton. — Chwilami ci zazdroszczę, wiesz? Chciałabym być tak nieczuła jak ty, to by mi znacznie pomogło w podobnych sytuacjach. Przez ten twój grubaśny pancerz nic się nie przebije, prawda? Nie masz pojęcia, co ja przeżywam. Czasami jest to wręcz nie do znie...

Odłożyłam słuchawkę.

— Suka — wysyczałam przez zaciśnięte zęby. — Cholerna kłamliwa, teatralna, świętoszkowata hipokrytka...

— Mówisz o swojej matce? — zapytał Owen wchodząc do kuchni.

— Skąd wiesz?

— Cóż, widać mam dar czytania w myślach.

— Przeklęty waźniak! — warknęłam zła, że potrafi mnie tak łatwo przejrzeć.

Telefon znowu zadzwonił. Owen mając aparat pod ręką ubiegł mnie.

— Tak, Faith, wiem — powiedział po dłuższym czasie — coś musiało was rozłączyć. — Znów przez długą chwilę słuchał jazgotu w słuchawce.

— Zapewne uszkodzenia na linii... Tak, oczywiście, że to zgłoszę w telekomunikacji... Oczywiście, że jesteśmy zbulwersowani... Do Jane to po prostu jeszcze nie dotarło... Tak, dzwoniłem do szpitala, ale powiedzieli, że nie ma sensu jej na razie odwiedzać... Nie, dzieci jeszcze nic

nie wiedzą; musisz pamiętać, że nigdy jej nie poznały. Nikt z nas nie widział Esme od paru dobrych lat.

Niemal od dziesięciu, sprostowałam w myśli.

Dokładnie od dnia pogrzebu.

Wieczór przyniósł całą serię telefonów, ale niestety niewiele nowych informacji. Pewne było jedynie to, że Esme została uderzona w tył głowy alabastrowym wazonem i że wszyscy bez wyjątku są tym wstrząśnięci.

Do szału doprowadzała mnie mglistość wiadomości przekazywanych szeptem, a uczucie niepokoju i niepewności, jakiego doświadczałam od dłuższego czasu, spotęgowało się w obliczu niezaprzeczalnego faktu, że życie każdego z nas może zostać brutalnie przerwane w wyniku absurdalnego i zgoła niezrozumiałego wypadku. Na powrót opadły mnie rozpacz i panika, z których cudem oswobodziłam się po śmierci Luciena i które od tamtej pory nie odstępowały mnie nawet na krok, by w stosownej chwili uderzyć z pełną mocą. W niczym nie pomogło to, że trzy telefony, które każdorazowo odbierał Owen, były głuche. Ogarnęły mnie złe przecucia. Na pamięć wrócił zaniepokojony głos matki, kiedy rano pytała o „zdrowie wnuków”. Wstałam, żeby zaciągnąć zasłony i odgrodzić jasne i w miarę ciepłe wnętrza domu od listopadowych ciemności i chłodu. Po raz pierwszy odkąd się przeprowadziliśmy, pożałowałam, że nasi najbliżsi sąsiedzi nie mieszkają za ścianą.

Owen jak zwykle stawał na wysokości zadania i mrugnięciem powieki nie dawał po sobie poznać, co czuje. Laura i Billy, wyczuwając panujące w domu napięcie i mój rodzący się strach, byli niegrzeczni i płaczliwi, przynajmniej do czasu kiedy Owen posadził ich przy pianinie i zaczął wymyślać bzdurne piosenki o dwóch małych nutkach, które nazwał Zachcianka i Drobiazg. Przyglądałam się całej trójce, jak tłoczą się nad klawiaturą — Laura i Owen jasnowłosi i urodziwi, Billy pulchniutki i zaczerwieniony z emocji — i niemal uwierzyłam, że zewnętrzny świat w niczym nie może zagrozić bezpieczeństwu i spokojowi moich bliskich. Ba, pomyślałam nawet, że przy odrobinie wysiłku i szczęścia możemy jeszcze stanowić kochającą się pełną rodzinę.

Znacznie później, kiedy dawno położyliśmy dzieci spać i sami leżeliśmy już w łóżku, niezdolni zasnąć ani znaleźć ukojenia w swoich ciałach, Owen rzucił w przestrzeń:

— To już dziewięć lat.

— Dziewięć lat od czego? — spytałam, chociaż doskonale wiedziałam, o czym mówi.

— Odkąd ostatni raz widzieliśmy Esme.

— Chyba tak.

Ostatnie wspomnienie Esme zbladło w mojej pamięci, co było trochę dziwne, zważywszy że widziałam ją na pogrzebie, a przecież cały ów dzień wrył się niczym rylcem w moim umęczonym umyśle. Pamiętam twarze wszystkich żałobników, pamiętam nawet, co kto miał na sobie, ale gdy próbuję skoncentrować się na postaci Esme, rozmywa się i odpływa niczym nieostra fotografia albo jak coś, na co człowiek patrzy przez łyż. Jedno z dwojga: albo ona była wtedy taka tajemnicza, albo ja nie zwracałam na nią zbytnej uwagi — trudno powiedzieć, co jest bliższe prawdy. Nie ulega wątpliwości, że widziałyśmy się wtedy po raz pierwszy od czasów dzieciństwa.

Może dlatego znacznie lepiej zapamiętałam ją jako dziecko.

Pamiętam nawet chwilę, kiedy ją poznałam. Lucien, Rob i ja właśnie jechaliśmy po raz pierwszy do Glory Cottage i głowę miałam napakowaną opowieściami matki, które serwowała nam po drodze, jak to jej znajomi, Drummondowie, mają córkę dokładnie w moim wieku i jak to będziemy się mogły razem ładnie bawić, zamiast łązić po drzewach z chłopakami, którzy wcale nie potrzebują dziewczynskiego towarzystwa. Jak dziś pamiętam, że na tę perspektywę spuściłam nos na kwintę. Esther (bo tak nazywała ją matka, jak zwykle nie potrafiąc zapamiętać imienia osoby, która jej nie interesowała) na pewno okaże się starszą ode mnie, lubiącą się rządzić brzydulą, której nie zachwyci konieczność niańczenia mnie, myślałam z żalnością. Poza tym wcale nie miałam zamiaru rezygnować z włóczęg z chłopakami i nie podobały mi się próby matki, by mnie ucywilizować. Byłam przekonana, że zachwalana Esther jako jedynaczka okaże się istnym potworem, z któ-

rym nie da się dłużej wytrzymać, i w duchu już stawiałam na wakacjach krzyżyk.

Pierwszym szokiem była posiadłość Drummondów. Glory Cottage wbrew nazwie bynajmniej nie była wspaniała ani tym bardziej wielka: był to mały domek położony na tyłach większego — oba budynki rozdzielał spory sad. Dom, w którym mieliśmy spędzić wakacje, choć niewielki, zdawał się całkowicie samowystarczalny, o ile można tak powiedzieć o budynku. Teraz prawdopodobnie określiłabym go mianem „bezpreten-sjonalny”, ale wtedy przyszło mi do głowy inne słowo: idealny. No dobrze, przyznaję, nie pomyślałam tak od razu, ale wystarczająco prędko, żeby tak właśnie go zapamiętać. Zresztą jestem przekonana, że cała nasza trójka zakochała się w tym domku już od pierwszego wejrzenia, przeczuwając, że kryje on w sobie coś... specjalnego. Wszystkie drzwi i okna były na oścież otwarte, jakby nas zapraszały, a w rozjaśnionym słońcem wnętrzu rozbrzmiewał świergot ptaków radośnie przelatujących z drzewa na drzewo w sadzie. Każdy sprzęt, jaki w środku zastaliśmy, wydawał się znajdować tam od zawsze, czy to sofa zwrócona w stronę kominka, czy rozpostarty przed nią wysłużony dywan, czy też ciemnozielony, obłazący z farby, ale uroczy kredens. Sypialnie nas po prostu zauroczyły metalowymi łózkami, gołymi deskami na podłodze i leciutko powiewającymi koronkowymi firankami.

Matka oczywiście pierwsze kroki skierowała do dużego domu, w którym mieszkali Drummondowie, my zaś — Lucien, Rob i ja — poszliśmy nad rzekę. Na widok zacumowanej u brzegu łódki mój brat, który nigdy nie miał inklinacji do sportu ani większych umiejętności praktycznych, powiedział niepewnie:

— Popłyniemy nią bez ciebie, to może być niebezpieczne.

— Mnie to nie przeszkadza! — zaprotestowałam na tę niesprawiedliwość.

W tym momencie Lucien poczuł, że odzyskuje grunt pod nogami.

— No dobrze — wyszczerzył się do Roba — zabierzemy cię jako balast.

— Co to jest balast? — zapytałam podejrzliwie. Miałam nadzieję, że uczynią ze mnie aflaston, dumnie wytyczający drogę.

— Coś, co się wyrzuca za burtę, kiedy łódź tonie. Ty też byś utonąła... Ale jeśli ci to nie przeszkadza, to oczywiście...

— Sam się utop! — odparłam z właściwą mojemu ówczesnemu wiekowi elokwencją, do której niezmiernie często się uciekałam w potyczkach słownych z bardziej ode mnie wygadany bratem.

— Dzijdzius Jane — szydził Lucien, a Rob wspierał go pełnym wyższości uśmiechem.

Z obawy, żeby mnie nie zostawili samej na brzegu, szykowałam się do skoku szczupakiem na pokład łodzi, kiedy uświadomiłam sobie, że obserwuje nas ktoś z zewnątrz. Pod starą rosochatą wierzbą stała dziewczynka, mniej więcej moja rówieśnica, ubrana w chłopięce szorty, o parę rozmiarów za duże i utrzymywane na odpowiedniej wysokości za pomocą szerokiego plastikowego paska. Z kolei jej wyblakła koszulka była o co najmniej dwa rozmiary za mała i podkreślała płas-kość jej klatki piersiowej. Dziewczynka miała przycięte na pazia proste brązowe włosy, spod których wyzierała — nawet wtedy! — wyjątkowo piękna twarz. W ramionach trzymała ogromnego bieluteńkiego królika o wielkich kłapciastych srebrzystych uszach i cudownych czarnych oczach. Patrzyła na nas nieśmiało, zanurzając brodę w miękkiej sierści zwierzęcia i przestępując z nogi na nogę.

— Cześć — przerwał niezręczną ciszę Lucien. — Ty pewnie jesteś Esther.

— Kto? — Dziewczynka wyglądała na zbitą z tropu. — Mam na imię Esme... A to — uniosła lekko królika — jest Śnieżynka Dwa. Chcecie zobaczyć Muły?

Owen przewrócił się na drugi bok, podparł głowę na ramieniu i powiedział:

— Wciąż mam przed oczyma Esme taką, jaką ją poznaliśmy. Wydaje mi się, że została skrzywdzona mała dziewczynka, która leży teraz nieprzytomna na oddziale dziecięcym, gdzie ściany upstrzone są malunkami postaci z kreskówek...

— Co za bzdury opowiadasz!... — Mimo ciemności zauważyłam, że zeszywniał na te słowa. Zdumiało mnie przy tym, że choć tyle nas różniło i dzieliło, reagowaliśmy podobnie. Nie chcąc wdawać się w jeszcze bardziej przygnębiające niż wypadek Esme rozważania na temat naszego małżeństwa, podjęłam: — A pamiętasz, jak słabo zawsze wypadła w grach Luciena? Chociaż wcale jej to nie deprymowało... — Myślę, że była zachwycona towarzystwem rówieśników i byłaby zrobiła niemal wszystko, aby go nie utracić. — Zdziwiła mnie przenikliwość uwagi Owena. Esme faktycznie nie przeszkadzało, kiedyśmy sobie stroili z niej żarty (potrafiła wręcz śmiać się szczerze z dowcipu w nią wymierzonego), w efekcie czego była najrzadziej szykanowana z całej naszej piątki. Wracając myślą do przeszłości, przypomniałam sobie na przykład, jak... Owen wszakże mnie uprzedził. — A pamiętasz, jak na całe popołudnie zamknęła się w gabinecie starego Drummonda, żeby znaleźć słowo do zabawy Luciena? Wyszła stamtąd rozpromieniona i święcie przekonana, że rzuci nas tym słowem na kolana...

— Rzeczywiście jej się udało!

— I pomyśleć, że nawet się nie zająknęła! Falliczny, wymówiła z kamienną twarzą, a kiedy Lucien, wreszcie przestawszy się śmiać, zapytał, czy wie, co to znaczy, odparła: „Ależ oczywiście. Bardzo pofalowany, jak rzeka albo fałdy spódnicy, tyle że tak na ogół mówią dorośli”. Bóg jeden wie, w jakiej książce prawniczej to znalazła.

— Pewnie w jakimś tomiszczu o przestępstwach seksualnych... Wtedy jednak nie rozumiałam tego słowa i byłam wściekła na Luciena, że nie wyjaśnił nam, z czego się śmieje.

— To tak samo jak ja. — Owen pokiwał głową i ułożył się wygodniej, na wznak. — Wiesz, że znacznie później powiedział mi, że kiedy przytoczył Esme tę historię, jakieś parę lat od tamtych wakacji, ona mu nie uwierzyła i oskarżyła go, że zmyśla?!

Właściwie było to zabawne, ale żadne z nas nawet się nie uśmiechnęło; zaległa głucha cisza, kiedy pograżyliśmy się każde we własnych myślach. Po raz pierwszy tamtego dnia poczułam, że się boję. Minione paręnaście godzin obfitowało

w nieprzyjemne incydenty: zbita szyba w szklarni, alarmujący telefon od matki, kłótnia z Owenem — a ich ukoronowaniem stała się nieoczekiwana wiadomość o brutalnym i jakże bezsensownym ataku na Esme. Zaczęłam rozważać, czy mogło to być włamanie i Esme weszła włamywaczowi w drogę, czy też raczej ktoś pomylił ją z inną kobietą i moja przyjaciółka zebrała razy należne niewiernej żonie lub kochance. Niby żyjemy w cywilizowanym nowoczesnym społeczeństwie, a jednak takie rzeczy się zdarzają. Co gorsza, równie często jeśli nie częściej, cierpią niewinni...

Strach sprawił, że ciało miałam spięte, przesycone adrenaliną, gotowe do działania. Obok mnie w ciemnościach leżał Owen — na wyciągnięcie ręki, a zarazem tak odległy, jakby dzielił nas Rów Mariański; obcy, a zarazem tak dobrze znajomy. Znałam każdy jego cal, każdy muskuł wyrobiony podczas ciężkiej pracy, każdą bliznę i każdy odcisk na dłoni. Jeśli nawet nie miał mnie tej nocy objąć i przytulić, nie chciałam, by zasnął i zostawił mnie samą.

— O mój Boże — westchnęłam. — Tak bardzo żał mi Esme.

Nie była to prawda. Przynajmniej nie w tamtej chwili. Jeżeli kogokolwiek wówczas żałowałam, to tylko siebie.

Owen odwrócił się do mnie i opuszkami palców przejechał po moim ramieniu, zatrzymując się przy wzgórku piersi. Moje ciało zareagowało bez udziału świadomości; poczułam, jak ogarnia mnie czysto zwierzęca żądza, jak mimowolnie i poniekąd wbrew sobie oddaję się w jej władzę. Jednakże zmusiłam się do opanowania, nakazałam stężeć mięśniom rozpływającym się pod dotykiem Owena.

W podobnych okolicznościach, w odium straty, uprawialiśmy seks po raz pierwszy. Po śmierci Luciena całymi tygodniami nie potrafiłam otrząsnąć się z żałoby, wyglądałam i zachowywałam się jak żywy trup, a równocześnie paradoksalnie czułam się żywa jak nigdy. Tragedia i śmierć najbliższej mi osoby uczyniły każdą przeżywaną chwilę cenniejszą i intensywniejszą. Wtedy właśnie Owen i ja po raz pierwszy się do siebie zbliżyliśmy, łaknąc bliskości swych ciał nie dla przyjemności, lecz po to, by nie dać się pochłonać smutkowi. Następował

krótki moment szczęścia, po czym opadały nas nieuniknione wyrzuty sumienia: oto kontynuujemy swą marną egzystencję, mając czelność przeżywać radość, podczas gdy Lucien został starty na proch. Niemal dziesięć lat później sytuacja się powtórzyła, na nasze życie znów padł cień — a może nigdy nas nie opuścił? Teraz jednak się nie odważyłam sięgnąć po ukojenie.

— Jak możesz, Owen?!

— Myślałem, że to pomoże...

— No więc się myliłeś!

W głębi ducha poczułam rozczarowanie, kiedy ledwie zauważalnym gestem cofnął rękę i się ode mnie odsunął. Już chciałam zarzucić mu, że jest przewrażliwiony, kiedy po spokojnym rytmie jego oddechu poznałam, że niemal natychmiast zapadł w sen. Mnie zaś pozostało uczucie pustki i tęsknoty, których powodu nie potrafiłabym wszakże sprecyzować.

Musiałam wkrótce zasnąć, gdyż opadł mnie ten sam co zwykle, złowieszczy sen. Znajdowałam się w teatrze. Ubrana w swoje zwykłe ciuchy stałam za kulisami, z fascynacją przyglądając się biegającym wokół mnie ludziom wystrojonym w wymyślne kostiumy. W rękę trzymałam scenopis i na poły z ciekawością, na poły z przerażeniem śledziłam rozwój akcji na scenie. W pewnym momencie ktoś wyrwał mi sztukę z zaciśniętej dłoni, sycząc do ucha: „Teraz twoja kolej”. Chciałam protestować, że to pomyłka, lecz czyjeś silne ręce wypychały mnie za kurtynę. Na niepewnych nogach, oślepiona reflektorami, dopiero po chwili uprzytomniałam sobie, że widownia wypełniona jest po brzegi, a audytorium wbija wzrok w moje usta czekając, aż przemówię. Panowała przeraźliwa cisza, która jednak nie pomagała mi się skupić — nie potrafiłam przypomnieć sobie czytanego przed chwilą scenopisu, nie wiedziałam nawet, w jakiej sztuce występuję. Pozostali aktorzy uśmiechali się do mnie z otuchą, sądząc zapewne, że powodem mojego przedłużającego się milczenia jest trema, powoli wszakże zaczynali sobie zdawać sprawę z absurdalności sytuacji. Ten i ów marszczył z niezadowoleniem czoło, kto inny przyglądał mi się ciekawie, mimowolnie kiwając się na

piętach. Na widowni podnosił się szmer. „No, dalej” — rozlegał się głos zza kulis. — „Twoja rola jest kluczowa, wszyscy czekają.” Próbowałam powiedzieć coś — cokolwiek — lecz bez rezultatu; gardło miałam ściśnięte do granic, szczękę jakby sparaliżowaną. Oblewał mnie na przemian zimny i gorący pot. Rozlegał się coraz donośniejszy dzwonek... Dzwonek telefonu.

Owen spał snem sprawiedliwego — czyste sumienie i ciężka praca czynią jednak cuda. Chrapnął teraz przyjaźnie i zakrył głowę kołdrą, tak że na nic zdały się moje próby telepatycznego dźgnięcia go pod żebro. Przez chwilę udawałam jeszcze, że też śpię, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia — podobnie jak światło nocnej lampki, którą zdesperowana w końcu włączyłam. Owen nadal spał jak zabity.

— Dzisiaj ty masz dyżur — powiedziałam na głos, lecz i to nie pomogło. Owen przestał pochrapywać i zaczął lekko sapać, ale nawet się nie ruszył. Telefon nie przestawał brzęczeć, pogodziłam się zatem z porażką i wsunawszy papucie spelzłam na dół, do holu, gdzie stał aparat.

— Halo?! — warknęłam do słuchawki, dając dzwoniącemu do zrozumienia, że ucinanie sobie pogawędek o pierwszej w nocy nie należy do moich ulubionych zajęć.

— Jane?

— Kto mówi? — zapytałam i w tej samej chwili wyparowała ze mnie złość i senność. Gdyż rozpoznałam głos dzwoniącego. Zaczęłam nawet wypowiadać imię, ale mi przerwał.

— Nie, nic nie mów. Tylko słuchaj. — Odchrząknął i zaśmiał się niepewnie. — Osioł pilnie... Tak to chyba szło, prawda?

— Tak, ale co u licha...?

— Tak szybko, jak się da. Osioł pilnie. I ani słowa nikomu, nawet Owenowi.

— Ale...

— Słyszałaś mnie. Zrozumiałaś, co mówię. Osioł. Pilnie. Chryste, Jane, nie możesz mnie teraz zawieść.

Coś było nie tak z połączeniem. Głos dochodził z oddali szeleszczący i łamliwy i gdybym nie znała go tak dobrze,

mogłabym się nie domyślić, że należy do Roba. Rob, którego znałam, mówił wyraźnym, dźwięcznym tonem.

— Ale... — spróbowałam raz jeszcze.

W odpowiedzi usłyszałam świdrujący uszy sygnał. Połączenie zostało przerwane.

Kiedy odkładałam słuchawkę, w głowie kołatało mi „Osioł pilnie”.

Przysiadłam na pierwszym stopniu schodów i wpatrzyłam się w telefon, z nadzieją że rozdzwoni się ponownie. W domu panowała absolutna cisza, lecz ja nie miałam złudzeń, że śnię. Po podłodze w holu wałały się okrycia dzieci i wszelkich rozmiarów buty, które nazajutrz, a właściwie już dzisiaj będę musiała poustawiać i popowieszać. Z kuchni wysunął się Dron-go, który podszedł do mnie na sztywnych łapach i zadzierając porozumiewawczo ogon, otarł mi się o nogi. „Osioł pilnie” — słowa z innego czasu i z innego świata. Słowa powracające echem z rozjaśnionego słońcem trawnika rozciągniętego pomiędzy drewnianą szopą na łądź i rosochatą wierzbą. Słowa wypowiedane przez Luciena tym charakterystycznym belferskim tonem, który przybierał, ilekroć był czymś bardzo podniecony.

— Potrzebne nam hasło — mówił. — Zrozumiały tylko dla nas, utrzymywane w tajemnicy nawet na najcięższych torturach...

Tamto lato upływało nam pod znakiem zabawy w zabijanie i Lucien rozwinął w sobie niezdrową fascynację tak nieprzyjemnymi sprawami, jak śmierć, tortury, krew et cetera. Nigdy się nie dowiedziałam, co miał na myśli mówiąc „najcięższe tortury”. Czy było to oblewanie wrzącą oliwą, tak jak czynili to obrońcy średniowiecznych zamczysk, czy raczej nadsiewanie na metalowe pręty podobne do tych, jakie otaczały nas przedostatni dom? Moja wyobraźnia zawsze przegrywała z wyobraźnią Luciena i bardzo prawdopodobne, że to co mnie wydawało się straszliwie bolesne, dla niego było ledwie rozgrzewką kata. Nakłaniając nas do złożenia przysięgi patrzył po wszystkich lodowatym wzrokiem, który czuję na sobie po dziś dzień. Nic dziwnego więc, iż mimo że upłynęło prawie

dziesięć lat od jego śmierci, nigdy nie zdradziłam naszego sekretu.

— Przysięgamy — szepnęliśmy jak jeden mąż.

— Od tej chwili po kres naszego życia, póki nie umrzemy, nie zostaniemy pochowani i zjedzeni przez ohydne robaki, jeśli ktokolwiek z nas znajdzie się w niebezpieczeństwie... ale musi to być naprawdę straszne, potworne niebezpieczeństwo, sprawa życia i śmierci... może zwrócić się do pozostałej czwórki o pomoc używając sekretnych słów.

— Jakich słów? — spyaliśmy przejęci.

— Nie przerywajcie mi, zaraz do tego dojdę... — Lucien podrapał się po głowie, po czym powtórzył: — ...poprosić o pomoc używając sekretnych słów. A kiedy ktokolwiek z naszej piątki usłyszy te słowa od jednego spośród nas, musi rzucić wszystko, ale to dosłownie wszystko, co w danej chwili robi, i pośpieszyć z pomocą. Rozumiecie?

— Tak — przytaknęliśmy, nie mogąc się doczekać, kiedy zdradzi nam ów sekretny kod.

— No dobrze. Nasze hasło w razie niebezpieczeństwa brzmi: Osioł pilnie.

— Co?

— Jak?

— Ależ jesteście głupi! Chcielibyście, żeby wszyscy ludzie rozumieli nasze hasło? — Pokręciliśmy przecząco głowami, co zdawało się go udobruchać. — Kiedy usłyszycie te dwa słowa... Osioł pilnie... macie stawić się jak najszybciej w Mułach, gdyż właśnie tam schroni się ten, kto znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Ale przecież to było całe lata temu, myślałam siedząc na zimnym stopniu schodów. Od tego czasu zdążyliśmy dorosnąć, pójść każdy w swoją stronę i dawno zapomnieć o dziecięcych bzdurach.

Czyżby nie wszyscy zapomnieli?

To znaczy, prowadziłam dalej wewnętrzny monolog, drapiąc Dronga po wyprężonym grzbiecie, jak ktoś przy zdrowych zmysłach może wierzyć w te wierutne brednie, którymi raczył nas Lucien? Roba nie widziałam od dziewięciu lat, ba,

dłużej nawet — nie pofatygował się na pogrzeb mojego brata — jak więc mogę rzucić wszystko, zostawić męża i dzieci, by przejechać szmat drogi na darmo?! I to dlaczego? Bo kolega z dzieciństwa raczył do mnie zadzwonić po pijaku z głupim dowcipem? Z drugiej jednak strony nie dawał mi spokoju jego głos. Pobrzmiewało w nim nieudawane przerażenie, desperacja nawet. Czyżby napastnik Esme teraz czyhał na życie Roba? Przypomniały mi się słowa Owena, coś na temat policji poszukującej Roba. Może jest jedynym świadkiem i złoczyńca pragnie go uciszyć... zlikwidować..., zanim będzie za późno?

Muły. Przypomniawszy sobie miejsce, do którego wezwał mnie Rob, byłam skłonna uwierzyć, że cała ta rozmowa zwyczajnie mi się przyśniła. Nie myślałam o tym miejscu od lat, nie mogłam być nawet pewna, że istnieje, tym bardziej nieprawdopodobne wydało mi się więc, że ktoś chciałby się tam ukryć. Nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, niezdecydowana spojrzałam na wiszący zegar. Było grubo po pierwszej, co przesądziło sprawę. Nigdzie nie jadę. Jest środek nocy, poza tym w samochodzie nie ma benzyny (zresztą pewnie i tak by nie zapalił). Ostatnie czego mi trzeba, to rozkraczyć się gdzieś po drodze o trzeciej nad ranem. Postanowiłam wstrzymać się z decyzją do świtu, przekonując się, że w świetle dnia zdołam na sprawę spojrzeć rozsądniej, i mając nadzieję, że jeśli nie wymyśliłam sobie rozmowy z Robem, to zadzwoni on ponownie i przeprosi za głupi kawał. Już chyba wołałabym, żeby przyznał się, że bierze narkotyki.

Na piętrze skrzypnęły drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam stojącą u szczytu schodów Laure w powłóczystej koszuli nocnej. Błękitnymi oczętami wpatrywała się prosto przed siebie i przez chwilę bałam się, że lunatykuje, ale w tej samej chwili odezwała się:

— Śniło mi się, że byłam w szkole i ogłoszono alarm pożarowy, i syrena wyła i wyła, i wyła...

Chociaż patrzyła na mnie wzrokiem bazyliuszka, poczułam ogarniającą mnie falę uczucia do niej. Na trzeźwo może i jest czeladnikiem tyrana, ale wyrwana ze snu w środku nocy jest po prostu śliczną delikatną dziewczynką, niewiele groźniejszą od noworodka.

— To był tylko telefon — uspokoiłam ją. Podniosłam się i wszedłszy po schodach, wzięłam ją za rękę. — Chodź, wracamy do łóżka.
Kiedy już ją opatuliłam kołdrą i pocałowałam na dobranoc, wróciłam do sypialni i położyłam się blisko Owena, żeby się od niego zagrzać.
— Kto to, do diabła, był? — zapytał nie otwierając oczu. Zawahałam się, co odpowiedzieć.
— Pomyłka — rzekłam.
Od tego zaczęły się kłamstwa.

ROZDZIAŁ TRZECI

Chyba najbardziej zaniepokoiła mnie łatwość, z jaką udało mi się wyjechać.

Minionej nocy niewiele spałam. Wróciwszy do łóżka przysypiałam tylko, by zaraz znów się obudzić, nasłuchując, czy na dole nic rozlegnie się brzęczyk. Tym razem rozmowę musiałam odebrać ja, żeby móc usłyszeć słowa: „Jane, przepraszam za wczorajszy telefon. Sam nie wiem, co mnie naszło, pewnie za dużo wypilem”. Niestety nic takiego się nie stało; godziny między północą a porankiem upływały w całkowitej ciszy, którą przerwał dopiero dźwięk budzika. Wypoczęty Owen wyskoczył z łóżka, podczas gdy ja przewróciłam się tylko na drugi bok. Byłam wybudzona i boleśnie przytomna, a równocześnie otepiała i zmęczona.

— Czy zeszłej nocy dzwonił telefon? — zapytałam unosząc się na łokciach i popatrując na Owena, który właśnie robił przysiady i wyrzuty ramion, na przemian.

— Tak — odparł rozmasowując sobie kark. — Powiedziałaś, że to była pomyłka.

Opadłam w ciepłą wciąż pościel. Może to rzeczywiście była pomyłka, pomyślałam z nadzieją. Telefon mógł zadzwonić, a ja nawet mogłam go odebrać, ale całą resztę sobie wyśniłam. Rob zagościł w moim śnie po tym artykule, który przyniosła mi do przeczytania Dina, no i z powodu wypadku Esme. Lecz co miałam z tym fantem począć? Uznać wszystko za sen czy też przyznać sama przed sobą, że Rob poprosił

mnie o pomoc? Pół nocy spędziłam na wewnętrznej walce, próbując się na coś zdecydować, a musicie wiedzieć że podejmowanie decyzji to nie jest moja mocna strona. Ubiegłam więc do starego sposobu: jeśli na dworze pada, podejmę jakieś działania, a jeśli jest sucho, poczekam i zobaczę, jak się sytuacja rozwinie.

— Jaka jest pogoda?

Owen podszedł do okna i rozsunał zasłony. Na tle wstającego dnia zobaczyłam jego profil (idealnie prosty nos, doskonale wykrojone usta), którego nie powstydziliby się niegorszy nerrafaelita. Niestety wrażenia estetyczne zaburzało drapanie się po szorstkim zarostcie i wciąganie przez głowę wczorajszego podkoszulka.

- Mży - poinformował mnie, kiedy jego twarz na powrót wyłoniła się zza przyblakłej bawełny. — I jest mgła.

Jak to ze znakami bywa, i ten okazał się niejasny.

Owen zakładał skarpetki, jedną brązową i jedną zieloną.

- Przyniosę ci filiżankę herbaty — powiedział.

- Do cholery, nie jestem chora! - oburzyłam się i podniosłam z pozycji leżącej do siedzącej.

Przez nieogoloną twarz Owena przebiegł cien

- Jak można złościć się, że ktoś chce ci podać do łózka herbatę?! — zdziwił się, nie kryjąc irytacji.

Próbowałam się bronić.

_ Przecież powiedziałam tylko, że...

- Jesteś niemożliwa! - skwitował Owen wzruszając ramionami.

No, zaraz się zaczniesz, pomyślałam, lecz nim którekolwiek z nas zdążyło pociągnąć watek, do sypalnego wkroczył Billy wlokąc za sobą swoją ulubioną przytulankę, małą Muncle.

- Muncle miała zły sen — poskarżył się głośno. Irytacja Owena zniknęła w jednej sekundzie, niczym płomyk zapalniczki. Schylił się, żeby ująć Billey'ego za rączkę. — Biedna Muncle — powiedział — Opowiesz mi o wszystkim przy śniadaniu. Chwile później byli już na dole, skąd dochodził mnie szmer ich głosów.

Wstałam z łóżka i wyjrzałam przez okno. Patrząc na siąpiący deszcz zastanowiłam się, nie po raz pierwszy zresztą jak by to było mieć ojca, który z bezbrzeżną cierpliwością wsłuchiwałby moich nocnych strachów i małych sag. Możliwe że wyroś abym na lepszego człowieka, westchnęłam w duchu'

Telefon rozdzwonił się akurat wtedy, kiedy byłam w łazience i zaczynałam myć zęby. Odgłos dzwonka sprawił że dosłownie podskoczyłam i przejechałam twardym włosiem szczoteczki po dziąsłach.

Plując i parskając wrzasnęłam:

— Kto dzwoni?! — Przez otwarte drzwi łazienki, która jest położona naprzeciwko kuchni, zobaczyłam, jak Laura dotąd grzecznie jedząca płatki z mlekiem ze swojej zielonej „żabiej miseczki, teatralnie odkłada łyżkę i zakrywa uszy Nie zwracając na nią uwagi, krzyknęłam jeszcze głośniejsze — Owen, kto dzwoni?!!

Odpowiedź dostałam, kiedy Owen wrócił do kuchni

— To była twoja matka. Chyba nie zależało ci, żeby z nią z samego rana rozmawiać, co? Powiedziała tylko, że kontaktowała się ze szpitalem i że stan Esmé jest stabilny.

— Stabilny?! - oburzyłam się. — Po tym jak jakiś szaleniec zdzielił ją wazonem po głowie?

- Lekarze zawsze tak mówią. Znaczy to najprawdopodobniej tyle, że me odzyskała jeszcze Świadomości. Powiedziałem Faith że postaramy się wpaść po południu do szpitala.

— Ach tak... — rzuciłam okiem za okno i naraz mżawka wydała mi się ulewnym deszczem. - Ty się postarasz. Ja nie jade.. To znaczy jade, ale nie do szpitala. Przynajmniej nie dzisiaj. Wyjeżdżam gdzie indziej.

Owen zamarł z ręką nad kocią miską.

— Wyjeżdżasz?

— Tylko na jeden dzień... Tak myślę... Mam taką nadzieję... —

Rozpaczliwie próbowałam wymyślić jakiś pretekst swojego wyjazdu, a tymczasem po prostu paplałam: — Ta cała historia z Esmé zupełnie mnie załatwiła. Z jednej strony me mogę tak po prostu siedzieć i nic nie robić, ale z drugiej wiem że nie zniosę kolejnego przedstawienia Faith na scenie szpitala.

— No wiesz!

— Masz to szczęście, że nie znasz Faith za dobrze. Dałeś się nabrać na jej piękne słówka i szyk, jakiego zwykle zadaje, i jeszcze jej...

— Nieprawda. To raczej smutna i samotna kobieta, która...

— Smutna? Samotna?! — wybuchnęłam. — Ta kobieta to zło wcielone!

— Laura i Billy rozdziawili buzie i przyglądali mi się z niezdrową fascynacją. Nawet Muncle zdawała się przysłuchiwać z zainteresowaniem, śledząc mnie koralikowymi oczkami. — Zawsze robi z igły widły! Wszystko wyolbrzymia, dramatyzuje na zawołanie... — rozkręcałam się.

Czy mi się zdawało, czy Owen się uśmiechnął pod nosem?

— Ty też całkiem nieźle sobie na tym polu radzisz... — mruknął, co mnie na moment przystopowało. Zaraz jednak odzyskałam wigor.

— A jeśli chodzi o szpital, to kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć najlepiej, że odsłużyłam już wszystkie wizyty w szpitalu i nie mam zamiaru do tego wracać.

— Skoro nie chcesz tam jechać, nie musimy robić tego dzisiaj...

— Nie, Owen. Wiem, że chcesz pojechać, więc jedź. Ja nie chcę. Potrzebuję się wobec tego wszystkiego zdystansować, побыć trochę sama...

Jeszcze chwilę pomarudziłam, jak to potrzebuję „przestrzeni” (stara wymówka, dziwne, że nie sięgałam po nią częściej) i że tak strasznie martwię się o Esme (co, Bóg mi świadkiem, było szczerą prawdą) — i mój wyjazd przeszedł ze sfery mglistych planów do planów zatwierdzonych. Teraz pozostało mi się uporać z kilkoma problemami natury praktycznej. Zwłaszcza z jednym, najważniejszym — brakiem środków na podróż. Szans na choćby najdrobniejszą wypłatę z banku nie miałam żadnych, chyba że zdecydowałabym się nań napaść, ubrana w kominiarkę i z karabinkiem maszynowym w rękę, a stara puszka po tytoniu, która u nas w domu pełniła funkcję skarbonki, zawierała raptem siedemnaście funtów i czterdzieści pensów, odłożone tam na czarną godzinę po zawrotnej

sprzedaży paru pnączy. Na szczęście udało mi się przekonać Owena, żeby wioząc mnie na stację kolejową zatrzymał się pod domem Diny, która prasując skarpetki Aidana wyraziła swoje współczucie z powodu całej sytuacji i z chęcią pożyczyła mi pięćdziesiąt funtów, żebym „jak najszybciej doszła do siebie”.

— I pomyśleć, że rozmawialiśmy o niej nie dalej jak wczoraj — z niedowierzaniem kręciła głową, odprowadzając mnie do samochodu. Nie uszło mojej uwagi, że mimo wczesnej pory (było dopiero wpół do dziesiątej) fryzurkę miała nieskazitelnie ułożoną, a twarz mistrzowsko umalowaną, tak że prezentowała się niczym jakiś kociak. Albo jak Kobieta, Która Się Stara — pewnie za radą któregoś z jej ulubionych kolorowych czasopism. Dina była do tego zdolna; pamiętam, że kiedyś mi się zwierzyła, iż co do joty posłuchała wskazówek zamieszczonych w artykule zatytułowanym „Jak sprawić, by twoje małżeństwo ożyło?” i zaserwowała Aidanowi kolację przy świecach, a potem samą siebie *saute*. Mam bujną wyobraźnię, toteż na samą myśl o Dinie przystrojonej w koronkowy gorset i podającej mężowi łososia *en croute* przy stole, na którym parafina kapie ze srebrnych kandelabrow, parsknęłam śmiechem, co oczywiście sprawiło, że Dina śmiertelnie się na mnie obraziła i nigdy mi nie zdradziła, czy jej zabiegi doprowadziły do „ożywienia” ich małżeństwa.

Teraz, nachyliwszy się do uchylonego okna od strony kierowcy, mówiła Owenowi, jaki to z niego troskliwy mąż, a nawet zaoferowała, że zajmie się przez parę godzin dziećmi, jeśli mu to w czymś pomoże. Tak się zapaliła do nowej roli sąsiadki samarytanki, że nim któreś z nas zdążyło zaprotestować, obiecała, że w południe przyniesie gotowy lunch. Ku swojemu zdumieniu zauważyłam, że Owen aż się cały rozpromienił na tę propozycję, a dzieciaki jedno przez drugie wygramoliły się z samochodu, żeby czym prędzej znaleźć się w miłym, przesiąkniętym domowym ciepłem wnętrzu, gdzie będą mogły pobawić się z Duncanem jego imponującym zestawem gier edukacyjnych. Odwróciły się na podjeździe i od niechcienia kiwnęły mi ręką, i już ich nie było. Bynajmniej nie spodziewa-

łam się, że będą nieutulone w żalu z powodu mojego wyjazdu, niemniej ich bezceremonialne zachowanie udowodniło, iż właściwie jestem zbędna. W przeciwnym razie okazałyby choć odrobinę smutku, prawda? Kiedy zostaliśmy w samochodzie sami, Owen gładko ruszył z miejsca i całą drogę prowadził w milczeniu. Uderzył mnie jego brak zainteresowania — to, że nie chciał nawet wiedzieć, dokąd się udaję, zabolowało mnie. I tak bym mu nie powiedziała, ale przecież powinien był chociaż zapytać!

Poranna godzina szczytu dawno już minęła, lecz parking przy dworcu wciąż był przepełniony. Owen zaparkował naszą skorodowaną zieloną furgonetkę z wymalowanym czerwoną farbą logo szkółki pomiędzy błyszczącym od nowości roverem i równie nieskazitelnym peugeotem. Nieoczekiwanie zalała mnie fala czułości dla tego starego grata i ogarnęły wyrzuty sumienia, że jest pariasem wśród aut. Z rozczulenia wyrwał mnie widok wysiadającego Owena.

— Nie kłopotz się odprowadzaniem mnie na peron — zareagowałam błyskawicznie.

— Nie miałem takiego zamiaru — odparł ku mojemu zdziwieniu. — Po prostu daj mi potem znać, gdzie się zatrzymałaś. Wiem, że ostatnie miesiące były dla ciebie trudne i należy ci się odpoczynek. Baw się dobrze.

Patrzyłam na niego z rozdziawioną buzią. Jak zwykle prezentował się bosko, nawet kiedy tak stał i pozwalał, by siąpiący deszcz moczył mu włosy, które zamiast zlepić się w strąki, nabrały wyglądu złocistej aureoli. Także jego granatowy sweter zamiast przesiąknąć wodą na wylot, okrył się srebrzystą, połyskliwą warstewką, dodającą mu tylko uroku. Twarz miał zatroskaną i wrażliwą, na który to widok dała się złapać Dina, ja wszakże wiedziałam swoje. Ty draniu, pomyślałam. Cieszysz się, że wyjeżdżam. Od dawna nie mogłeś się doczekać chwili, w której cię od siebie uwolnię. Mógłbyś przynajmniej udawać, że się o mnie martwisz! Mimo miotającej mną burzy uczuć na głos powiedziałam chłodnym tonem:

— Nie ma sensu pytać mnie, gdzie jadę, bo sama jeszcze nie wiem, a nawet gdybym wie...

— Przecież nie pytałem! — przerwał mi oburzony. — Życzyłem ci tylko, byś mile spędziła czas.

Jego, udawana czy nie, wspaniałomyślność sprawiła, że ucieczka przestała mi smakować zakazanym owocem. Nie po raz pierwszy w ostatnich dniach zatęskniłam do Opasłego Alberta. O, ten jak nic zrobiłby mi tutaj karczemną awanturę, ale przynajmniej wiedziałabym, że mnie lubi.

— Coś zbyt chętnie się mnie pozbywasz...

— Och, na litość boską!... — odwrócił się i wałnął pięścią w maskę. — Mam tego dość. — Usiadł za kierownicą i zatrzasnął drzwi.

— To samo próbuję ci od dawna powiedzieć! — rzuciłam w stronę jego szlachetnego profilu skrytego za domkniętą teraz szybą. Nie sądziłam jednak, by mnie usłyszał, gdyż w tej samej chwili zmienił bieg i nie dbając o całość karoserii stojących po obu stronach cudeniek, z rykiem silnika ruszył z miejsca.

Była to jego pierwsza gwałtowniejsza reakcja od wieków. Niby powinno mnie ucieszyć, że jest wciąż zdolny do okazywania uczuć, ale zamiast tego ogarnęła mnie żal. Zdałam sobie sprawę, że Owen chciał być dla mnie miły, a ja swoim zachowaniem tylko zwiększyłam dystans między nami. Jednakże zaledwie chwilę później, zbliżając się do kasy biletowej i celu swej podróży, poczułam niebywałą ulgę, lekkość na duchu i wolność.

Londyn wprowadził mnie w oszołomienie — tyle tam hałasu, zamieszania, zabieganych obywateli, przy których poczułam się jak prowincjuszka. Cóż, nie byłam w stolicy od ponad sześciu lat i nic dziwnego, że wiele się w tym czasie zmieniło, choć na moje szczęście (bądź nieszczęście) system komunikacji publicznej pozostał taki jak zawsze. Wsiadłszy z pociągu przeszłam na peron metra, gdzie w automacie kupiłam bilet na przejazd żółtą linią, której najbliższy skład odjeżdżał dosłownie za parę minut. Rozsiadłam się na tapicerowanym siedzeniu i rozkoszując się atmosferą anonimowości, jaka panuje w każdym dużym mieście, pozwoliłam, by emocje powoli ze mnie opadły. Niestety już na najbliższej stacji poderwałam się

na równe nogi, uświadomiwszy sobie, że pomyliłam kierunki Circle Line. Rumieniąc się ze wstydu za pomyłkę typową dla turystów — lub prowincjuszy — czym prędzej opuściłam wagon i zerkając spod oka, czy aby nikt się ze mnie nie śmieje, przeszłam na przeciwległy peron. Na dworcu Paddington odzyskałam równowagę ducha, chociaż przebiegł mnie dreszcz podniecenia, kiedy podałam kasjerowi nazwę stacji docelowej; w najśmielszych snach nie sądziłam, że kiedykolwiek jeszcze tam się udam. Spodziewałam się, że obsługujący mnie wyjątkowo mało urodziwy mężczyzna pokręci kpiąco głową i powie: „Ależ sobie pani wybrała porę na wakacje”, ale on nawet na mnie nie patrząc zadał rutynowe pytanie:

— Powrót dzisiaj? — Przypatrzyłam mu się podejrzliwie. Czyżby był w zмовie z Owenem? Skoro jednak nie zdradziłam swoich planów własnemu mężowi, z pewnością nie miałam zamiaru zwierzać się temu gbu... — Podniósł na mnie wzrok i powtórzył pytanie: — Bilet ma być w jedną czy dwie strony?

— Eee... — zająknęłam się.

Kasjer wzruszył ramionami i mechanicznym głosem wyrecytował cenę biletu w obie strony — z otwartą datą powrotu oraz ograniczonego do jednego dnia. Oczywiście skorzystałam z tańszej oferty, nie chcąc nadwierać swoich i tak wątych funduszy. W duchu przekonywałam samą siebie, że jadę tylko po to, żeby uspokoić swoje sumienie, że Roba tam na pewno nie zastanę i że nie pozostanie mi nic innego, jak wrócić wieczorem do domu.

To co przy kasie wydawało mi się logiczne i działające na moją korzyść, po pewnym czasie zaczęło mnie niepokoić. Kiedy usiadłam już na swoim miejscu przy oknie i pociąg ruszył, unosząc mnie przez zalane deszczem przedmieścia, myśl, że Rob nie czeka na mnie u celu tej podróży, stała się nie do zniesienia. Umysł, wymęczony wrażeniami minionego dnia i brakiem snu, jął podsuwać mi jeszcze czarniejsze scenariusze. Najgorszy z możliwych był taki, że Rob zaaranżował wszystko w ramach wygłupu, aby udowodnić wszem wobec, że z Jane jest straszna naiwniaczka.

Wolałam nie wyobrażać sobie, jak będę się czuła, kiedy okaże się, że przejechałam

wskroś południową Anglię tylko dlatego, że ktoś, kogo nie widziałam na oczy od niemal dziesięciu lat, rzucił do słuchawki „Osioł. Pilnie”.

A nawet gdyby Rob faktycznie znalazł się w tarapatach, jaki to miało związek ze mną? pytałam się w duchu. Z jakiej racji mam się dla niego narażać? Zwłaszcza że on sam wtedy, gdy potrzebowałam go najbardziej, zwyczajnie mnie porzucił... Na wspomnienie jego zdrady poczułam znajomą mieszaninę gniewu i bólu i nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Jeśli Rob rzeczywiście ma kłopoty, trafiła mi się okazja odpłacić mu pięknym za nadobne: spotkam się z nim, a potem zostawię go samego jak palec. Niech się przekona na własnej skórze, jak to jest, kiedy zawodzi ostatnia osoba, na którą się liczyło!

Jednakże w miarę zbliżania się do Berkshire moje postanowienie słabło, a górę brała ciekawość. Chcąc nie chcąc złapałam się na haczyk Roba — musiałam dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

W dzieciństwie uważałam Glory Cottage za miejsce, którego nie znajdzie się na żadnej mapie. W trakcie czterech kolejnych letnich wakacji przenosiliśmy się poza zwykły czas i przestrzeń, by wieść barwne życie z dala od szarego, nudnego świata — niczym bohaterowie książek, jakie wtedy czytywałam, tyle że my nie musieliśmy odnajdywać sekretnych drzwi w ścianie ani czekać, aż zegar wybije określoną godzinę; nas przenosił w czasie i przestrzeni samochód mojej matki. Teraz, wysiadłszy z pociągu, uświadomiłam sobie, że okolica, w której Glory Cottage jest położona, to miejsce urlopowe, nic więc dziwnego, że istniało w naszej świadomości tylko podczas wakacji i zniknęło wraz z nadejściem jesieni i rozpoczęciem roku szkolnego.

O ile dobrze pamiętałam, posiadłość Drummondów leżała jakieś trzy kilometry od stacji, i to w linii prostej, zatem czekał mnie nielichy spacer, jako że jeszcze w pociągu postanowiłam nie brać taksówki. Jeżeli Roba wołanie o pomoc nie było psikusem, nie należało zwracać na siebie uwagi. Uśmiechnęłam się pod nosem na myśl, że już wczuwam się w rolę biegnącej

z odsieczą damy serca — brakowało mi tylko czarnej peleryny i sztyletu. Zawadiacki humor prysnął, kiedy z drogi musiałam zejść na ścieżkę flisacką, ciągnącą się wzdłuż rzeki. Mgła ścieliła się nisko, owionął mnie chłód i nieprzyjemna wilgoć. Szarobura wstęga rzeki wiła się posepnie, ponuro hucząc, i w niczym nie przypominała srebrzystego rozświergotane-go strumienia, nad którym bawiliśmy się jako dzieci. Kiedy podniosłam wzrok, w oddali zobaczyłam parkę niespokojnie pola tuj ących kaczek.

Położone po mojej lewej budynki z czerwonej cegły stopniowo ustępowały mniej reprezentacyjnym domkom letniskowym, a ścieżka robiła się coraz węższa, aż w końcu zupełnie zniknęła wśród błota i chaszczy. Zabudowania stały się jeszcze rzadsze, a przede mną rozciągało się kilka poletek odgradzonych od siebie kamiennymi murkami, żywopłotami i zwykłymi krzaczorami, jak gdyby gospodarujący na nich farmerzy za wszelką cenę chcieli utrudnić życie przypadkowemu wędrowcowi. Przynajmniej, zadzierając wysoko nogi i walcząc z chwytającymi mnie za ubranie kolczastymi gałęziami, zapomniałam na chwilę o Esme, która towarzyszyła mi w myślach, odkąd wysiadłam z pociągu.

Wreszcie wijąca się po prawej rzeka gwałtownie skręcała, a z rozległego zakola rozpościerał się widok na Martin's Court.

Martin's Court był duży, kwadratowy i niebieski i przypominał gigantyczny domek dla lalek. Kanciasta bryła, która się ostała, to wszystko, co dotrwało do współczesnych czasów z imponującego niegdyś dworku, stanowiącego serce wielkiej posiadłości ziemskiej z farmami, polami dzierzawnymi i budynkami dla służby. Dwór spłonął jeszcze na początku dwudziestego wieku i z pożogi ocalał tylko ten pomalowany na niebiesko sześcian. Z biegiem lat wyprzedano ziemię, a budynki, stajnie i warsztaty zaadaptowano na rozmaite cele. W rękach Drummondów pozostały Martin's Court, Glory Cottage, sad, parę wierzb i niewielka łacha piasku łagodnie schodząca w stronę rzeki, na której brzegu była jeszcze położona szopa na łódź.

Wyglądając zza wysokiego żywopłotu oddzielającego posiadłość od okolicznych pól, uprzytomniłam sobie, że znalazłam się w kropce. Żeby dostać się do domku i do Mułów, musiałam albo przeleźć przez krzaki i przedelfilować przed oknami Martin's Court, albo wrócić na drogę i wejść jak Pan Bóg przykazał bramą, co z kolei oznaczało, że mógł mnie zauważyć każdy, kto by akurat tamtędy przechodził.

Zadumałam się, próbując wybrać lepsze rozwiązanie, ale nawet latające mi nad głową gawrony wiedziały, że z podejmowaniem decyzji u mnie kiepsko, co komentowały donośnym krakaniem. Wzruszywszy ramionami poszukałam niższej i rzadszej części żywopłotu i przedarłam się na trawnik, uznając, że tak będzie jeśli nie łatwiej i bezpieczniej, to na pewno szybciej, a w razie czego mogę utrzymywać, że jestem turystką, która we mgle straciła orientację. Z tego co pamiętałam, pani Wicks pełniąca obowiązki gospodyni w Martin's Court wydała wojnę „zagubionym” turystom skracającym sobie drogę przez posiadłość, ale z tamtego świata, na którym z pewnością od dawna przebywała, nic mi nie mogła zrobić. Wiedziałam, że Clare Drummond, matka Esme, nie żyje od paru lat, i podejrzewałam, że posiadłość zdażyła przejść w inne ręce. Przecięłam trawnik, starając się iść jakby nigdy nic, chociaż na wszelki wypadek trzymałam się blisko rzeki. Serce miałam w gardle, po części na myśl o pani Wicks wyskakującej z domu z wojennym okrzykiem, a po części dlatego, że nie wiedziałam, czego mam się spodziewać, kiedy już się znajdę w umówionym miejscu. Z każdym krokiem coraz wyraźniej słyszałam nie dający się z niczym pomylić odgłos Mułów.

Esme pokazała nam je już pierwszego dnia.

— Chcecie zobaczyć Muły? — zapytała, wciąż stojąc pod wierzbą i obserwując nas uważnie.

Czuliśmy się niepewnie na nowym terytorium. Rob i ja milczeliśmy, nie chcąc wyrwać się z czymś, co w efekcie wyrzuci nas poza nawias i pozbawi całodniowej zabawy. Jak zwykle w takiej sytuacji pierwszy przemówił Lucien.

— Może chcemy — powiedział. Nigdy by się nie przyznał, że nie do końca wie, o czym mówi Esme, dlatego niezobowiązująco dodał: — A dużo ich tu jest?

Esme wlepiła w niego wzrok. Pamiętam jak dziś, że już wtedy zdumiało mnie to jej spokojne piwnookie spojrzenie; w całym swoim życiu nie poznałam nikogo, kto potrafiłby przybrać tak pusty wyraz twarzy. Na ogół ludzie przyjmują, że w pięknym opakowaniu musi skrywać się piękna zawartość i bezmyślną minę sfinksa tłumaczą sobie burzą myśli za gładkim wysokim czołem, jednakże ja nie raz miałam co do tego wątpliwości, przynajmniej w wypadku Esme.

W końcu oderwała od Luciena oczy i nadal trzymając w rękach królika, który zdaje się nie miał nic przeciwko temu, podeszła do brzegu i stopą obutą w różowy sandał trąciła burtę płaskodennej łodzi.

— Jest do niczego — oznajmiła stanowczo. — Od dawna przecieka. Moja mama mówi wprawdzie, że każe ją naprawić, ale jak dotąd...

— Myślę, że uda nam się ją naprawić — wtrącił Lucien. Jak zawsze zdumiała mnie szybkość, z jaką poczuł się w nowym miejscu jak u siebie. Ciekawa byłam, kogo dokładnie ma na myśli mówiąc „my”, skoro żadne z nas nie miało bladego pojęcia o łodziach. Zgoda, Lucien mógł znać różnicę pomiędzy fokiem a bezanem — z lektur, ale nawet on nie wiedział wiele więcej. Erie być może dałby się namówić, żeby zapłacić za naprawę, ale to nie rozwiązywało sprawy, no a Faith nigdy nie skalała sobie rąk pracą fizyczną, jeśli nie liczyć pomocy przy wycinaniu i malowaniu dwuwymiarowych postaci, jakie przypina się do kurtyny, żeby robiły tłok na scenie.

Esme poprawiła w ramionach królika, który na moment otworzył oczy, ale zaraz na powrót je zamknął, jakby był znudzony naszym towarzystwem. Westchnęła ciężko, unikając nas wzrokiem, z czego wywnioskowałam, że jej dziwne zachowanie wynika nie z nieśmiałości, ale z tego, że jest zażenowana naszą niewiedzą.

— Tędy — rzekła i ruszyła w stronę sadu.

W tej samej chwili królik wyrwał się z jej objęć.

— Łapać go! — wrzasnął Rob. — Nie można pozwolić mu uciec.

Esme tylko wzruszyła ramionami i spokojnym głosem wyjaśniła:

— On często tak robi, ale zawsze wraca na noc. Śnieżynka Dwa kicał w stronę dużego domu, przystając tu

i ówdzie, żeby zdekapitować dorodnego mlecza.

— Niech mnie dunder świśnie! — skomentował Rob, używając swego ulubionego w wieku jedenastu lat przekleństwa. — Wolno żyjący królik!

— I muły! — dodał Lucien, doganiając Esme. Rob i ja przyspieszyliśmy kroku.

Wkrótce naszych uszu dobiegł niski, głuchy dźwięk.

— Co to takiego? — wyrwało się Lucienowi.

— Muły, oczywiście.

To wystarczyło Lucienowi; tama puściła. Odwrócił się do nas cały rozpromieniony z jaśniejącą, elfią twarzą.

— Słyszeliście, wy tam, z tyłu? — zapytał podnieconym głosem. — Oto minotaur tego hrabstwa. Wprawdzie na Krecie jest to byk, ale w starej dobrej Anglii musimy zadowolić się mułem. Mułotaur Berkshire'u, proszę państwa. To dudnienie to bicie jego serca, przerażający werbel wymuszający ofiary... Kto by pomyślał, że spędzimy wakacje w towarzystwie mitycznej bestii?... Esme, czy ten muł żąda ofiar z ludzi? To by wyjaśniło, dlaczego jadąc tutaj przez wioskę nie widzieliśmy prawie żadnych panien i młodzieńców!... Niech mnie dunder świśnie! —

Oczywiście Rob naśladował Luciena, nie odwrotnie. — Teraz już rozumiem, dlaczego twoja mama nalegała, żebyśmy spędzili u was wakacje. Pewnie miała nadzieję, że Mułotaur pożre Jane zamiast ciebie.

No, jak ci się to podoba, Jane? — znów zwrócił się do mnie. — Będziesz musiała poćwiczyć swoje salta i gwiazdy, bo o ile mi wiadomo, muły, choć nieco mniejsze od byków, są równie groźne. Naturalnie i tak zginiesz, ale sprawność fizyczna może ci przedłużyć życie parę minut... gdyby ci na nich zależało, rzecz jasna. Z tego co mi się obilo o uszy, niektórzy toreadorzy wolą po prostu stać i czekać, aż byk przebiję ich rogiem, wtedy szybciej jest po wszystkim...

— Przymknij się, Luce — przerwałam mu, bo choć byłam niemal pewna, że zmyśla, ogarnął mnie irracjonalny strach i poczułam na ciele gęsią skórę.

Esme, wystawiona po raz pierwszy na słowotok Luciena, zareagowała nadzwyczaj spokojnie.

— To woda — poinformowała, ani trochę nie zbita z tropu przeraźliwymi wizjami roztaczanymi przez mojego brata.

Lucien nie pozwolił, by zepsuć mu zabawę.

— To oczywiste, że bestia dobrze się ukrywa. Słyszałem, że kreteński Minotaur znalazł schronienie w podziemiach elektrociepłowni i wychodzi na światło dzienne tylko wtedy, gdy głód i żądza ludzkiej krwi stają się nie do zniesienia. Porywa niczego się nie spodziewających wieśniaków, w pocie czoła uprawiających swoje marne poletka, albo jeszcze łatwiejszą zdobycz, turystę, który wyrwał się na świeże powietrze z klimatyzowanego i skanalizowanego autokaru. Tradycją stało się, że okoliczni mieszkańcy sami wyznaczają następną ofiarę, w ten sposób unikają przypadkowości i zaskoczenia... — urwał w pół słowa, kiedy zobaczył, że Esme otwiera małą furtkę prowadzącą z sadu w stronę rzeki. — Są tutaj — zatoczyła ręką koło.

Rozejrzałam się niepewnie wokół i z ulgą stwierdziłam, że w zasięgu wzroku nie ma ani jednego zwierzęcia, czy to swojskiego, czy to mitycznego. Od płotu do rzeki prowadził coraz bardziej bagnisty trawnik, na którym aż roilo się od stokrotek, a na samym brzegu na poły stały, na poły leżały dziwne metalowe konstrukcje.

— Za pomocą tego czegoś — wyjaśniała Esme — pompujemy wodę z rzeki. Po drodze przechodzi przez całą masę piasku i specjalnych filtrów, które co jakiś czas się wymienia. Wtedy do rzeki wraca sporo mułu.

Czysta woda trafia rurami do łazienek i do kuchni. Tatuś powiedział, że nikt, ale to nikt nie może tam się zbliżyć — machnęła dłonią w stronę kupy metalu. — Tylko pan Wicks...

Pokazując nam Muły, Esme złożyła w ofierze sekretne miejsce, do którego nikt oprócz pana Wicksa nie miał wstępu. Tym samym wkradła się w nasze łaski i przestała być tak bardzo samotna.

Mżyło bez ustanku i woda zbierająca mi się na włosach z czasem zaczęła torować sobie drogę w dół, formując się w nieprzyjemnie zimne strumyki, które spływały mi po szyi i za kołnierz. Ja jednak na to nie zważałam, podobnie jak ignorowałam chlupoczące dźwięki dobywające się z moich butów. Byłam coraz bliżej Mułów, o czym informował mnie przybierający na sile hurkot. Ogrodzenie wyglądało na nowe, ale metalowe konstrukcje pochyliły się jeszcze bardziej ku ziemi i upstrzone były świeżymi plamami rdzy.

Przecisnęłam się pomiędzy rozciągniętymi drutami strzegącymi dostępu do przepompowni i podeszłam do drugiej z kolei metalowej pokrywy, rozglądając się wokół i modląc w duchu, by w pobliżu nie było świadka mego upadku. Lada moment miałam zacząć mówić sama do siebie. Ukucnęłam i odsunęłam kawał ciężkiej blachy, po czym zajrzałam w ciemną czeluść.

— Jest tam kto?! — Odpowiedziała mi cisza, po której nastąpił jakiś szelest (o mój Boże, tam mogą być szczury!). Postanowiłam, że spróbuję jeszcze raz, po czym zabiorę tyłek w troki; marzył mi się powrót do ciepła i normalności, ale wcześniej musiałam uspokoić własne sumienie. — Hop! Hop! — zahuczałam do, być może, szczurów. — Osioł. Pilnie. Jestem tutaj.

I wtedy z ciemności dobiegł mnie głos.

— Chryste, nareszcie! Myślałem, że już nigdy nie przyjdiesz!

— Rob! — ze strachu odskoczyłam do tyłu i rozdarłam rękaw kurtki o wystający pręt.

— Cii... — zasyczał. — Widział cię ktoś?

— Nikogo nie ma w pobliżu.

— No to schodź na dół.

— A nie mógłbyś ty wyjść na górę? Prawie przestało padać... — Nigdy nie lubiłam tam wchodzić, i to wcale nie dlatego, że nie było wolno, ale z powodu panującej tam nieprzeniknionej czerni, zimna i... jeszcze czegoś, czego nie potrafiłam nazwać.

— Na litość boską, Jane, sądzisz, że siedzę tu dla przyjemności? —

Poirytowany ton Roba przywołał mnie do po-

rządki. Chcąc nie chcąc precisiuęłam się przez otwór, który jakby zmałał od ostatniego razu, kiedy przezeń przechodziłam, i niezgrabnie opadłam na dno dołu.

Rob siedział skulony w przeciwnęgłym kącie, zasnuwał go cień, tak że właściwie widziałam tylko zarys sylwetki. Trwał bez ruchu.

— Witaj, Rob — odezwałam się.

— Cześć!

Chociaż mieszkał w Anglii całe dorosłe życie, wciąż mówił z australijskim akcentem. Teraz także jego powitanie wypadło niepewnie i poniekąd pytająco. Zapadło niezręczne milczenie. W duchu dziwiłam się, że wyparowała ze mnie cała hołubiona wobec niego złość, a jej miejsce zajęło... czy ja wiem co? Minęło tyle czasu, tak wiele mieliśmy sobie do powiedzenia, że nie sposób było zdecydować, od czego zacząć. Ciszę przerwał Rob.

— Co z Esme?

— Bez zmian.

— Co ma znaczyć: bez zmian?! — znów się zirytował.

— Ktoś zdzielił ją po głowie...

— Wiem — przerwał mi. — Ale czy z tego wyj...

— Wciąż jest w szpitalu. Nie odzyskała przytomności. Lekarze nie chcą powiedzieć nic więcej.

Rob jęknął i zakrył twarz rękoma. Po krótkiej chwili uniósł głowę i z nadzieją zapytał:

— Masz może jakieś jedzenie?

— Rob, ja nie sądziłam, że cię tutaj zastanę...

— Nieważne. Zapomnij, że pytałem.

Z tonu głosu wywnioskowałam, że umiera z głodu.

— Naprawdę myślałam, że twój telefon był żartem.

— Chryste, chciałbym, żeby tak było.

— Powiesz mi, co się stało?

— A od czego mam zacząć?

Było to dobre pytanie. Na głos powiedziałam:

— Przede wszystkim wytłumacz mi, co tu, u diaska, robisz i jak mogę ci pomóc... — w myślach zaś dodałam: „A potem cofnij się w czasie i wyjaśnij, dlaczego mnie porzuciłeś dziesięć lat temu”.

— Dobrze.

Powoli wzrok przyzwyczajał się do panujących wokół ciemności, chociaż wolałabym, żeby tak się nie działo. Kiedy z wszechobecnej czerni wyłowiłam twarz Roba, przestraszyłam się. Był wychudły, brudny, sponiewierany. Zupełnie inny człowiek od tego, którego minionego ranka obie z Diną podziwialiśmy na fotografii w gazecie. A jego oczy... te same oczy, z których na zdjęciu wзираła empatia i dobry humor, teraz były oczami zaszczutego zwierzęcia, szklistymi kulkami, od których odbijało się wszelkie współczucie. Poczułam przelotną satysfakcję, że ktoś sławny i znany, ulubieniec mediów, w ciągu zaledwie kilku dni może — dosłownie i w przenośni — spaść na samo dno. Wbrew samej sobie zauważyłam także, iż choć ubranie miał w nieładzie, a twarz pokrytą parudniową szczeciną, Rob nadal był niezmiernie przystojny, jakby cierpienie wydobyło z niego wewnętrzne piękno.

Nagle zadygotał. Wciąż czekałam, aż zacznie opowiadać.

— Policja... — wykrztusił wreszcie. — Policja mnie podejrzewa.

— Co takiego? O czym ty mówisz?! To jakieś szaleństwo...

— O, tak. To dobre określenie: szaleństwo. Tyle że wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie. Nie potrafię ci tego wyjaśnić w paru słowach, ale...

— Chyba nigdy nie słyszałam niczego głupszego!

— Wiem, ale...

— Nie, Rob — nie dałam mu skończyć. — Mnie chodzi o to, że ukrywanie się tutaj niczym jakiś kryminalista nie ma najmniejszego sensu! Nawet jeśli nikt by cię wcześniej nie podejrzewał, po tym jak uciekłeś i schowałeś się w tej norze, wszyscy zwrócą się przeciwko tobie. Rob po raz pierwszy okazał jakieś emocje.

— No pięknie, Jane! — wybuchnął. — Nie ma to jak usłyszeć pocieszenie od starej przyjaciółki! Może mi jeszcze powiesz, że kręcę sobie sznur na własną szyję, że oliwa sprawiedliwa, zawsze na wierzch wypływa... Tyle że ja raz odsiedziałem wyrok za przestępstwo, którego nie popełniłem. Wiem, jak jest w więzieniu, gdzie wrzuca się człowieka i o nim

zapomina. Na własnej skórze się przekonałem, jak trudno jest odkręcić czyjaś pomyłkę. Nie zniósłbym tego po raz drugi, nie wytrzymałbym nawet jednej nocy, prędzej odebrałbym sobie życie.

Nie mogłam zaprzeczyć, że wszystko co mówi, jest prawdą, że naprawdę się boi i jest ze mną szczery, a mimo to podskórnie wyczuwałam w nim fałsz, jak gdyby grał wyuczoną rolę. Czym prędzej odegnałam od siebie tę myśl, kładąc ją na karb tego, iż jestem nieodrodną córką swojej matki.

— Dobrze, już dobrze, uspokój się. Rozumiem cię doskonale, ale wciąż nie widzę za grosz sensu w tym, żebyś siedział w tej ciemnej norze.

Chyba nie uważasz, że będę ci tu szmuglować jedzenie do czasu, aż znajdą winnego, co? Przecież to może potrwać miesiące...

— Wyobraź sobie, że o czymś takim myślałem. — Uniósł rękę, aby uciszyć mój rodzący się protest. — Już ci wszystko wytłumaczę. Mniej więcej półtora miesiąca temu Esme przyjechała do Martin's Court... Od jakiegoś czasu poddawała się terapii, za moją radą; nawet nie wiesz, w jakim ona była stanie, kiedy się ze sobą zesłiśmy... Jej terapeuta zasugerował, że nadszedł czas, by stanęła oko w oko ze swoją przeszłością, a gdzież indziej mogłaby to zrobić jak nie tutaj?

— Jej ojciec nadal tu mieszka?

— Tak. Nie wyprowadził się stąd po śmierci Clare... Tak czy inaczej Esme przyjechała do Martin's Court i będąc tutaj pisała coś w rodzaju pamiętnika... nazywała go swoim testamentem.

— A co to ma z czymkolwiek wspólnego?

— Przestań mi wreszcie przerywać! Nic a nic się nie zmieniłaś, nadal jesteś w gorącej wodzie kąpana. Słuchaj, Jane, chcę, żebyś znalazła dla mnie ten pamiętnik czy testament, jak go zwał, tak go zwał. Czuję, że znajdę w nim jakąś wzmiankę na temat tego, kto ją zaatakował.

— Ale to przecież mógł być ktokolwiek, także ktoś, kogo nie znała.

— Nie! — zaprzeczył z mocą Rob. — Kiedy to się stało, była w mieszkaniu. W naszym mieszkaniu — sprecyzował. — Nie było śladów włamania ani walki, co oznacza, że albo

ten ktoś miał klucz, albo Esme знаła go na tyle dobrze, że wpuściła go do środka.

— Albo napastnik przedstawił się jako facet z gazowni...

— Nie strój sobie żartów, Jane. Poza tym Esme to naj-ostrożniejsza osoba, jaką znam. Stała się taka z konieczności... Być może ci nie wiadomo, ale jakiś czas temu wpadła po uszy w narkotyki, przebąkiwała, że ktoś ją szantażuje czy coś, ale nigdy nie powiedziała nic konkretnego, a ja nie naciskałem. W ostatnich dniach zachowywała się dosyć dziwnie, ale jako że cały czas utrzymywała, że jest czysta, nie spodziewałem się, że nagle ni z tego, ni z owego przyzna mi się, że znów zaczęła brać... — Oczyma wyobraźni ujrzałam Esme, zawsze spokojną i subtelną Esme, zadającą się z handlarzami narkotyków o morderczych skłonnościach. Nie, to niemożliwe, wyśmiałam się w duchu. Rob powiedział z powagą w głosie: — Modlę się, żeby w tym pamiętniku była jakaś choćby najdrobniejsza wzmianka, która mogłaby naprowadzić na trop.

— Skąd wiesz, że pamiętnik wciąż tu jest?

— Tak mi powiedziała Esme.

Patrzył na mnie wyczekująco, ale ja dłuższą chwilę się nie odzywałam, rozważając w duchu wszystkie za i przeciw.

— Zatem — podjęłam z namysłem — chcesz, żebym zapukała do drzwi starego Drummonda i poinformowała go, że z ciężkim sercem, gdyż jest mi szalenie przykro z powodu tego, co spotkało jego córkę, jestem zmuszona przeszukać dom tylko dlatego, że gdzieś może być ukryty pamiętnik Esme, w którym zapisywała nazwiska podejrzanych typów, z jakimi od dawna miała do czynienia, mogący stać się głównym tropem w śledztwie, dzięki któremu policja przestanie podejrzewać Roba Hallama, który nawiasem mówiąc ukrywa się w pańskiej przepompowni...

— Możesz darować sobie ten ostatni kawałek, ale poza tym, tak, właśnie o coś takiego mi chodzi.

— A ty, jak się domyślam, będziesz tutaj siedział i flirtował z dwóinkami zapalenia płuc?

Rob otulił się szczelniej kurtką.

— Prawdopodobnie tak.

— Prawdopodobnie — przedrzeźniłam go — to głupi pomysł.

— A masz lepszy?

— Na razie nie, ale daj mi pomyśleć.

Opracowanie lepszego planu nie zajęło mi wiele czasu. Być może sprawił to widok bezbronnego, opuszczonego i wyzutego z wszelkiej inwencji Roba — ktoś musiał przejąć dowodzenie.

— Być może to co zaraz usłyszysz, nie jest genialne, ale na pewno o niebo mądrzejsze od twoich majaków. — „Mój pomysł jest lepszy od twojego”, tak przecież mówią dziewięcioletnie dzieci! — Jedyny szkopuł to brak gotówki.

— E tam — machnął ręką Rob z cudowną beztroską osoby, która nie ma przekroczonego debetowego salda w banku ani nie jest osaczona przez nie zapłacone rachunki. — Pieniądze to najmniejsze zmartwienie w tym wszystkim.

Dopiero kiedy wygramoliłam się na zewnątrz i szłam na przełaj przez pole, uzmysłowiłam sobie, jaką dziwną rozmowę właśnie przeprowadziłam. Czy Rob wiedział, że mam dwójkę dzieci? O moim małżeństwie musiał słyszeć, gdyż zanim wyszłam, zapytał zdawkowo: „A co tam u Owena?”, na co udzieliłam standardowej, choć nie do końca zgodnej z prawdą odpowiedzi: „Och, u niego wszystko w porządku”. I w tych dwóch krótkich zdaniach zamknęliśmy ostatnie dziesięć lat.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Czas mijał, a ja z mieszaniną przerażenia i wyrzutów sumienia zdałam sobie sprawę, że zaczynam się świetnie bawić. Nawet w moim odczuciu było to z lekka obsceniczne. Esme wciąż walczyła o życie (jak dowiedziałam się, zatelefonowawszy do szpitala przy pierwszej okazji), Rob gnął w jakiejś mokrej dziurze w ziemi, Owen i dzieci byli zdani tylko na siebie, nie mając pojęcia, czy i kiedy do nich wrócę, a ja radośnie dałam się wciągnąć rozgrywającemu się poniekąd za moją własną sprawą dramatowi.

Wydstawszy się na bitą drogę, skierowałam się w stronę stacji kolejowej. Było już późne popołudnie i zaczął mi doskwierać głód, toteż jak tylko dowiedziałam się o godziny odjazdu powrotnego pociągu do Londynu, zahaczyłam o bufet i kupiłam dwie bardzo apetycznie wyglądające kanapki, na które w normalnych warunkach nie zwróciłabym nawet uwagi, z góry zakładając, że aż roi się w nich od salmonelli. Później znalazłam automat telefoniczny i wybrałam numer Martin's Court.

— Halo? — rozległo się w słuchawce, nim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

— Pan Drummond? — spytałam, choć wiedziałam, że to musi być on.

— Tak.

— Mówi Jane Baer. Chciałabym...

— Kto taki? — przerwał mi bezceremonialnie.

— Jane Baer — powtórzyłam.

— Ze szpitala?

Przekląłam w duchu swój brak wrażliwości. Ojciec Esme nie odchodził od telefonu, gdyż oczekiwał wiadomości na temat stanu zdrowia swojej córki, przepełniał go niepokój i co zrozumiałe, nie był w nastroju do towarzyskich pogawędek. Postanowiłam spróbować jeszcze raz, nieco delikatniej.

— Panie Drummond, właśnie się dowiedziałam, co przytrafiło się Esme... Tak mi przykro... Zawsze uważałam ten zwrot za wyświechtany i bynajmniej nie przynoszący pocieszenia, ale i tak był o niebo lepszy od lamentów i zawodzeń mojej matki.

— No cóż... Dziękuję... — Mówił spokojniej, kiedy dotarło do niego, że nie dzwonię z wieściami ze szpitala; przybierał maskę, za którą każdy w samotności przeżywa swój ból. Wiedziałam, jakie będą jego następne słowa. — Takie rzeczy niestety się zdarzają.

Poczułam rosnącą w gardle gulę wzruszenia. Zatrzepotałam powiekami i ciężko przełknęłam, po czym wyjaśniłam:

— Jestem córką Faith Piper.

— A tak, naturalnie. Przecież rozmawiałem z Faith nie dalej jak wczoraj. Przepraszam, że nie poznałem cię od razu...

Tylko mnie nie przepaszaj, staruszkule, jęknęłam w duchu. Nie teraz, kiedy mam zamiar cię omotać swymi kłamstewkami. Zacisnęłam powieki, lecz obraz siwowłosego mężczyzny o twarzy pobrużdżonej cierpieniem nie chciał zniknąć przed moich oczu.

— Panie Drummond — odezwałam się wreszcie — wiem, że to co zaraz powiem, wyda się panu nieco dziwne, ale prawda jest taka, że wypadek Esme bardzo mną wstrząsnął, a na dodatek niezbyt dobrze układa mi się ostatnio z Owenem, moim mężem... — Pierwsza zasada kłamcy brzmi: mów prawdę, ilekroć to możliwe. — I zastanawiałam się, czy nie mogłabym zamieszkać w Glory Cottage przez parę dni? Chyba że wynajął pan domek komu innemu...

— Nie... — odparł nieprzytomnie, jak gdyby żaden temat nie dotyczący bezpośrednio Esme nie potrafił przykuć jego uwagi na dłużej. — Domek stoi pusty, tyle że na pewno bę-

dzie wyiębiony i wilgotny, bo odkąd zwolniliśmy ogrodnika, nikt tam nie zaglądał. Nie widzę więc większego problemu...

— Och, panie Drummond, nawet pan nie wie, jak się cieszę! — wykrzyknęłam z entuzjazmem, zastanawiając się, dlaczego mnie jeszcze nie przejrzał. — Teraz jestem w Londynie, ale jeśli nie miałby pan nic przeciwko, przyjechałabym jeszcze dzisiaj... Jakoś pod wieczór — dodałam po krótkiej przerwie, jakbym obliczała w głowie, ile czasu może mi zająć podróż.

— Rób, jak ci wygodnie. Mnie i tak pewnie nie zastaniesz, wpadłem tu tylko zabrać parę rzeczy i natychmiast wracam do szpitala. Ale pani Wicks się tobą zajmie.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam, jak pani Wicks, na której przedwcześnie postawiłam krzyżyk, wyskakuje z grobu i na powrót bierze w posiadanie Martin's Court.

— Mam nadzieję, że nie sprawię kłopotu.

— Ależ skąd! Pani Wicks teraz tu mieszka.

— To dobrze — skłamałam, po czym prędko wyartykułowałam ostatnią prośbę: — Panie Drummond, czy mógłby pan o tym nikomu nie mówić? To znaczy, że się u pana zatrzymałam... Zależy mi, żeby przynajmniej przez jeden dzień ani Owen, ani moja matka nie wiedzieli, gdzie jestem.

— Jak sobie życzysz — odparł sucho, a ja zaczęłam mu wylewnie dziękować. — Jeżeli to już wszystko, wolałbym zakończyć rozmowę. W każdej chwili mogą zadzwonić ze szpitala...

Posłusznie odłożyłam słuchawkę. W duchu niemal skakałam z radości, że pierwsza — i najbardziej ryzykowna — część planu poszła jak z płatka. Teraz musiałam się przygotować do części drugiej... Pani Wicks płacząca się po posiadłości z pewnością stanowiła jakieś utrudnienie, ale powinnam dać sobie z nią radę.

Bardzo z siebie zadowolona wyjęłam z kieszeni drugą kanapkę i żując ją powoli, przeszłam na peron, gdzie właśnie podjeżdżał pociąg do Londynu.

Owen i ja czasem żartowaliśmy, że będziemy ostatnimi ludźmi w Wielkiej Brytanii, którzy wejdą w posiadanie karty kredytowej czy choćby bankomatowej. Dopuszczaliśmy moż-

liwość, że gdzieś na krańcach Zjednoczonego Królestwa, na odległych Hebrydach na przykład, żyje sobie jakiś dziadek sklerotyk mówiący po celtycku, mieszkający w chacie z darni i będący jeszcze bardziej zacofany od nas, jeśli chodzi o osiągnięcia cywilizacji i płynność finansową, ale my szliśmy z nim łeb w łeb. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek budżet nam się dopinał, ale po tym jak na początku roku zbankrutowała firma naszego głównego odbiorcy, sytuacja stała się krytyczna. Żonglowanie długami wymagało zręczności magika, a i tak trzeba by cudu, żeby dziurę na koncie załatać za pomocą samych tylko wpływów od klientów indywidualnych. Kawałek plastiku, stanowiący klucz do nieprzebranych zasobów sezamu, niewątpliwie załatwiłby sprawę... i nas przy okazji. A tu proszę, nieoczekiwanie stałam się użytkowniczką nie jednej, ale dwu kart bankomatowych, które ścisnęłam w wilgotnych z wrażenia dłoniach, stojąc na środku Piccadilly Circus i mając nadzieję, że numery PIN Roba, wypisane flamastrem niczym szkolna ściągą, nie spłyną razem z potem. Nie mogłam skorzystać z banku gdzieś na peryferiach Londynu, ponieważ Robowi zależało, aby jeśli jest ścigany, utwierdzić policję w przekonaniu, że nadal przebywa w Londynie i nigdzie się stamtąd nie zamierza ruszyć. Nie obeznana z tajnikami nowoczesnych technologii wyraziłam przypuszczenie, że dostęp do jego kont mógł zostać zablokowany, ale Rob uspokoił mnie mówiąc, że współcześni Sherlockowie uwielbiają śledzić posunięcia swoich podejrzanych, śledząc operacje na koncie. Co na niewiele im się przyda, pomyślałam z satysfakcją, w wypadku gdy podejrzany ma współniczkę... Czekałam na swoją kolej przy pierwszym bankomacie, poczułam zdenerwowanie, i to nie tylko dlatego, że lada chwila mogło na mnie opaść ciężkie ramię sprawiedliwości. Równie mocno, jeśli nie bardziej, deprymowała mnie nonszalancja, z jaką wszyscy podchodzili do tego — nie znanego mi — procesu. Bałam się, że wykażę się brakiem rozeznania w cudownym misterium, tym samym przyznając, że jestem oszustką albo nawet i złodziejką. Pot zaczął ze mnie spływać całymi strumykami.

Kiedy wreszcie stanęłam przed maszyną, zdumiało mnie, jak bardzo jest skora do pomocy — w przeciwieństwie do kasjerek mojego banku, które ilekroć się tam zjawiłam, dawały mi do zrozumienia, że należę do biedoty z marginesu, i nigdy nie wypłaciły mi ani pensa, dopóki nie sprawdziły na zapleczu, że na rachunku faktycznie coś jest. Wbudowany w ścianę automat zachęcająco mrugał do mnie światełkami, co rusz powtarzał „proszę” i „dziękuję” i podejrzewałam, że gdyby mógł, toby się cały giął w ukłonach. Wreszcie na ekraniku pojawiły się magiczne słowa: „Kwota wypłaty”. Z lekkim zawrotem głowy wcisnęłam przycisk przy liczbie dwieście, drżąc z obawy, że w tym momencie sen się urwie, a na ekranie zabłyśnie wypisane czerwonymi literami: „Chyba żartujesz!!”

Tymczasem maszyna tylko zamruczała z ukontentowaniem, po czym w szczelinie pokazało się dziesięć pachnących nowością banknotów dwudziestofuntowych. Musiałam się pilnować, żeby nie zakrzyknąć z radości, i odchodząc szczerzyłam do siebie zęby jak głupia, choć nikt ze stojących za mną nie pośpieszył z gratulacjami.

Wprost nie umiałam się doczekać, kiedy znajdę drugi z banków, do jakich skierował mnie Rob, żeby powtórzyć swą magiczną sztuczkę.

Trochę później, gdy w zaciszu publicznej toalety przeliczałam zawrotną sumę trzystu osiemdziesięciu funtów, upychając banknoty na dnie torebki, za biustonoszem, a nawet w piętach trzewików, olśniła mnie pewna myśl. Mając niemal czterysta funtów, mogłabym dać nogę i zaszaleć na sto dwa! Zbyttno jednak ciekawiło mnie, o co chodzi w sprawie Roba i Esmę, a poza tym od dzieciństwa byłam chorobliwie uczciwa — myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła, zwłaszcza że i tak zbliżała się godzina zamknięcia sklepów.

W drodze na dworzec Paddington miałam oczy i uszy szeroko otwarte, nie chcąc paść ofiarą rabusia czy kieszonkowca, gdyż po prostu nie mieściło mi się w głowie, że ktoś z taką kupą pieniędzy nie wyróżnia się z tłumu i nie zwraca na siebie uwagi wyczekujących okazji złoczyńców.

Przy kasie zorientowałam się, że pochowałam wszystkie pieniądze i nie mam czym zapłacić za bilet. Po krót-

kiej wizycie w dworcowej toalecie pewnym głosem powiedziałam:

— W jedną stronę poproszę.

Nadeszła godzina szczytu, toteż pociąg był napakowany do granic.

Wtłoczona pomiędzy paru naburmuszonych mężczyzn, zapewne wracających do domu po dniu harówki w londyńskim biurze, sama poczułam, że lecę z nóg: od bladego świtu nic, tylko się przemieszczałam tam i z powrotem. W domu Owen pewnie szykuje kolację dla dzieci, układając w głowie plan wieczornych zadań i ciesząc się, że Laura i Billy wreszcie pójda spać... Myśl o rodzinie sprawiła, że zastanowiłam się, kiedy ostatnio spędziłam noc poza domem, i ku własnemu zdumieniu uprzytomniłam sobie, że nigdy — przynajmniej od czasu narodzin dzieci. Drażąc to zagadnienie dalej — niczym pacjent dentysty sadysty badający językiem dziurę po zębie

— zadałam sobie pytanie, czy za nimi tęsknię, i okazało się, że wszystko co czuję, to niesprecyzowany niepokój. Wróciły do mnie wydarzenia minionych dni: wypadek w szklarni, telefon od matki, wiadomość o Esme i najgorsze ze wszystkiego

— emocjonalne oddalenie od Owena, i mój niepokój wzrósł. Próbowałam przestać o tym myśleć, ale jak na złość przed oczy uparcie powracał obraz dzieci znikających w domu Diny, tak wrażliwych i tak mi drogich.

Dlaczego nigdy nie potrafię dać im — i Owenowi — tego, czego akurat potrzebują? Usłyszawszy własne myśli, otrząsnęłam się z przygnębienia, składając melancholijny nastrój na karb zmęczenia. Nawiasem mówiąc, zauważyłam, że znużenie, które odczuwałam po całym dniu bieganiny w tę i w tę, znacznie się różniło od wszechogarniającej mieszanki nudy i przepracowania, jakie odczuwam na co dzień. No i nie należy zapominać o zgryzocie, dodałam w duchu. Zwykle fizyczne zmęczenie przy ciągłych troskach to wręcz miła odmiana.

Wysiadłszy po raz drugi tego dnia na tej samej stacji, wzięłam taksówkę i podczas drogi bezmyślnie wpatrywałam się w tył wąskiej głowy kierowcy, przypominającej laleczkę zrobioną z drewnianej klamerki na bieliznę. Ożywiłam się, kiedy przejeżdżaliśmy koło całodobowego marketu — poprosiłam

taksówkarza, żeby się zatrzymał i na mnie poczekał. Wchodząc do sklepu miałam uczucie, że wszyscy mnie obserwują, i do ostatniej chwili nie byłam zdecydowana, ile mogę kupić, aby nie wzbudzić podejrzeń.

Kluczowe wydawało mi się zrobienie wrażenia osoby, która kupuje tylko dla siebie, z drugiej wszakże strony wiedziałam, że Rob zjadłby konia z kopytami. Skrupuły prysnęły, kiedy nadszedł zew zakupów — nie mogłam się powstrzymać, żeby nie wybrać po trochu wszystkiego; w domu z konieczności odmawialiśmy sobie delikatesów, toteż postanowiłam zaszaleć bez względu na konsekwencje. Do koszyka jedne za drugimi wpadły oliwki, francuskie sery, świeżo mielona kawa, a nawet średnio drogie wino. Czas na refleksję przyszedł dopiero przy kasie.

— Na urlopie zawsze jem jak smok — wyjaśniłam kasjerce, która spojrzała na mnie zdziwiona, lecz nic nie powiedziała.

Taksówkarz widząc, że wracam objuczona torbami, wysiadł i pomógł mi je powkładać do bagażnika, a ja nie omieszkałam powtórzyć śpiewki o wakacjach i smokach. On na to odparł, że sam z kolei lubi sobie na urlopie wypić jak ryba, więc mnie rozumie. Potem zapytał:

— A teraz dokąd?

— Do Martin's Court. Wie pan, gdzie to jest?

— Chodzi pani o taki duży niebieski dom? — upewnił się.

— Tak — potwierdziłam siadając z tyłu.

Właściwie powinnam była kierowcy kazać, żeby się zatrzymał przy najbliższej budce telefonicznej, i zadzwonić do Owena, ale umysł miałam wyprany z pomysłów, co mogłabym mu powiedzieć. O wiele prościej było nie zawracać sobie głowy. W duchu czułam jednak potrzebę usprawiedliwienia się: „I tak nie liczy, że się dzisiaj odezwę” i ta konstatacja z niezrozumiałego powodu pogłębiła moją depresję. Na szczęście w tej samej chwili światła samochodu wydobyły z gęstniejącego mroku i mgły fasadę Martin's Court.

W obliczu wyłaniającej się przeszłości zapomniałam o nieudanym małżeństwie z Owenem; górę wzięły inne, silniejsze emocje: wspomnienia chwil spędzanych tu wspólnie z Robem

i Lucieniem i nagły, przejmujący żal po utracie brata. A jeszcze później ogarnęła mnie panika — w co ja się wpakowałam?

Już na pierwszy rzut oka stało się dla mnie jasne, że pani Wicks nie tylko nie umarła, ale nawet o jotę się nie zmieniła. Minęło dwadzieścia lat od dnia, kiedy widziałam ją po raz ostatni — dwadzieścia lat, w czasie których ja zdążyłam dorosnąć, pochować swego starszego brata, wyjść za mąż, dać życie dwojgu dzieciom, założyć niezbyt dobrze prosperującą firmę... ona zaś wyglądała kropka w kropkę tak samo jak wtedy, kiedy ubrana w beżowy kardigan i zieloną spódnicę straszyla nas swymi obfitymi kształtami. Twarz miała nadal zaciętą i bladą, co w przeszłości spowodowało Luciena — częściej dosłownego w swych określeniach niż ludzkiego — do nazwania jej cierpiącym na zatwardzenie kalafiozem. Kiedy byłam małą, i później także, wydawało mi się, że pani Wicks prześladowała nas dlatego, że była jedną z tych osób, które nie lubią dzieci. Nie minęło nawet pięć minut od mojego przyjazdu do Martin's Court, a zdałam sobie sprawę, że pani Wicks nie lubi nikogo, dorosłych również.

Zrzedliwym tonem zauważyła, że dziwną porę sobie wybrałam na urlop i że nie mam żadnej walizki. Wiedziałam i o jednym, i o drugim, ale dopiero gdy usłyszałam to od niej, uświadomiłam sobie, że być może popełniłam przestępstwo.

— To była nagła decyzja — broniłam się.

Zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami, po czym z niejaką satysfakcją poinformowała mnie, że w Glory Cottage z pewnością będzie zimno, mokro i zatechłe i że to miejsce w ogóle nie nadaje się na zimowe wakacje. Po chwili równie niezadowolonym głosem zapytała, czy mam ze sobą latarkę, bo jej ani się śni przedzierać przez listopadowe ciemności tylko po to, żeby mnie tam odprowadzić. Tak się nakręciła w swoim świętym oburzeniu, że aż zaczęła ciężiej oddychać.

Oczywiście nie pamiętałam o latarce, co stanowiło dla mnie problem większy, niż pani Wicks mogła przypuszczać (czy raczej mieć nadzieję); musiałam przecież trafić po ciemku do Roba. Odezwałam się zatem najpokorniejszym tonem, na jaki potrafiłam się wobec niej zdobyć:

— Och, nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby panią trudzić i wyciągać na to zimno... Ale byłabym niezmiernie wdzięczna, gdyby pożyczyła mi pani swoją latarkę... Tylko do jutra, oczywiście — dodałam szybko.

Obdarzyła mnie lodowatym spojrzeniem.

— A ja to niby co mam robić, jak wyłączą prąd? Przyszło mi do głowy to i owo, ale zatrzymałam te myśli

dla siebie i tylko się uśmiechałam głupkowato. Z panią Wicks nigdy nie było lekko — teraz także musiałam się nieźle na-gimnastykować, żeby ją ubłagać. Po zmudnych negocjacjach, logicznych argumentach z mojej strony i jej postękiwaniach, wreszcie wydobyła skądś przedpotopową latarkę i takiż klucz i wręczyła mi je z przeciągłym westchnieniem.

Wychodziłam już, dzierżąc torby z zakupami, latarkę i klucz, lecz w ostatniej chwili zatrzymałam się w progu tylnych drzwi.

— A co z Esme? Czy były jakieś wiadomości? Pani Wicks prychnęła.

— Myślałam, że już nie zapytasz! — rzekła potępiająco. — Niestety, nadal bez zmian... To wszystko, co wiem.

— Biedny pan Drummond. To musi być dla niego nie do zniesienia.

Tym razem prychnięcie było jeszcze głośniejsze.

— Ma to, na co sobie zasłużył.

Z trudem stłumiłam cisnącą mi się na usta wiązankę pod jej adresem.

Jakimś cudem zdołałam wybąkać standardowe „dobranoc” i już mnie nie było. Złość pomogło mi rozładować potężne trzaśnięcie drzwi i szybki marsz na przełaj przez trawnik, a potem przez sad pogrążony w nisko wiszącej mgle.

Jedno z dwojga: albo zapomniałam, którądy biegnie ścieżka prowadząca z Martin's Court do Glory Cottage, albo jakiś złośliwiec ją ukradł. Nim stanęłam na schodkach wiodących do domku, udało mi się zwichnąć nogę w kostce, wpaść po kolana do nieziemskiej kałuży i rozedrzeć o jakieś chaszczce najcięższą torbę z zakupami. Uchyliwszy skrzypiące drzwi, potknęłam się o próg i boleśnie uderzyłam w duży palec

u stopy. Nazajutrz będę z pewnością wdzięczna niebiosom za odludzie, na jakim Glory Cottage jest położona, myślałam, dzisiaj jednak ani trochę mi się to nie podoba. Światło latarki wydobywało z mroku jakieś przedmioty, które rzucały długie cienie i mogły być praktycznie wszystkim... Poczułam, że ze strachu dostaję gęsiej skórki, i czym prędzej poszukałam dłonią kontaktu. Kiedy zajaśniała dyndająca u sufitu goła żarówka, strach minął i wróciły wspomnienia.

Domek był dokładnie taki, jakim go zapamiętałam. Cały parter zajmowało jedno duże pomieszczenie, w którym stały te same co zawsze, tyle że jeszcze bardziej zniszczone sprzęty: dwie zapadłe kanapy i drewniany stół, ustawione w bezpośredniej bliskości staromodnego, otwartego kominka, i wciąż obłazący z farby zielony kredens. Na podłodze ścieliły się wysłużone chodniki, zakrywające pomarszczone ze starości linoleum. I choć wszystko było takie samo, wiedziałam, że czas i tu nie stanął w miejscu. Przebrzmiały podniecone głosy i rozwiały się upojne zapachy lata — ciche rozmowy na pięterku, szcęk sztućców i talerzy, zamieszanie towarzyszące życiu umilkły, zniknęła ciepła letnia bryza niosąca wonie z sadu. Ich miejsce zajęły cisza i pustka, wilgoć i kurz.

Nie pozwalając sobie na sentymenty, odstawiłam torby z zakupami, potarłam stłuczoną gdzieś po drodze łydkę i odwróciłam się do wyjścia, żeby jak najszybciej przyprowadzić Roba. Zaraz jednak podskoczyłam ze strachu, kiedy z ciemności wynurzyła się męska sylwetka.

— Już myślałem, że się nie doczekam! — powiedział burkliwie Rob.

Poczułam się urażona.

— Ładnie mi się odpłacasz!

Minął mnie bez słowa i zaczął gmerać w torbach. Pierwsza napatoczyła mu się bagietka, odłamał solidny kawał i wepchnął do ust. Ręce i twarz miał brudne, żuł z pasją wygłodzonego pustelnika, a ja przyglądałam mu się w milczeniu, zdumiona, że spotkanie, o którym częstokroć marzyłam, przebiega tak dziwnie. Wreszcie oderwałam od niego wzrok i zamykając szczelnie drzwi, powiedziałam:

— Kupifam też makaron. Zaraz przygotuję coś na ciepło.

— Świetnie. — Ułamawszy sobie następny, nieco tylko mniejszy kawałek bagietki, wyjął z torby butelkę z winem i z dezaprobatą przyjrzał się nalepce. W końcu wzruszył ramionami i zapytał: — A gdzie korkociąg?

— Pewnie jakiś tu się płacze — odparłam.

Po dłuższej chwili szperania znalazł go w szufladzie kredensu i od razu chciał zrobić z prymitywnego przyrządu użytek, ale jak zauważyłam, ręce trzęsły mu się tak bardzo, że miał trudności z utrafieniem w korek. Z przerażeniem obserwowałam, jak walczy z butelką i korkociągiem, najwyraźniej nie mając siły wyciągnąć korka. W pewnym momencie zaklął i odwrócił się ode mnie, lecz ja i tak zorientowałam się, że jest na skraju załamania. Co za kontrast z tym Robem Hallamem, o którym rozpisywały się gazety i kolorowe czasopisma i który co rusz pokazywał się na ekranie telewizora! Stojący przede mną mężczyzna utracił gdzieś swój buńczuczny uśmiech i energię człowieka, co to ma wysokie aspiracje i pewność, że czegokolwiek się tknie, zamienia w złoto. Drżał na całym ciele, i to nie tylko z powodu panujących w Glory Cottage zimna i wilgoci. Kurtkę miał wymiętą i poplamioną, zwisała mu z ramion, jakby w ciągu ostatnich dni stracił sporo na wadze i zaczął się garbić; włosy zmierzwiłone i matowe.

Z trudem wzięwszy się w karby, spojrzał na mnie wymirowanymi oczyma i ledwie słyszalnie powiedział:

— Boże, Jane, tym razem zawałem na całej linii. — Spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko skrzywiony grymas. — Gdyby nie ty, naprawdę nie wiem, co bym po... — głos mu się załamał.

Przez ułamek sekundy czułam się zdradzona jego słabością — jednakże tylko przez ułamek sekundy. Podjąwszy decyzję, pewnym krokiem przemierzyłam pomieszczenie, wyjęłam z rąk Roba butelkę i korkociąg, po czym je odstawiłam na bok, a jego zamknęłam w objęciach.

Trzymałam go ciasno oplecionego rękoma, aż w końcu poczułam jego dłonie na swoich plecach. Przez cały czas trząsł się jak w gorączce, tyle że nie był rozpalony, a przeraźliwie zimny. Kie-

dy przytulił policzek do mojego, wydało mi się, że dotykam sopła lodu.
— To przez tę cholerną dziurę w ziemi... — zaczął.
— Cii... — szepnęłam uspokajająco. — Wszystko będzie dobrze. Zaraz coś zjesz i się rozgrzejesz i życie nabierze barw.
— Mówiłam jak do dziecka. — Czekał, otworzę wino... Wypuszczając go z objęć zaszeleściłam biustem.
— Co to było, na Boga?!
— To? — spytałam, przykładając dłoń na wysokości piersi, która znów zaszeleściła.
— Myślałam, że tylko bezdomni wkładają pod ubranie stare gazety.
— No, ze mną nie jest jeszcze tak źle. Przynajmniej na razie... — Otworzyłam butelkę i nalałam mu pełen kieliszek.
— Proszę... Twoje zdrowie. — Wypił duszkiem i zaraz sobie dolał, a ja w tym czasie wyjaśniałam: — Uznałam, że bezpieczniej będzie schować część pieniędzy. — To mówiąc zadarłam sweter i zza biustonosza wyjęłam pomięte banknoty (uczyniłam to z pewnym żalem, gdyż podobało mi się ocierać o bogactwo). Rob patrzył na mnie w zdumieniu, kiedy siadałam i zdejmowałam buty, żeby uwolnić kolejną małą fortunę. Wyciągnęłam do niego rękę z pieniędzmi. — Są twoje.
— Nie wygodniej by je było trzymać w torebce? Albo w portmonetce?
— O, dobrze, że mi przypomniałeś. W torebce też mam trochę... — Dołożyłam do leżącej na stole kupki jeszcze nieco grosza i dla jasności dodałam: — Rzadko kiedy noszę przy sobie tyle pieniędzy i bałam się, że mnie okradną.
— Ach tak...
Miałam nadzieję, że Rob wybuchnie śmiechem, lecz przeżycia minionych dni wzięły górę. Tyle dobrego, że w podkrążonych, zapadłych oczach zagościł na krótką chwilę ogień wesołości.
Mnie także zrobiło się lepiej. Zakrzętnęłam się w domku i z radością odkryłam, że pani Wicks ma jednak jakieś ludzkie cechy — przed moim przyjazdem włączyła bojler, toteż mogłam przygotować Robowi gorącą kąpiel. Zabrał ze sobą resztkę bagietki i wina i udał się do łazienki, podczas gdy ja

uwijałam się jak fryga na dole. Rozpaliłam na kominku ogień i rozłożyłam ubrania Roba, żeby wyschły, a potem wzięłam się do gotowania posiłku.

Do sosu do spaghetti wrzuciłam w chwili natchnienia rozdrobniony czosnek, oliwki i sardelę i z wielką dumą postawiłam wszystko na stole, ale jak się okazało, niepotrzebnie zawracałam sobie głowę — Rob był tak wygłodzony, że bez szemrania zjadłby surową koninę, gdyby ją miał w zasięgu ręki. Wcinał, aż mu się uszy trzęsły. Niewiele przy tym mówił, za to ja nawijałam za nas oboje, podochocona winem z drugiej, otworzonej podczas gotowania butelki. Opowiedziałam mu ze szczegółami o wyprawie po złote runo do Londynu i o tym, jaką frajdę sprawiło mi wypłacanie pieniędzy z bankomatu, a także o znacznie mniej fortunnym powrocie do Martin's Court i odnowieniu znajomości z nieśmiertelną panią Wicks. Rob od czasu do czasu pochrząkiwał, dając mi do zrozumienia, że słucha, ja zaś przyglądałam mu się bezkarnie w kiepskim świetle własnoręcznie ustawionych na stole świeczek. Z ulgą stwierdziłam, że po kąpieli prezentuje się znacznie lepiej — to znaczy przynajmniej przestał wyglądać jak włóczęga — a mokre, ściśle przylegające do czaszki włosy nadają mu chłopięcy urok. Korzystając z okazji, że prawie nie zwraca na mnie uwagi, jęłam porównywać go w myślach z tym Robem, którego znałam przed dziesięciu laty, i musiałam niechętnie przyznać, że upływ czasu nie postarzył go, za to nadał mu charakter. Twarz miał szczuplejszą i bardziej wyrazistą i nawet wydatna szczeka, która w przeszłości burzyła linię jego rysów, teraz wydawała się po prostu męska i silna. Przyboczny Luciena, gotów na każde jego skinienie, sam stał się dowódcą, pomyślałam, uznając równocześnie, że ta rola bardziej mu pasuje. Nieoczekiwanie poczułam, jak zalewa mnie fala pożądania, i aby ukryć jego ewentualne oznaki, dołałam sobie wina i skupiłam się na posiłku.

Wreszcie Rob skończył jeść, odsunął wytarty do czysta talerz i westchnął przeciągle.

— Teraz twoja kolej — zachęciłam go. — Opowiedz mi o wszystkim.

Zmarszczył czoło na tę propozycję, wstał gwałtownie i przeniósł się na kanapę.

— Muszę? — jęknął i zapatrzył się w ogień na kominku. — Jane, jestem wykończony...

Podeszłam do kominka i dołożyłam drewno, żeby podtrzymać ogień, gdyż nie chciałam, by cokolwiek nas rozpraszało, a potem usiadłam na jednym z wytartych dywaników, opierając się plecami o kanapę. (Przeczytałam gdzieś, że człowiekowi łatwiej jest wyrzucić z siebie trudne wyznania, kiedy nie musi nawiązywać kontaktu wzrokowego ze słuchaczem.)

Byłam zdeterminowana, aby poznać prawdę.

— Jak mam ci pomóc, skoro nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi?

— Przecież poprosiłem cię tylko o to, żebyś odnalazła pamiętnik Esme.

— Ale dlaczego?

— Już ci to wyjaśniałem — zniecierpliwił się.

— Nadal nic z tego nie rozumiem.

— Jane, na litość boską, tu nie ma nic do rozumienia. Terapeuta Esme zasugerował, że w pamiętniku może być wzmianka o czymś, co ją w ostatnich dniach przed atakiem zaprzątało czy niepokoiło... Miała tam wszystko zapisywać, gdyż mówienie jakoś jej nie szło.

— Czemu Esme chodziła do terapeuty?

— To był mój pomysł. Sądziłem, że potrzebuje pomocy... — Tak? — nacisnęłam go delikatnie, kiedy zawiesił głos.

— Wpadłem na nią przypadkiem jakiś rok temu — podjął Rob po chwili milczenia. — Początkowo oboje byliśmy wobec siebie nieufni... i nic dziwnego, po tym co między nami zaszło wcześniej... niemniej zostaliśmy razem, a gdzieś pół roku temu Esme się do mnie wprowadziła.

— Wiem o tym z gazet.

— Znasz Esme... Nie jest zbyt wylewna i me lubi mówić o sobie, ale ja z łatwością ją przejrzałem. Domyśliłem się, że ma za sobą ciężki okres... prawdę powiedziawszy całe lata...

i miałem nadzieję, że w czasie terapii odzyska spokój i pewność siebie.

— I tak się stało? — Rob od początku rozmowy ignorował moje pytania, a na to w ogóle nie odpowiedział Spróbowałam więc inaczej. — No dobrze, ale co sprawiło, że ty musisz się ukrywać?

— Jane, proszę, czy to nie może poczekać do rana? Wiedziałam, że wykazuję delikatność Torquemady jednakże nie rezygnowałam.

— Z pewnością mogłoby, gdyby nie to, że to ty zadzwoniłeś do mnie w środku nocy z dziwaczną wiadomością i kazałeś mi przejechać pół kraju. Oczekujesz ode mnie pomocy, zatem ja mam prawo oczekiwać od ciebie wyjaśnień.

— Spanikowałam, to wszystko...

— Z jakiego powodu? — dążyłam.

— Wczorajszego popołudnia miałem być w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w sprawie schroniska... — zaczął i urwał, by po chwili wahania nieoczekiwanie dodać: — Pokłóciliśmy się z Esme w porze lunchu.

— O co?

— Nawet nie pamiętam. — Wyciągnął długie nogi, siadając wygodniej.

— Przez całe spotkanie rozmyślałem o niej i nie mogłem się doczekać, kiedy ci nadęci mądrale, którzy i tak nigdy niczego nie rozumieją, przestaną zachwycać się swoim głosem. Wreszcie byłem wolny. Od ulicznej kwiaciarki kupiłem bukiet kwiatów... chryzantem... i udałem się prosto do domu, jakby przeczuwając, że Esme stała się krzywdą. Z drżeniem serca otworzyłem drzwi do mieszkania i od razu ją zobaczyłem... Leżała na ziemi w nienaturalnej pozycji wokół było pełno krwi. Nie miałem pewności, czy oddycha! Znalazłem ten alabastrowy wazon i... i...

— Zadzwoniłeś po karetkę? Na policję?

— Może... nie wiem... Nie pamiętam, Jane.

— Co takiego? Jak to: nie pamiętasz?!

— Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale nie pamiętam dosłownie nic z tego, co wydarzyło się potem... do chwili kiedy ocknąłem się, w ciemności spacerując nad brzegiem Tamizy Nie potrafiłem zebrać myśli, zdawałem sobie jednak sprawę w jakim świetle postawiła mnie ucieczka z miejsca wypadku... W holu leżały porzucone przeze mnie kwiaty, dotykałem

wazonu, którym ją uderzono w głowę... Chciałem rzucić się z mostu do rzeki, żeby raz na zawsze z tym skończyć, gdyż nawet takie drastyczne rozwiązanie wydawało mi się lepsze od kolejnego przesłuchania na policji. Wiedziałem, że moje zeznania wypadłyby nieprzekonująco, nikt by mi nie uwierzył, a ja nie zniósłbym tego wszystkiego po raz drugi. Właściwie niemal skoczyłem, ale w ostatniej chwili usłyszałem głos Luciena. Przypuszczam, że sobie go tylko wyobraziłem, ale wtedy zabrzmiał tak realnie, jakby... Być może sprawił to monotony szum rzeki, nie wiem. Tak czy inaczej usłyszałem Luciena wypowiadającego nasze hasło. Dzwoniłem do ciebie aż do skutku i przyjechałem tutaj. — Zatem to byłeś ty... Owen trzy razy odebrał telefon, ale nikt się nie odezwał...

— Tak. Czuję, że nie mogę mu zaufać. Oczekałem jakiś czas i zadzwoniłem ponownie, a po rozmowie z tobą ukryłem się w Mułach. To wszystko — zakończył.

Niemal mu uwierzyłam, jednakże te dwa ostatnie słowa zabrzmiały fałszem i od nowa rozbudziły moją czujność. O nie, Rob, pomyślałam, to z pewnością nie jest wszystko. Ale na początek dobre i tyle.

Poczułam na czubku głowy jego dłoń i mimowolnie poddałam się dotykowi.

— Naprawdę chciałem ci wszystko wyjaśnić od razu — podjął — lecz kiedy cię usłyszałem... Przepadły gdzieś te wszystkie lata i wszystko, co potrafiłem z siebie wydusić, to nasze stare hasło. Oczywiście później martwiłem się, że nie weźmiesz tego poważnie...

— Był taki moment — przyznałam. — Zresztą zważyłam nie tylko w twoje zdrowe zmysły, ale i w swoje. Rano przekonywałam się, że ta nocna rozmowa po prostu mi się przyśniła.

— A mimo to przyjechałaś. Tylko to się liczy, Jane.

— Masz rację — przytaknęłam.

Po raz pierwszy odkąd przy nim usiadłam, pozwoliłam sobie odwrócić się i na niego zerknąć. Sprawiał wrażenie mniej spiętego, odprężonego nawet; coś jakby uśmiech zmiękczało mu rysy, oczy nie straszyły już bezdenną pustką i czającym

się w głębi przerażeniem, z wolna nabierały ciepła... Tyle że kiedy napotka! moje spojrzenie, zaszła w nim nagle zmiana, jak gdyby dostrzegł coś, co go nieziemsko przestraszyło. Na jego twarzy malował się szok... panika... Odsunął się ode mnie gwałtownie.

— Co się stało? — spytałam.

— Lucien... — wydukał. — Wyglądałaś zupełnie jak Lu...

Znów patrząc w kominek wzruszyłam ramionami.

— Co w tym dziwnego?

Lucien i ja nie byliśmy męską i żeńską wersją tej samej osoby, jak to czasem zdarza się z rodzeństwem. Na niego mówiono „żywe srebro”, podczas gdy mnie zarzucano, że „kręcę się jak fryga”; kiedy się nad czymś zamyśliliśmy, on przybierał wyraz uduchowienia, ja zaś nie raz zostałam oskarżona, że się dąsam. Lecz pomimo wszystkich dzielących nas różnic nikt nie wątpił, że łączy nas bliskie pokrewieństwo. Słyszałam, jak znajome Faith mówiły, że jej dzieci chwilami wyglądają jak dwie krople wody, i tłumaczyły to identycznym wykrojem ust i kształtem oczu. Teraz przyciągnęłam kolana pod brodę i kiwając się w przód i w tył, powiedziałam cicho:

— Wiem, jak to jest... Sama mam często podobne wrażenie, gdy patrzę w lustro. Upłynęło tyle czasu, a ból nie zelżał ani trochę...

— Nie zrozumiałaś mnie, Jane... Nie dałam mu skończyć.

— Czasami wydaje mi się, że dostrzegam go w tłumie na ulicy... Pewnie jest mnóstwo ludzi o podobnej sylwetce i sposobie chodzenia, a jednak... Pamiętasz, jak pewnego razu zaczął poruszać się tyłem, jak rak? Coś go naszło i cyk! Nie dla niego zwykły chód, jak Pan Bóg przykazał.

Oczywiście uważał, że jest w tym szalenie odkrywczy, że odmieni oblicze świata...

— Nawet mówisz jak on.

To nie była do końca prawda. Wyrażałam się jak Lucien tylko wtedy, kiedy o nim opowiadałam, a takie chwile niestety stawały się coraz radsze.

— Nic dalej jak wczoraj próbowałam opowiedzieć synowi sąsiadki o zebdach i o tym, dlaczego wyginęły w hrabstwie Sussex... Pamiętasz tę długą historię, którą wymyślił Lucien i którą nas w nieskończoność czarował? Biedny dzieciak nie miał pojęcia, o czym mówię, i nic dziwnego, gdyż nie jestem Lucieniem i brak mi jego magii. —

Rozgadałam się, ulegając przemożnej potrzebie, by porozmawiać o swoim zmarłym bracie z kimś, kto go znał. Słowa płynęły niczym długo wstrzymywane łzy, a ja ich nie hamowałam, tylko bowiem przy Robie mogłam odtworzyć Luciena takim, jaki był naprawdę: niezwykle inteligentny i wygadany, a zarazem czuły, delikatny i kochający. —

Przychodzą takie chwile, że jestem na niego wściekła... czy to nie okropne? Za to, że mnie przytłaczał, kierował moim życiem, był w nim centralną osobą. Wiesz, że moje pierwsze wspomnienie dotyczy Luciena, a nie Faith? To on opowiadał mi bajki, uspokajał mnie w czasie burzy, wyprawiał do szkoły... Teraz myślę, że gdybym miała ojca albo chociaż gdyby lepiej mi się układało z Faith, Lucien nie odgrywałby tak istotnej roli w moim życiu. Jednakże to on był dla mnie najważniejszy, to wokół niego kręciło się moje życie. A potem zniknął, ja zaś poczułam się, jakby ktoś usunął mi ziemię spod nóg albo zabrał kawałek nieba. Do dziś nie mogę mu wybaczyć jednego... — Rob słuchał mnie w milczeniu, zresztą ja nie miałam zamiaru dać sobie przerwać. — Pamiętasz to lato, które upłynęło nam pod znakiem sekretów? Kazał nam wybrać i kolejno opowiedzieć mu nasz największy sekret, natomiast sam nie zdradził swojego. Nazywał go „piątym sekretem” i od czasu do czasu przemycił aluzję, że gdybyśmy go poznali, długo nie wyszlibyśmy z podziwu czy stanu zadziwienia, ale tylko się z nami drażnił i nigdy nawet nie pozwolił nam zgadywać, czego dotyczy. Jasne, że w końcu o tym zapomniałam, zajęły mnie inne sprawy, ale w głębi ducha zawsze miałam nadzieję, że kiedyś dowiem się, jaką to tajemnicę ukrywał przed nami Lucien. A on wziął i umarł, i zabrał swój sekret do grobu, tak że już nigdy, przenigdy się nie dowiem! Jak on śmiał nam to zrobić?! Dlaczego nie powiedział chociaż mnie? — urwałam nagle, gdyż do mojego umysłu zakradła się pewna myśl. — Rob, a może ty wiesz, co to

było? — Odpowiedziała mi cisza. — Rob?! — szturchnęłam go łokciem w kolano i poczułam, jak z cichym westchnieniem opada na bok. — Wystraszona odwróciłam się gwałtownie, aby zobaczyć, że Rob smacznie śpi. — Ty draniu! — powiedziałam do niego szeptem. Wstałam, żeby dolać sobie wina, i nie chcąc obudzić Roba, umościłam się w stojącym opodal obitym perkalem fotelu, skąd mogłam się przyglądać jego wygładzonej snem fizjonomii. Byłam lekko wstawiona i zdrowo wymęczona, lecz w ogóle nie chciało mi się spać. Tak długo czekałam na to spotkanie (niemal równe dziesięć lat!), że nie przeszkadzało mi nawet, iż Rob w mojej obecności zasnął — w końcu lepsze to niż nic. „Człowiek nie zawsze może wybierać” — mawiała pani Wicks i w tym jednym chyba miała rację. (Lucien przerobił to powiedzenie na „Człowiek nie zawsze może gmerać”, co z jakiegoś powodu żenowało Esme.) Rob pochrapywał, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru otwierać oczu przez co najmniej najbliższe dwa dni, ale to także mi nie przeszkadzało. Potrzebowałam tyle samo, jeśli nie więcej czasu, żeby dojść do ładu ze swoimi uczuciami wobec niego. Szybciej, niżbym chciała, uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nigdy nie wiedziałam, co do niego właściwie czuję. Kiedy się poznaliśmy, miałam osiem lat. O trzy lata ode mnie starszy, był przyjacielem Luciena i jakoś tak wyszło, że zaczęłam go traktować jak jeszcze jednego brata. Myślę, że Rob także widział we mnie coś w rodzaju siostry, przynajmniej do czasu, kiedy mogłam uchodzić za chłopca. W tym wieku łatwo mi przyszło zrezygnować ze swego dziewczyni-skiego statusu, byle tylko mieć wstęp do ciekawszego, jak mi się zdawało, świata. Aby wkupić się w ich łaski, ochoczo wypiełam się na koleżanki i zdradzałam głupiutkie sekrety na temat nadziei, strachów i miłości, jakie rówieśniczki mi powierzały w wielkiej tajemnicy. Oczywiście nie miałam z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Roba i mnie połączyło uwielbienie osoby Luciena, lecz poza tym niewiele mieliśmy wspólnego. Bądź też chcieliśmy

tak myśleć. Pozory może i było łatwo zachować w dzieciństwie, jednakże kiedy wkroczyliśmy w wiek dojrzewania, zaczęły się przysłowiowe schody. Parę razy zauważyłam, jak Rob przygląda mi się ukradkiem, bynajmniej nie z braterskim błyskiem w oku. Nasze przepychanki z czasem stały się jeszcze bardziej fizyczne, obnosiliśmy z dumą swoje siniaki i zadrapania, chętnie je sobie nawzajem pokazując.

Lucienowi taka sytuacja odpowiadała. Chociaż w rzeczywistości był troskliwym starszym bratem, wśród obcych przybierał maskę i traktował mnie, jakbym była podczłowiekiem, co oczywiście wzbudzało we mnie protest i łzy, mimo że w głębi duszy się z nim zgadzałam. Obaj chłopcy zaczęli interesować się płcią przeciwną stosunkowo późno, cóż z tego jednak, skoro ja byłam wtedy niezdarną i zakompleksioną dwunastolatką. Nie mogłam znieść swojego widoku i wolałam się całymi dniami nie czesać, niż zerknąć w lustro i zobaczyć te wielkie oczy wyzierające z obcej nagle twarzy, która utraciła gdzieś dziecięce krągłości, nie uzyskując niestety nic w zamian. Lucien chcąc mnie podnieść na duchu zauważył, że z malarskiego punktu widzenia jestem interesująca, lecz nawet w tak młodym wieku zdawałam sobie sprawę, że jest to mizerny komplement, a granica pomiędzy „interesująca” a „brzydka jak noc” jest płynna. Poza tym nie miałam złudzeń, po której stronie tejże granicy się plasuję, do czego wydatnie przyczyniła się moja rodzona matka, karmiąc mnie odzywkami w stylu „biedna Jane...”

Cztery lata później zaczęłam się wreszcie przeistaczać z brzydkiego kaczątka w może nie łabędzia, ale chociaż znośną kaczkę krzyżówkę. Niestety w tym samym czasie na scenie znów pojawiła się Esme, a jej wejście było imponujące, podobnie jak ona sama. Ileż to razy Rob mi opowiadał, jak o mały włos wypadłby z okna akademika, kiedy ją zobaczył w Oksfordzie — idącą ramię w ramię z jej ówczesnym amantem (długo nie zagrzał przy tym ramieniu miejsca), ubraną w artystowskie ciuchy (pracowała w londyńskiej galerii), długonogą, o cerze bez skazy, głębokich aksamitnych oczach, otoczoną aurą pewności siebie, której mogłam jej tylko pozazdrościć. Nic dziwnego, że Rob z miejsca się w niej zadu-

rzył. Żadna inna dziewczyna przed nią nie zdołała wystawić wieloletniej przyjaźni Roba i Luciena na próbę, choć gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że Esme na pewno nie uczyniła tego celowo. Ale wracając do tematu: jako że przy niej nie miałam szans na wygraną w kategorii piękna czy dobroci charakteru, zdecydowałam się ustanowić własną kategorię i zeszpecić do reszty, co jest zadaniem trudniejszym, niż większość ludzi sądzi. Ogoliłam głowę, kazałam wytatuować kruka na ramieniu, używałam czarnej kredki do oczu i ust i unikałam tamtej wspaniałej trójki, jak tylko mogłam.

Rob i Lucien kończyli właśnie college, toteż nie miałam wielu okazji, by ich widywać, i nie byłam świadkiem spiknięcia się Roba z Esme. Ani też rok później, kiedy Rob podjął studia magisterskie w Londynie, a Lucien trwonił czas, próbując zdecydować, co ma dalej ze sobą robić, nie byłam przy tym, jak Esme nagle przestała być sympatią Roba i zaczęła chodzić z Lucieniem. To wtedy Rob nieoczekiwanie zwrócił swoje zainteresowanie w moją stronę. Z początku mile mnie to polechtało, myślałam, że wreszcie przejrzał na oczy i dał upust długotrwałemu uczuciu, szybko jednak dotarła do mnie bolesna prawda. Rob potrzebował mnie dlatego, że tylko ze mną mógł rozprawiać o Esme.

Nie była to miła świadomość.

— Cześć! — witał mnie radosnym głosem, kiedy do mnie dzwonił, a ja za każdym razem dawałam się na to nabrać. — Co powiesz na kolację dziś wieczorem?

Przyjmowałam propozycję, spotykaliśmy się w restauracji, Rob zadawał mi parę pytań — jak się miewam, czym się ostatnio zajmuję — a ja powoli się odprężałam. Jednakże już po drugim czy trzecim kieliszku wina przechodził do rzeczy. „Ciekawe, co Esme...”, „Czy kiedykolwiek wspominałem ci, jak Esme i ja...” itede, itepe. Nieważne, jak bardzo się starałam, by zmienić temat rozmowy, Rob zachowywał się jak uparta igła kompasu i zawsze odnajdywał azymut — to znaczy Esme. Chwilami odnosiłam wrażenie, że przy stoliku siedzi moje ciało, ale mój umysł błędził gdzieś obok, wyparty przez wszechobecnego ducha Esme. Zażartowałam nawet, że czuję powiew Banquo, i przysunęłam trzecie krzesło, ale Rob tylko

na mnie popatrzył nierozumiejącym wzrokiem. Wraz z upływem minut zaczynałam się bać, że tracę ostrość, rozmywam się na konturach i że jeśli nie wykażę czujności, całkowicie zniknę... Złość przychodziła dopiero potem, w domu.

— A ja?! — zawodziłam za zamkniętymi drzwiami pokoju. — Dlaczego nie potrafisz zobaczyć mnie?

I tak to się toczyło do pewnego niedzielnego letniego popołudnia, kiedy wybraliśmy się na spacer po Hyde Parku. W pewnym momencie Rob się zatrzymał, przybrał swój zwykły, smutno-zamyślony wyraz twarzy i zaczął zboliałym głosem:

— Zeszłej zimy przychodziłem tu z Esme dzień w dzień. Było pełno śniegu i urządzaliśmy sobie śnieżkowe bitwy, wozilem ją na sankach i...

— Przestań! — przerwałam mu z pasją. Zrobiło mi się gorąco, po części z powodu upału, a po części z wrażenia, że odważyłam mu się sprzeciwić.

— Mam tego dość!

— Słucham? — zdziwił się Rob.

— Jeśli wszystko czego pragniesz, to na okrągło bełkotać o Esme... Esme to, Esme tamto, ja i Esme sramto — przedrzeźniałam go — to proszę bardzo. Tyle że musisz znaleźć sobie kogoś, komu będziesz płacił za wysłuchiwanie tych bzdur, albo spraw sobie dyktafon. Ja się wypisuję! Nie zniosę ani jednego więcej wspomnienia na temat wspaniałej Esme! Rob stężał.

— Przecież powiedziałem tylko...

— Wiem, co powiedziałaś! Słyszałam to tysiąc razy! Esme na śniegu, Esme na plaży, naćpana Esme, pijana Esme, Esme w sklepie z antykami... Rzygać mi się już od tego chce! Nie obchodzi mnie, czy zdobędzie Nagrodę Nobla czy wyjdzie za papieża, nie chcę o niej słyszeć!!

Twarz Roba przypominała teraz chmurę gradową. Spokojnym głosem powiedział, że nie zdawał sobie sprawy, że pewne tematy są w naszych rozmowach zakazane. Przeprosił, że nie pomyślał, iż napomknięcie o wspólnej znajomej wymaga wpierw uzyskania ode mnie pozwolenia na piśmie. A potem wybuchnął, że nie rozumie, skąd u mnie nagle taki przejaw braku wrażliwości. Gdzie mój rozsądek, pytał. Wreszcie

się uspokoił i poinformował mnie, że skoro jego towarzystwo jest mi tak bardzo niemiłe, już mnie od siebie uwalnia.

- No i dobrze — warknęłam, bo cóż innego mogłam powiedzieć, zwłaszcza że akurat się odwracał i pokazywał mi plecy.

Patrzyłam za nim i powoli docierało do mnie, dlaczego dotąd bez szemrania godziłam się z takim traktowaniem. Dlaczego pozwalałam, by wykorzystywał mnie jako ścianę płaczu, fantom ukochanej kobiety, powierniczkę jego złamanego serca. Otóż dlatego, że chciałam być z Robem, nawet wtedy gdy non stop mówił o Esme, i nie potrafiłam sobie wyobrazić życia bez niego.

Ku mojemu zdumieniu nazajutrz zatelefonował do mnie do pracy.

Łamiącym się głosem wyznał, że nie zdawał sobie sprawy, że zachowuje się jak ostatni egoista. Kajał się, że mimo woli próbował po moich plecach wyjść z dołka po nieudanym romansie z Esme. Powiedział też, iż wydaje mu się, że już mu przeszło, że wyleczył się z Esme na dobre, i że chciałby mnie przeprosić osobiście i uczcić początek nowego życia.

Krótko mówiąc zaprosił mnie na kolację. Naturalnie zgodziłam się.

Ostatnie dni były niezwykle gorące i ciepło w powietrzu utrzymywało się długo po zachodzie słońca. Włożyłam obcisłą sukienkę i sandaalki z cienkich pasków skóry i kiedy wychodząc z mieszkania, rzuciłam okiem w lustro, zobaczyłam niebrzydka, pewną siebie kobietę. Kobietę atrakcyjną na tyle, że bez obaw zniosłaby wspominki swego mężczyzny na temat niezrównanej poprzedniczki. Rob jednak nie zająknął się o niej ani słowem, całą uwagę poświęcając mnie. Gdzieś w połowie kolacji zorientowałam się, że mnie uwodzi, co podziałało na mnie silniej niż wypite wino. A jednak na jego pytanie, czybym nie wpadła do niego na kawę, odpowiedziałam: „Może następnym razem”. Przemiana, jaka się w nim dokonała, była zbyt nagła, bym mogła uwierzyć, że kochając się ze mną, nie będzie myślał o Esme. Na pożegnanie pocałował mnie delikatnie w usta, tak że niemal zmieniłam zdanie, i zapytał:

— Na pewno mówiłaś poważnie o następnym razie?

— Tak — odparłam, przekonując się w duchu, że dzień czy dwa zwłoki w niczym nie może zaszkodzić.

Rob poinformował mnie, że wyjeżdża na weekend, toteż umówiliśmy się na niedzielę wieczorem. Najbliższe dwie doby minęły mi jak we śnie, tak słodkie było oczekiwanie. Upał w mieście nasilał się; w rozgrzanym powietrzu Londyn migotał jak fatamorgana, kurz dławił w piersiach, gorąc nie dawał zmrużyć oka. Niczym zakochana po raz pierwszy nastolatka większość czasu spędziłam w łazience, nie zauważając, kiedy wrząca woda stawała się letnia; krążąc po ulicach, aby zaczerpnąć powietrza i zająć umysł czymś innym niż nadchodzące spotkanie, patrzyłam na wszystko z zachwytem i bez uprzedzeń. W środku nocy leżałam bezsennie w swoim łóżku, zbyt naładowana energią, by zasnąć, i zbyt rozleniwiona upałem i emocjami, by na czymkolwiek się skupić. Ten stan upojnej radości przerwała wiadomość, że mój brat, Lucien, miał wypadek w górach. Zsunął się ze stromego zbocza, został przewieziony do szpitala, ale na razie nikt nie potrafi powiedzieć, jakie ma szanse przeżycia.

Moją pierwszą myślą było, że Lucien znowu pokrzyżował mi szyki. Oczywiście wkrótce dotarła do mnie cała groza sytuacji, wsiadłam w pociąg i udałam się do Dorsetu, gdzie leżał na oddziale intensywnej terapii. Jadąc przez niecodziennie pustynny krajobraz byłam przekonana, że moje *rendez-vous* ulegnie tylko niewielkiemu przesunięciu w czasie. Skąd mogłam wiedzieć, że Rob zniknie z mojego życia, zostanie z niego do szczętu wymazany, jakby to on, a nie Lucien, spadł z kamienistego klifu w przepaść.

Ogień dogasał. Rob posapywał przez sen. Patrzyłam na niego i nie mogłam wyjść z podziwu, że człowiek z wiekiem nic a nic się nie zmienia, zarazem zmieniając się całkowicie. Skórę na twarzy miał grubszą i bardziej szorstką, poraną zaczątkami zmarszczek — głównie wokół oczu i ust; policzki zapadnięte i szczuplejsze niż kiedyś; sylwetkę węższą niż wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni. Równocześnie jednak był znajomy aż do bólu. Wydawało mi się, że wystarczy wyciągnąć doń rękę i go dotknąć, a znów będziemy dziećmi.

Wszyscyśmy, cała moja rodzina, nawet Erie, obdarzali go pełnym zaufaniem i traktowali jak członka rodziny — i dlatego tym trudniej było nam się pogodzić z jego dezercją. Na ogół niezdolna przyznać rację Faith w czymkolwiek, obiema rękami podpisywałam się pod stwierdzeniem, jakie nieraz padło z jej ust po śmierci Luciena: „Ależ Rob był mi niczym drugi---” — tu urywała, nie potrafiąc wyartykułować słowa „syn”, by zresztą dokończyć: „niczym siostrzeniec. Należał do rodziny. Jak mógł nas tak po prostu opuścić w potrzebie?”

Gdyż właśnie to zrobił, nie było na jego zachowanie innego, mniej dosadnego określenia.

— Rob, wszyscyśmy rozumieli, czemu nie przychodziłeś do szpitala. Staraliśmy się sobie jakoś wytłumaczyć, dlaczego nie zjawileś się na pogrzebie. Ale potem... potem mogłeś zwyczajnie podnieść słuchawkę telefonu, wybrać nasz numer i dać znać, co u ciebie. Mogłeś nam przysłać kartkę na święta, pokazać, że o nas nie zapomniałeś. Nawet po takiej tragedii ludzie nie przestają żyć, wiesz? Nie wolno wymazać ich z pamięci ot tak, dla kaprysu czy własnej wygody. To niesprawiedliwe... — Słyszałam swój głos i irytowały mnie pobrzmiewające w nim płaczliwe nutki, lecz mimo to powtórzyłam: — To bardzo niesprawiedliwe. — W odpowiedzi Rob chrapnął głośniej. — Na litość boską, powiedz, co się z tobą stało?! — W dalszym ciągu żadnej odpowiedzi.

Wstałam. Ogień dawno wygasł i w domku zrobiło się nieprzyjemnie zimno, ale ja nie miałam siły szukać polan. Prawdę powiedziawszy czułam się tak, jakbym już nigdy nie miała mieć na nic siły. Nogi się pode mną uginały, w głowie waliło.

Podeszłam do Roba i się nad nim nachyliłam. Sen wygładził mu twarz, zniknęło gdzieś czające się wcześniej napięcie, a wraz z nim zniknęły dzielące nas lata. Przed sobą miałam człowieka, którego dobrze znałam. Uklękłam przy kanapie, wdychając jego zapach, mieszaninę woni schnącego przy kominku ubrania i wciąż lekko mokrych włosów — pachniał jak małe dziecko, które spędziło wieczór przy ognisku, a potem wzięło długą gorącą kąpiel. Z wolna wzbierało we mnie uczucie. Uczucie i wdzięczność za to, że utracona zdałoby się bezpowrotnie część mego życia została mi przywrócona,

i nieważne, czy za sprawą cudu czy wypadku. Istotne było to, że tylko Rob darzył Luciena miłością tak głęboką jak moja. Tylko on potrafił zrozumieć, co dla mnie znaczyła ta strata. Wyłącznie z nim mogłam dzielić swój smutek i żalobę.

Ujęłam jego dłoń i delikatnie przycisnęłam do swojego policzka. Nie obudził się, lecz odwrócił na drugi bok, cofając rękę. Naszła mnie chęć, by go zbudzić. Rzucić mu prosto w twarz frustrację nagromadzoną przez lata. Jak on śmiał opuścić mnie, gdy potrzebowałam go najbardziej! Kiedy cień dawnego gniewu minął, całkiem poważnie rozważyłam, czy-by nie skulić się koło niego na kanapie, cóż z tego, że małej i niewygodnej, byle tylko nie dopuścić do jego ponownego zniknięcia. Jeśli już miał ponownie mnie zostawić, najpierw muszę mu wygarnąć prawdę o cierpieniu, jakiego nam wszystkim przysporzył. Opamiętałam się jednak. Byłam potwornie zmęczona. Wstając, powiedziałam jeszcze:

— Rob, ty draniu! — ale epitet, teoretycznie mający go obrazić i dotknąć do żywego, wypadł dosyć przyjaźnie.

Pomimo wyczerpania wciąż potrafiłam trzeźwo myśleć i olśniło mnie, że jego dotychczasowe wyjaśnienia za nic nie chcą się ułożyć w przekonującą całość. Przez ułamek sekundy byłam bliska oskarżenia go, że to on zaatakował Esme — w końcu nie od dziś wiadomo, że w wypadkach takich jak ten to właśnie mężowie, narzeczeni czy kochankowie są najbardziej podejrzani. Wtedy jego strach przed policją byłby zrozumiały. A ja pomagałabym mordercy. Zaraz jednak odgoniłam od siebie tę myśl; znałam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie jest zdolny do popełnienia morderstwa.

Poszłam na górę po narzutę z któregoś z łóżek i zniosłam ją, żeby okryć Roba, nim sama się położę. Zdjęłam mu nawet buty, a on zamruczał coś przez sen, ale się nie przebudził — przypuszczałam, że nie obudziłyby go nawet trąby jerychońskie.

Leciałam z nóg i naprawdę z wielkim trudem zwalczyłam pokusę, by ze stołu posprzątać dopiero rano, nie chciałam jednak zostawiać potencjalnych śladów, że poprzedniego wieczoru w domku jadły dwie osoby. Pozbierałam nakrycia

i włożyłam je do zlewu, przyrzekając sobie w duchu, że umyję je jak najszybciej. Sprawdziłam jeszcze, czy drzwi są dobrze zamknięte, a okna szczelnie zasłonięte, i ponownie udałam na piętro.

Zdawałam sobie sprawę, że powinnam opracować plan na następny dzień, lecz nie byłam w stanie dłużej walczyć z ogarniającym mnie zmęczeniem i sennością. Wsunęłam się do swej dawnej sypialni i położyłam do tego samego łóżka, w którym sypiałam jako dziewczynka. Naciągając koc na głowę pomyślałam, że powinnam była oblec pościel, i obiecałam to zrobić jutro. Tymczasem dałam się ukołysać do snu odwiecznemu szumowi rzeki.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy otworzyłam oczy, Rob siedział na skraju mojego łóżka, a przez zaparowane szyby przedzierało się słabe światło słoneczne. Usłyszałam ciche:

— Jane, pora wstawać — pewnie ostatnie z całej serii. Wyciągnęłam spod koca rękę i wykręcając nadgarstek tak, by padło nań jak najwięcej światła, sprawdziłam, która godzina. Dochodziła ósma.

— Tak wcześnie? — jęknęłam. Roba rozpierała energia.

— Jestem na nogach już od paru godzin. Ty też powinnaś wstać, masz wiele do zrobienia.

— Wydawało mi się, że wszystko zrobiłam wczoraj.

— Tak, ale dzisiaj jest nowy dzień. Naciągnęłam koc na głowę, mamrocząc przy tym:

— Jesteś taki sam jak Owen. — Łóżko skrzypnęło i Rob zaczął przemierzać pokój tam i z powrotem. Zerknęłam na niego spod koca i zobaczyłam wypoczętego mężczyznę, z obawą wyglądającego przez okno i nieświadomie przy tym postukującego o zakurzony parapet. Sen nie uśmierzył jego niepokoju, ale niewątpliwie postawił go na nogi i obdarzył niespożytą energią. Oburzyłam się na tę niesprawiedliwość losu, kiedy poczułam skutki wczorajszego pofolgowania sobie przy kolacji; makaron ciążył mi na żołądku, podczas gdy głowę spowijały wręcz namacalne opary wina. Byłam jednak na tyle przytomna, że syknęłam: — Odejdź od okna, głupolu. Ktoś może cię zobaczyć.

— Nie marudź, Jane. Jesteśmy na pierwszym piętrze, a poza tym okno zasiana całkiem spora jabłoń. Chodź, zrobiłem śniadanie.

— Nie chce mi się jeść.

— Za pięć minut masz być na dole — usłyszałam.

Przymknęłam oczy licząc, że sen powróci, lecz ku własnemu zdziwieniu stwierdziłam, że nie mogę się doczekać wypadków nadchodzącego dnia. Rażno wyskoczyłam z łóżka i pobieżnie się ogarnawszy, zesłam na parter. Rob nie kłamał mówiąc, że jest na nogach od paru godzin — kuchnia lśniła czystością, po wczorajszej libacji nie pozostał nawet ślad, a na stole czekały na mnie świeże tosty, jajecznica i sok. Sam stół zaś nakryty był obrusem w kratę! Na szczęście gospodarskie zapędy Roba na tym się skończyły — okna pozostawił szczelnie zasłonięte, toteż byliśmy bezpieczni: nasza tajemnica i moja głowa. Niestety na mój widok Rob podszedł do radia i je włączył; świdrujący głos spikera podającego najświeższe wiadomości z kraju i ze świata sprawił, że pod czaszką boleśnie mi zadudniło. Czym prędzej sięgnęłam ręką i ściszyłam odbiornik.

— Ma zagłuszyć naszą rozmowę — wyjaśnił beznamiętnie Rob i nie zważając na moje protesty ponownie przekręcił gałkę.

Przyglądał mi się, jak jem, z czego wywnioskowałam, że albo zdążył już skończyć śniadanie, albo nie ma apetytu. W ciągu zaledwie jednej nocy zmienił się nie do poznania; pokładów energii, jaką emanował, nie powstydziliby się całe stado koni wyścigowych, z jego twarzy zniknął wyraz wycieńczenia, ręce już mu się nie trzęsły... Minionego dnia czułam się kompetentna przy jego słabości. Dziś musiałam się poddać jego silnej woli.

— Zatem co mam zrobić? — spytałam.

— Musisz znaleźć pamiętnik Esme — odparł bez chwili wahania.

Obrzuciłam go powątpiewającym spojrzeniem. Może i czuł się znacznie lepiej, ale z pewnością na to nie wyglądał — ubranie miał jeszcze bardziej wymięte niż wieczorem, szczękę zarośniętą niczym neandertalczyk.

— A może najpierw pójde do miasteczka po przybory do golenia i jakieś riowe ciuchy dla ciebie? — zaproponowałam.

— To może poczekać — uciał stanowczo. — Najważniejszy jest pamiętnik.

Westchnęłam, godząc się w duchu z tą zamianą ról. Rob, nie mogąc usiedzieć na jednym miejscu, poderwał się, gdy tylko odłożyłam sztuce, i zaczął sprzątać ze stołu.

— A co ty będziesz w tym czasie robił?

— Bóg raczy wiedzieć — odrzekł. — Zresztą nie mam wielkiego wyboru, prawda? Pozostaje mi czaić się na pięterku i czekać na ciebie... Mam tylko nadzieję, że przy tym nie zwariuję — wzruszył ramionami i zaczął zmywać.

Wzięłam ze stołu ostatnie brudne naczynia i zaniiosłam je do zlewu.

— Ale na jakiej podstawie sądzisz, że ten pamiętnik w ogóle w czymś pomoże? Pewnie nie zawiera żadnych nazwisk, a nawet jeśli...

Rob odwrócił się do mnie i krzyknął zapalczywie:

— To mój problem! Ty masz go po prostu znaleźć!

— W dalszym ciągu czegoś nie rozumiem... — myślałam na głos. — Skoro jesteś taki pewien, że pamiętnik pomoże odnaleźć sprawcę, powinieneś podzielić się tą informacją z policją, a już oni by przeprowadzili fachową rewizję i...

— To najgłupszy pomysł, o jakim w życiu słyszałem! — wybuchnął.

Twarz najpierw mu zbladła, a potem wypłynął na nią krwisty rumieniec.

— Niby czemu? — broniłam się.

— Jane, przestań tracić czas i przynieś mi ten pamiętnik! — Z brzękiem odstawił na suszarkę ostatni talerz i podszedł do wieszaka, na którym wisiała moja kurtka. Chwilę potem zarzucił mi ją na ramiona. Kiedy pchał mnie w stronę drzwi, byłam bliska powiedzenia mu, że mam w nosie jego teorię spiskową i że niech sam sobie szuka pamiętnika do usranej śmierci, ale coś mnie powstrzymało. Może sprawiły to jego kurczowo zaciśnięte na moich ramionach palce, a może ton głosu, którym przemówił.

— Bez względu na wszystko, Jane, pod żadnym pozorem nie wolno ci zaglądać do tego pamiętnika. Rozumiesz?! — zapytał natarczywie. Wyrwałam mu się.

— A właśnie, że nie rozumiem! Niby jak mam poznać, że to ten pamiętnik, skoro nie wolno mi do niego zajrzeć? Poza tym niedawno mówiłeś, że istotne jest to, co tam napisano, więc co za różnica, kto... Rob uniósł dłonie do góry. Zaczerpnął powietrza i długo je wypuszczał z płuc. Wreszcie, wyraźnie się uspokoiwszy, powiedział:

— Przepraszam, Jane. Naprawdę cię przepraszam. Spróbuj jednak spojrzeć na sprawę z mojego punktu widzenia. Nie mówimy o jakimś tam pamiętniku, tylko o pamiętniku Esme. O jej najskrytszych, najintymniejszych zwierzeniach, których nie potrafiła z nikim dzielić, ani ze mną, ani ze swym terapeutą. Przecież wiesz, jaka zawsze była skryta. To znaczy, jaka jest skryta... — poprawił się szybko. — Jeśli się dowie, że ktokolwiek czytał jej pamiętnik, załamie się jak nic. Wiem, teraz leży w szpitalu, nieprzytomna, ale to nie oznacza, że można ją odrzucić z godności. Nie mogę na to pozwolić!

— Ale...

— Być może zapomniałaś, jak bardzo emocjonalnie Esme do wszystkiego podchodzi. Ja jednak mieszkałam z nią przez ostatnie pół roku i zaręczam ci, że gdyby się dowiedziała, że ty albo banda obcych policjantów czy w ogóle ktokolwiek poznał jej tajemnice, byłaby wstrząśnięta, co w jej obecnym stanie ducha mogłoby się okazać wyjątkowo niebezpieczne. Dlatego zaklinam cię na wszystkie świętości: nie zaglądać do tego pamiętnika dla niej, nie dla mnie... — Nie podobało mi się, że Rob włożył mnie do jednego worka z bandą obcych policjantów, lecz zdawałam sobie sprawę, że dalsza sprzeczka na ten temat do niczego nas nie doprowadzi. Na dodatek Rob jeszcze dodał: — Postaw się na jej miejscu.

— No dobrze — odparłam niechętnie, zapinając kurtkę. — Postaram się z tym uwinąć.

— I na pewno nie zajrzysz do środka?

— Nie, chyba że...

— Obiecuj mi to, Jane.

— Obiecuję.

Dopiero wtedy Rob wyraźnie się rozluźnił i nawet lekko uśmiechnął.

— No to udanego polowania — pożegnał mnie krótko. Nie odpowiedziałam mu. Ani przez moment nie chciałam wątpić w jego szczerość i uczciwość, niemniej budziły się we mnie podejrzenia. Po co ten melodramatyzm w jego głosie? Dlaczego czuję się oszukana? myślałam, wychodząc w rześkie poranne powietrze.

Dzień zapowiadał się mroźny. Mżawka ustała, a gęsta jak mleko mgła powoli opadała ku ziemi, przepuszczając coraz więcej światła. Jak tylko odeszłam na tyle, że mogłam mieć pewność, iż Rob mnie nie widzi z okna Glory Cottage, przystanęłam, aby odzyskać panowanie nad sobą. Podczas rozmowy udzieliła mi się jego nerwowość i teraz musiałam zaczerpnąć kilka głębokich oddechów, żeby wyrównać oszalały rytm bicia serca. Nieoczekiwanie wróciło poranne podniecenie czekającą mnie przygodą, sama przed sobą musiałam przyznać, że cieszy mnie ta ucieczka od szarej codzienności, w której tkwiłam całymi latami, i nie miało większego znaczenia, iż powody, z jakich znalazłam się daleko od domu, są co najmniej dziwne.

Uspokoiwszy tętno, skierowałam myśli ku pani Wicks. To była główna przeszkoda na drodze do pamiętnika. Wyobraziłam ją sobie, jak siedzi niczym Cerber na progu pokoju Esme, i zaczęłam się usilnie zastanawiać, czym by zaprzątnąć jej uwagę, aby opuściła posterunek. Rozpatrując różne warianty i przypominając sobie wielorakie mity i legendy, wolnym krokiem ruszyłam w stronę rzeki, cały czas pamiętając o tym, by nie rzucać się w oczy. Szybciej, niż przewidywałam, doszłam do wciąż jeszcze zielonej łąki trawnika, rozciągającej się wokół wierzby i aż do szopy na łódź. Wszystko było mniejsze, niż pamiętałam z dzieciństwa, i co gorsza dorosłym oczom jawiło się jako zwykłe i nieciekawe.

Przykucnęłam i zacisnąwszy powieki starałam się odtworzyć magię sprzed lat, lecz na darmo. Z westchnieniem raz jeszcze omiotłam spojrzeniem

miejsce, w którym niegdyś z takim zapałem bawiło się pięcioro dzieci. Kątem oka pochwyciłam charakterystyczną sylwetkę łodzi, którą wyciągnięto na ląd wieki temu, toteż od tego czasu zdążyła zapaść się i obrosnąć chwastami. Prześlizgując się wzrokiem po zbutwiałej burcie poczułam żal, że nikt nie raczył roztoczyć nad nią właściwej opieki, chociaż mieliśmy za jej sprawą tyle frajdy. Nie raz nią popłynęliśmy czy to w górę czy w dół rzeki, choć nigdy daleko, gdyż w odległości paru mil w jedną czy drugą stronę rozpoczynały się zabudowania, a to nie pasowałyby do naszej fantazji, że mamy we władaniu dzikie i niezamieszkałe tereny. Do szczęścia wystarczała nam krótka przejażdżka wzdłuż otwartych pól, najdalej do lasku, przy którym rzeka rozlewała się szeroko, tworząc płaskie kamieniste brzegi. Za nic nie chcieliśmy wracać do zurbanizowanej niewoli.

Stara, wierna łajba, pomyślałam z uśmiechem. Ochrzciliśmy ją „Marie Celeste” i udawaliśmy, że to rzymska galera, okręt starego żeglarza. Z tego co pamiętam, Lucien miał lekkiego bzika na punkcie tego wiersza, który jakiś czas temu przerabiał w szkole, podczas gdy reszta z nas kręciła nań nosem dlatego, że nie oferował zbyt wielu ciekawych ról. Starym żeglarzem został oczywiście Lucien, albatrosem zaś nieszczęsny Śnieżynka Dwa, którego mało co potrafiło wyprowadzić z równowagi tak długo, jak długo mógł pogryzać swój ulubiony mlecz. Lecz co zostawało dla nas?

— Leżały martwe tylu ludzi,

O, jakże pięknych, ciała!

A tysiąc śliskich żyło stworów.

Ja także żyć musiałem — z przejęciem recytowałam Lucien.

Rob i Owen niechętnie przystali na propozycję, by odgrywać pięknych martwych ludzi, i potem marudzili, że wszystko co muszą robić, to leżeć i udawać trupy; poza tym nie podobało im się, że są określani słowem „piękni”. A co miałyśmy powiedzieć Esme i ja, kiedy przypadła nam w udziale rola tysiąca śliskich stworów? Jak dziś pamiętam, że byłam z tego powodu głęboko nieszczęśliwa.

Nic dziwnego, że wszyscyśmy odetchnęli z ulgą w dniu, gdy Lucien ogłosił, że ma dość „Pieśni o starym żeglarzu”. Zaraz wszakże wystąpił z propozycją nowej zabawy: w morderstwa. Rob wyraził swój zachwyt, jak zawsze zresztą (nie przypominam sobie, by kiedykolwiek sprzeciwił się Lucienowi), natomiast Owen postawił się wtedy mówiąc, że obmyślanie sposobów czyjejś śmierci to głupota i że ma lepsze rzeczy do roboty. Popatrzyliśmy na niego jak na wariata — kto to widział krytykować Wielkiego Luce'a?! W milczeniu przyglądaliśmy się odszczepieńcowi, jakbyśmy właśnie zobaczyli go po raz pierwszy w życiu. Dotąd jawił się nam jako uosobienie wrażliwości, z tymi swoimi delikatnymi rysami i smukłymi palcami; nagle ujrzyliśmy jego prawdziwą naturę i jego iście ośli upór. Z zapartym tchem czekaliśmy na reakcję Luciena, któremu groziła haniebna utrata autorytetu.

— Dlaczego? — wycedził, mrużąc paskudnie oczy. Owen zastanowił się dobrze, nim odpowiedział.

— Bo niszczyć jest łatwo. Cała sztuka polega na tym, by coś stworzyć.

— Chryste! — wykrzyknął Lucien. — Ale z ciebie świętoszek!

Jego oskarżenie było tak nieadekwatne, że nawet my to rozumieliśmy, toteż nie podchwyciliśmy go i nie stanęliśmy po stronie naszego prowodyra. Nie do końca jednak zdawaliśmy sobie sprawę z wagi sytuacji; dopiero teraz, z perspektywy lat, widzę, że Owen zyskał wtedy w oczach Luciena szacunek, nawet o tym nie wiedząc. Ba, nawet o niego nie zabiegając — i to właśnie było kluczem do jego sukcesu; gdyby bowiem cokolwiek chciał osiągnąć przeciwstawiając się Lucienowi, przegrałby z kretesem i ciężko to odpokutował. A tak wzruszył tylko ramionami i zostawił nas, byśmy sami bawili się w głupią jego zdaniem zabawę w morderstwa.

Wystarczyło kilka dni, bym z nostalgią wspominała proste życie śliskiego stwora. Nawet jako dziecko widziałam, że obsesja Luciena jest niezdrowa i niebezpieczna.

Kiedy tak kucałam, pogrążona we wspomnieniach, przejaśniło się zupełnie i promienie słońca zaigrały na pokrytych rosą źdźbłach trawy i listkach wierzby. Gdzieś nad moją głową

kos rozpoczął koncert, a jego wesołe trele w ułamku sekundy zagłuszyły monotony szum rzeki i maszynierii przepompowni.

Śpiew ptaków, rzeka i Muły — niemal mogłam uwierzyć, że przeniosłam się w czasie.

Panią Wicks zastałam w drzwiach, nie siedziała jednak na progu, tylko go zamiatała, co uznałam za dobry omen, chociaż wyraz jej twarzy nie rokował memu przedsięwzięciu powodzenia. Uniosłam kąciki ust, starając się przybrać minę kogoś, kto z chęcią wysłucha narzekań na korzonki, artretyzm czy co tam ją pokręciło.

— Dzień dobry, pani Wicks — powiedziałam rażno. — Jak się pani dzisiaj miewa?

— Nie najgorzej, dziękuję — odparła stękając. Zarzuciłam beztroski ton.

— A czy były jakieś wieści? — spytałam poważnie. — Co z Esme?

Spojrzała na mnie tępo. Wprawdzie miała tylko jedną głowę, ale za to oczy zrobiły się jej wielkie jak u Wilka z bajki o Czerwonym Kapturku.

Nerwowym gestem napuchniętej dłoni poprawiła zapięcie beżowego kardiganu.

— Nadal jest w śpiączce i na nic nie reaguje. Byłam u niej zeszłego wieczoru, a ona, biedactwo, nawet o tym nie wie... Jej ojciec mówi, że dokłada wszelkich starań...

Zabrzmiało to tak, jakby nie wierzyła w najlepsze chęci starego Drummonda. Nie dałam po sobie poznać złości i gorączkowo starałam się dokopać w pamięci, co takiego robił Owen, że zyskał sympatię tej hetery.

Tymczasem zafrasowanym głosem zapytałam:

— No właśnie, a jak sobie radzi pan Drummond?

Czy mi się wydawało, czy w jej marmurowozimnych oczach błysnęła iskierka ciepła?

— Robi, co może — odparła sucho.

— Jest w domu?

— Jest w szpitalu!

— Biedny! Pewnie wciąż jeszcze nie otrząsnął się z szoku...

Ruchy miotły stały się bardziej zamaszyste.

— Przyniosłaś latarkę?

Niech to szlag! zakląłam w myśli.

— Ojej, zupełnie zapomniałam. Czy mam się po nią wrócić?

— Jak chcesz.

Chyba wszystko zepsułam. Po krótkiej wymianie zdań była w gorszym humorze, niż kiedy się pojawiłam, poza tym moje próby udobruchania jej spęły na niczym. Porzuciłam więc temat latarki i jakby nigdy nic spytałam:

— Jak pani myśli, czy pan Drummond miałby coś przeciwko, żebym sobie pożyczyła książkę albo czasopismo z pokoju Esme?

— Hmm...

Po dłuższej chwili uświadomiłam sobie, że to przeciągłe „hmm...” było całą odpowiedzią.

— Och, dziękuję. To mi zajmie tylko minutkę.

— Za pół godziny wychodzę na zakupy — oświadczyła, a ja niemal podskoczyłam z radości.

— Proszę się nie martwić, zawsze mogę sama wyjść i zatrzaskać drzwi.

— Nie wydaje mi się — powiedziała. — Zamknę je za tobą na klucz. W okolicy roi się od włamywaczy, a poza tym nie mam zamiaru tłumaczyć się panu Drummondowi, dlaczego pozwoliłam komuś obcemu szwendać się po domu.

W gardle mnie ścisnęło, toteż nie odezwałam się od razu. Przy schodach odwróciłam się, żeby zapytać:

— Pokój Esme to ten przy łazience, prawda?

— Tak. Wciąż ten sam.

Na schodach rozłożony był chodnik w paski, wyglądający na nowy.

Uprzytomnił mi, jak niewiele zmian zaszło w Martin's Court na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat — wokół stały te same meble, na ścianach wisiały te same obrazy, nadal panowała atmosfera zimna i surowości. Właściwie jedyny cieplejszy akcent stanowiło różnobarwne światło przebijające przez witrażowe okno u szczytu schodów.

Drummondowie zawsze mieli opinię skner, ale prym wiodła Clare, matka

Esme; nieco mnie zdziwiło, że po jej śmierci stary Drummond nie chciał nic zmienić.

Idąc po schodach, przez na poły otwarte drzwi rzuciłam okiem do salonu (wywoskowany na wysoki połysk parkiet, kilka zapadniętych foteli i parę czarno-białych grafik) i do gabinetu pana Drummonda (wielkie biurko i ściana zastawiona regałami z książkami). Oba pomieszczenia byłyby jeszcze bardziej przygnębiające, gdyby nie wysokie do sufitu okna, z których rozciągał się widok na schodzący ku rzece trawnik.

Wyżej schody się zwężyły i zakręcały pod dziwnym kątem, prowadząc na coś w rodzaju półpiętra, tyle że odpowiednio wysokiego, by pomieścić normalne pokoje. Po prawej była łazienka, a zaraz za nią sanktuarium Esme.

Delikatnie nacisnęłam klamkę i pchnęłam drzwi. Pokój był urządzony w podobnym stylu jak reszta domu: w rogu stało metalowe łóżko (zapewne wyszperane przez Clare na targu staroci), obok niego pod ścianą pomalowana na biało toaletka z drewnianym taboretom; na przeciwległej ścianie niewielka biblioteczka i biurko — i tak samo jak reszta domu wszystko pamiętało czasy dzieciństwa Esme. Zauważyłam też kilka oznak, że będąc nastolatką Esme podjęła starania, by uczynić swój pokój bardziej oryginalnym i mniej przypominającym celę więzienną: tu i ówdzie wisiał plakat, przy łóżku leżał nie najlepszej jakości hinduski dywanik. Były też ślady jej niedawnej bytności — na przykład z lustra toaletki wdzięcznie zwisała jedwabna apaszka.

Kiedy przysiadłam na brzegu łóżka, sprężyny metalicznie zajęczały. Potrzebowałam chwili, żeby zebrać myśli. Idąc tu, obawiałam się, że pokój, w którym Esme spędziła wiele lat życia, będzie tak naładowany jej obecnością, że ożywi to we mnie wspomnienia i sprawi, iż jej tragedia stanie się moją tragedią. Tymczasem okazało się, że właściwie Esme jest dla mnie obcą kobietą. Owszem, była moją koleżanką, z jej osobą wiążą się moje najintensywniejsze i najboleśniejsze wspomnienia, a jednak nigdy nie byliśmy ze sobą na tyle blisko, bym mogła nazwać ją swoją przyjaciółką. Prawdopodobnie kochał się w niej mój brat, ale nawet to nas do siebie nie zbliżyło. A potem, po

śmierci Luciena, zwyczajnie zniknęła z mojego życia. Otóż to: zwyczajnie, gdyż jej zniknięcie nie miało w sobie nic z dramatyzmu zniknięcia Roba. Zdaje się, że kilkakrotnie przysłała nam widokówkę czy kartkę na święta, raz czy dwa spotkała się z moją matką w Londynie, ale ja nie czułam potrzeby, by się z nią kontaktować.

Rob napomknął coś o tym, że Esme przeszła przez istne piekło — i trwało to latami — a przecież byli ze sobą od jakiegoś pół roku. Mówiąc o niej nie wyrażał się jak mężczyzna, którego dziewczyna trafiła w krytycznym stanie do szpitala. Coś mi coraz bardziej zgrzytało w jego wersji zdarzeń, z dala od jego charme'u i odzyskanej pewności siebie nabierałam przekonania, że zataja przede mną kluczowe informacje.

Z rozpaczą uprzytomniłam sobie, że jeśli Esme nie wyzdrowieje, nie będzie mi dane jej poznać naprawdę. Życie znów dało mi prztyczka w nos, pokazując, jak łatwo jest kogoś stracić, a wraz z nim czy nią utracić także część siebie. Faith nigdy mi się nie zwierzała jak matka córce, Owen na rozliczne sposoby pozostawał pięknym nieznajomym, a Lucien umarł, zabierając do grobu swój piąty sekret. Wiele lat temu Esme pojawiła się w moim życiu niczym przypadkowa nić w ściegu, lecz ani razu nie odkryła przede mną swej prawdziwej twarzy. Teraz jej grozi śmierć, mnie zaś to, że nigdy się nie dowiem, kim faktycznie była. Świadomość ta irytowała mnie na równi z niemożnością przejrzenia sztuczki magika, jak gdyby Esme celowo się przede mną ukrywała i opuszczała mnie bez słowa.

Z rozmyślań wyrwał mnie chrzęst żwiru na podjeździe: ktoś gwałtownie zatrzymał samochód. Przypomniawszy sobie cel wizyty, podeszłam do biblioteczki i przyjrzałam się stojącym na półkach książkom. Wszystkie miały powycierane brzegi i pozaginane rogi, jakby należały do zapalonego erudyty, ale przy bliższym przyjrzeniu się jednej czy dwóm wyszło na jaw, że pochodzą z groszowego antykwariatu, a poza tym ich zbiór był całkowicie przypadkowy. Wszelako nigdzie nie widziałam pamiątnika.

W drugiej kolejności zajęłam się biurkiem. W pierwszej szufladzie znalazłam kilka par skarpetek i notatnik kołowy,

z którego wyrwano połowę kartek. W drugiej mieścił się album ze zdjęciami — dokładnie z trzema stronami zdjęć, z czego większość uwieczniała Śnieżynkę (mnie nie było na ani jednej fotografii) — i parę zagranicznych znaczków luzem. W szufladzie na samym dole leżał zaczytany komiks. Tracąc powoli nadzieję, postanowiłam jeszcze przeszukać toaletkę — i *voilà* ! natychmiast natknęłam się na pamiętnik. Był schowany w ostatniej szufladzie (tym razem zaczęłam od końca), i nie potrzebowałam duszy detektywa ani szóstego zmysłu, aby od razu go rozpoznać. Ukryty pod warstwą swetrów gruby brulion w jasnoniebieskiej twardej oprawie z wykaligrafowanym na okładce tytułem: „Mój testament” nie pozostawiał wiele wątpliwości. Zastanawiałam się właśnie, jak by tu przeschmuglować taki rzucający się w oczy obiekt tuż pod nosem pani Wicks (która także nie potrzebowała szóstego zmysłu — alarm przeciwwłamaniowy miała w standardzie), kiedy na schodach rozległy się czyjeś kroki. Spanikowana cisnęłam pamiętnik z powrotem do szuflady i zatrzasnęłam ją z hukiem, po czym zawirowawszy na pięcie rzuciłam się do biblioteczki i pochwyciłam naręcze tanich wydań kieszonkowych, z czego w rękę zostały mi tylko dwie książki. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wkroczył mężczyzna, w którym mimo upływu lat rozpoznałam Johna Drummonda. Chociaż cztery kolejne lata spędziłam mieszkając niemal u nich w domu, nie miałam częstych okazji, by widywać Drummondów. Kiedyśmy jechali do nich po raz pierwszy, matka powiedziała nam, że John i Clare to jej starzy przyjaciele, ale na miejscu nie sposób było nie zauważyć, że o ile rzeczywiście jest w zażyłych stosunkach z nim, o tyle na nią popatruje z zainteresowaniem, jak na eksponat w muzeum. Clare powszechnie uważano za dziwaczkę, chociaż nieszkodliwą, a moje najwyrazistsze wspomnienie o matce Esme to widok wysokiej dystyngowanej kobiety kroczącej sztywno przez trawnik i tak zaprzątniętej własnymi myślami, że nie zawsze odpowiadała na pozdrowienie. Parę razy widziałam także, jak pani Wicks prowadzi Clare do domu, trzymając ją za

rękę i delikatnie nią kierując. Bardziej jednak dziwiło mnie, że John Drummond na co dzień mieszka w Londynie, a do Martin's Court przyjeżdża pod koniec tygodnia, aby zabrać zmianę świeżej bielizny i koszul. Żadne z nas nigdy nie dostąpiło zaszczytu obejrzenia jego londyńskiego mieszkania, toteż Lucien popuścił wodze fantazji i sprokurował wizję pełnego barokowego przepychu lokum wyśmienitego adwokata Rady Królewskiej, który pławi się w ociekających purpurą pluszach i brokatach, jada wymyślne potrawy ze srebrnej zastawy i codziennie pija szampana, podczas gdy jego żona i córka skazane zostały na wygnanie na wieś. Trochę później Lucien dodał do swej fantazji egzotyczną kochankę.

Wszystkie te myśli przebiegły mi przez głowę, kiedy tak staliśmy naprzeciwko siebie w ciasnym pokoiku Esme — on starając się zapanować nad zadyszką, ja zaś robiąc co w mojej mocy, by na twarz nie wypełzło mi poczucie winy, które zalewało moje wnętrze. Zdążyłam sobie jeszcze uświadomić, że ten tajemniczy wyśmienity adwokat Rady Królewskiej (obecnie na emeryturze) musiał być niegdyś niezwykle przystojnym mężczyzną. Świadczyły o tym jego rysy, regularne i wciąż wyraziste — mimo ewidentnych oznak starzenia — jakich nie powstydziliby się aktor grający pilota bombowca w starym, klasycznym filmie wojennym.

Patrzył na mnie początkowo ze zdziwieniem, ale rychło jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu, dającym mi do zrozumienia, że mnie poznaje.

— Naturalnie, to przecież Jane, córka Faith — zagał. — Przez ułamek sekundy zastanawiałem się, skąd ja cię znam. Mało sypiam od czasu... od czasu wypadku.

— Co z Esme?

W okamgnieniu stracił urok amanta filmowego, przygarbił się wyraźnie. Podszedł do łóżka i ciężko na nim usiadł (sprężyny zajęczały jeszcze głośniej niż poprzednio). Dłonie położył na kolanach i spojrzał na mnie z taką udręką we wciąż bystrych oczach, że zebrało mi się na płacz.

— Sam chciałbym wiedzieć — rzekł. — W szpitalu nikt nie mówi niczego wprost. Siostra oddziałowa na przykład powiedziała, że „teraz wszystko zależy od samej Esme”, że

widziała gorsze przypadki, z których ludzie wychodzili cali i zdrowi. Jej zdaniem rozchodzi się o to, czy Esme ma „wolę walki”. A ja się pytam, jak to biedne dziecko ma z czymkolwiek walczyć, skoro nawet nie potrafi samo oddychać?! Poza tym nie rozumiem, o jakiego rodzaju walce oni mówią...

— Och — westchnęłam i przysiadłam na taborecie, starając się wymyślić coś... cokolwiek... co by zabrzmiało optymistycznie i choć odrobinę podniosło go na duchu. — To wszystko jest takie...

John Drummond mnie nie słuchał.

— Na okrągło zadają mi pytania. Jaką muzykę Esme lubi? Ponoć ulubiony fragment kompozycji czy piosenki może się przebić przez śpiączkę łatwiej niż głos bliskiej osoby. Ale ja nie mam pojęcia, jakiej ona muzyki słuchała! Może ty wiesz?

— Przykro mi, ale nie.

Z irytacją machnął dłonią.

— Dlaczego nie ma tutaj Roba? Dlaczego akurat teraz musiał zrobić sobie wolne?! Gdybym mógł z nim zamienić chociaż dwa słowa, z pewnością byłby w stanie podsunąć mi tytuł jej ulubionej piosenki. Policjanci twierdzą, że go szukają, ale Bogiem a prawdą mogą go nie znaleźć przez całe tygodnie... — Znowu popatrzył na mnie z nadzieją. — A może ty wiesz, gdzie on się podziewa?

Spojrzałam na niego wystraszona.

— Nie, naprawdę...

— No tak. Bliźniaki przyjadą za parę dni, dopiero zeszłej nocy zdołałem się z nimi skontaktować, ale podejrzewam, że nie na wiele się przydadzą. Przecież widywali Esme jeszcze rzadziej niż ja.

Bliźniaki. Zdumiewające, że udało mi się o nich zupełnie zapomnieć. Wymazałam ich z pamięci doszczętnie, jakby ich nigdy nie było, taką małą rolę odgrywali w moim życiu, kiedy jego centrum stanowiła Glory Cottage. W myśli dokonałam szybkich obliczeń i wyszło mi, że te dwa ładunki energii, hałasu i bałaganu, synowie Drummondów, są już po maturze.

— A co u nich? — spytałam kurtuazyjnie, nie mogąc sobie przypomnieć, jakie mieli imiona. Czy w ogóle mieli imiona...

— Są w podróży — mechanicznie odpowiedział Drummond. — Zrobili sobie rok wolnego, żeby zwiedzić świat, zanim zaczną studiować. — Na tę informację poczułam lekkie ukłucie niepokoju. Jak to, pomyślałam, ci dwaj chłopcy, którzy przemieszczali się bez ładu i składu po ogrodzie, tak że wszyscy musieli mieć na nich oko i bronić im dostępu do rzeki, zostali puszczeni samopas, i to gdzie: w szeroki świat?! Nim zdążyłam zarzucić panu Drummondowi, że jest nieodpowiedzialny, on zmienił temat. — W szpitalu pytali także, czy Esme miała swojego ulubionego misia, ale ja nie wiem... — bezradnym wzrokiem toczył po pokoju. Podobnie jak ja przed paroma minutami, on również z bólem serca uświadamiał sobie, jak słabo zna Esme. Dla niego musiało to być jeszcze gorsze niż dla mnie: w końcu był jej ojcem. — Chyba nie ma tutaj nic takiego — uznał po chwili. — Sprawdź jeszcze w Londynie... Przeklęty Rob! — wybuchnął znowu. — Gdzie on jest?! Tylko on mógłby nam pomóc! — Wstał nagle i zaproponował: — Napijmy się czegoś... A tak przy okazji, Jane, to co ty tu w ogóle robiłaś?

— Szukałam czegoś do czytania — odpowiedziałam, obronnym gestem pokazując mu wybrane w pośpiechu książki.

Równocześnie zerknęliśmy na tytuły. „Król Lir” i „Poradnik hodowcy królików angora” — przeczytałam.

John Drummond przyjrzał mi się skonsternowany, po czym lekko się uśmiechnął.

— Widzę, że tak jak ja na urlopie preferujesz lekką lekturę.

Jak skazaniec poczłapałam za nim na dół. Pamiętnik Esme pozostał tam, gdzie był — w dolnej szufladzie toaletki, wśród swetrów zrobionych na drutach.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wzmocniona szklaneczką sherry (John Drummond wzmocnił się dwiema) maszerowałam na przełaj przez trawnik i wskroś sadu do Glory Cottage. Mgła zupełnie ustąpiła i promienie późnojesiennego słońca grzały mi twarz. Zauważyłam, że wyjątkowo jak na tę porę roku liście wciąż kurczowo trzymają się gałęzi jabłonek, a gęste krzaki, które minionego wieczoru broniły mi dostępu, nadal oferują — nieliczne po prawdzie — jeżyny. Nim jeszcze dotarłam do domku, utwierdziłam się w decyzji, że skoro przez ostatnią dobę okłamałam każdego, z kim zamieniłam więcej niż dwa słowa, nie ma powodu, bym nagle zaczęła mówić prawdę i tylko prawdę; szczerłość wobec Roba byłaby niesprawiedliwa w stosunku do moich dotychczasowych rozmówców. Poza tym czułam, że on także nie jest ze mną do końca szczerzy, i uznałam, że mam prawo do swej własnej tajemnicy.

— Nie znalazłam — poinformowałam Roba od progu.

— Co?!

Musiał być tuż przy drzwiach sypialni, gdyż na dźwięk otwieranych drzwi zbiegł szybko po schodach. Na widok jego napiętej z oczekiwania sylwetki, zaciętych z nerwów ust i oczu rozczarowanych moją rewelacją poczułam wyrzuty sumienia — może jednak nie powinnam była kłamać? — Ale nic się nie martw — starałam się go pocieszyć i uspokoić swoje sumienie. — Zawsze mogę tam wrócić i poszukać jeszcze raz. Przecież pamiętnik nie mógł sam opuścić pokoju Esme.

— Coś ty tam robiła przez tyle czasu?!

— Głównie gawędziłam z Johnem Drummondem... Rob, nie możesz się tutaj ukrywać jakby nigdy nic.

— To nie twoja sprawa!

— Owszem, moja. Przynajmniej od czasu jak zobaczyłam, że biedny stary Drummond odchodzi od zmysłów, zastanawiając się, gdzie też ty przepadłeś. Wiesz, w szpitalu zadawali mu różne pytania w związku z Esme, jaką muzykę lubiła i takie tam, a on nie ma bladego pojęcia i potrzebuje ciebie!

— Jaką muzykę lubiła? A co to ma z czymkolwiek wspólnego?

— Zdaje się, że w ten sposób można człowieka wyciągnąć ze śpiączki.

— Aha. — Zaczął przemierzać otwartą przestrzeń pomiędzy salonem i kuchnią, przystając tu i tam, żeby podnieść jakiś przedmiot i zaraz go odłożyć, nawet nań nie spoglądając. Wreszcie się odezwał. — Pewnie mi nie uwierzysz, ale ja bardzo mało wiem na temat tego, co Esme lubiła...

— Po pół roku mieszkania z nią? — zdziwiłam się.

— Tak — przytaknął z nieobecną miną. — Nie mam pojęcia, czego lubiła słuchać, co czytać, jakie filmy ją interesowały i czy miała ulubioną potrawę. Nie wiem nawet, co tak naprawdę lubiła robić. Ilekroć przychodziło do podjęcia decyzji, co zjemy, gdzie pójdziemy, jaki film obejrzymy, wyboru dokonywałem ja. Esme sprawiała wrażenie, że jest jej wszystko jedno, a mnie taki układ odpowiadał, zwłaszcza po tym, co przeszedłem ze swoją poprzednią dziewczyną, z którą kłóciliśmy się niemal o każdą bzdurę... Chociaż jak teraz o tym myślę, to z czasem jej obojętność zaczęła mi działać na nerwy. — Marszczył śmiesznie brwi, jakby usilnie chciał coś sobie przypomnieć i nie mógł. Opuścił wzrok i stopą poprawił chodnik przy kominku, minimalnie przekrzywiony.

— Ale przecież musiałeś ją poznać przez te sześć miesięcy, choćby mimochodem — zauważyłam. — Przypomnij sobie... Może jest jakaś piosenka, której ty często słuchałeś i która przypomniałaby jej o tobie i wspólnie spędzo-

nych radosnych chwilach? — Jeżeli w ogóle były jakieś radosne chwile, pomyślałam. Powoli zaczynałam w to wątpić. Rob przeszedł parę kroków i zacisnął dłonie na oparciu fotela, tak że pobiełały mu knykie. — Co się stało?

— Może...

— Tak? — zachęcałam go, kiedy urwał.

Popatrzył na mnie z niepewnym uśmiechem, wydawał się zażenowany tym, co chce mi powiedzieć. Uciekł szybko wzrokiem — nie na tyle szybko jednak, bym nie dojrzała w jego oczach czarnej rozpacz.

— Mogą spróbować puścić melodię do czołówki programu „Mecz dnia”.

— Żartujesz sobie?

— Bynajmniej — zaprzeczył. — To naprawdę może pomóc do niej dotrzeć.

— Nie wiedziałam, że Esme lubi piłkę nożną.

— Daj spokój, Jane... Machnęłam ręką.

— Tak czy inaczej będziesz musiał sam im o tym powiedzieć. Trudno, żebym tam wparowała, mówiąc: „Właściwie nie widziałam Esme od czasu, kiedy była małą dziewczynką, ale przypadkiem wiem, że jej ulubiona muzyka to czołówka do programu sportowego na BBC”.

Wzięliby mnie za jasnowidza albo od razu przymknęli. Nie, Rob — pokręciłam głową. — To twoje zadanie.

— Ale ja nie mogę stąd wyjść!

— Ty nie chcesz stąd wyjść, Rob, a to duża różnica!

— No dobrze — przyznał z niechęcią. — Masz rację: nie chcę. Na razie musisz mi po prostu zaufać. Obiecuję ci, że ujawnię się w chwili, w której pamiętnik Esme trafi do moich rąk. — Kiedy nadal spoglądałam na niego powątpiewająco, zaczął tłumaczyć jak dziecku: — Jane, na litość boską! Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że znikając zaraz po ataku postawiłem się w paskudnej sytuacji?!

Oczywiście, że to rozumiałam. Chociaż z drugiej strony, nie do końca. Nabrałam jednak pewności, że uczucia, jakie Rob żywi do Esme, są nieudawane i bardzo silne.

Nie ruszał się od fotela, jakby znajdował w nim nie tylko fizyczne oparcie, i wciąż nie patrzył mi w twarz. Podeszłam do niego, żeby go objąć.

— Ona z tego wyjdzie — powiedziałam, sama w to nie wierząc. — Daj jej tylko trochę czasu...

— Trzeba znaleźć jej pamiętnik.

— Zgoda, zrobię to dla ciebie.

Poczułam, jak napięte mięśnie rozluźniają się — pod moim dotykiem lub w wyniku obietnicy, którą mu złożyłam. Odwrócił się płynnie i nie rozluźniając mojego uścisku, również mnie objął, tak że stykaliśmy się twarzami, policzek przy policzku. Mój gest miał nieść otuchę, nic więcej, toteż zdumiało mnie, że dostałam z podniecenia gęszej skórki. Poruszyłam się nieznacznie, by nasze ciała dopasowały się wygodniej, i potarłam gładkim policzkiem o jego zarost, niemal od razu czując budzącą się w Robie reakcję, tę subtelną zmianę świadczącą o rodzącym się pożądaniu. Czyż to nie zadziwiające, pomyślałam, że wciąż nas do siebie ciągnie, nawet po tych wszystkich latach, które nagle skurczyły się, jakby ich nigdy nie było, jakby nigdy nas nie rozdzieliły... Jakby siła, która nas do siebie pchnęła, przeszła w stan uśpienia i właśnie teraz przebudziła się na nowo, niczym nasiona potrafiące przetrwać w piaskach pustyni najdłuższą suszę w oczekiwaniu na życiodajny deszcz.

W gardle mi zaschło. Odchrząknęłam i czar chwili prysł: zdałam sobie sprawę, że to co wyprawiają nasze ciała, jest złe. Uwolniłam się z objęć Roba, który przyglądał mi się z szerokim uśmiechem.

— Jane...—zaczął.

— No, bogaczu — wpadłam mu w słowo — dawaj kasę. Drummond zaoferował się, że mnie podrzuci do miasteczka, kiedy napomknęłam, że przydałoby mi się tutaj parę rzeczy...

Potarł ręką ostry zarost.

— Na przykład maszynka do golenia?

— Nie bój się. Gdyby ktoś się dziwił, powiem, że codziennie golę sobie nogi. Przy okazji kupię trochę męskich ubrań, pod pretekstem że chcę przywieźć mężowi prezenty.

— A co z pamiętnikiem?

— Pani Wicks zacznie snuć podejrzenia, jeśli znów się zjawię bez powodu. Musimy z tym trochę poczekać...

— Zawsze mogę się tam włamać.

— Nawet o tym nie myśl! — wystraszyłam się nie na żarty. — W Martin's Court na pewno jest alarm przeciwwłamaniowy, a ostatnie czego ci teraz trzeba, to oskarżenie o napad.

— Masz rację — ustąpił niechętnie. Po jego minie widziałam, że wolałby, abym nie była taka strasznie racjonalna. Z kieszeni spodni wyciągnął gruby plik banknotów i odliczył dziesięć dwudziestek. — Wystarczy?

— Powinno. — Z udawaną nonszalancją sięgnęłam po pieniądze, chociaż na widok tak dużej sumy aż się zaśliniłam.

— Sobie też coś kup — powiedział, a ja od razu pożałowałam, że nie dostałam więcej. — I nie zabaw w miasteczku długo — dodał jeszcze, kiedy upychałam forszę po kieszeniach i zapinałam kurtkę — bo nudzi mi się tutaj samemu.

Objęliśmy się raz jeszcze, a Rob złożył na moich wargach delikatny pocałunek.

W obecności Johna Drummonda czułam się znów jak mała dziewczynka. Jednakże to cynizm dorosłej kobiety sprawił, że podejrzewałam go o nie do końca altruistyczne pobudki propozycji podwiezienia do miasteczka; kiedy tylko mógł, telefonował do szpitala, mając nadzieję usłyszeć informację o przełomie, ale poznać po nim było, że cała noc spędzona przy Esme dała mu się we znaki i że potrzebuje odmiany i sposobu na oderwanie myśli od leżącej w śpiączce córki. Wyprawa na zakupy była pretekstem dobrym jak każdy inny.

Choć wprowadziło mnie to w zakłopotanie i znacznie uszczupliło frajdę, nie potrafiłam mu odmówić, kiedy zapytał, czy może mi towarzyszyć w obchodzie po sklepach. Na szczęście nie okazał zdziwienia, podczas gdy ja z entuzjazmem wybierałam sterty ciepłych ubrań dla męża, od którego rzekomo chciałam odpocząć. Nie omieszkałam także dorzucić czegoś

dla siebie; luźna wełniana bluzka w kolorze ładnej czerwieni i legginsy w paski poprawiły mi znacznie humor.

Po zakupach zaszliśmy do małego hoteliku, ponieważ John ponownie chciał zatelefonować do szpitala, i przy okazji wstąpiliśmy do baru na małą czarną. Przy kawie po raz pierwszy zapytał mnie o moje sprawy, a ja od razu zaplątałam się w zeznaniach. Pomna, że kłamiąc należy mówić jak najwięcej prawdy, zaczęłam się żalić, jaki to niepewny interes prowadzić szkółkę ogrodniczą, ale zaraz uświadomiłam sobie, że taka wersja nie współgra z szastaniem pieniędzmi, którego John był przed chwilą świadkiem, toteż znów musiałam nieco nagiąć fakty. Pocięczałam się tym, że osobista tragedia stepiła jego spostrzegawczość, chociaż prawdę powiedziawszy miałam serdecznie dosyć tego, że na każdym kroku muszę uważać, co i komu mówię.

Chcąc jakoś mu zrekompensować to, że od rana karmię go samymi kłamstwami, rzuciłam:

— Tak mile wspominam wakacje spędzone w Glory Cottage!

Wszyscyśmy świetnie się tutaj bawili. To naprawdę były wspaniałe czasy, tak pełne magii...

John wyraźnie się rozpromienił.

— Cieszę się, że tak uważasz — rzekł. — Chciałem jak najlepiej dla Esme i sądziłem, że towarzystwo rówieśników wyjdzie jej tylko na zdrowie, ale człowiek nigdy nie wie, czy postępuje właściwie. Może za mało z nią przebywałem... — To dziwne, pomyślałam, mówi o Esme, jakby był jej dalekim wujkiem, a nie rodzonym ojcem. Chyba także zdał sobie z tego sprawę, bo zaraz dodał: — Żałuję, że nigdy nie byliśmy sobie tak bliscy, jak bym sobie tego życzył. Cóż, takie jest życie... Większość czasu spędzała tutaj, z matką i panią Wicks. Ja, jak sięgam pamięcią, nie miałem z nią dobrego kontaktu. Brakowało nam tematów do rozmowy. Co innego twój brat... Lucien... To był naprawdę wyjątkowy chłopiec. Taki wygadany...

— Tak — przyznałam automatycznie — był bardzo inteligentny.

— Nie, to było coś więcej. Przepelniała go chęć do życia, tryskał niespotykaną wprost witalnością... — Już się szykowałam na kondolencje i zwykłą w takich sytuacjach wzmiankę

o niepowetowanej stracie, ale ku mojemu zdziwieniu John popatrzył na mnie z ukosa i rzekł: — Lucien nie pozwalał się wodzić za nos, prawda? Zawsze domyślił się prawdy, przejrzał choćby najzręczniejsze kłamstwo... Nie wiem, czy Faith ci opowiadała, jak...

Czekałam na dalszy ciąg, ale ten nie nastąpił. Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie niepewnie, po czym równocześnie spuściliśmy wzrok.

Oczywiście później przyganiałam sobie, że przepuściłam taką okazję.

Mogłam przecież rzucić niezobowiązujące: „Ach tak, to. Jasne, że Faith powiedziała mi o tym wieki temu”, mając nadzieję, że pocziwy

Drummond da się na coś takiego nabrać. Gdybym tak zrobiła, mogłabym znaleźć się w posiadaniu jakiejś ważnej informacji, czegoś, co być może dotyczyło bezpośrednio mnie. Ale ja się zagapiłam, a John zrozumiał, że się zagalopowałam, i moja szansa zniknęła równie nagle, jak się pojawiła.

Wkrótce rozmawialiśmy już o czymś innym.

Wszakże znów opadły mnie wspomnienia. W dzieciństwie często próbowałam przejrzeć sekrety dorosłych, co kończyło się jeśli nie małą katastrofą towarzyską, to przynajmniej niekontrolowanym wybuchem śmiechu. Pamiętam, że pewnego razu poinformowałam Luciena, że Faith zachowuje się dziwnie, kiedy przychodzi do nas pan Drummond — oczywiście byłam za mała, żeby nazwać rzecz po imieniu, ale z niezwykłą intuicją określiłam ich mianem „bliskich przyjaciół”. Po latach naturalnie zdałam sobie sprawę, że kryło się za tym znacznie więcej. John i Faith czuli się w swoim towarzystwie swobodnie, jak ludzie, którzy nie muszą się siebie strzec ani przed sobą udawać.

Kiedyś wpadłam na nich, gdy spacerowali nad rzeką, i zdumiałam się ujrzawszy matkę bez zwykłej na jej twarzy maski. Bez cienia sztuczności, prosto z serca mówiła właśnie do Johna: „Na szczęście nawet najgorszy koszmar musi się prędzej czy później skończyć. I chwała Bogu, bo nie wiem, czy dałabym radę dłużej to ciągnąć”, a on — znacznie młodszy i przystojniejszy — patrzył na nią z uwielbieniem i ścisnął ją za rękę. Nie zdążyłam się wtedy schować i nie uniknęłam gniewu Faith, którego nie powstydzilyby się rozwścieczone

Furie. Dwunastoletni Lucien, kiedy mu zrelacjonowałam to wydarzenie, z miną starego maleńkiego wycedził: „Pewnie byli w przeszłości kochankami. Faith rzuciła go jak starą rękawiczkę i teraz łączy ich tylko uczucie platoniczne...”, z czego oczywiście nie rozumiałam ani słowa. Któregoś razu, znalazłszy się z panem Drummondem sam na sam, zdobyłam się na odwagę i zacytowałam mu słowa Faith: „Mama mówi, że pan jest balsamem na jej duszę”. Jego rozanielony wzrok utwierdził mnie w przekonaniu, że wyśmienity adwokat Rady Królewskiej jest naszym ojcem (wierzyłam w to do czasu, gdy na akcie urodzenia natrafiłam na obco brzmiące nazwisko Rex Turner), i odtąd nie potrafiłam pogodzić się z tym, że matka zadowolila się Erikiem, podczas gdy Clare i Esme dostały Johna. Miałam jednak na tyle zdrowego rozsądku, że z nikim nie podzieliłam się swoimi przemyśleniami.

— Pamięta pan, jak nazwałam pana balsamem na duszę matki? — zapytałam nagle Johna.

Uśmiechnął się, lecz nie mogłam mieć pewności, że uśmiech wywołało wspomnienie tamtej letniej rozmowy — być może chciał być po prostu uprzejmy.

— Taa... — odezwał się. — Zabawne z ciebie było dziecko. Chodziłaś zawsze z buzią jak chmura gradowa, ale kiedy się uśmiechałaś, to tak, jakby wzeszło słońce. No i byłaś najlepszą przyjaciółką Esme.

— Naprawdę? John przytaknął.

— Wiele ze sobą rozmawiałyście?

— Raczej nie — odparłam po chwili zastanowienia.

— My też nie — zwierzył mi się z bólem w oczach. — To pewnie moja wina, za mało czasu poświęcałem rodzinie. No a potem wyniknął ten nieprzyjemny epizod ze szkołą z internatem. Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane, jak to mówią. Była o to na mnie wściekła. Na pewno ci się żaliła...

— Nie, nie przypominam sobie.

— Cóż, w pewnym sensie była z niej czarna owca, nie miała wielu znajomych. Po tym jak przeprowadziła się do Londynu, chciałem spędzać z nią więcej czasu, poznać ją lepiej... tyle że było już na to za późno.

Chyba najlepiej się między nami

układało, kiedy chodziła z Lucieniem. No, ale to wszystko niewczesne żale.

— Dlaczego?

Przypatrzył mi się bacznie, jakby rozważając w duchu, czy może mi zaufać i zdradzić jakąś rodzinną tajemnicę, ale nagle zmienił zdanie i wstał gwałtownie.

— Och, z wielu powodów... To co, idziemy?

Zanim opuściliśmy hotel, John jeszcze raz zatelefonował do szpitala, po to tylko by dowiedzieć się, że stan Esme nie zmienił się ani o jotę.

Wolnym krokiem ruszyliśmy w stronę parkingu. Po drodze wstąpiłam do sklepu papierniczego i kupiłam gruby zeszyt, możliwie podobny do tego, w którym Esme prowadziła swój pamiętnik.

Widząc zaciekawienie Johna, poczułam się w obowiązku wyjaśnić:

— To na wypadek, gdyby przyszło mi do głowy coś wartego zanotowania. Kto wie, może nawet zacznę pisać pamiętnik...

— Co za dziwny zbieg okoliczności — zauważył zmienionym głosem. — Dokładnie to samo powiedziała Esme, kiedy wróciła do domu.

Kiedy jechaliśmy do Martin's Court, John zaproponował dwie rzeczy: żebym mówiła mu po imieniu (w końcu byliśmy współnikami w sklepowym szaleństwie, dodał) oraz żebym wróciła z nim do Londynu.

Na pierwszą propozycję przystałam bez oporów (w myślach już dawno przeszłam z nim na „ty”), lecz co do celowości drugiej żywiłam poważne wątpliwości.

— Dlaczego? — dopytywał się. — Esme mogłaby się przebudzić na dźwięk twojego głosu.

— To mało prawdopodobne — ostudziłam jego zapał. — Przecież nie widziałyśmy się od wielu lat.

— Mimo to i tak mogłabyś spróbować. Przydałoby mi się towarzystwo.

— Choć starał się podtrzymać dobry nastrój, jaki panował podczas naszej wycieczki, z łatwością poznałam, że panicznie boi się kolejnej nocy w szpitalu.

— No, nie wiem — udałam, że się zastanawiam. — Może jutro...

— Jak sobie życzysz — odrzekł urażony.

Czułam się paskudnie. Z jednej strony było mi żal starszego samotnego człowieka, z drugiej wszakże miałam zobowiązania wobec Roba. Poza tym przerażeniem napawała mnie myśl, że w szpitalu mogłabym wpaść na matkę albo Owena.

O właśnie, Owen, pomyślałam. Muszę do niego zadzwonić. Niepokój, jak on i dzieci radzą sobie beze mnie, mieszał się z poczuciem winy, że tak łatwo wypchnęłam ich z pamięci.

Odwróciłam się do Johna i starałam wytłumaczyć swoją decyzję.

— Proszę zrozumieć — mówiłam — od śmierci Luciena nie potrafię się zmusić, żeby z własnej woli przekroczyć próg szpitala. Mam jakąś fobię czy coś... Ten zapach, smutni czekający ludzie, udawana wesołość personelu i przytłaczająca świadomość, że nic, ale to nic nie można zrobić, żeby pomóc. Wiem, że to zakrawa na tchórzostwo, ale naprawdę tak czuje — Rozumiem cię, Jane — przerwał mój niezręczny wywód.

To, że mnie rozumiał, tylko pogorszyło sprawę. Poczułam się jak nędzny szczur i oślizgła kreatura. „Nędzny szczur

1 oślizgła kreatura" to był ulubiony epitet, którym Lucien obdarzał wszystkich dokoła w czasie, kiedy zaczytywał się książkami przygodowymi dla chłopców.

Ty nędzny szczurze, wyrzucałam sobie w duchu. Ty oślizgła kreaturo, powtarzałam bezgłośnie, kiedyśmy zatrzymywali się na podjeździe Martin's Court.

Chociaż byłam zajęta mentalnym samobiczowaniem, nie traciłam czasu. Opracowałam nowy plan wydobycia pamiętnika Esme i już nie mogłam się doczekać, by wprowadzić go w życie, kiedy pojawił się nowy problem.

— Zaniosę twoje torby do Glory Cottage — powiedział John, kiedy wysiedliśmy z samochodu. Protestowałam gorąco, ale dżentelmen starej daty był niewzruszony. Nie widząc możliwości, by go powstrzymać dostępnymi środkami, zaczę-

lam wysłać do Roba telepatyczne wiadomości. — Daj mi tylko chwilkę na krótki telefon do szpitala... Dostrzegłam w tym swoją szansę.

— A ja, jeśli można, pożyczylabym jakąś inną książkę z pokoju Esme. Te, co wzięłam rano, są chyba za lekkie — zażartowałam.

John musiał już jednak zapomnieć, z jakimi tytułami przyłapał mnie w sypialni swojej córki, bo powiedział tylko:

— Nie krępuj się. — I wykręcając numer szpitala, dodał:

— Możesz też zajrzeć do salonu.

Dzierżąc w ręku torbę z dopiero co kupionym zeszytem, udałam się na górę, gdzie niczym wytrawny szpieg podmieniłam go na oryginalny pamiętnik Esme. Byłam na tyle spokojna, że wychodząc przejrzałam biblioteczkę i wybrałam wielokrotnie czytany kryminał, po czym wsunęłam go do torby i na dole jakby nigdy nic włożyłam wszystko do większej, zawierającej ubrania dla Roba.

John właśnie kończył rozmowę.

— Coś nowego? — zapytałam z obowiązku, chociaż wyraz jego twarzy powiedział mi wszystko.

— Nie — odrzekł i zaraz nieco pewniejszym tonem dorzucił: — Ale i tak tam pojedę. Przecież nigdy nic nie wiadomo...

Zawahałam się i jękając się, poradziłam mu:

— A jeśli chodzi o ulubioną muzykę Esme... myślałam o tym długo... i wiem, że zabrzmiałoby to dziwnie... — No dalej, wyduś to z siebie, ponagliłam się w duchu. Odkaszlnęłam i dokończyłam na jednym wydechu: — Mogą spróbować puścić jej czołówkę „Meczu dnia”.

— Słucham? — John osłupiał ze zdziwienia.

— „Mecz dnia”, program sportowy na BBC — wyjaśniłam. — Jego czołówce towarzyszy taka wesolutka melodia... Esme ją lubiła... — zaczynałam stapać po niepewnym gruncie.

— To znaczy tak mi się przynajmniej wydaje... Chyba... Moja paplanina niewiele mu wyjaśniła i John wyglądał na jeszcze bardziej skonfundowanego, jednakże robił dobrą minę do złej gry.

— Ach tak, rozumiem. Dziękuję. Oczywiście przekażę to w szpitalu.

Jestem pewien, że to im się... — nie potrafił znaleźć

odpowiedniego słowa, żeby nie wyjść z roli. „...wyda dziwne”, chciałam dokończyć za niego, lecz tego nie zrobiłam. Biedny Drummond miał tyle na głowie, że moje dziwaczne zachowanie i rady były najmnijszym z jego zmartwień.

Kiedy szliśmy w stronę Glory Cottage, donośnym głosem opowiadałam mu jakieś historie z przeszłości, mając nadzieję, że Rob mnie usłyszy i ukryje się na pięterku. W połowie drogi zaczęłam udawać piskliwy dziecięcy szczebiot, a żeby mieć stuprocentową pewność i pozwolić Robowi zyskać na czasie, na progu długo szukałam klucza, którym potem nie mogłam trafić do dziurki. John z niebiańską cierpliwością wysłuchał mojego występu, ale kiedy uparcie kręciłam kluczem w złą stronę, wyjął mi go z ręki.

— Pozwól, że ja to zrobię — rzekł z westchnieniem.

— O mój Boże! — ryknęłam kolejne parę decybeli głośniej. — Ale ze mnie niezguła. Z kluczami mam zawsze problem, albo je gubię, albo nie potrafię ich zmusić do współpracy...

— No, już. Drzwi nie były zamknięte.

Wpadłam do środka i nerwowym spojrzeniem omiotłam wszystkie kąty, upewniając się, że na widoku nie leży nic, co by zdradzało, iż w chatce mieszkają dwie, a nie jedna osoba. Mogłam być wszakże spokojna — Rob nie był dyletantem.

Uznałam, że nie muszę już krzyczeć.

— Napijesz się herbaty, John? Tak bardzo jestem ci wdzięczna, że pozwoliłeś mi się tutaj zatrzymać...

— Powinienem jechać do szpitala — powiedział zbierając się do wyjścia. Zamykając drzwi, zaproponował nieśmiało: — Ale mógłbym cię odwiedzić wieczorem albo jeśli wolisz, ty mogłabyś wpaść na drinka, jak wrócę. Opowiedziałbym ci, jak się sprawy mają...

Wiedziałam, że nie poradzę sobie i z moimi kłopotami, i z jego rozpaczą. Nie dzisiaj. Nie wieczorem.

— Chyba się wcześniej położę — skłamałam. — Ale wpadnę z samego rana i wtedy mi wszystko opowiesz...

Znowu suche:

— Jak sobie życzysz. Szczur i kreatura.

— A, i John — zawołałam za nim — nie mów nikomu, że tu jestem.
— Masz to jak w banku — uśmiechnął się słabo. — Mnie można zaufać.
W przeciwieństwie do mnie, pomyślałam z goryczą, odprowadzając wzrokiem jego kruchą sylwetkę niknącą wśród drzew gęsto rosnących w sadzie.

Roba znalazłam w jednej z sypialni, zajętego zdzieraniem tapety ze ścian. Na podłodze wałała się sterta mokrego papieru, a on trzymał w jednym ręku gąbkę kąpielową, w drugim zaś kuchenny nóż. Twarz miał zapadłą, jakby w ciągu zaledwie paru godzin postarzał się znacznie.

— Co ty, na Boga, wyprawiasz? — warknął i natarł na mnie całym ciałem. — „Napijesz się herbaty, John?” — przedrzeźniał mnie. — Po cholere go tu ciągnęłaś? Zupełnie ci odbiło?

Nie cofnęłam się, za to wyżej zadarłam brodę.

— Tak się składa, że to jego dom! A może o tym także zapomniałeś?

— Gdzieżeś się podziewała? — zmienił temat na bezpieczniejszy. — Masz pojęcie, jak to jest być zamkniętym w czterech ścianach i nie mieć do roboty nic oprócz zamartwiania się?!

— Mnie o to nie wiń. Na wypadek gdybyś zapomniał: ja ci pomagam, do licha!

— Czyżby? Gdybyś rzeczywiście chciała mi pomóc, przyniosłabyś ten przeklęty pamiętnik, a ty naturalnie nawet nie zaczęłaś go szukać!

— Nie — przyznałam — nie zaczęłam.

Co prawda zamierzałam wręczyć Robowi pamiętnik zaraz po wejściu do domku, ale jego wybuch i paląca niewdzięczność sprawiły, że uznałam, iż nie zaszkodzi mu, jeśli się po-martwi jeszcze przez jakiś czas.

— Niech cię szlag, Jane. Bez twojej „pomocy” już dawno bym go miał! Cisnęłam mu torbę z jego zakupami wprost pod nogi, krzycząc:

— Proszę bardzo, droga wolna! — po czym uciekłam do pokoju, w którym spędziłam noc. Pierwsze co zrobiłam, to schowałam czerwoną bluzkę i wielobarwne legginsy, razem z pamiętnikiem Esme rzecz jasna, głęboko do szuflady.

Stałam przy oknie i oddychałam głęboko, uspokajając się po tym nieoczekiwanym wybuchu. Z głębi domu dochodziło mnie skrobanie noża i chrzęst odrywanego od ściany papieru, z dworu zaś monotony szum rzeki. Po chwili, tak jak to było do przewidzenia, w korytarzu rozległy się kroki.

— Jane? Przepraszam. — Nie odpowiedziałam. — Nie powinienem był się tak unieść... Ale postaw się w mojej sytuacji, tkwię tu zamknięty niczym zwierzę w klatce. Zamartwiam się na śmierć. Nie mam nawet czym zająć rąk.

— No, z tym sobie akurat poradziłeś — odwróciłam się do drzwi. Zrobił krok w moją stronę, uśmiechając się szeroko.

— Ta tapeta ma lekko ćwierć wieku — powiedział — i nigdy mi się nie podobała. Poza tym ledwie się trzyma ściany. To w więzieniu nauczyłem się, że mężczyzna musi mieć zajęcie, inaczej zaczyna wariować.

— Pani Wicks dostanie ataku, jak to zobaczy — nie ustępowałam. Nie przejął się tym zbyt.

— Dzięki za ubrania. Naprawdę doceniam twoją pomoc. Nadal się uśmiechał ciepło i delikatnie, a ja poczułam, że znów się rozmywam, jak wtedy gdy dziesięć lat temu zagadywał mnie na śmierć, bez przerwy mówiąc o Esme. Dotarło do mnie, że Rob mnie tak naprawdę nie widzi. Że widzi tylko to, co może ode mnie dostać.

— Zatem to terapia, tak? No to w tym również ci pomogę. Do kolacji gołe były dwie ściany.

Rozpakowując torby z jedzeniem kupionym w miasteczku, zauważyłam płaczącą się w kuchni latarkę pani Wicks i zakląłam pod nosem.

Podeszłam do okna, odsunęłam lekko zasłonę i wyjrzałam na zewnątrz. Zapadnięcie zmierzchu przyspieszyło pojawienie się ciemnych chmur zapowiadających

ulewny deszcz. Po raz pierwszy doceniłam niezbyt wykwintne, ale przynajmniej suche i ciepłe wnętrze Glory Cottage.

— Przekłeta latarka — powiedziałam na głos.

Całe popołudnie spędziłam pracując ramie przy ramieniu i w miarę jak atmosfera się polepszała, wycofywałam się ze swego wcześniejszego postanowienia, decydując, że Rob ma rację: to on pierwszy powinien przeczytać pamiętnik Esme. Ostateczne pojednanie i przekazanie niebieskiego brulionu zaplanowałam na wieczór, przy rozjemczej lampce wina. Nagle olśniło mnie, że nieszczęsna latarka posłuży mi za pretekst. Poinformowałam Roba, że z jej powodu muszę na chwilę pójść do Martin's Court, gdyż w przeciwnym razie pani Wicks całkowicie straci do mnie zaufanie (jak gdyby kiedykolwiek mi ufała!), i z ulgą usłyszałam oczekiwane:

— I przy okazji spróbujesz odzyskać pamiętnik, tak jak obiecałaś?

— Jasne.

Pani Wicks zrzędała mina, kiedy mnie zobaczyła. Rzeczywiście musiała być przekonana, że nie można mi zaufać nawet w tak głupiej sprawie jak terminowy zwrot latarki.

— Przecież obiecałam, że ją oddam jeszcze dzisiaj

— oznajmiłam z zadowoloną miną. Pani Wicks patrzyła na mnie z nienawiścią w oczach, nie potrafiąc się zmusić, żeby wybąkać marne „dziękuję”. Podając jej latarkę, zapytałam:

— Mogę wejść na chwilę? — Nie ruszyła się z miejsca. Jej pokaźna sylwetka tarasowała tylne drzwi, toteż jeśli chciałam się przedrzeć do środka, musiałam podać jej jakiś racjonalny powód wizyty o tak późnej jak dla niej porze. — Muszę zadzwonić do męża, a pan Drummond pozwolił mi skorzystać z domowego telefonu.

— Mnie o tym nie wspominał.

— Pewnie wyleciało mu z głowy. Nic dziwnego, zaprzatają go poważniejsze sprawy...

Kiedy poruszyła się lekko na tę uwagę, precyzyjnie się między jej cielskiem a futryną i przez kuchnię weszłam do holu. Za plecami słyszałam jej pełne dezaprobaty postękiwanie. Podejrzywałam, że obserwuje mnie przez szparę w drzwiach, upewniając się, że nie ukradnę mosiężnej lampki

albo książki telefonicznej — w holu nie było nic więcej wartego przywłaszczenia.

Wzruszając ramionami, wybrałam numer domu.

— Cześć, Owen!

— Jane! Matko Przenajświętsza, skąd dzwonisz?

— Ehm... — Postanowiłam odbić piłeczkę. — Jak dzieci?

— Świetnie sobie radzą... Zdaje się, że miałaś zadzwonić wczoraj...

— Tak?... No cóż, miałam taki zamiar, ale było to trochę trudne... — zawiesiłam głos.

— Trudne? A to dlaczego? Stało się coś? Jane, u ciebie wszystko w porządku?

— Oczywiście — zapewniłam go. — A co niby miałyby nie być w porządku?

— Nie, nic... To znaczy, dzwoniła twoja matka. Była podenerwowana, wypytywała mnie o ciebie. Dawała do zrozumienia, że ktoś może się z tobą próbować skontaktować... Bóg jeden wie, kogo miała na myśli. Ale odniosłem wrażenie, że jej zdaniem znajdujesz się w nie...

— Niebezpieczeństwie? — wpadłam mu w słowo.

— Coś w tym stylu — potwierdził. Stłumiłam odradzający się niepokój.

— E tam. Wiesz przecież, że Faith lubi dramatyzować.

— No cóż, może masz rację. Pod warunkiem, że cię nie porwano ani nic takiego...

— Owen, opanuj się! Kto by mnie chciał porwać?! I po co?

Z głośnika dobiegł mnie stłumiony śmiech i coś jakby słowa: „Z powodu twojej uroczej osobowości na przykład”, jednakże połączenie nie było najlepsze i nie mogłam być tego pewna. Głos Owena od początku rozmowy wydawał mi się nieco dziwny...

— Owen, a z tobą wszystko dobrze?

Znowu jakiś szmer, jak gdyby szorował stopami po podłodze, przyjmując postawę na baczność.

— Taa-jest!! — odparł rażno.

Hm, nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby Owen wyrażał się w ten sposób. Mój niepokój znacząco wzrósł.

— Co z dziećmi? — zażądałam odpowiedzi.

— Z dziećmi? A, z dziećmi... U nich wszystko okej. Właśnie robią sobie popcorn.

— Popcorn?! — zdziwiłam się niebotycznie. — A po kiego licha im popcorn?

— Postanowiliśmy się rozerwać.

Jak na zawołanie w tle rozległy się radosne pokrzykiwania Laury i Billy'ego. Już zaczęłam się odprężyć i uśmiechać z matczyną wyrozumiałością na te piskące pohukiwania, kiedy z harmideru wyłowiłam coś jakby głos dorosłej osoby.

— Owen, kto jest u nas?

— U nas?

— Tak, u nas — zezłościłam się na tę nieproduktywną wymianę zdań.

— No... Laura i Billy...

— To wiem, ale kto jeszcze?

— Och, nikt taki. Po prostu gość. Zresztą zaraz sobie idzie. No to, Jane, kiedy wracasz do domu? — tym razem Owen zmienił temat.

— Nikt? Gość?! Kto tam, do diabła, jest?!

— No cóż... Dina wpadła z wizytą. Nie wydaje mi się, żeby miała długo zabawić, wspominała coś, że czekają na nią w domu. Przyszłaś parę minut temu, prawda? — zwrócił się do swojego gościa.

— Dina?! — Z wrażenia przysiadłam na stopniu schodów, o mało nie strącając ze stolika aparatu telefonicznego i mosiężnej lampki. Czarna dziura, której za wszelką cenę unikałam przez większą część swego życia, nieoczekiwanie powróciła. Słabym głosem powtórzyłam: — Dina?

— Przecież mówię wyraźnie. Dina przywiozła Laurę i Billy'ego i zaraz wraca do domu.

— Słyszę to już trzeci raz — zauważyłam.

— No to pewnie jest to prawda — odgryzł się i zaraz dodał: — Miło, że zadzwoniłaś. — Milczałam, bojąc się, że cokolwiek powiem, zmusi mnie, bym zajrzała do zbliżającej się w zastraszającym tempie przepastnej czarnej dziury. Owen

nadawał za nas oboje. — Pomyślałem sobie, że równie dobrze możemy się trochę rozerwać, zanim okręt ostatecznie zatonie...

— A co to ma znaczyć?!

— To chyba jasne... — stwierdził, po czym całkowicie mnie zaskoczył:

— Ach, ten jednooki pirat. A może była to córka korsarza?

— Słucham?!

— Znaleźliśmy czasopismo z przepisami na egzotyczne koktajle — wyjaśnił. — Nigdy nie przypuszczałem, że jest ich aż tyle. Starczyłoby nawet dla ciebie, Jane. Powinnaś się czasem rozluźnić. Zabawić. No, o mnie się nie martw, ja sobie radę dam... Prawdę powiedziawszy, nie pamiętam, kiedy czułem się lepiej. Może to ja powinienem wysłać ci kartkę z pozdrowieniami...

— Owen — przerwałam mu grobowym głosem — ty jesteś pijany!

— Naprawdę? No, no... Kto by pomyślał? — Przed oczyma miałam wirujące lampki, czułam, że zbiera mi się na mdłości. Owen mnie nie potrzebuje. Żadne z nich nigdy mnie nie potrzebowało... Tylko Lucien, czasami... — Jane, tak się o ciebie martwiłem...

— Daj spokój, Owen. Kłamanie nigdy nie wychodziło ci za dobrze. Zadzwoń jutro.

— Kiedy wracasz? — powtórzył wcześniejsze pytanie.

— Ucałuj ode mnie Dinę — powiedziała i odłożyłam słuchawkę. Cała się trzęsłam. Pięści zacisnęłam w kulaki, w gardle mnie dławiło. — Suka... — syczałam. — Co za pieprzona, wredna suka...

Oczywiście nie mogłam mieć pewności. Istniała możliwość, że to moja udęczona wyrzutami sumienia wobec wszystkich dookoła świadomość dokonuje projekcji i że w rzeczywistości sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. Być może dramatyzowałam, robiłam z igły widły... W końcu nie było nic nadzwyczajnego w tym, że Dina przywiozła dzieci i weszła z nimi na moment do środka. A nawet jeśli Owen zaproponował jej drinka czy dwa — cóż w tym wielkiego? Skutek był odwrotny do zamierzonego, toteż spróbowałam z innej beczki. Jak

on śmie pić z obcą kobietą, podczas gdy powinien opiekować się naszymi dziećmi?! Też kłapa — Owen nie potrafiłby być nieodpowiedzialny, nawet gdyby zależało od tego jego życie. Dzieci były przy nim bezpieczne — teraz, w przeszłości, zawsze. To nie niepokój o bezpieczeństwo Laury i Billy'ego sprawił, że czułam się tak, jakbym stoczyła walkę z potężnym huraganem. Sprawił to beztrocki, radosny głos Owena, który mówił do mnie przez telefon tak, jak od lat nie mówił przy mnie. Przy Dinie się odprężył i zrelaksował, miło spędzał czas — coś, czego wspólnie ze mną nie robił od... No właśnie: od jak dawna? Rozżalona nawet nie próbowałam sobie przypomnieć.

Wyobraziłam go sobie, jak odkłada słuchawkę i wraca do dzieci i popcornu, i Diny, i ich eksperymentalnych koktajli. Uśmiecha się, włosy ma lekko zmierzwiłone, twarz odprężoną... Nie znałam przystojniejszego mężczyzny, nie chciałam innego mężczyzny. Wyobraziłam sobie, jak rzuca jakiś żart, który doprowadza Laurę do chichotek; oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak bierze Billy'ego na kolana i daje mu całusa w tłuściutki zaróżowiony policzek. Wbrew sobie ujrzałam, jak puszcza oko do Diny, mówiąc: „Wszystko okej. Horyzont pusty, przynajmniej do jutra. Mamy szczęście”.

— Suka! Suka!! SUKA!!!

Pani Wieks opuściła posterunek przy drzwiach kuchni i wtoczyła się do holu, zapalając górne światło, żeby ponapawać się widokiem mojej klęski.

— Kłopoty w domu, złociutka? — Po raz pierwszy od mojego przyjazdu ten wstrętny stary goblin się uśmiechał.

— Ależ skąd! — zaprzeczyłam. — W domu wszystko w najlepszym porządku.

Moje zapewnienia jej nie przekonały. Nadal szczyrzyła się jak śmierć na chorągwi, kiedy wychodziłam w ciemną noc.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zamiast od razu wrócić do Glory Cottage, postanowiłam trochę się przejść. Myśli nie zaprzętał mi, jak dotąd, Rob — lecz Owen. Wiele bym dała, by móc znaleźć się w domu i wygarnąć mu prosto w oczy parę gorzkich słów prawdy. Trzęsłam się ze złości, że tak szybko pocieszył się inną i jeszcze miał czelność kłamać na ten temat w rozmowie ze mną. Przecież jak się nad tym dobrze zastanowić, całe życie byłam okłamywana, traktowana z góry i utrzymywana w nieświadomości. Najlepszym dowodem było dzisiejsze zachowanie Johna Drummonda — w ostatniej chwili ugryzł się w język, żeby nie zdradzić jakiegoś sekreciku Faith, zdawszy sobie sprawę, że ja to niegdysiejsza Jane, której wszak nic się nie mówiło. Pogodziłam się z tym, że matka odzywała się do mnie tylko wtedy, kiedy naprawdę musiała, a i to często nie mówiła mi wszystkiego. Ale żeby Owen?! Ciekawe, od jak dawna knuł za moimi plecami, zwodząc mnie i zbywając czym popadnie? Mam dosyć kłamstw! pomyślałam. Wolę najokrutniejszą, najohydniejszą prawdę niż stek byle jakich kłamstw i nieważne, że jej poznanie doprowadza mnie do szewskiej pasji. Prawda jest mi potrzebna — Owen nie. Właściwie nie potrzebuję nikogo, olśniło mnie, tak długo, jak długo znam całą prawdę. Byłabym doszła do miasteczka i złapała najbliższy pociąg do Londynu, ale uprzytomniłam sobie, że nie mam grosza przy duszy, karty kredytowe oddałam Robowi, a nie wpadłam

na to, żeby z góry kupić bilet powrotny. Przeklełam głośno Owena, który był poniekąd winien mojemu brakowi środków finansowych, pokręciłam się chwilę w kółko, nie mogąc się zdecydować, co w takiej sytuacji zrobić, ale wreszcie uznałam swoją porażkę na całej linii i zawróciłam w stronę posiadłości Drummondów. Może Rob mi coś pożyczy, myślałam płaczkliwie, w końcu jest moim dłużnikiem... Postanowiłam, że wręcę mu pamiętnik, poproszę o pożyczkę i niech dalej radzi sobie sam. Ja nic więcej nie mogłam dla niego uczynić. A wolałam się zadłużyć, niż łapać okazję — na prowincji i po nocy.

Szybki marsz w gęstniejących ciemnościach i zimnie sprawił, że gniew mnie opuścił. A może stało się tak za przyczyną mojej nieciekawej cechy charakteru: godzinami potrafiłam przejmować się i gotować ze złości z powodu jakiejś drobnostki, podczas gdy kiedy dotknęła mnie naprawdę wielka niesprawiedliwość czy nieszczęście, prędko odzyskiwałam spokój i zdolność trzeźwego myślenia. Przejął mnie dogłębny żal i rezygnacja, jakich człowiek doświadcza, kiedy sprawdzą się jego najgorsze przewidywania. Bo że się tego spodziewałam, byłam stuprocentowo pewna. Wprawdzie nawet przez moment nie przyszło mi do głowy, że swoją rolę w rozpadzie mojego małżeństwa odegra Dina, niemniej tego, że Owen postawi na mnie krzyżyk, spodziewałam się od lat. Jeśli mam być szczerą — od dnia ślubu. Nie mogłam więc powiedzieć, że zostałam wzięta przez zaskoczenie — co więcej: świadomość ta sprawiła mi małą satysfakcję. „A nie mówiłam?” — raz po raz powtarzał głosik w mojej głowie. I z tryumfem dodawał: „Wiedziałam o tym od samego początku, ale ty nie chciałaś mnie słuchać...”

W stanie, w jakim się znajdowałam, nie mogłam się pokazać Robowi na oczy. Właściwie, pomyślałam, wolałabym, żeby przez jakiś czas nikt mnie nie oglądał. Zamiast skręcić w stronę Martin's Court, zeszałam na ścieżkę prowadzącą nad rzekę. Było ciemno choć oko wykol, ale ja znałam okolice jak własną kieszeń; tylko od czasu do czasu potykałam się o przyniesiony przez dzieci czy psa kamień albo krzaczek, który nie rósł tutaj, kiedy byłam mała. W duchu prowadziłam monolog

z Owenem. Ty draniu, wyrzucałam mu, tyle mi naobiecowałeś, a w ostatecznym rozrachunku okazałeś się taki sam jak inni! Utraciliśmy z nim kontakt, kiedyśmy przestali przyjeżdżać do Glory Cottage na wakacje, ale Owen jakimś cudem dowiedział się o wypadku Luciena. Ja od trzech dni — trzech wieków — nie wychodziłam ze szpitala, choć niezupełnie dotarło do mnie, co się stało, i zachowywałam się jak zombi. Niemal nie opuszczałam pokoju, w którym leżał Lucien, posłusznie zjadałam przynoszone przez Faith posiłki, sprzeczałam się z nią na każdym kroku i mechanicznie odpowiadałam na pytania pielęgniarek. Jedyne co robiłam świadomie i z własnej woli, to regularne wydzwanianie do mieszkania Roba, który rozplynał się w siennej mgle. To wtedy pojawił się Owen. Blond-włosy, opalony i tryskający zdrowiem, jak się okazało w wyniku pracy na świeżym powietrzu w szkółce ogrodniczej wujostwa. Krótko mówiąc: bóstwo wcielone. Przysiadł po drugiej stronie łóżka i ujął Luciena za rękę. Chciałam zapytać go, jak mu minęła podróż, albo o coś równie banalnego, ale nie zdążyłam. Owen zaczął bez końca powtarzać imię mojego brata, a po policzkach spływały mu łzy. — Lucien, Lucien — zawodził. — Nikt inny nie dał mi tyle co ty... Łzy wypełniały mu oczy, niekontrolowane toczyły się ku brodzie, a on nie uczynił nic, by je powstrzymać czy zamaskować. To wtedy po raz pierwszy dowiedziałam się, co znaczy żałoba. Faith często później wzdychała: „Och, nie wiem, jak byśmy sobie poradziły bez Owena” i chociaż ten jeden raz jej pusta uwaga była szczerą prawdą. Dawał nam oparcie, ani przez moment nie mamiąc fałszywymi zapewnieniami. Wiedział jak nikt inny, kiedy może sobie pozwolić na odrobinę uśmiechu, a kiedy musi pozwolić nam się wyplakać. To on miał do czynienia z lekarzami, krewnymi i grabarzami. Zajął się wszystkim, w tym moją matką i mną. (Erie, chwała Bogu, przeniósł się na ten czas do klubu golfowego.) A potem, kiedy Lucien znalazł już wieczny odpoczynek, a ja odkryłam, że nie mam dokąd pójść (nie potrafiłam się zmusić, by wrócić do życia,

które przerwał wypadek: w grę nie wchodził ani Londyn, ani „dom” Faith i Erica), po prostu zabrałam się z Owenem i pojechałam do szkółki ogrodniczej jego wuja. Nikogo to nie zdziwiło; mimochodem, mimowolnie staliśmy się parą i tak też byliśmy postrzegani, chociaż gdyby ktoś mnie zapytał, nie umiałabym powiedzieć, jak do tego doszło. Przeczuwałam, że jest to ciąg dalszy dobroczynności Owena — zajął się młodszą siostrą swego najlepszego przyjaciela — lecz mimo to, kiedy zaszłam w ciążę, zgodziłam się na ślub.

Sformalizowanie naszego związku w niczym nie pomogło, wręcz przeciwnie. Może kiedyś zrozumieć, dlaczego nie mieliśmy szans. Może dowiem się, co zatriowało naszą przyjaźń, co spowodowało, że iluzja prysła. Teraz mogę tylko przypuszczać, iż oboje byliśmy w stanie takiego szoku po śmierci Luciena, że nie dostrzegaliśmy dzielących nas różnic, a nawet jeśli je dostrzegaliśmy, nie potrafiliśmy się zebrać, by o nich pomówić. Pierwsze miesiące były ciężkie; oboje czuliśmy, że nie wypada się śmiać ani miło spędzać czasu, że nasza miłość i seks, w którym znajdowaliśmy przyjemność, są zbrodnią przeciwko pamięci Luciena. Być może nie pasowaliśmy do siebie i nic by z tego nie wyszło nawet w innych, korzystniejszych okolicznościach, a być może gwoździem do trumny okazała się niespodziewana ciąża i pojawienie się małego dziecka. Rozwrzeszczana Laura i niepewność, czy nazajutrz będziemy mieli co do garnka włożyć, dopełniły dzieła.

Doszłam aż do furtki prowadzącej do Mułów. Miarowy odgłos pompowania wody przywołał mi na pamięć dawniejsze, mniej skomplikowane czasy. Przysiadłam na leżącym opodal kamieniu i szczerzej owinęłam się kurtką, nie przeszkadzał mi zaczynający właśnie padać deszcz.

Umysł z ulgą powitał tę odmianę. Przed oczyma stanęły mi słoneczne letnie dni, kiedy czworo — a potem pięcioro — dzieci spędzało tu wakacje.

Najpierw była nas czwórka: Lucien, Rob, ja i Esme; tak minęły pierwsze dwa lata. Kiedy za trzecim razem pełni podniecenia wysypaliśmy się z samochodu, Esme przywitała nas informacją, że jej matka powiła bliźnięta (o czym wiedzieli-

śmy) oraz że przechodzi załamanie nerwowe (co nie do końca zrozumieliśmy). Małe identyczne istotki rychło przestały dla nas stanowić sensację, toteż całe nasze zainteresowanie skupiło się na Clare — nie mając pojęcia, czym jest „załamanie nerwowe”, wymyślaliśmy coraz bardziej nieprawdopodobne wymówki, żeby tylko znaleźć się w Martin's Court i trochę poszpiewać. Udało nam się zobaczyć, jak pani Drummond śpi na sofie w salonie (agent Jane), zapłakana pali papierosa (agent Rob) i siedząc sztywno na krześle wbija w przestrzeń pusty wzrok (agent Esme). Rozczarowani uznaliśmy, że cokolwiek załamanie nerwowe jest, przypadek Clare Drummond należy do tych nudniejszych. Agent Lucien każdorazowo wracał z rekonesansu podekscytowany, opowiadając, jak to był świadkiem hysterii i gwałtu, ale wyjątkowo mu nie wierzyliśmy, skoro Esme, która było nie było spędzała w pobliżu matki najwięcej czasu, twierdziła, że jeśli tylko Clare nie płacze, w domu najczęściej panuje złowroga cisza. Zwłaszcza odkąd bliźnięta powierzono opiece pani Wicks.

Faith zawiadzała Johna z Londynu, melodramatycznym tonem ogłaszając, że „coś z tym trzeba począć”. Ten przyznał jej rację, lecz nie wydawał się zainteresowany poczynieniem jakichkolwiek kroków, wręcz przeciwnie — z niecierpliwością wypatrywał powrotu do swego spokojnego gniazdka w stolicy (gdzie zdaniem Luciena czekała na niego rozneglizowana konkubina. Mój brat wymyślił także historyjkę o haremie pana Drummonda, co rzekomo miało stać się przyczyną choroby jego żony). Przed wyjazdem John dał naszej matce *carte blanche*, całkowicie wolną rękę co do postępowania z Clare, najwyraźniej w pełni jej ufając. Tymczasem ona, bynajmniej nie mając zamiaru psuć sobie wakacji opieką nad chorą przyjaciółką (nie mówiąc już o dwójce małych dzieci), przypięła się do telefonu i obdzwoniła wszystkie okoliczne agencje pielęgniarek.

W efekcie na scenie pojawiła się Angela Baer.

Przywiozła ze sobą maszynę do pisania, dwie wielkie walizy wypełnione książkami i rękopisami, parę reklamówek / ubraniami oraz jasnowłosego chłopca, Owena. Kiedy ujrzałam ją po raz pierwszy, nie mogłam oderwać od niej oczu.

Miała niesłychanie puszyste blond włosy, olbrzymie piwne oczy i zwiewną sylwetkę z rodzaju tych, za którymi uganiają się producenci filmowi. Zachowywała się jednak tak, jakby nie zdawała sobie sprawy ze swej urody bądź chciała ją wręcz zatuszować: ubierała się w najohydniejsze stroje, jakie kiedykolwiek widziałam, i w ogóle robiła wszystko, żeby tylko nie podkreślić emanującego z niej naturalnego piękna. Poruszała się powłócząc nogami i paliła skręty! Znacznie później zrozumiałam, że dla Angeli uroda była nie błogosławieństwem, lecz przekleństwem. Kiedy starała się o pracę w środowisku akademickim albo walczyła o kolejne stypendium doktoranckie, uroda była jej kulą u nogi, gdyż mało który profesor czy dziekan (w równej mierze rycerski, co śliniący się na jej widok) chciał dostrzec w odalisce skrupulatnego naukowca badającego twórczość miernych poetów z czasów Cesarstwa Rzymskiego.

Owen odziedziczył po niej niewiarygodne jak na chłopca długorzęse głębokie oczy i gęste jasne włosy, lecz już w dzieciństwie przejawiał cechy, takie jak sztywność postawy, upór charakteru i otaczająca go aura ponurości, których z pewnością nie zawdzięczał matce. Nie pamiętam, by ktoś wspominał o jego ojcu, ale nam to nie przeszkadzało; nie drażyliśmy tematu, uznawszy z typową dla dzieci beztroską, że jego rodzice są rozwiedzeni.

Jednakże Owen nie miał na początku lekko. Byliśmy na niego oburzeni, że wtargnął nieproszony w nasze życie, zaburzając symetryczny układ. Padł ofiarą totalnego ostracyzmu z naszej strony, mimo starań Faith, by nas zintegrować. „To taki miły chłopczyk” — mawiała, gdy przypominała sobie o naszym istnieniu. — „Naprawdę nie rozumiem, czemu jesteście wobec niego tacy wstrętni.” Oczywiście tak postawione-go pytania nie zaszczycaliśmy choćby najbardziej zdawkową odpowiedzią, a Lucien nawet nauczył nas nucić jeden z psalmów, którym mieliśmy zadręczać Owena, karząc go za anielski wygląd.

Parę razy natknęłam się na Owena, kiedy spacerował sobie w pojedynkę nad rzeką albo leżał na trawie i czytał książkę, i wtedy przyznawałam rację matce: rzeczywiście był miły.

Wszelako za żadne skarby nie zaryzykowałabym, żeby się narazić Lucienowi, gdyż jego gniew byłby straszny — chcąc nie chcąc traktowałam Owena zgodnie z wytycznymi: arogancko i okrutnie. Potem usłyszeliśmy, jak ktoś gra w salonie Martin's Court, ale przyzwyczajeni do rozmaitych dźwięków dochodzących stamtąd na co dzień, wśród których nie brakowało muzyki gramofonowej, kobiecych krzyków i wrzasku bliźniąt, zignorowaliśmy tę nowość. A jeszcze później, któregoś wieczoru, kiedy zaraz po deszczu wybraliśmy się z Robem nad rzekę, zastanawiając się, gdzie podziwia się pozostała dwójka, czując się niepewnie tylko we własnym towarzystwie i kłócąc się o głupstwa z braku lepszego zajęcia (inwencja nie była przez Luciena mile widziana), zawędrowaliśmy wreszcie pod wierzbę, gdzie jakby nigdy nic siedzieli Lucien i Esme. Na trzeciej płachcie płótna, która być może kiedyś była żaglem, polegiwał Owen.

— Cześć — odezwał się Lucien, nawet na nas nie patrząc.

— To jest Owen. Kiedy dorośnie, będzie sławnym pianistą.

To były najlepsze wakacje ze wszystkich spędzonych w Glory Cottage. Dorośli nie mieli dla nas czasu, zbyt zaabsorbowani kryzysem w rodzinie Drummondów, i na szczęście nie ciągali nas na wycieczki krajoznawcze ani w odwiedziny do sąsiadów. Byliśmy pozostawieni samym sobie, i to nam odpowiadało. Wyobraźnia Luciena pracowała na pełnych obrotach

— tego lata wziął się na dom leżący jakiś kilometr w stronę miasteczka. W jego mieszkańcach, pocziwym starszym małżeństwie, upatrywał Bóg wie czego. Z zapałem godnym lepszej sprawy przekonywał nas, że pogodny staruszek, który najczęściej zajmował się swoimi piwoniami, podczas gdy u jego stóp leżał srebrnowłose pudel, to w rzeczywistości były komendant nazistowskiego obozu koncentracyjnego, odpowiedzialny za cierpienie i śmierć tysięcy istot ludzkich.

Otrzymaliśmy zadanie, by go szpiegować, a zwłaszcza podsłuchiwać, czy przypadkiem nie mówi do siebie po niemiecku. Kiedy zapytaliśmy Luciena, po czym poznamy, że to niemiecki, a nie na przykład francuski, podał nam parę przykładów: *Gott in Himmel*

i *Achtung*, co stanowiło całą jego ówczesną wiedzę na temat tego języka. Jeśli akurat nie czailiśmy się przy obrośniętym żywopłotem murku, robiliśmy to, co zazwyczaj porabiają dzieci na wakacjach: udawaliśmy, że nasza łódź to statek piratów, budowaliśmy tamy na płyciźnie, podkradaliśmy ciasteczka upieczone przez panią Wicks, a nawet próbowaliśmy wyplatać z witek wierzby małe koszyki na sprzedaż. Niestety twory naszych rąk bardziej przypominały wronie gniazda i nie znaleźliśmy na nie nabywców — do czasu kiedy Faith kupiła jeden, oczywiście zrobiony przez Luciena. Parę lat z rzędu woziła go wszędzie ze sobą i dumnie wystawiała w kolejnych salonikach, przekonując co łatwowierniejsze tymczasowe przyjaciółki, że ta kupa chrustu to dzieło znanego współczesnego artysty. Ćwiczyliśmy sztukę przetrwania i kopaliśmy dołki, w które miały wpadać jeże, żebyśmy mogli je upiec w glinie i popiele. Początkowo Esmé nie chciała się z nami bawić w tę ostatnią zabawę, roniąc łzy nad losem nieszczęsnych zwierzków, ale kiedy zobaczyła, że miejscowe jeże są sprytniejsze od nas, gorliwie rzuciła się do dłubania w ziemi. W deszczowe dni próbowaliśmy nauczyć Śnieżynkę paru magicznych sztuczek; opanował siedzenie w cylindrze (co w wypadku leniwego królika nie było wielkim osiągnięciem), ale z czarami jakoś nam nie szło. Lucien całkiem nieźle udawał brzuchomówcę, lecz my oczekiwaliśmy czegoś bardziej spektakularnego. Zjawienie się Owena miało znaczący wpływ na nasze życie i drastycznie zmieniło panujące dotąd stosunki. O ile Rob i ja znajdowaliśmy się pod urokiem Luciena, a Esmé po prostu się za nami snuła, nigdy nie podając w wątpliwość niczego, co którekolwiek z nas powiedziało, o tyle Owen wniósł powiew indywidualizmu. Owszem, schlebiało mu, że stał się częścią naszej grupy, nigdy jednak nie przejawiał ślepej lojalności. Wyrażał szczery entuzjazm, kiedy padał dobry jego zdaniem pomysł, ale miał odwagę krytykować propozycje złe bądź głupie. Znamienne, że takie zachowanie nowego członka podziało na Luciena niczym ostroga — zaczął wymyślać coraz ambitniejsze projekty i właściwie tylko umocnił swoją pozycję w grupie. To tamtego lata wzięliśmy na tapetę sekrety.

Pewnego pochmurnego ranka Lucien wyznaczył nam zadanie:

— Pomyślcie jakiś sekret, coś absolutnie osobistego. Coś, czego nigdy nikomu nie zdradziliście. Daję wam na to czas do jutra rana i pamiętajcie: żadnego oszukiwania!

— A ty? — zapytaliśmy chórem.

— Ja już mam swój sekret. Jest nie-wia-ry-god-ny — wy-skandował. Ogarnęła mnie panika; Lucien już wcześniej przejawiał niezdrową fascynację tajemnicami. „Powiedz mi! Musisz mi powiedzieć!” — nalegał za każdym razem, gdy wydawało mu się, że coś przed nim ukrywam. Rzadko kiedy udało mi się go zadowolić; co najwyżej z pogardą wzruszał ramionami, usłyszawszy moje ciche wyznanie: „Pod choinkę dostanę rolki”. Ostatecznie postanowiłam, że tym razem coś zmyślę, chociaż bałam się, że nie starczy mi wyobraźni. Prawdziwy sekret jest przecież fascynujący i przede wszystkim przekonujący. Pół nocy przeleżałam bezsennie, odrzucając jeden pomysł za drugim. Nazajutrz mocno padało, ale nie chcieliśmy spędzić następnego dnia w domu, toteż ubłagawszy nasze matki, schroniliśmy się w szopie. Po dziś dzień, kiedy słyszę słowo „sekret”, czuję zapach mokrego płótna, zbutwiałego drewna i wiekowych pajęczyn, a w głowie rozlega mi się kapanie kropel deszczu.

Lucien był podekscytowany, kiedy zajęliśmy swoje miejsca w kręgu, który tak naprawdę kręgiem nie był. Patrząc na jego zaróżowione z wrażenia policzki i istic merlinowski błysk w oku, zastanowiłam się przelotnie, czegóż to on się po nas spodziewa. Zaraz jednak nadeszła myśl, że może po prostu nie może się doczekać, by zdradzić nam swój sekret.

Jak zwykle powiedział:

— Esme jako najmłodsza z nas zacznie.

— To nie fair — obruszyła się Esme, kryjąc twarz w puszystej sierści Śnieżynki. — Dlaczego zawsze muszę zaczynać?

Lucien zmarszczył brwi, rozważając jej apelację. Wreszcie przemówił:

— No dobrze, w takim razie zacznie Rob. A potem pojedziemy w kółko, na mnie kończąc.

Rob wydawał się zmieszany. Owen popatrzył na niego, potem na Luciena, i powiedział:

— Ja chętnie zacznę, jeśli wam to nie przeszkadza — z napięciem czekał na werdykt.

— Nie — padło zdecydowanie z ust Luciena. — Zaczyna Rob.

— Dobra — z rezygnacją rzekł Rob, pewnie uznając w duchu, że im szybciej będzie miał to z głowy, tym lepiej. Zerknął nerwowo na swojego brata i podjął: — Mój sekret ma związek z tym starszym panem... no, z tym, o którym powiedziałaś, że jest nazistą... — urwał na chwilę i spuściwszy wzrok na ziemię, ciągnął: — Sprawdziłem to i okazało się, że to nieprawda. Nigdy nie był poza Anglią, bo jego żona nie lubi podróżować. Na wojnie też nie był, bo w tamtych czasach nie brali dzieci do wojska. Pokazał mi nawet zdjęcia. Urodził się w hrabstwie York, w miasteczku Beverley, a na nazwisko ma Holborough.

Lucien wzruszył ramionami i skwitował:

— Od początku o tym wiedziałem, ty głupolu. Chciałem się tylko dowiedzieć, jak długo w a m zajmie, żeby dojść prawdy. — Nie umiał jednak powstrzymać ciekawości, co go zdradziło. Z nieskrywanym podziwem zapytał: — Jakim cudem udało ci się to wszystko z niego wyciągnąć?

— Zwyczajnie. Powiedziałem mu, że przez wakacje muszę przygotować wywiad z kimś, kto pamięta drugą wojnę światową, a on był zachwycony. Truł mi całymi godzinami, myślałem, że tam usnę.

Twarz Luciena stężała. Nie odezwał się, ale poznać po nim było, że jest zły i obmyśla zemstę za to, że Rob jednym niefrasobliwym wyznaniem zburzył pieczołowicie przezeń budowaną fantazję. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, był to pierwszy i ostatni raz, kiedy Rob otarł się o bunt wobec Luciena.

— Teraz ty, Owen — zakomenderował mój brat. Owen skinął uroczyście głową. Minę miał poważniejszą niż zwykle, na szczęście drgał mu mięsień. Po dłuższej chwili zdradził nam:

— Nie zostanę pianistą.

— Dlaczego? — spytaliśmy zszokowani.

— Bo nie i już — wzruszył ramionami, a napięcie zauważalnie z niego spłynęło, jakby utrzymywana w tajemnicy decyzja była mu ciężarem. Lucien z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Ale przecież uwielbiasz grać na pianinie...

— Owszem — przytaknął Owen. — Granie jest w porządku. Tyle że muzycy cały czas się przeprowadzają, podróżowanie to jakby część ich pracy, a ja, kiedy dorosnę, chcę mieć porządny dom i porządną pracę. Na jednym miejscu.

— I to ma być twój sekret? — zapytał Lucien.

— Tak.

— Mało ciekawy — skomentował mój brat okrutnik, ale Owen się tym nie przejął. Po wyrazie jego twarzy widziałam, że dla niego jego sekret nie jest ani trochę nudny.

Ciszę przerwała Esme.

— Teraz moja kolej — zaszczębiotała. — Będziecie zachwyceni.

— No to posłuchajmy — zachęcił ją Lucien, chociaż wcale nie musiał. Esme strzelała oczami na wszystkie strony i aż się paliła, żeby zdradzić nam swą tajemnicę.

— Pani Wicks ma zrośnięte palce u stóp — oznajmiła /. tryumfem.

— Co takiego?! — zachłysłaliśmy się.

— Jak Bożię kocham, widziałam na własne oczy. Między palcami ma taką ohydną skórzastą błonę...

— Jak kaczką? — upewnił się Lucien.

— Yhm — przytaknęła bardzo z siebie zadowolona Esme. — Ale nie żółtą — dodała.

— Skąd wiesz? — Lucien drążył niczym wytrawny inkwizytor.

— Dawno temu, jak byłam mała, przyłapałam ją z bosymi stopami, kiedy myślała, że nikt jej nie widzi.

Wreszcie Lucien zdobył się na pełen aprobaty uśmiech.

— Brawo, Esme! Dobrze się spisałaś.

Zanurzyła twarz w futerku Śnieżynki i nieśmiało się uśmiechnęła.

Nadchodziła moja kolej. W brzuchu gulgało mi z podniecenia, gdyż teraz już wiedziałam, że mój sekret będzie

jak dotąd najlepszy. Jednakże mój niezawodny brat mnie zgasił.

— Ciebie ominiemy, Jane — powiedział pobłaźliwie. — I tak byś wyskoczyła z czymś nudnym jak flaki z olejem.

— Nieprawda! — zaprzeczyłam żywo.

— No dobrze — zgodził się łaskawie. — Zobaczmy, coś tym razem wymyśliła. Ale lepiej, żeby powaliło nas to na kolana.

Tak właśnie się stało.

— Któregoś dnia usłyszałam to od mamy... bo wiesz, Lucien, jak jesteś w szkole, mama i ja wiele rozmawiamy, bardziej jak siostry niż przyjaciółki, czasami całymi godzinami...

— Poczułam, jak na policzki wypełza mi rumieniec, nie ze wstydu, lecz z podniecenia, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Bardzo chciałam móc mieć taki bliski kontakt z matką.

— No więc któregoś dnia mama powiedziała, że nadszedł czas, bym poznała prawdę, i że opowie mi o tacie...

Lucien zbieleł jak prześcieradło.

— Jane, nie! — krzyknął. — Ani mi się waź!...

— Opowiedziała mi wszyściusieńko. Tata był dobrym człowiekiem i przepadał za dziećmi, i był zachwycony, kiedy się urodziłam... widzisz, bardzo chciał mieć córeczkę...

— Zreflektowałam się poniewczasie i czym prędzej dodałam:

— Syna oczywiście też. Zginął w wypadku podczas wyścigu, bo widzicie

— wyjaśniłam — on był kierowcą rajdowym...

— Zamknij się! — wrzasnął Lucien.

— Przecież tylko mówię, że...

— Zamknij się! Zamknij się!! ZAMKNIJ SIĘ!!! — wrzeszczał. — Jak śmiesz wymyślać jakieś głupie kłamliwe historyjki o naszym ojcu! — Poderwał się na nogi i zaczął mnie grzmocić pięściami, a ja byłam tak zaskoczona tym nagłym atakiem, że minęła długa chwila, nim w ogóle zaczęłam się bronić. Nigdy wcześniej nie podniósł na mnie ręki. Owszem, nieraz mi dokuczał, ale jego działania ograniczały się do niewybrednych docinków. Nawet nie przypuszczałam, że jest zdolny zrobić mi fizyczną krzywdę. Rozwrzeszczałam się do wtóru. Lucien odskoczył. — No, Jane, przesadziłaś! — wydy-szał. — Ostrzegałem was, że nie wolno zmyślać!

— Skąd możesz wiedzieć, że to nie jest prawda?

— Po prostu wiem i wcale nie muszę ci się tłumaczyć skąd. Jesteś żałośnie głupia, Jane. Nienawidzę cię! Pogardzam tobą! Już nigdy się do ciebie nie odezwę!

Kiedy usłyszałam te słowa, ziemia osunęła mi się spod nóg.

— Hej, Luce — próbował załagodzić sytuację Owen. — Ona nie miała nic złego na myśli. Daj jej już spokój i opowiedz nam twój sekret.

Lucien przybrał pogardliwą minę.

— W a m nie zdradziłbym swego sekretu nawet pod karą śmierci!

Nawet na najcięższych torturach. A możecie mi wierzyć, że to co chciałem powiedzieć, było nie-sły-cha-ne! Jakbyście usłyszeli piąty sekret, byłibyście wstrząśnięci, oszołomieni, zdruzgotani... Ale nigdy go nie poznacie, nawet za milion lat! A wszystko przez tę podłą kłamczuchę! Wyrzuciwszy z siebie tę przemowę, wypadł z szopy nie zważając na rześisty deszcz.

Przez resztę dnia nie zamienił z nikim ani słowa. Na mnie nawet nie spojrzął, co wzbudziło we mnie taką żalność, że rozważałam, czyby nie uciec z domu i nie zatrudnić się w cyrku albo skoczyć w bure odmęty rzeki i nie pozwolić się uratować. Od poczynienia tak drastycznych kroków odwiódł mnie Owen, który wychodził z siebie, aby być dla mnie miłym. Pomimo targających mną uczuć, mgliście żalowałam, że kiedy Lucien ogłosił embargo na kontakty z Owenem, nie miałam dość odwagi, by mu się przeciwstawić, i że nie zaprzyjaźniłam się z nim wcześniej. Jednak był miłym chłopcem!

Nazajutrz zapanował rozejm, ale musiało minąć jeszcze kilka dni, żeby Lucien wybaczył mi całkowicie. W ramach pojednania wyznaczył naszej czwórce kolejne zadanie: odkryć prawdę o błoniastych stopach pani Wicks. Uciekaliśmy się do rozmaitych podstępów. Błagaliśmy ją, żeby nas zabrała na basen. W sklepie z używaną odzieżą wykopaliśmy sandałki, pozbieraliśmy wszystkie drobne, jakie mieliśmy po kieszeniach, dokonaliśmy zakupu i w domu błagaliśmy ją, żeby przyjęła od nas prezent i od razu sprawdziła, czy rozmiar jest dobry. Podczas lunchu Owen wylał jej na stopy cały talerz

zupy i w udawanej desperacji rzucił się ku jej nogom, żeby zzuć przemoczone papucie, ale oberwał tylko ścierką po głowie. Krótko mówiąc, nigdy nie poznaliśmy prawdy o stopach pani Wicks.

A ja bardzo długo byłam jak ogłuszona po tyradzie, jaką zafundował mi Lucien, i już nigdy nie wspomniałam naszego ojca w jego obecności.

Lucien zaś nigdy nie zdradził nam piątego sekretu.

Następnego roku nie zdziwiło nas zatem, że Owen czeka na nas w Martin's Court. Przez zimę panią Drummond i bliźniakami zajmowała się *au pair* sprowadzona specjalnie w tym celu z Bazylei czy Hamburga albo jeszcze skądś indziej, lecz kiedy skończył się rok szkolny, wróciła tam, skąd przyjechała, a zastąpiła ją Angela Baer ze swoimi rękopisami, optymizmem i pszenicznowłosym synem. Clare i maluchy nie dawały jej jednak wiele czasu na studiowanie łacińskich wierszy, gasiły jej dobry humor i utrudniały opiekę nad własnym dzieckiem; im lato robiło się gorętsze, tym bardziej Angela była zagoniona i zdesperowana.

Dla nas także wakacje w Glory Cottage straciły wiele ze swego uroku.

Lucien zachowywał się dziwnie, był niezwyczajnie dla siebie pobudzony, nie mógł się skoncentrować na żadnej z wymyślonych przez siebie samego zabaw. Przyjemność czerpał z napauszczania na siebie nawzajem Roba i Owena — robił to tak sprawnie, że za którymś razem bałam się, że się pozabijają. Mnie z kolei opadły tamtego lata koszmary i nie wszystkie miały związek z zabawą w morderstwa, zaproponowaną przez mojego genialnego brata w chwili nudy.

Jedynym wydarzeniem, które nas złączyło jak za starych dobrych czasów, była śmierć Śnieżynki Dwa. Robiliśmy właśnie najazd na sad byłego komendanta obozu koncentracyjnego, kiedy nie wiadomo skąd wypadł rozhisteryzowany pudel i zagryzł biednego królika. Lucien był w swoim żywiole. Opracował cały rytuał pogrzebowy; obrządek miał się odbyć w konwencji staronordyckiej, ale Esme w porę zorientowała się, że to oznacza podpalenie miniaturowej łodzi wikingów, na której umieściliśmy pudełko po butach ze sponiewiera-

nymi zwłokami Śnieżynki w środku. Rozszłochała się jeszcze głośniej. Owen jednym susem znalazł się koło majestatycznie odpływającej od brzegu kopcającej „łodzi”, gwałtownym ruchem powodując falę, która zmiotła z „pokładu” małą „trumnę”. Ociekające ciało zostało na szczęście wydobyte z odmetów, ale Esme spędziła resztę popołudnia na suszeniu niegdyś śnieżnobiałego futerka za pomocą suszarki do włosów. Efekt był taki, że sierść sterczała sztywno ze sztywnego ciała, ale przynajmniej Lucien ustąpił i wyraził zgodę na bardziej tradycyjny pochówek. Wyrecytował ułożony specjalnie na tę okazję wiersz opiewający rozliczne zalety Śnieżynki, co oczywiście doprowadziło Esme do łez, i nie byłoby już więcej zgrzytów, gdyby rzucając garść ziemi na tekturową pokrywę nie skomentował różnym głosem:

— Pożarty, podpalony, utopiony i zakopany. Piękna śmierć, przynajmniej jak na królika.

Esme nie odzywała się do niego do końca dnia.

Przemarzałam na kość. W duchu nie czułam się wiele lepiej; wspomnienia zamiast przynieść mi ulgę, spotęgowały smutek. W tamtej chwili żałowałam, że moja znajomość z Owenem nie ograniczyła się do przyjaźni. Gdybyśmy nie zostali kochankami, a potem mężem i żoną, to co niegdyś magiczne, nigdy nie uległoby destrukcji. Problem z nim polegał na tym, że za bardzo starał się być miły. Kiedy Lucien umarł, współczuł mi i czuł się w obowiązku roztoczyć nade mną opiekę, lecz nie można budować wspólnej przyszłości tylko na współczuciu i troskliwości, choćby płynęły one z głębi serca.

Nie mając lepszego pomysłu ani nie chcąc złapać zapalenia płuc, skierowałam się w stronę Glory Cottage. Stapałam ostrożnie, gdyż ostatnie czego mi było trzeba, to poślizgnąć się i wpaść do rzeki. Problemów miałam aż nadto.

Jak tylko otworzyłam drzwi, Rob na mnie naskoczył:

— Gdzieś ty się znowu podziewała?! Wyglądasz jak zmokła kura! Znalazłaś pamiętnik?

— Do diabła z tym pamiętnikiem! — warknęłam. — Owen ma romans. To koniec mojego małżeństwa.

Rob naprawdę się starał. Zapomniał na chwilę o własnych kłopotach, Esme i pamiętniku i cierpliwie przysłuchiwał się, jak wylewam swoje gorzkie żale i wieszam na Dinie psy. Dwukrotnie podjęłam decyzję, by natychmiast wrócić do domu, i dwukrotnie Rob mnie przekonywał, że lepiej nie robić niczego pochopnie i przespać się z problemem. Naturalnie zdawałam sobie sprawę, że namawia mnie do pozostania dlatego, iż potrzebuje mojej pomocy, ale to i tak ładnie z jego strony, że wczuł się w moją sytuację i udzielał mi rad. Dzięki niemu mogłam udawać, że cała ta sprawa z Owenem i Diną nie dopiekła mi do żywego i że nie przejmuję się zdradą, jakiej padłam ofiarą. Rob zachował się jak prawdziwy przyjaciel: nalał mi drinka, napuścił wody do wanny i rozpałił w kominku, czyli zrobił dla mnie dokładnie to, co minionego wieczoru z radością robiłam dla niego. Rozkoszując się gorącą kąpielą pomyślałam, że powinnam mu przekazać pamiętnik. Szkopuł tkwił w tym, że wtedy przestanę mu być potrzebna. Raz-dwa znajdzie informację, której mu brakuje, poskłada wszystko w całość i się ujawni. Rob utknie u boku Esme, Owen będzie z Diną, a ja zostanę sama jak palec. Nie potrafiłam znieść tej myśli. Zresztą jaką różnicę może zrobić jedna noc? Dam mu pamiętnik rano, obiecałam sobie w duchu.

Kolacja wyszła bardziej uroczysta niż minionego wieczoru. Po pierwsze Rob nie pochłaniał wszystkiego, co nadawało się do zjedzenia, w okamgnieniu; po drugie oboje mieliśmy na sobie nowe ubrania. Nie wiem, jak moje, ale jego prezentowały się nadzwyczaj dobrze. Gdyby John nie wszedł ze mną do sklepu, pewnie godzinami nie potrafiłabym się zdecydować, co kupić, nie wiedząc, czy stanę na wysokości zadania (w wyobraźni widziałam Roba noszącego szyte na miarę garnitury i koszule od znanych projektantów). Musiałam jednak udawać, że robię zakupy dla męża, toteż wybrałam klasyczną kremową koszulę w delikatne prążki, elegancki purpurowy sweter, ciemnoszare spodnie, pasujące skarpetki i trójpak slipów. Obawiałam się zgryźliwego komentarza, ale jedyne co usłyszałam, to: „Na ogół nie noszę takich drogich rzeczy”, co uznałam za przejaw fałszywej skromności. Sama musiałam

wszakże przyznać, że wymyty, ogolony i przyzwoicie odziany Rob prezentował się jak z żurnala albo przynajmniej jak na zdjęciu w tym czasopiśmie, które przyniosła Dina. (Przekłeta Dina! Niech ją szlag trafi! Ani mi w głowie o niej teraz myśleć!! Ciekawe, co też ona i Owen porabiają w tej chwili?..)

Wszystko ma jednak dobre strony. Moja rewelacja na temat meżowskiego romansu wyrwała Roba z użalania się nad sobą i uświadomiła mu, że ja także mam swoje, wcale nie-lekkie życie. Po raz pierwszy odkąd się minionego dnia zobaczyliśmy, ujrzał we mnie człowieka, który też dorobił się interesującej historii.

— Twoja kolej — rzekł z uśmiechem, dolewając nam wina. — O co chodzi z tą szkółką, o której parę razy wspomniałaś? Zawsze myślałem, że Owen zostanie muzykiem.

Byłam rozdarta: lojalność i duma własna nakazywały, by przedstawić podretuszowaną wersję rzeczywistości, z kolei potrzeba wyzalenia się żądała wersji czarniejszej od prawdziwej. W konsekwencji, nie mogąc się zdecydować na żadną z nich, miotałam się pomiędzy jedną a drugą, co powinno było wzbudzić u Roba podejrzenia albo przynajmniej go skołować i pewnie tak by się stało — gdyby mnie uważnie słuchał.

— No więc Angela zgadza się ze mną w całej rozciągłości.

— Angela? — zapytał, wyrwany z zamyślenia.

— Angela Baer, matka Owena.

— A tak, oczywiście. Posągowa piękność z rękopisami.

— Yhm — przytaknęłam dziwiąc się, że tak ją zapamiętał. — Po ukończeniu szkoły Owen ponoć oznajmił, że porzuca muzykę dla szkółki ogrodniczej wujostwa. Angela nigdy tego nie przeboleła. Całe życie walczyła, żeby się oderwać od korzeni, a tu masz babo placek, jej syn sam się pcha na niziny, z których ledwo wyszedł.

— Dlaczego więc to zrobił?

— Przypuszczam, że przez swój legendarny upór. Zresztą sama nie wiem. Gdzieś po drodze uznał, że nigdy nie będzie wybitnym muzykiem, a średnim być nie chciał. Poza tym zawsze lubił grzebać w ziemi... Tak czy inaczej kiedy się pobraliśmy, jego ojciec podarował nam znaczną kwotę...

— Ojciec? — wpadł mi w słowo Rob. — Nigdy nie słyszałem, żeby miał ojca.

Wzruszyłam lekko ramionami.

— Każdy ma ojca, na miłość boską. To znaczy każdy oprócz mnie. Profesor Armand Baer był promotorem Angeli... Zdaje się wiedział więcej o poezji pisanej łaciną niż o antykoncepcji. Angela latami łudziła się, że zostawi żonę i się z nią ożeni. Aby uprzędzić wypadki, zmieniła nazwisko swoje i Owena, ale jej marzenie nigdy się nie spełniło. Owen nie widywał go często i kiedy starszerek zaproponował, że nas wesprze na nowej drodze życia, chciał nawet unieść się honorem i odmówić, ale na szczęście udało mi się wybić mu to z głowy. Faith także coś dorzuciła, z jakiejś polisy ubezpieczeniowej na moje imię, i ziarnko do ziarnka uzbieraliśmy tyle, żeby kupić zachwaszczony ogród z rozpadającą się chatką, w której niegdyś mieszkał ogrodnik... Musiało to być jeszcze za królowej Wiktorii, sądząc po stanie posesji.

— Brzmi cudownie.

— Czyżby? No to spróbuj tak żyć. Odbiorcy nie płacą, samochód dostawczy ledwo zipie i odmawia współpracy przy każdej okazji, dach w domu przecieka, a w banku patrzą na nas jak na potencjalnych złodziei. Że o ciężkiej pracy, zimnie i nudzie nie wspomnę. Jeśli takie jest twoje wyobrażenie cudownego życia, chętnie się z tobą zamienię. — W przeszłości nieraz zauważyłam, że ludzie nie lubią, kiedy mówi się całą prawdę o życiu na wsi. Nie chcą wierzyć, że prawda daleka jest od idylli. Rob także popatrzył na mnie ze sceptycyzmem; pewnie myślał, że całe boże dni spędzam biegając po łące i zbierając polne kwiaty, ubrana w białą letnią sukienkę. Cóż, to był jego problem; nie zamierzałam niczego upiększać, nawet dla niego. — Doprawdy nie mam pojęcia, jak sobie poradzimy w obecnej sytuacji. Chyba trzeba będzie wszystko sprzedać.

— Chryste, Jane! Przecież nie wiesz, czy on na pewno ma romans. A nawet jeśli tak, to wcale nie musi oznaczać końca. Taka jest kolej rzeczy w małżeństwie...

Pokręciłam ponuro głową.

— Nie bierzesz pod uwagę, że mówimy o Owenie. Sam dobrze wiesz, jak on poważnie podchodzi do życia. Jest

ostatnim znanym mi mężczyzną, który chciałby mieć romans na boku.
Rob stłumił ziewnięcie.

— Nie martw się, wszystko się ułoży.

Zezłościłam się. Wcześniej okazywał mi współczucie i udawał, że zostać w Glory Cottage na noc to najlepsze rozwiązanie (chyba dla niego, a nie dla mnie), teraz zaś, kiedy już był pewien, że go nie opuszczę przez najbliższe dwanaście godzin, nie potrafił się skupić dłużej niż kwadrans.

— Po części to twoja wina — powiedziałam.

— Jak to?! — oburzył się. — Przecież ja nawet nie znam tej całej Diny.

— Nie o to mi chodzi.

— No, Jane, jeśli sądzisz, że Owen ma romans dlatego, że ty wyjechałaś z domu na parę dni, żeby mi pomóc, to chyba upadłaś na głowę. Poza tym i tak byś go nie upilnowała, jeżeli nie teraz, to kiedy indziej...

— Nie, to nie to — przerwałam mu. — Mówię o tym, jak umarł Lucien...
Oczy Roba rozszerzyły się ze zdziwienia albo szoku.

— Ja nie miałem z tym nic wspólnego — rzekł drżącym głosem.

— No właśnie! Nawet nie przyszedłeś do szpitala. Opuściłeś nas, kiedy najbardziej cię potrzebowaliśmy. Ty nas zostawiłeś, ale Owen był z nami przez cały ten czas i dlatego za niego wyszłam. Bo potrzebowałam kogoś, kto nie zniknie /. powierzchni ziemi o, tak — pstryknęłam palcami.

— Rany boskie, Jane. Nie możesz mnie o wszystko obwiniać!

— Dokąd wtedy poszedłeś, Rob? Dokąd uciekłeś?

— Posłuchaj, Jane — wyglądał na zdenerwowanego — pobraliście się z Owenem, bo tego chciałaś. Być może masz rację, być może był to błąd, ale nie ma w tym krzty mojej winy. Co to, to nie.

— W porządku, zapomnijmy na chwilę o Owenie. Pytałam, dokąd uciekłeś. Co się z tobą stało? Już wczoraj zadałam ci to pytanie, ale zdążyłeś usnąć. Dokąd, Rob? I dlaczego?

— Jeżeli w ten sam sposób przesłuchujesz Owena, to się nie dziwię, że facet znalazł sobie kochankę — wybuchnął.

— Daruj sobie, Rob. W końcu mam prawo wiedzieć. Byliśmy dla ciebie jak rodzina... — Głos mi się załamał i musiałam przerwać, żeby odzyskać panowanie nad sobą. — Musisz mi odpowiedzieć, Rob.

Bawił się widelcem, przesuwając tam i z powrotem resztki jedzenia na talerzu. Nie podniósł na mnie oczu, kiedy mówił:

— Uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że przez rok, może nawet dwa lata nie pamiętałem, że Lucien kiedykolwiek istniał?

Wlepiłam w niego wzrok.

Poczułam, jak strach chwyta mnie lepкими zimnymi palcami. Rob w dalszym ciągu na mnie nie patrzył, ale coś w wyrazie jego twarzy spowodowało, że doznałam nagłego olśnienia. Jak mogłam się nie domyślić tego wcześniej! Rob był szalony. To by wyjaśniało nocny telefon, użycie dziecięcego szyfru, ukrywanie się, tę paranoję na punkcie policji... Być może także wypadek Esme...

Wstał, żeby posprzątać ze stołu, ale ręce tak mu drżały, że nie mógł utrzymać talerza. Dyszał ciężko.

— Gdybym ci powiedział — podjął — że przez dwa lata nie pamiętałem, że cała twoja rodzina kiedykolwiek istniała, tobyś mi uwierzyła? Że zapomniałem to miejsce, wspólnie spędzone wakacje... wszystko...

Siedziałam bez ruchu, wodząc za nim oczyma.

— Nie rozumiem, Rob... — wyszeptalam. — Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

Uśmiechnął się krzywo.

— Oczywiście, że nie rozumiesz — powiedział z pogardą wymieszaną z tryumfem. — Oczywiście, że nie wierzysz. Przecież ciebie tam nawet nie było...

Chciałam zaprzeczyć, protestować, że niesłusznie mnie oskarża, ale w tej samej chwili kieliszek, który trzymał w ręku, rozprysnął się na tysiące odłamków, a po jego dłoni i przegubie pociekła strużka krwi.

— Gdzie mnie nie było, Rob? — spytałam, choć wolałabym nie usłyszeć odpowiedzi.

— Nigdzie. Nieważne. Przejdę się trochę...

— Nie wolno ci! Poza tym twoja ręka... Jeśli ktoś cię zobaczy...

Nim skończyłam zdanie, Roba już nie było. Wyszedł, zostawiając drzwi szeroko otwarte, a do ogrzanego ciepłym kominka wnętrza wdarł się lodowaty powiew listopadowego wiatru.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Szukając towarzystwa zerknęłam w lustro, lecz widok, jaki w nim ujrzałam, przyniósł mi mizerne pocieszenie. Pewien czas temu ścięłam włosy, który to zabieg miał nadać mojej twarzy wyraz wyrafinowania, skończyło się zaś na tym, że wyglądałam jak potencjalny rekrut, do tego prezentujący się nadzwyczaj mdło. Od dawna wiem, że moje rysy są nijakie i dopiero silne wzruszenie, radość bądź złość, jest w stanie dodać im życia. Odkąd pamiętam, zazdrościłam Lucienowi i matce, podobnym do siebie jak dwie krople wody, tej ich delikatności czy subtelności sprawiającej, że aż miło było na obojgu zawiesić oko. Teraz nawet kiedy się uśmiechnęłam, oczy pozostały ponure, toteż zaprzestałam eksperymentów, godząc się z tym, że mars na czole stał się nieodłączną częścią mnie samej.

Kontemplując swoje odbicie siedziałam w sypialni pustego domu, gdzie jedynymi odgłosami było stukanie kropel deszczu o dach i szyby i pofurkiwanie grzejnika produkującego więcej kurzu niż ciepła.

Skłaniałam się ku temu, by przyznać Owenowi rację: nie miałam za grosz wdzięku i to wyłącznie moja wina, że mu się znudziłam. Dina w przeciwieństwie do mnie była kwintesencją kobiecości (aż dziw, że dostrzegłam to tak późno); pociągająca, bystra, utalentowana — jednym słowem, doskonała towarzyszka na każdą okazję.

Resztki pewności siebie, której nigdy nie miałam za wiele, opuszczały mnie w zastraszającym tempie; byłam przekonana,

że teraz wypadki potoczą się jak lawina. Nieraz w żartach napomykałam, że Owen zasługuje na kogoś lepszego ode mnie, no i proszę: wreszcie sam to rozumiał. Chociaż wiedziałam, że z Diną nie mam szans (albo właśnie dlatego, że to wiedziałam), paliła mnie wręcz fizyczna zazdrość. Żołądek skręcał mi się spazmatycznie, do ust podchodziła żółć. No pięknie, pożałowałam się w duchu, na domiar złego nabawię się przez to wszystko wrzodów i nikt nawet nie zapłaci na moim grobie.

Za sprawą ponurych myśli i pod wpływem wina zaczęłam popadać w cierpiętniczy nastrój. Zwalniałam Owena z przysięgi małżeńskiej, chociaż moim zdaniem cudowna Dina także nie była go warta, ale o tym będzie się musiał przekonać sam. Ja chciałam tylko pokazać, jaka jestem wyrozumiała, wspaniałomyślna i altruistyczna. Tak się wzruszyłam tą podkolorowaną wersją siebie, że po policzkach pociekły mi łzy, których wędrówkę z zainteresowaniem śledziłam w lustrze. Owena tak zdumieje moje poświęcenie, że zrozumie — ponieważ rzecz jasna — jaki ideał zdradził i skazał na straty... Jeszcze chwila, a zapłakałabym i nad nim, ale na dole trzasnęły drzwi, wyrывая mnie z zamyślenia. Wkrótce potem na schodach rozległy się kroki.

Zamarłam, z natężeniem wpatrując się w swoje odbicie, podczas gdy kroki ucichły przy mojej sypialni. W świetle małej nocnej lampki zobaczyłam, jak odbijające się w lustrze drzwi otwierają się lekko i w progu staje niewyraźna postać.

— Jane?

— Tak?

Rob wszedł do pokoju. Nie odwróciłam się, bacznie śledząc jego ruchy w lustrze. Znałam go tak dobrze, jak tylko jeden człowiek może poznać drugiego, kiedy dane im jest całe życie. Byłam przy nim, kiedy śmiał się z radości i wtedy, gdy był bliski płaczu. Słyszałam o jego tryumfach, depresji i wybuchach wściekłości. Na ekranie telewizora i zdjęciach prasowych widziałam, jak odnosi sukcesy i podbija serca innych. Minionego wieczoru byłam świadkiem jego upadku, gdy niczym zagonione zwierzę krył się w ziemnej norze. Teraz po raz pierwszy dostrzegłam go takim, jaki był w głębi duszy. Miałam wrażenie, że stoi przede mną zupełnie nagi.

Nigdy nie można było z czystym sumieniem nazwać go „przystojnym” ze względu na twardość linii szczęki — ładnie wyprofilowany nos i usta wiele traciły w zderzeniu z kancia-stością dolnej części twarzy — a jednak zawsze był niezwykle wyrazisty. Tym bardziej więc zdumiało mnie, kiedy zobaczyłam go tak odmienionego. Pewność siebie, świetliste spojrzenie opuściły go bez śladu; sylwetkę miał przygarbioną, oczy zasnute rozpaczą. Kiedy tak stał niepewnie tuż za progiem pokoju, poczułam, jak jego bezbronność i zdałoby się kruchość przemawiają do mnie po stokroć silniej aniżeli zwykła dla niego buńczuczność.

— Rob, co się stało? — spytałam cichym głosem. Nasze odbicia patrzyły sobie w oczy nawet wtedy, gdy on robił kilka posuwistych kroków, żeby stanąć za moimi plecami. Nachylił się i objął mnie ciasno, mówiąc:

— Uwierz mi, Jane, że nie ma na ziemi drugiego człowieka, który pragnąłby zmienić przeszłość bardziej niż ja...

Skinęłam lekko głową, ale w dalszym ciągu się nie odwróciłam. Ze zdziwieniem obserwowałam, jak moje odbicie przytula policzek do policzka Roba. Przymknął oczy i delikatnie wykręciwszy szyję, wciąż nie wypuszczając mnie z objęć, wargami dotknął lewego kącika moich ust. Czułam, jak stopniowo ogarnia mnie podniecenie, kiedy rękoma sięgnął mi do piersi. Bombardowana eksplozjami namiętności wodziłam oczyma od jego twarzy do swojej ciekawą, jak zareaguje krótko ostrzyżona ciemnowłosa kobieta, której się z coraz większą uwagą przyglądałam. Podczas tego aktu dwustronnego uwodzenia byłam zarazem zdystansowanym widzem podglądaczem i tkwiącym w samym środku wydarzeń rozochoconym uczestnikiem. Rob przeniósł wargi na moją szyję, a ja aż sapnęłam z przyjemności, spodziewając się, co zaraz nastąpi. Raz jeszcze spojrzeliśmy sobie w oczy, ja zaś przelotnie zastanowiłam się, jak to możliwe, że moja twarz jest całkowicie bez wyrazu, skoro wewnątrz targa mną burza emocji.

— Zapomnij o Owenie — powiedział Rob do mojego odbicia, ścierając kciukiem spływającą mi po policzku łzę.

Położyłam łokcie na kolanach i oparłam twarz na dłoniach.

— Nie potrafię... nie mogę o nim zapomnieć... Nie po tym, czego dowiedziałam się wczoraj... — tłumaczyłam, w duchu przeklinając Owena, że jak zwykle pokrzyżował mi szyki.

— Wiem — Rob uspokajająco pocałował mnie w czoło.

— Wszystko nam zepsuł, wiesz? Teraz się czuję tak, jakbym za wszelką cenę chciała mu odpłacić pięknym za nadobne.

Rob nie przestawał obdarzać mnie pocałunkami.

— Za bardzo się przejmujesz — szepnęła.

— Nieprawda! — zaprzeczyłam i z żalem żegnając scenę rozgrywającą się po drugiej stronie lustra, odwróciłam się ku niemu twarzą.

— W takim razie o co chodzi? — zapytał.

W odpowiedzi wzruszyłam tylko ramionami, Rob zaś podszedł do okna i zapatrzył się w deszczową ciemność. Moment później zasunął już zasłony, pokryte ze starości pleśnią.

— Pamiętasz tę noc, kiedy Esme spała w Martin's Court, a ty panicznie bałaś się burzy?

— Pamiętam — przytaknęłam nie wiedząc, do czego zmierza.

— Przyszłaś wtedy do naszego pokoju, a Lucien powiedział, że za żadne skarby nie wpuści cię do swojego łóżka, bo jesteś koścista jak szkielet, i wylądowałaś w jednym łóżku ze mną.

— Byliśmy wtedy niewinni, jak to dzieci.

— Mów za siebie, Jane. Dla mnie tamta noc była objawieniem i na pewno nie zachowałbym się jak niewinne dziecko, gdyby nie to, że zaledwie metr dalej spał Lucien. Teraz żałuję, że tak bardzo się obawiałem jego reakcji...

— Zatem cierpiełaś w milczeniu? — zażartowałam ciesząc się, że dzięki tym wspominkom udało nam się rozluźnić atmosferę. Rob jednak nie podjął żartu.

— Nie chcę być dziś w nocy sam, Jane. Czy naprawdę proszę o tak wiele? Później, kiedy już opatuliliśmy się kocami i narzutą, powiedziałam:

— Właściwie przydałyby się jakieś prześcieradła...

— Chyba nie ma żadnych — odparł Rob. — Przekopałem cały dom, kiedy pojechałaś do miasteczka.

— To dobrze. — Rob spojrział na mnie pytająco, a ja wyjaśniłam: — I tak nie byłoby czasu ścielić łóżka.

Leżeliśmy koło siebie na wąskim łóżku, bardziej dla towarzystwa niż wygody. Pod psłoną ciemności zebrałam się na odwagę i poprosiłam: — Porozmawiaj ze mną, Rob. Chcę przestać myśleć o Owenie i tej zdradliwej suce z sąsiedztwa.

— O czym chciałybyś porozmawiać?

— O czymkolwiek. Na przykład możesz mi opowiedzieć więcej o sobie.

— O mnie?

— Yhm. Gdzie się urodziłeś, kim są twoi rodzice i tak dalej. Nigdy o tym nie mówiłeś.

Rob milczał długą chwilę.

— No dobrze — przystał wreszcie. — Rodzice przeprowadzili się do Australii, kiedy miałem niecałe pół roku, w kolejnej próbie ocalenia swego małżeństwa. Niestety zarówno ich związek, jak i wyjazd okazały się fiaskiem. Ojciec nie przestał podróżować w interesach, matka też prowadziła aktywne życie i zanim się spostrzegli, oddalili się od siebie jeszcze bardziej. Ojca prawie nie było w domu, a matka miała kochanków na pęczki, toteż od najmłodszych lat byłem obojgu zawadą. Moje najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa to przeraźliwie pusty dom, zamknięte drzwi, cisza i oczekiwanie...

— Czyżbyś chciał wzbudzić we mnie współczucie? — zapytałam żartobliwie. — Poza tym wszem wobec wiadomo, że Australijczycy to radosny naród, nic tylko by organizowali przyjęcia na wolnym powietrzu...

— Przyjęcia? Chodzi ci o coś takiego jak grill w ogródku? Szczerze mówiąc pamiętam tylko jedno takie przyjęcie, w czyimś domu przy samej plaży. Nawet wtedy, jako mały brzdąc, rozumiałem, że z moją rodziną jest coś nie tak. Widziałem przecież, jak inne dzieci są traktowane przez swoich rodziców, i nie mogło mnie nie zastanowić, że kiedy wszyscy moi koledzy i koleżanki zostali dawno zabrani do domu, ja

zostałem u tych ludzi sam jak palec, bo moja matka właśnie poznała nowego faceta, zabawiała się z nim, a o mnie zupełnie zapomniała. Gospodarze oczywiście mnie przenocowali i byli dla mnie bardzo mili, ale ja i tak czułem, że mają mnie za dziwoląga. Wtedy jeszcze całą winę przypisywałem sobie, wiesz? Kiedy więc rano namierzono matkę, a ona obróciła całą sytuację w żart, tak rozpaczliwie chciałem jej się przypodobać, że śmiałem się razem ze wszystkimi.

— Rob, nie do końca o taką opowieść mi chodziło...

— Sama chciałaś, żebym opowiedział ci o rodzicach!

— I bardzo tego żałuję! — wypaliłam, ale zaraz pośpieszyłam z zapewnieniem: — Nie, to wcale nie tak. Proszę, mów dalej, przecież musiały być i dobre chwile.

— Może na przykład taka: moi rodzice rzadko kiedy byli jednomyślni, ale kiedy przyszło do mojej edukacji, zgodnie uznali, że australijskie szkoły nie zdadzą egzaminu, i postanowili mnie wysłać do Anglii. To oznaczało, że mieli mnie z głowy przez wiele miesięcy z rzędu, a do tego mogli liczyć, że w niektóre wakacje zajmą się mną dziadkowie. Pamiętam, że kiedy ojciec wsadzał mnie samego do samolotu, czułem się, jakbym miał zostać wystrzelony w przestrzeń kosmiczną... Do tej pory nie lubię latać.

— Roob — jęknęłam — miało być coś weselszego!

— Wedle życzenia, ale w takim razie muszę pominąć opowieść o dziadkach. Przeniesiemy się od razu do takiej sobie, zwykłej szkoły z internatem, tylko dla chłopców oczywiście. Wyobraź sobie magazyn pościeli, w którym nowo przybyli adepti czekają na wydanie prześcieradeł i poszewek. Do pomieszczenia wkracza Lucien i przygarnia mnie pod swe skrzydła. Od tamtej pory nieustannie zastanawiam się, dlaczego to zrobił, dlaczego wybrał właśnie mnie... Kiedyś go nawet zapytałem, ale zbył mnie jak to on, kiedy temat mu nie leżał. Teraz już nigdy się nie dowiem... — Hm, rzeczywiście było to ciekawe. Lucien na ogół okręcał sobie wokół małego palca osoby mniej od niego błyskotliwe, za to uległe, tymczasem Rob niewątpliwie nie był głupi i miał charakter. Być może mój brat uznał, że jego image'owi dobrze zrobi, jeśli skaptuje sobie także takiego zwolennika. Tak czy inaczej rzeczywiście

stali się nierozłączni. Z zamyślenia wyrwał mnie monotony głos Roba. — ...uwierzyć, że spotkało mnie takie szczęście: wybrał mnie najpopularniejszy uczeń. Cały czas się bałem, że go nie zadowolę i że porzuci mnie dla kogoś fajniejszego, ale tak się nigdy nie stało. No a potem, pod koniec pierwszego roku wspólnej nauki, zaproponował mi, żebym spędził z wami wakacje. Byłem w siódmym niebie! Humor psuła mi tylko wizja ojca, który mógł przecież nie udzielić na to zgody. Chciałem nawet położyć łapę na poczcie dyrektora szkoły i nieomal mnie na tym złapano, ale wszystko skończyło się szczęśliwie.

— To było pierwsze lato spędzone w Glory Cottage — wtrąciłam.

— Byliście pierwszą normalną rodziną, jaką widziałem w Anglii.

— My? Normalni? — zdziwiłam się niepomiernie.

— Naturalnie Lucien mi powiedział, że Erie to wasz ojczym, ale i tak uważałem go za „prawdziwszego” ojca od mojego. Był cały czas w zasięgu wzroku i można było na nim polegać. To tutaj po raz pierwszy poczułem się członkiem rodziny, chociaż oczywiście zdawałem sobie sprawę, że to tylko pobożne życzenia i że w każdej chwili zgoda może zostać cofnięta, a ja wyląduję w ponurym domu moich dziadków.

— To wyjaśnia, dlaczego zawsze byłeś ujmująco grzeczny. Faith wychwalała cię pod niebiosa i w ogóle za tobą przepadała.

— Z wzajemnością. Tak, byłem tutaj szczęśliwy, rok w rok przez cztery lata z rzędu.

Na zewnątrz zerwał się wiatr. Niesione podmuchem krople deszczu głośniejsz zagrzechotały o okienną szybę, a Rob i ja równocześnie poprawiliśmy się na łóżku, szukając w swoich ciałach ciepła.

Uśmiechając się doń szeroko, potarłam stopą o jego łydkę, a on pocałował mnie w czubek nosa. Napiecie, które mniej lub bardziej świadomie budowaliśmy spoglądając sobie w oczy w lustrze, prawie całkowicie minęło, lecz to co je zastąpiło, było moim zdaniem znacznie głębsze i poważniejsze aniżeli zwykły seks.

Rob zamilkł, a ja uznawszy, że zapadł w sen, także przymknęłam oczy oddając się objęciom Morfeusza. Poderwał mnie jego głos:

— U dziadków często oglądałem telewizję. Pamiętam, że pewnego razu zobaczyłem program o rafie koralowej z całym bogactwem fauny i flory, ale moją uwagę przykuło tylko jedno stworzenie. Nie mam pojęcia, jak się nazywało, ważne było co innego: to, że całe swoje życie spędzało przyczepione do tej samej skały, a jeśli w wyniku nieszczęśliwego zbiegu okoliczności zostało od niej oderwane, jego los był przesądzony. Unosiło się bez ładu i składu do czasu, aż spotkała je śmierć z powodu rozpadu organizmu, głodu lub wskutek pożarcia przez inne zwierzę. Nie mogłem mieć wtedy dziesięciu lat, a skojarzyłem opis egzystencji tego stworzenia z własnym życiem. Pomyślałem, że dryfowałem bez celu, dopóki nie poznałem Luciena. To on nadał mojemu życiu sens, dzięki niemu odnalazłem swoje miejsce na ziemi... Był mi znacznie więcej niż przyjacielem i kiedy umarł... — Rob urwał nagle i przez długą chwilę słychać było tylko zawodzenie wiatru w bezlistnych koronach drzew. — Kiedy umarł, straciłem nie tylko najlepszego przyjaciela, ale i część samego siebie. Całymi miesiącami czułem, że się rozpadam...

Prawdopodobnie było to załamanie nerwowe, ale słowo „rozpad” bardziej oddaje to, przez co wtedy przechodziłem.

Doskonale rozumiałam, o czym mówi Rob. Ludzie znający Luciena podziwiali go na ogół za nieprzeciętną inteligencję, odwagę i niespożyte pokłady energii, podczas gdy chyba tylko Rob i ja docenialiśmy inną nie mniej ważną jego cechę, tę mianowicie, dzięki której czuliśmy się potrzebni, ważni dla niego i przezeń kochani. Rob powiedział: „To on nadał mojemu życiu sens, dzięki niemu odnalazłem swoje miejsce na ziemi...”; dla mnie Lucien oznaczał po prostu dom. Współczułam każdej istocie, która na podobieństwo tych stworzeń z rafy koralowej została wyrwana z korzeniami ze swojego domu, choćby była nim goła skała, gdyż sama aż za dobrze poznałam uczucie dryfowania bez celu.

Słyszając, jak na zewnątrz wiatr i deszcz przybierają na sile, przysunęłam się do Roba, z ciepła jego ciała chcąc czerpać

otuchę. Świat poza ścianami Glory Cottage, ba, poza ścianami sypialni, był zimny i wrogi, a ja bałam się tego, co przyniesie następny dzień.

Owen rozpoczął swą ostatnią podróż w głąb oceanu.

Lucien zniknął z powierzchni ziemi.

Esmé tkwiła zawieszona pomiędzy dwoma światami...

Zamknięci w celi własnej samotności, a równocześnie bliżsi sobie niż kiedykolwiek przedtem, Rob i ja spędziliśmy tę noc wspólnie, broniąc dostępu zimnu i złu.

Do rana deszcz ustał, a Rob opuścił moje łóżko. Ledwie otworzyłam oczy, przypomniała mi się typowa scena z filmu, kiedy to bohaterka budzi się i potoczywszy nieprzytomnym wzrokiem po sypialni zastanawia, czy bohater okazał się dżentelmenem czy też wykorzystał jej stan upojenia alkoholowego, narkotykowego bądź jakiegoś innego. No więc byłże dżentelmenem czy... — w oku bohaterki pojawia się błysk — czy nie był? Uśmiechnęłam się do swoich myśli i najświeższych wspomnień (Rob bez względu na to, co robił, zawsze zachowywał się jak rasowy dżentelmen), lecz niczym kubek zimnej wody podziałało na mnie wspomnienie nieco tylko dawniejsze: że Owen w towarzystwie takiej owakiej Diny z pewnością dżentelmenem nie był.

Czar prysł, a ja leżałam wściekając się na niesprawiedliwość losu i zamartwiając, co przyniesie najbliższy dzień. Jedynym sensownym planem jawiło mi się przekazać Robowi pamiętnik Esmé, a samej wrócić do domu i stawić czoło temu, co tam zastanę. Prawdę powiedziawszy wolałabym już zasadzić jedenaście tysięcy mikroskopijnych sałatek.

W głębokim przeświadczeniu, że jestem niewinną ofiarą egoizmu i rozbuchanej namiętności tamtej pary, zwlokłam się na dół, żeby przyrzadzić sobie pierwszą filiżankę herbaty.

Na swoje usprawiedliwienie mam to, że Rob z wielką mocą podkreślał, że pod żadnym, ale to żadnym pozorem nie wolno mi zajrzeć do pamiętnika. Przecież powinien był wiedzieć, że tym sposobem tylko zaogni moją ciekawość. Głowę dałabym sobie uciąć, że gdyby Pan Bóg nie robił tyle zamieszania wo-

kół Sodomy i Gomory, żona Lota by się nie odwróciła i na świecie byłby jeden słup soli mniej.

Zaparzywszy herbatę wróciłam do sypialni z zamiarem rzucenia okiem na treść pamiętnika, ot po to tylko, żeby się upewnić, iż jest to ten pamiętnik, o który chodzi Robowi, a nie na przykład jakiś dziewczynski sprzed wielu, wielu lat. Skoro tak wielką wagę przywiązuje do zapisków Esme, nie chcę niepotrzebnie rozbudzać jego nadziei, tłumaczyłam się w duchu. Oczywiście prawda była taka, że musiałam się dowiedzieć, czy Esme napisała coś o mnie. Według słów Roba zaczęła prowadzić pamiętnik po tym, jak wróciła do Martin's Court, gdzie się poznałyśmy, i po prostu nie mogłam pozwolić, by ominęła mnie taka okazja. Zawsze ciekawiło mnie, jakie ma o mnie zdanie, czy mnie lubi i tak dalej, a nikomu nie mogła stać się krzywda, jeśli tylko zerknę i się tego dowiem. Obiecałam sobie, że jeśli natknę się na zbyt osobiste fragmenty, których Esme na pewno nie pokazałaby komuś obcemu, zaprzestaną lektury. Zresztą miałam tylko parę minut: Rob przygotowywał sobie kąpiel, a to oznaczało, że nie będzie kręcił się pod nogami przez góra kwadrans. Złożywszy sobie solenne przyrzeczenie, że dostanie pamiętnik, zaraz jak tylko wynurzy się z łazienki, zasiadłam do lektury.

Najpierw przekartkowałam brulion, żeby się przekonać, jak dużo Esme zdążyła napisać. Okazało się, że był zapelniony ledwie do połowy. Gęste, pochylone w lewo i wyglądające, jakby wyszło spod ręki dziecka, pismo na ostatniej stronie informowało:

No cóż, chyba pora wrócić do Londynu i zmierzyć się znowu z rzeczywistością.

Natomiast u szczytu pierwszej strony widniało:

No więc znowu jestem w Martin's Court i czuję się, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżała.

Poczytałam w duchu uwagę, że nie ma co liczyć na kwiecisty styl. Zresztą kimże byłam, żeby krytykować czyjeś zdol-

ności; sama w wieku ośmiu czy dziewięciu lat prowadziłam pamiętnik z wakacji (takie dostaliśmy „zadanie domowe” przed zakończeniem roku szkolnego), w którym skrupulatnie notowałam:

Poniedziałek

Wstałam, zjadłam śniadanie, bawiłam się na dworze do lunchu, zjadłam lunch, bawiłam się do podwieczorku, zjadłam podwieczorek, bawiłam się do...

I tak dalej w ten deseń (teraz naturalnie zateśkniłam do prostoty dziecięcego życia, które można było zamknąć mantrą słów: wstałam, zjadłam, bawiłam się). Niestety moja wakacyjna pisanina nie zdobyła uznania w oczach wychowawczyni; pierwsze miejsce zajęła zarozumiała dziewczynka, która — jeśli jej wierzyć — przez dwa bite miesiące nie robiła nic innego, tylko ratowała kocięta i prowadziła długie dysputy ze starszymi paniami. Ja jednak w pewnym sensie otrzymałam nagrodę pocieszenia, gdyż na przykładzie mojego pamiętnika nauczycielka wyjaśniła, jak nie należy prowadzić zapisków. Najważniejsze zaś było to, że magia letnich wakacji spędzanych w Glory Cottage pozostała niedostępna dla dorosłych.

Za drugim razem przeglądałam pamiętnik Esme nieco wolniej, próbując z tekstu wyłowić swoje imię. Natknęłam się na nie prawie na samym początku, widniało w lewym górnym rogu.

Jane jak zwykle była nabzdyczona.

Zamurowało mnie. Ja? Nabzdyczona? I do tego jak zwykle? ! Czy aby na pewno mowa była o mnie, a nie o jakiejś innej Jane? Zgiń, przepadnij, myśli nieczysta!... Zaczęłam czytać uważniej; ten akurat akapit traktował o pogrzebie Śnieżynki. Przy dokładniejszej lekturze okazało się, że Esme pisała jak dziecko zarówno jeśli chodzi o charakter pisma, jak i zasób słów. Lucien na przykład był „głupi”, bo w ogóle rozważał podpalenie Śnieżynki, a Owen z kolei „słodki”, gdyż uratował

Śnieżynkę przed utonięciem po śmierci. O Robie nie było ani słowa, a ja — jak już wspomniałam — byłam „nabzdyczona jak zwykle”. Poczułam się urażona (chyba bardziej dopiekło mi to „jak zwykle” niż „nabzdyczona”) i przestałam mieć skrupuły, że czytam coś, czego nie powinnam. Z niezadowoleniem usłyszałam, że Rob wypuszcza wodę z wanny, o czym doniosła mi z głośnym echem przedpotopowa instalacja. Zresztą mogę mu przekazać cały ten pamiętnik, proszę bardzo, myślałam. Prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż znajdzie się w nim choćby najlżejszą podpowiedź, kto dopuścił się brutalnego ataku na Esme. Nie ma tu nic ponad kilka nudnych historyjek z przeszłości — szkoła, wakacje i... sekrety.

Wzrok przykuło mi sformułowanie „*piąty sekret*”. Znaczyło to, że Esme także pamiętała tamto lato, kiedy Lucien gnębił nas swoim sekretem, drażniąc się z nami i strasząc, że nigdy go nam nie zdradzi. Napisała: *Nienawidzę sekretów, odkąd Lucien wymyślił tę głupią zabawę, a potem zadreżczał nas opowieściami o swoim piątym sekrecie, który by nas rzekomo powalił, gdybyśmy go poznali, a nawet — kto wie — może i drastycznie zmienił nasze życie. Wszyscyśmy go prosili, żeby nam powiedział, ja także udawałam, że mi zależy...*

No dalej, Esme, zachęcałam ją w duchu, jakbym tym sposobem mogła wpłynąć na treść zapisków. Zdradził ci w końcu ten sekret? Co to było? *...ale tak naprawdę miałam to w nosie. Wcale nie chciałam poznać jego głupiego sekretu, bo zawsze strachem napawało mnie to, co niedopowiedziane i tajemnicze, prawdopodobnie dlatego że intuicyjnie wyczuwałam prawdę o Mamie i Tacie, chociaż świadomie nie dopuszczałam do siebie myśli, że coś jest nie tak. Z tego samego Względu nie interesowały mnie cudze sekrety i nie obchodzi mnie, że ktoś nazwie mnie tchórzem, co to niczym struś chowa głowę w piasek. A już zwłaszcza nigdy*

się nie prosiłam, żeby poznać sekret Roba. Cięży mi ta wiedza i nie mam pojęcia, co z tym począć, skoro Rob zmusił mnie, bym mu przyrzekła, że przenigdy go nie zdradzę i nie pisnę słówkiem nikomu, nawet mojemu terapeutce. Tak jakbym w ogóle kiedykolwiek chciała coś wiedzieć! Przez cały ten czas ani razu nie zapytałam go, jak zginął Lucien, ale teraz kiedy sam z tym wyskoczył jak filip z konopi, nie potrafię wymazać tego obrazu z pamięci. Im mocniej staram się o wszystkim zapomnieć, tym bardziej mnie to męczy i czasem wydaje mi się, że muszę coś z tym zrobić, komuś powiedzieć, ale z drugiej strony wiem, że mi nie wolno. Tak bardzo żałuję, że...

Drzwi łazienki otworzyły się z hukiem, a ja podskoczyłam rozlewając herbatę, na szczęście na narzutę, a nie na pamiętnik.

— Jane?! Co ze śniadaniem? — rażno zawołał Rob, idąc korytarzem.

W pierwszej chwili pomyślałam, że chce mnie zwieść. Zaraz jednak zdałam sobie sprawę, że to niemożliwe, że przecież on nie wie, że ja wiem... Ogarnęła mnie panika, lecz na szczęście zdążyłam ukryć brulion, zanim nacisnął klamkę.

Moment później wkroczył do sypialni, uśmiechnięty i beztroski.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Czułam się wykończona jak każdy człowiek dzień w dzień kursujący pomiędzy pracą a domem, kiedy przedzierałam się przez zatłoczony Londyn i na jednym z dworców czekałam na pociąg, który miał mnie wywieźć ze stolicy i kawałek dalej na południe wypłuć na głuchej prowincji, gdzie Owen i ja próbowaliśmy prowadzić firmę i się nie pozabijać.

Rob mi nie dowierzał, kiedy mu oznajmiłam, że muszę wrócić do domu, i nie przekonały go nawet moje zapewnienia, że wrócę tego samego dnia i od razu podejmę poszukiwania zaginionego pamiętnika. Kiedy opuszczałam Glory Cottage, był na mnie wściekły.

Prawdę powiedziawszy, nie dziwiłam mu się.

Pamiętnik, zawinięty w sweter i ukryty w torbie, kurczowo trzymałam na kolanach, jakby obawiając się, że w każdej chwili może przemówić głosem Esme, informując wszem wobec o jej podejrzeniach. Sekret, sekret Roba, Lucien, śmierć Luciena... Gdzieś tam, w masie nieistotnych zapisków, tkwiła prawda, którą ja już dawno przeczuwałam. Jednakże mój umysł zawieszał się za każdym razem, kiedy zbliżałam się do sedna tajemnicy. Zawsze sobie powtarzałam, że to przecież nie ma sensu, lecz nie mogłam oszukiwać się dłużej: to miało sens, tyle że straszny, niemożliwy do ogarnięcia rozumem. Nie byłam nań jeszcze gotowa. Być może Esme była niezrównoważoną histeryczką — w końcu mogła odziedziczyć skłonności po matce, po nieza-

pomnianej Clare Drummond, którą przy dzieciach litościwie określano mianem ekscentrycznej, ale za naszymi plecami mawiano o niej „wariatka”. Być może tak jak jej matka Esme zamieszkiwała swój własny świat, w którym ludzie dopuszczali się dziwnych, strasznych czynów, i dlatego właśnie trafiła pod opiekę terapeuty. Niezbyt to miła perspektywa dla biednej Esme, myślałam, ale ja wolę taką wersję, aniżeli przyznać, że Rob zwyczajnie... że Lucien został... że w rzeczywistości Rob jest... Po raz kolejny odrzuciłam taką ewentualność. To się po prostu nie mieściło w głowie. Nie chciałam uwierzyć w to, co czarno na białym zobaczyłam napisane w pamiętniku.

Usilnie próbowałam zająć myśli czymś — cymkolwiek — innym. Na stacji czekał na mnie Owen, ubrany w najlepszą twee-dową marynarkę i bladoniebieską koszulę, na ogół zarezerwowane dla wizyt w banku i w biurze rachunkowym. Tym razem nie spełniły swego zadania. Wystrojony czy nie, wydawał się niezwykle zmęczony, a nieszczęsna odświętna koszula tylko podkreślała bladość jego cery. Na samą myśl o tym, dlaczego jest zmęczony, kto się do tego stanu przyczynił i co dokładnie mój mąż robił minionej nocy, zalała mnie krew. No, przystojniaku, pogroziłam mu w duchu, strzeż się, bo teraz to już sama Bozia ci nie pomoże.

— Witaj, Jane — przywitał mnie ostrożnie, wyciągając rękę po niesioną przeze mnie torbę. Widząc, jak gwałtownie przerzucam ją z jednej ręki do drugiej, zamarł w pół ruchu.

— Jak to miło, że po mnie wyszedłeś — wysyczałam. — Cud, że znalazłeś dla mnie czas.

Westchnął ciężko, odwrócił się i powlókł na parking. Idąc za nim czułam, jak narasta we mnie wściekłość. Ten drań miał czelność zgrywać cierpiętника!

Kiedy podeszliśmy do furgonetki, zdziwiło mnie, że Owen rzucił się otwierać drzwi od strony pasażera... Nawet poczęła we mnie kiełkować nadzieja, że targany wyrzutami sumienia chce mi okazać swą rycerskość, zaraz jednak umarła w załącz-

ku, stłumiona zdrowym rozsądkiem, który podpowiadał, że mało komu po nocy pełnej szaleństw chciałoby się prowadzić auto. Sprawa wyjaśniła się, gdy na moich oczach wykonał parę wygibasów, przeciskając się nad drążkiem dźwigni biegów i zajmując miejsce za kierownicą. Widząc moją zdumioną minę, wytłumaczył:

— Po tej stronie zepsuła się klamka... Nie miałem jeszcze okazji się do niej zabrać.

— Wspaniale! — sarknęłam. — Tylko tego nam brakowało do szczęścia. Ostra woń ziemi doniczkowej, oleju silnikowego i zbutwiałych jutowych worków przygnębiła mnie — nierozzerwalnie kojarzyłam ją z ciężką ogłupiającą pracą, rosnącymi z dnia na dzień długami i furgonetką rozpadającą się na naszych oczach. Szkółka ogrodnicza Owena i Jane Baerów to nie firma, tylko kamień młyński u szyi, myślałam.

Nieoczekiwanie dla samej siebie zapomniałam o wydarzeniach ostatnich dwóch dni i pograżyłam się w uzalaniu nad sobą. Ocknęłam się, kiedy Owen zamiast skrócić na drogę wiodącą do domu, pruł prosto w stronę autostrady.

— A ty dokąd się wybierasz? — krzyknęłam.

— Muszę dostarczyć zamówienie... — odparł spokojnie.

— Teraz, natychmiast? Nie możesz zrobić tego kiedy indziej?

— ...a potem moglibyśmy odwiedzić Esme — dokończył, nie zwracając uwagi na moje marudzenie.

— Jedną chwileczkę — zaoponowałam. — Czy ja mam tu coś jeszcze do powiedzenia?! Czy ktoś się ze mną liczy? Pytałeś mnie o zdanie?

— Niby jak? — wzruszył ramionami. — Przecież nie wiedziałem, jak się z tobą skontaktować.

— A podczas naszej ostatniej rozmowy telefonicznej? Zadzwoiłam, żeby ci powiedzieć, którym pociągiem przyjadę, więc równie dobrze mogłeś wspomnieć słówkiem o swoich planach!...

Ha, zabiłam mu klina! Nie miał na moje dictum odpowiedzi...

przynajmniej dopóki nie stwierdził:

— Chciałem porozmawiać z tobą na osobności.

Nie wiem, co sprawiło, że nagle zrobiło mi się słabo — wyczerpanie, choroba lokomocyjna czy ogrodnicze zapachy... Owen chciał ze mną porozmawiać. Z góry wiedziałam, co usłyszę: że zakochał się w Dinie, że z nami koniec, zaraz zażąda rozwodu i zacznie wyliczać tysiąc spraw, z jakimi w takich sytuacjach trzeba się uporać. A wszystko to metodycznie, spokojnie i kulturalnie, jak to on. Nie byłam na to gotowa.

— Nie mamy o czym rozmawiać. Powiedz mi tylko, co zrobiłeś z dziećmi.

Oderwał wzrok od drogi, zerknął na mnie, po czym znów patrząc prosto przed siebie, rzekł cicho:

— Są u Diny.

— U Diny! Chyba zdajesz sobie sprawę, że nie życzę sobie, by to babsko kręciło się koło moich dzieci!

— Nie martw się, to nie potrwa długo — uspokoił mnie.

Zamiast jednak poczuć się lepiej, zrozumiałam, że wszystkie nadzieje (żywione dotąd pomimo obaw i strachu, co przyniesie przyszłość) okazały się próżne: Owen jednym krótkim zdaniem utwierdził mnie w podejrzeniach. Ogarnęła mnie ciemność. Nim wszakże zdążyłam się ucieszyć, że wraz z utratą świadomości zyskam na czasie, słabość i czerń ustąpiły, pozostawiając bolesne pulsowanie w lewej gałce ocznej, uczucie ociężałości w mózgu i mdłości.

— Po prostu nie mogę w to uwierzyć! — wyrzuciłam z siebie, kiedy odzyskałam zdolność mówienia. — Ze wszystkich kobiet na ziemi albo przynajmniej w hrabstwie Berkshire musiałeś wybrać Dinę, królową zamrażarek! — Owen nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem. Przez dobre dziesięć minut jechaliśmy w milczeniu, aż ja pierwsza nie wytrzymałam. — Jak na kogoś, kto mnie praktycznie porwał w celu rozmowy na osobności, masz zadziwiająco mało do powiedzenia!

W odpowiedzi usłyszałam:

— Jak zwykle przesadzasz, Jane. Ja cię nie porwałem.

Tuląc do siebie torbę skrywającą pamiętnik Esme, odwróciłam głowę i przypatrywałam się mijanym ulicom, szarym domom, zapyziałym sklepikom, zapuszczonym stacjom benzynowym i smutnym ludziom, którzy krzatali się oddani swym nieciekawym zajęciom. Na jakimś wygonie grupa wyrostków

zbierała śmieci na kupe, zapewne w nadziei urządzenia sobie wieczorem ogniska. Pod powiekami poczułam łzy. Ciekawe, kto w tym roku zabierze dzieci na ognisko? pomyślałam, na głos zaś powiedziałam:

— No dobrze. Możemy odwiedzić Esme, ale tylko na chwilę. Chcę jak najszybciej zobaczyć dzieci.

Owen skinął głową, dając mi znać, że słyszał, i dalej prowadził w milczeniu. Mnie także odeszła chęć do rozmowy, chociaż miałam przygotowaną całą litanię złych, mściwych stów. Uznałam jednak, że mogą poczekać, że pierwszeństwo należy się Esme, a na wylewanie wzajemnych żalów będzie jeszcze pora. Poza tym zbyt się bałam usłyszeć to wszystko, co przez lata tłumił w sobie Owen.

Zaparkowaliśmy przed chylącym się ku upadkowi minicentrum ogrodniczym, z którym nieraz w przeszłości robiliśmy interesy, i wspólnie wyładowaliśmy skrzynki z sadzonkami.

— Czy oni przypadkiem nie wiszą nam trochę kasy? — zapytałam.

— Obiecali mi, że uregulują należność za poprzednie zamówienie, kiedy dostarczę im ten towar. — I chyba faktycznie lak było, gdyż wyszedłszy z biura kierownika, Owen wydawał się zadowolony, jakby właśnie otrzymał przyzwoity czek. — No to parę rachunków mamy z głowy — oznajmił radośnie, poklepując się po kieszeni, po czym okrężną drogą wgramolił się na siedzenie kierowcy.

— Pod warunkiem że czek ma pokrycie — zauważyłam, zajmując swoje miejsce.

Niecałe dwadzieścia minut później znaleźliśmy się na obrzeżach południowego Londynu. Owen zatrzymał furgonetkę przy krawężniku, nie zważając na zakaz parkowania i postoju.

— Co znowu? — zapytałam zrzędliwie.

— Muszę coś tutaj odebrać, przepuść mnie.

— A jeśli zjawi się ktoś ze służby parkingowej? — warknęłam.

— Użyjesz całego swojego uroku, żeby nam nie wlepił mandatu! —

Wciąż wściekła z impetem otworzyłam drzwi i wysiadłam wprost pod koła rozpędzonego TIR-a. Owen

w ostatniej chwili złapał mnie za ramię i wciągnął z powrotem do środka. Przekrzykując wizg powietrza i przeraźliwy niczym syrena okrętowa klakson, wydarł się na mnie: — Niech to szlag, Jane! O mały włos, a urwałoby nam drzwi!

— A co ze mną?

— Och, ciebie byle ciężarówka nie staranuje!

Uśmiechał się pod nosem, kiedy wykonywaliśmy bardziej przemyślane manewry, mające zaowocować jego wydostaniem się z furgonetki i moim przeżyciem, choć sądząc z tego, czego przed chwilą byłam świadkiem, to ostatnie nie było priorytetem mojego męża. Po zakończonej operacji siedziałam w aucie, wykręcając sobie szyję, by na czas zobaczyć zbliżającego się pracownika w charakterystycznym mundurze i kamizelce odbłaskowej i równocześnie obserwować, dokąd udaje się Owen. Nie wszedł, tak jak się tego po nim spodziewałam, do sklepu „1001 drobiazgów”, lecz minąwszy go dał nurka w następne drzwi. Z niedowierzaniem popatrzyłam na szyld: „Twój pieszczoł”, głosił, a żeby nie było niedomówień, na wystawie wały się legowiska dla psów, klatki dla ptaków i coś, co przypominało mi tortownicę, tyle że zrobioną z przezroczystego plastiku. Po paru minutach wyłonił się dzierżąc w ręku kartonowe pudło, które położył mi na kolanach, jak tylko wsunęłam się za nim do furgonetki, powtarzając skomplikowaną operację.

Kiedy zatrzaskiwałam drzwi, pudełko podskoczyło.

— Do licha, to żyje!!

Owen jakby nigdy nic przytaknął, przekręcając kluczyk w stacyjce.

— Co to jest? — zażądałam jednoznacznej odpowiedzi.

— Królik.

— Królik?! Dopiero co zasadziliśmy jedenaście tysięcy sadzonek, a ty chcesz przynieść do domu królika?! Nie uważasz, że prościej byłoby podlać je środkiem chwastobójczym albo napuścić oddział szarańczy, albo...

— Nie my, tylko ja — skorygował mnie. — Ja zasadziłem jedenaście tysięcy sadzonek. A poza tym królik jest dla Esme.

— Owen, stuknij się! Esmie leży w śpiączce na oddziale intensywnej terapii. Jak myślisz, co powiedzą w szpitalu, jak zobaczą cię z królikiem? Przez twarz przemknął mu cień niepokoju, zaraz się jednak rozpogodził.

— Ten jest biały — powiedział, jakby to cokolwiek zmieniało. — Ciekawe, ile ich w sumie miała? Ostatni, jakiego ja pamiętam, to Śnieżynka Cztery, ale to było całe wieki temu. Chyba lepiej nazwać go — wykonał ruch brodą w stronę pudełka — Śnieżynka Dziesięć albo Jedenaście, tak na wszelki wypadek.

Przyjrzałam mu się z uwagą. No, no, pomyślałam, jedna czy dwie noce z Diną i już utracił swój zdrowy rozsądek... Nie wiem, co jeszcze myślałam, bo nagle poczułam, jak kartonowe pudełko zaczyna siusiać mi wprost na nogi.

— Fuj! — otrząsnęłam się i sięgnawszy ręką do tyłu, po omacku znalazłam jakąś folię i położyłam ją sobie na kolana. Niestety o minutę za późno. — Mogłeś mnie ostrzec! — poskarżyłam się. — Teraz będę śmierdzieć króliczymi siuszkami.

— Przykro mi.

Uchyliłam wieczko i zobaczyłam najpierw różowy nosek, u potem jedno czerwone oko.

— Owen, ty kretynie, kupiłeś królika z czerwonymi oczyma. Wszystkie Śnieżynki miały czarne oczy! Esmie nie znosiła albinosów, będziesz musiał go zamienić.

— Jane, ty nic nie rozumiesz, prawda? Zastanów się! Jeśli Esmie usiądzie i poskarży się na kolor oczu królika, będę zachwycony, a ten mały futrzasty gość zasłuży sobie na emeryturę u nas w domu.

Zgasiłam jego entuzjazm.

— I tak ci nie pozwolą wnieść go na oddział. Na zwierzaku pewno roi się od bakterii, a ciekawe, jak wyobrażasz sobie dezynfekcję królika? W życiu nie słyszałam głupszego pomysłu. Zostaniemy oskarżeni o narażanie zdrowia pacjentów i personelu...

— Choroby królików nie przenoszą się na ludzi.

— A ty co taki mądry jesteś? Od kiedy to znasz się na weterynarii i medycynie?... — I tak dalej, aż do samego szpitala.

Kłócić się o królika było łatwiej, niż przyznać, że mąż ma romans. — To czyste szaleństwo — powiedziała jeszcze, kiedy Owen ujął pudełko w obie ręce i z pewną siebie miną ruszył w stronę wejścia do szpitala.

Nigdy nie doczekałam się odpowiedzi,

Kiedy szliśmy na oddział, już przez szklane drzwi zauważyłam, że pielęgniarki o lekko zamglonym wzroku poruszają się niczym automaty; przyczynę takiego ich zachowania zrozumiałam usłyszawszy leżącego na okrągło dżingiel programu sportowego. Ja już po paru minutach miałam dosyć, a one biedne musiały tego wysłuchiwać przez cały dyżur.

Prawdopodobnie z powodu otepienia nie zareagowały na niesione przez Owena pudełko.

— Możemy pobyć z Esme sami? — zapytał z czarującym uśmiechem. — Znamy ją od dzieciństwa.

Siostra oddziałowa, przysadzista Irlandka o końskiej twarzy, rozpromieniła się, jakby nie miała nic przeciwko temu, żeby Owen został na jej oddziale do końca świata, lecz rzuciwszy nerwowe spojrzenie w stronę korytarza, powiedziała służbiście:

— Gdyby zaczęła w państwa obecności odzyskiwać przytomność, proszę natychmiast poinformować o tym posterun-kową Ferris. Esme dla własnego dobra musi złożyć jak najprędzej zeznania.

— Naturalnie — przytaknął zgodnie Owen, a ja odwróciłam się, żeby ze zdziwieniem skonstatować, że niepozorna, po cywilnemu ubrana kobieta, którą przed chwilą minęliśmy, jest policjantką. Siedziała na chybotliwym, niewygodnym metalowym krześle i z równą pasją pożerała miętówki i zaczytany romans, którego okładkę zdobiło dwoje ludzi ubranych w białe fartuchy. Wyglądało na to, że posterunkowa Ferris niedawno rzuciła palenie i że prawdą było, iż aktywne zawodowo pielęgniarki traktują szpital jak miejsce łowów potencjalnego małżonka.

Owen, nie zwracając już uwagi na personel medyczny, który na jego widok cały się zaślinił, skierował się w stronę łóżka Esme, a ja z zawiścią pomyślałam, że tak właśnie wy-

gląda jego życie. Ludzie są przyjaźni i pomocni, co on traktuje jak rzecz oczywistą, nie zdając sobie sprawy, że wobec reszty świata — przykładowo wobec mnie — przedstawiciele tego samego wydawałoby się gatunku są na ogół wrodzy i podejrzliwi. No ale gdzie tam mnie, szarej myszce, do boga seksu.

Byłam tak zaaferowana zawartością pudełka i planowaną sesją królikoterapii, że zupełnie zapomniałam o właściwym celu naszej wizyty. Stanąwszy przy łóżku Esme przeżyłam VIPS!

prawdziwy szok, i to nie z powodu licznych rurek i urządzeń, do jakich była popodłączana, chociaż widok nie był przyjemny. Głównie uderzyło mnie malujące się na jej twarzy połączenie bezbronności małego dziecka i sterania życiem dorosłej kobiety; Esme wydała mi się zarazem młodsza i starsza, niż kiedy widziałam ją po raz ostatni. Pogrążona w śpiączce, powieki miała opuszczone, a że najwyrazistszą, nadającą charakteru cechą były przepastne piwne, jakby sarnie oczy, jej pełna uroda pozostała w ukryciu. Niemniej nawet poszarzała skóra, napięte mięśnie ani suty opatrunek na potylicy nie zdołały zakłócić spokoju, jakim emanowała za życia, a także w obecnym stanie.

Owen, mający spore doświadczenie w składaniu wizyt pozbawionym przytomności pacjentom szpitali, przysiadł na skraju łóżka, podczas gdy ja przycupnęłam na stojącym pod ścianą taborecie. Skoro zaszłam już tak daleko, musiałam przynajmniej udawać, że biorę udział w odwiedzinach. — Esme — Owen odezwał się łagodnym głosem — to ja. Pamiętasz mnie, prawda? Jest tu także Jane... — Mówił do niej tak, jak gdyby mogła go słyszeć; nie przybierał żałobnego tonu i prowadził coś w rodzaju monologu, który w każdej chwili miał nadzieję przekształcić w dialog. Zdażył powiedzieć parę zdań, o tym, że cieszy się, iż znów ją widzi, i że kiedy widzieli się poprzednio, wyglądała równie ładnie, chociaż była rozmowniejsza. W pewnym momencie urwał i marszcząc brwi, rozejrzał się dookoła. — Dlaczego tu leci ta okropna muzyka?

— Chcą do niej w ten sposób trafić — wyjaśniłam i ponieważ przypomniałszy sobie, że nie mam prawa nic na

ten temat wiedzieć, dodałam szybko: — To znaczy tak mi się wydaje...

— Co za bzdurny pomysł! — skrzywił się i sięgnął do odtwarzacza. — To wycie zdrowego wpędziłoby w katatonię.

— Wcisnął jakiś przycisk i muzyka ucichła jak nożem uciął.

— No, tak lepiej. — Na powrót skoncentrował się na leżącej nieruchomo Esme. Przyłożywszy dłoń do jej policzka, spytał:

— Słyszysz mnie teraz, Esme? Jeśli tak, spróbuj skinąć albo poruszyć powiekami. Nie musisz nic mówić, po prostu daj mi znak, że mnie słyszysz...

Przypatrywał jej się przez chwilę z napięciem, po czym oderwał dłoń od jej policzka i ścisnął ją za rękę. Esme pozostała niewzruszona niczym głaz. Przelotnie zastanowiłam się, czyby nią nie potrząsnąć, zamiast obchodzić się jak ze zgniłym jajkiem, ale się nie poruszyłam. Owen nachylił się i odgarnął z jej czoła kosmyk włosów, mnie zaś przeniknął dreszcz, gdy oczyma wyobraźni zobaczyłam, jak wykonuje ten sam gest, tyle że w innych okolicznościach. Widziałam jego i Dinę, nagich, przytulonych do siebie, obdarzających się czułymi pieszczotami zaspokojonych kochanków... Na samą myśl o tym ścisnęło mnie w dołku, jakby wnętrzości skręcały mi się w węzeł, z którego dumny byłby najstarszy żeglarz.

— Dlaczego Dina, na miłość boską? — powiedziałam na głos. — Dlaczego właśnie ta suka?!

W tej samej chwili podeszła do nas siostra oddziałowa. Usłyszawszy moje pytanie popatrzyła na mnie nieprzychylnie, natomiast Owena poinformowała:

— Nic do niej nie dociera, ale nie ustajemy w wysiłkach... Ojciec pacjentki poradził, żeby puszczać tę muzykę, i na szczęście udało nam się dotrzeć do płyty CD z wyborem telewizyjnych szlagierów...

— Jestem pod wrażeniem! — zachwycił się Owen.

Pielęgniarka rozpromieniła się jeszcze bardziej, najmniejszej uwagi nie zwracając na podejrzone ruchy pudełka u jego stóp, po czym skierowała się do wyjścia, po drodze obdarzając mnie wyniosłym spojrzeniem. Owen odprowadził ją wzrokiem i upewniwszy się, że posterunkowa Ferris nadal czyta z wypiekami na twarzy, niezauważalnym ruchem magika sięgnął do

pudełka i wydobył zeń przestraszonego królika. Delikatnie umieścił zwierzę na piersi Esme, a ono natychmiast położyło uszy po sobie i rzucając wokół rozbieganymi oczkami, jęło wypatrywać niebezpieczeństwa. Owen trzymał go w miejscu jedną ręką, drugą sięgając po dłoń Esme (tę bez rurek i wenflonów), którą musnął sierść Śnieżynki Ileśtam.

— To Śnieżynka Dziesięć — przedstawił ich sobie. — Pamiętasz jego poprzedników? Ja poznałem dopiero Śnieżynkę Dwa, ale przypuszczam, że dawno, dawno temu musiał żyć sobie Śnieżynka Jeden...

Królik, zaczął się trząść, jakby oddział szpitalny był otwartym polem, na którym roi się od drapieźników.

— Owen, przestań! — nie wytrzymałam napięcia. — Przez ciebie nas wyrzuci i profilaktycznie zabronią wstępu, a wszystko dlaczego? Bo tobie zachciało się bawić w psychologa. Przyjmij do wiadomości, że jedyne co ten królik może zrobić, to siku i bobki. Powinniśmy byli przynieść czapkę z króliczego futra, coś, co moglibyśmy zostawić Esme, kiedy już pojedziemy do domu. Bo przecież jego tutaj nie zostawimy; przypomnij sobie obsesję Śnieżynek na punkcie kabli elektrycznych! Gdyby dać temu szansę, toby w okamgnieniu odłączył Esme od aparatury podtrzymującej życie, a tego chyba nie chcesz, co? Poza tym to głupie łudzić się, że ocknie się z powodu królika, skoro nie reaguje na ojca, na nas, na nikogo...

Owen jak zwykle zignorował mnie i kontynuował wspominki o nieodżałowanej pamięci Śnieżynkach, przesuwając bezwładną dłonią Esme po grzbiecie, uszach, brzuszku zwierzęcia. A Esme w dalszym ciągu nie reagowała. To wtedy po raz pierwszy do mnie dotarło, że na dobrą sprawę już jej z nami nie ma, że właściwie już nie żyje i nie ma prawie żadnych szans na wyzdrowienie.

— Słuchaj no, Owen! — podniosłam głos. — Twoją najgorszą cechą jest to, że nie wiesz, kiedy się poddać. Albo to, że nie potrafisz przyznać się do błędu. Równie dobrze jak ja, albo i lepiej, zdajesz sobie sprawę, że Esme nigdy... — nie dokończyłam zdania, gdyż opadła mi szczęka. Ze zdziwienia zamrugałam.

Owen był podekscytowany.

— Popatrz tylko, Jane! Ona się uśmiecha...

— Ależ to niemożliwe! Jest w śpiączce...

— Jestem pewien, że się uśmiechnęła! Zrobiło mi się go żal.

— Owen, oszukujesz sam siebie...

— Nieprawda. Uśmiechnęła się. Widziałem przecież.

— To pewnie zwykły skurcz...

W tej samej chwili Owen wydał okrzyk radości. Wargi Esmę rozciągnęły się w uśmiechu — co do tego nie mogło już być wątpliwości — a powieki parokrotnie zatrzepotały.

W podnieceniu Owen musiał zwolnić uchwyt na grzbiecie królika, gdyż ten, gdy tylko poczuł, że nie krępują go silne ręce, wyskoczył jak z trampoliny i w paru susach znalazł się po drugiej stronie sali, zapewne pobijając przy tym rekord Guinnessa na krótkim dystansie. Następnie przecisnął się przez szparę w uchylonych drzwiach i pognął dalej korytarzem, przebiegając koło posterunkowej Ferris, która w zdumieniu oderwała się od książki i podążyła wzrokiem za znikającą w oddali białą puszystą kulka. Omal się przy tym nie udławiła miętówką.

Na korytarzu podniósł się rwetes, siostra oddziałowa wyłoniła się z dyżurki i szybkim krokiem podążyła w naszą stronę, wbijając we mnie oskarżycielskie spojrzenie. Nie mając najmniejszej ochoty ponieść niezasłużonych konsekwencji wprowadzenia dzikiej zwierzyny na teren szpitala, udałam się w pościg i chyba tylko cudem dopadłam Śnieżynkę Dziesięć na końcu korytarza, kiedy zastanawiał się nad dalszą trasą (sprawę utrudniały mu pozamykane drzwi). Zapędziwszy go do kąta, sprawnie schwytałam i z tryumfującą miną wróciłam na salę Esmę. Posterunkowa Ferris miała oczy jak spodki i raz po raz zaglądała do torebki z miętówkami, podejrzewając zapewne, iż koledzy splatali jej figla podrzucając do słodczy łagodny środek halucynogeny.

Owen dwoił się i troił, żeby udobruchać siostrę oddziałową, i przez ułamek sekundy miałam nadzieję, że chociaż raz na własnej skórze przekona się, jak to jest być zwykłym

człowiekiem i nie mieć u nikogo forów. Jednakże zanim zdążyłam powiedzieć: „Niegrzeczny królik!”, przypominająca klacz przełożona pielęgniarzek już rozplywała się nad mądrością i przedsiębiorczością Owena, pomstując na nieludzkie przepisy zabraniające futrzastym ulubieńcom wstępu do szpitali, gdyż „wszem wobec wiadomo, że silna więź łącząca pacjenta ze zwierzakiem znacznie przyspiesza leczenie”. Owen jak zwykle przyjmował pochwały z kamienną twarzą i zanim włożył Śnieżynkę do pudełka, pozwolił, by cały żeński średni personel medyczny, jak i przedstawicielka prawa miały możliwość wygłaskać królika, cmokając nad nim z zachwyty. Mnie wszakże nie zwiodły: wiedziałam, że tak naprawdę cmokają z zachwyty nad przystojnym, mądrym i troskliwym Owenem, moim mężem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Spanikowana wyrывałam Owena ze szponów pielęgniarek. Wprawdzie udało nam się zobaczyć Esme, kiedy nikt inny jej nie odwiedzał, nie było wszakże gwarancji, że w szpitalu nagle nie zjawi się moja matka albo John Drummond. Nie miałam ochoty na konfrontację z żadnym z nich. Spotkania z Faith zawsze zaliczały się do trudnych, John zaś mógł mnie wydać przed Owenem. Wystarczyłoby, żeby między wierszami dał do zrozumienia, że widzieliśmy się nie dalej jak wczoraj, a mój bystry małżonek już by dodał dwa do dwóch. W normalnych okolicznościach byłoby mi to nawet na rękę, gdyż przytłaczał mnie ciężar tajemnic Roba i bardzo potrzebowałam bratniej duszy, której mogłabym się wygadać. Niestety moje stosunki z Owenem drastycznie się w ostatnich dniach pogorszyły i z całą pewnością nie miałam zamiaru komplikować ich jeszcze bardziej.

Nie było mi lekko. Odwiedziny u Esme tylko spotęgowały mój strach o jej życie, co innego bowiem usłyszeć, że ktoś leży na OIOM-ie, co innego zaś zobaczyć tę osobę nieprzytomną na własne oczy. I w niczym nie pomogły dodatkowe informacje, jakich konspiracyjnym szeptem udzielała Owenowi siostra przełożona: że Esme „miała wiele szczęścia”, bo gdyby cios był „ociupinkę mocniejszy” albo zadany „kawałek dalej”, to... Mimo że w szpitalu było gorzej niż w cieplarni, zrobiło mi się zimno. Zaraz jednak oblała mnie fala gorąca, gdy przypominałam sobie teatrzyk cieni w wykonaniu

Owena i diabelnej Diny. Znowuż przeczytane słowa Esme o Robie i jego związku ze śmiercią Luciena sprawiły, że nie po raz pierwszy przeszły mnie ciarki. I tak w kółko.

Aby ratować swoje zdrowie psychiczne, opracowałam coś w rodzaju systemu archiwizowania informacji. Postanowiłam na razie odłożyć ad acta sprawę Owena i Diny oraz pamiętnika Esme. Przez większą część czasu system działał sprawnie, jednakże gdy na przykład w moje pole widzenia wszedł Owen,

mózg zaczynał mi wariować i prokurować obrazy, jak to po powrocie do domu wyrywam Dinie wszystkie pulchne kończyny metodycznie jedna po drugiej, bądź też gdy rzuciło mi się w oczy coś jasnoniebieskiego, powracało wspomnienie pamiętnika i tych strasznych zapisanych w nim zdań. Jakimś cudem wszakże przetrwałam i zaczynałam mieć nawet nadzieję, że jeśli najbliższy rok czy dwa nie przyniosą żadnych nowych rewelacji, być może nie wyląduję w wariatkowie.

Wszelako zagrożenie pojawiło się szybciej, niż myślałam.

Wychodziliśmy właśnie z windy — ja ze wzrokiem utkwionym w drzwi frontowe dające szansę ucieczki — kiedy doszedł nas znajomy głos.

— Hej, to wy?

Wymamrotałam jakieś przekleństwo, zanim ruchem posuwistym jak na zwolnionym filmie obróciłam się w stronę, skąd dochodził głos i postukiwanie butów o wyfroterowaną posadzkę. Szczęście w nieszczęściu, że to matka Owena, a nie moja, pomyślałam.

Angela Baer nie zmieniła się nic a nic od czasu, kiedy wtargnęła w moje życie wraz z walizą pełną rękopisów i uzdolnionym muzycznie synem; wyglądała dokładnie tak samo jak wtedy, gdy przyjechała do Martin's Court zaopiekować się Clare Drummond przechodzącą załamanie nerwowe. Nadal była pięknoscia, chociaż męskie głowy już się za nią tak często nie odwracały; blond włosy utraciły nieco ze swego blasku, a kąciki oczu i ust pokryła siateczka drobnych zmarszczek. Widać na jakimś etapie jej życia uroda przestała być jej zawadą w karierze naukowej, gdyż zaczęła bardziej dbać o ubiór. Chociaż jednak zamiast workowatych dżinsów i znoszonych tenisówek miała na sobie eleganckie spodnie i czółenka, nie

rozstała się z przepastną torbą, która pewnie jak zawsze zawierała — wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tak było — zwój rękopisów, parę książek i coś jeszcze, co wychodząc z domu dorzuciła w ostatniej chwili i co sprawiało, że jej sylwetka była niesymetrycznie przygięta do ziemi. Początkowo zdumiałam się widząc ją w szpitalu, zaraz jednak przypomniałam sobie, że ona i Esme były bardzo zżyte, a Angela, mimo że kłótniwa, nie miała w zwyczaju porzucać przyjaciół w potrzebie. Matka i syn obserwowali się z ukosa. Odkąd Owen zarzucił myśli o karierze muzyka, ich stosunki były lekko napięte. Angela miała nadzieję, że fascynacja syna ogrodnictwem jest tymczasowa i że kiedy już z tego wyrośnie, wróci na właściwą ścieżkę życia — co było jednak o tyle dziwne, że kto jak kto, ale ona powinna znać własne dziecko. Upór Owena był legendarny, a jakiegokolwiek namowy odnosiły zawsze odwrotny skutek.

— Dzień dobry, mamó — powiedział, nie patrząc jej w oczy.

— Owen, dobrze się czujesz? — zatroskała się po matczynemu, co nie było w jej stylu. — Nie wyglądasz najlepiej. — Owen bąknął coś na temat nieprzespanej nocy. Gdyby zaczęła mu współczuć, chybabym uderzyła w krzyk, jednakże ona szybko zmieniła temat: — Cieszę się, że was spotkałam. Chodźmy gdzieś usiąść.

Po jednej stronie szpitalnego holu ciągnęła się długa, lepiąca się od brudu lada, przy której sprzedawano napoje i przekąski; po przeciwnej stronie dla równowagi urządzono „kącik wina”, gdzie można było w ostatniej chwili kupić bukiet kwiatów, bombonierkę czy coś do czytania.

— Widziałas już Esme? — zapytał Owen, kiedy stanęliśmy w kolejce do baru.

— Zbieram w sobie siły — odparła Angela. — A wy?

— Właśnie od niej wyszliśmy.

— Jak się czuje?

— Trudno powiedzieć... Przez moment myśleliśmy, że zaczyna odzyskiwać przytomność.

Owen i Angela zamówili po kawie, ignorując wystawione w szklanej witrynie jedzenie. Pora lunchu dawno już wpraw-

dzie minęła, ale ja od rana nie miałam nic w ustach i padałam z głodu (nic nie jest w stanie określić mojego apetytu, jak widać). Wybrałam najsmakowitszą kanapkę i ciastko i poprosiłam o herbatę w porcelitowym, nie polistyrenowym kubku. Tak zaopatrzeni przysiedliśmy w cieniu figusa, któremu przydałaby się kroplówka. Patrzyli niedowierzająco na moją pełną tacę, toteż aby odwrócić ich uwagę, rzuciłam:

A Owen zrobił magiczną sztuczkę z królikiem. Pielęgniarki były zachwycone i chcą, żeby to powtórzył jutro.

Angela popatrzyła na mnie niepewnie, nie wiedząc, czy ma mi wierzyć czy też nie. Nigdy nie czułyśmy się swobodnie w swoim towarzystwie; ja w każdej chwili oczekiwałam jej wybuchu gniewu, niekontrolowanego i niczym taran niszczącego wszystko, ona zaś po prostu mnie nie akceptowała — tak to już bywa z teściowymi i synowymi. Nasza sytuacja była o tyle nietypowa, że Angela na ogół swą złość i krytykę kierowała ku Owenowi, tak że często zdarzało mi się go bronić. Tym razem pozostawiłam go samemu sobie.

Śledzony uważnym wzrokiem matki nalał na spodeczek trochę wody i wsunął go ostrożnie do pudełka.

— Zatem to naprawdę królik — stwierdziła Angela. Owen przytaknął i wyjaśniająco dodał:

— Z pewnością pamiętasz Śnieżynki, króliki Esme... Lekarze zasugerowali, że jakieś miłe wspomnienie mogłoby ją wyciągnąć ze śpiączki.

— Biedna Esme — rozculiła się Angela — była takim słodkim dzieckiem. A propos, jak się miewają Laura i Billy?

— Dobrze — odparł Owen.

Zapadło niezręczne milczenie. Angela podniosła do ust kubek z kawą, po czym nie upiwszy nawet odrobiny, odstawiła go z powrotem na stół.

Oderwała od niego bladą dłoń i położyła na przedramieniu Owena.

— Przed oczyma wciąż mam tamte wakacje nad rzeką... Świat jest taki okrutny... Zaledwie chwilę temu wasza piątka bawiła się radośnie, chociaż Bóg mi świadkiem, nie wiem, co robiliście przez połowę czasu, ale zdawaliście się szczęśliwi, przyszłość stała przed wami otworem... A teraz Lucien nie

żyje, Esme praktycznie też, a ja nie... — urwała w pół słowa, pozwalając łzom płynąć szerokim strumieniem. Owen się obruszył.

— Lekarze mówią, że Esme wyzdrowieje.

— Ja też mam taką nadzieję, nie to wszakże jest najważniejsze.

— O? — zdziwił się Owen.

Pociągnęła nosem i potarła oczy kościstymi palcami.

— Najważniejsze jest zrozumieć, że wszystko co mamy, to siebie nawzajem. Tylko to się liczy. Tymczasem zachowujemy się tak, jakbyśmy mając w banku sporą sumkę, nie zdawali sobie sprawy z jej istnienia do czasu, kiedy ktoś ten bank obrabuje...

Owen śmiesznie zmarszczył brwi, być może dlatego że skonfundowało go porównanie ludzi z pieniędzmi. Ja jednak byłam zdziwiona z innego powodu: z tego co wiedziałam, Angela nigdy nie miała oszczędności, więc jej porównanie nie tylko było nie na miejscu, ale również nie opierało się na doświadczeniu.

— Yhm — rzucił niezobowiązująco, wyglądając przy tym, jakby zaczynała go potwornie boleć głowa. Dobrze mu tak, pomyślałam mściwie.

Angela wszakże dopiero się rozkręcała.

— Nieraz bywałam wobec ciebie niesprawiedliwa, Owen, i chcę cię za to przeprosić. Całą sobą pragnęłam, żebyś został wybitnym pianistą, i niełatwo mi przyszło pogodzić się z tym, że moje marzenie nigdy się nie spełni. Wiem, że już dawno powinnam była odpuścić, no ale lepiej późno niż wcale, prawda? — popatrzyła na syna z nadzieją. — Już od pewnego czasu zbierałam się, żeby ci to powiedzieć, ale nie potrafiłam się przełamać... Kiedy jednak usłyszałam tę straszną wiadomość, co przytrafiło się Esme, pomyślałam: O mój Boże, a gdyby to był Owen? Wtedy już nigdy by się nie dowiedział, co naprawdę czuję...

— Rozumiem — odrzekł, kręcąc się niespokojnie na krześle.

Jego reakcja wydała mi się dziwna. Nawet biorąc pod uwagę, że miał kaca i ból rozsadał mu czaszkę, mógł wykrze-

sać z siebie nieco więcej entuzjazmu — w końcu jego matka właśnie wyciągnęła rękę do zgody.

— Dlatego wam to mówię. Bez względu na to, jaką drogę wybieriecie, mam nadzieję, że spotkają was same sukcesy. Niech wasza szkółka się rozwija i daje wam satysfakcję...

Przemowa, chociaż zbyt pompatyczna jak na mój gust, płynęła z głębi serca i zasługiwała na bardziej spontaniczną

reakcję niż blady uśmiech i bąknięte pod nosem podziękowa-

nie, zwłaszcza że Owen sprawiał wrażenie, iż właśnie dołożono mu trosk.

— Ależ tu duszno — powiedział wstając. — Wyjdę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, zanim ruszymy w drogę do domu.

Wzruszyłam ramionami, dając mu do zrozumienia, że jeśli chce się dąsać, niech robi to na własny rachunek, po czym rzuciłam:

— Ja posiedzę tu jeszcze chwilę. — Nie zdążyłam skończyć ciastka, a poza tym zrobiło mi się żal Angeli.

Odprawiała go smutnym wzrokiem, kiedy podążał w stronę wyjścia niosąc pudełko ze Śnieżynką pod pachą.

— Na pewno nic mu nie jest? Mnie wydaje się wyjątkowo nie w sosie...

Przypomniała mi się Dina, toteż zdobyłam się tylko na zdawkowe:

— Cóż, ma ostatnio wiele na głowie. Angela się zafrasowała.

— To wszystko moja wina — oznajmiła nagle. — W końcu jestem jego matką, a właśnie matki wini się za problemy dzieci, czyż nie? Wprawdzie całe życie próbowałam postępować nie jak typowa rodzicielka, niewiele to jednak dało. Okazuje się, że żaden sposób nie jest dobry. — Podparła głowę i przyjrzała mi się z uwagą, oczekując odpowiedzi. Niezbyt

zadowolona z kierunku, w jakim rozwijała się nasza rozmowa,

chrząknęłam tylko i wymamrotałam coś niezrozumiałego do kolejnej

porcji ciastka. Angela podjęła: — Czas ucieka, Jane. Posłuchaj rady starszej od siebie kobiety: nie pozwól mu przeciekać między palcami. —

Westchnęła ciężko. — Wiem coś o tym... — Poczułam niepokój. Nagle uderzyło mnie, że Angeli

zebrało się na rozliczenia z przeszłością i zwierzenia właściwe komuś, kto dopiero co dowiedział się, że zostało mu góra pół roku życia.

Nieoczekiwanie wyprostowała się i rozpromieniła; nadal była bardzo piękna, kiedy się uśmiechała. — Wiesz, że żona Armanda Baera zmarła na początku roku? Kiwnęłam głową.

— Owen dostał od ojca list.

— Znam go prawie całe swoje dorosłe życie — ciągnęła. — Zobaczyłam go po raz pierwszy, gdy miałam dwadzieścia pięć lat; prowadził wykład na temat poezji Stacjusza... po dziś dzień pamiętam każde słowo... i to chyba wtedy się w nim zakochałam. Przez trzydzieści lat sądziłam, że jedyną przeszkodą na drodze ku naszemu szczęściu jest jego żalсна niewykształcona żona. Na samym początku naszej znajomości przebąkiwał, że zamierza ją opuścić, ale ja nie byłam na tyle naiwna, żeby w to uwierzyć. Dlatego na wszelki wypadek zmieniłam nazwisko. Przez większą część życia byłam sama, tęskniłam i czekałam... Mimo to jakoś sobie poradziłam.

— Yhm — powiedziałam, bo cóż innego było do powiedzenia.

— Armand napisał do mnie w ubiegłym tygodniu. Okazało się, że od czasu śmierci żony podróżował po Stanach i „dużo myślał”. Niby od niechcienia zaproponował, żebyśmy się spotkali, ale ja na milę wyczuwam samotnego faceta, który potrzebuje kobiety...

— Och, jakie to romantyczne!...

— Prawda? — uśmiechnęła się do mnie znowu. — Wiesz, co poczułam, kiedy przeczytałam ten list?

— Co takiego? — zapytałam z przejęciem.

— Panikę. A dokładniej mówiąc, poczułam się tak, jakby ktoś zaproponował mi nie spotkanie, ale żeby resztę życia spędziła w kaftanie bezpieczeństwa. Właśnie tak! Całymi latami na niego czekałam, lecz kiedy wreszcie jest osiągalny, ja nie chcę mieć z nim nic do czynienia! Na wszelki wypadek spaliłam za sobą wszystkie mosty, pisząc odwrotną pocztą, że odkąd się ostatnio widzieliśmy, popadłam w narkomanię i że niebawem przeprowadzam się do komuny radykalnych lesbijek gdzieś na północy kraju, żeby uprawiać kapustę.

— Ach tak — wyjąkałam, zastanawiając się, czy powinnam tę ostatnią informację przekazać Owenowi.

— Naturalnie nie ma w tym słowa prawdy — uspokoiła mnie. —

Pomyślałam jednak, że taka mieszanka zrobi swoje i Armand uzna mnie za beznadziejny, nie rokujący nadziei na poprawę przypadek, tym samym dając mi spokój. Znajdzie sobie miłą kobietkę, z którą będzie szczęśliwy do końca swych dni, czego mu z całego serca życzę. Domowe ognisko to nie dla mnie, okazuje się. Mądre jest powiedzenie, by uważać, o co się prosi; często kiedy marzenia się spełniają, człowiek dowiadyuje się o sobie czegoś nieoczekiwanego...

— No, no, kto by pomyślał!

Angela albo nie dosłyszała, albo postanowiła zignorować gorycz w moim głosie.

— Zapewniam cię, że tak jest, a możesz mi wierzyć, że wiele o tym wszystkim ostatnio myślałam. I wiesz co? Sądzę, że głównym atutem Armanda było zawsze to, że był nieosiągalny. Przez trzy dziesiątki lat w głębi ducha wiedziałam, że nigdy nie odejdzie od żony, i mi to nie przeszkadzało. Mam cygańską duszę, Jane, i za późno, by się zmieniać. Zresztą chyba bym nawet nie chciała. — Gdyby to Faith teatralnym głosem oznajmiła, że od zawsze czuje się Cyganką, parsknęłabym śmiechem, ale słuchając Angeli nie wątpiłam w szczerść jej słów; po prostu dzieliła się ze mną swą ostatnią życiową lekcją. A że był to pierwszy taki wypadek w niemal dziesięcioletniej historii mojego małżeństwa z Owenem, uznałam, że muszę mu to wszystko przekazać. — Nawet nie wiesz, jaka to ulga! — ciągnęła. — Koniec z udawaniem! Koniec z oszukiwaniem się, że kiedyś przyjdzie pora, by się ustatkować. Owszem, być może jest to normalna kolej rzeczy dla większości ludzi, którzy odczuwają taką potrzebę w miarę dorastania. Cóż, w takim razie ja nigdy nie zamierzam dorosnąć — wyszczerzyła zęby w radosnym uśmiechu. — Żałuję tylko, że tak długo zabrało mi, nim to zrozumiałam, i cieszę się, że wam się poszczęściło. To właśnie próbowałam powiedzieć Owenowi. Ze jestem z niego dumna, że miał odwagę postawić na swoim. — Popatrzyłam na nią powątpiewająco. — No, ze szkółką — wyjaśniła. — Oboje postawiliście na

swoim i jestem przekonana, że odniesiecie wielki sukces. Na pewno nań zasługujecie.

Zacząłam szukać chusteczki do nosa. Mimo że wizja, jaką przed chwilą roztoczyła Angela, bardzo się różniła od skrzeczącej rzeczywistości, to jednak poczułam się wzruszona jej troską o nas. Odczekałam parę sekund, nim się odezwałam.

— Szkoda, że nie powiedziałaś tego wszystkiego Owenowi — zauważyłam.

— Zrobię to innym razem, kiedy będzie w lepszym nastroju. No mów, co u ciebie? — teraz kiedy już wyrzuciła z siebie kłębiące się w niej przemyślenia i emocje, okazała zainteresowanie moją osobą. — Jak ci idzie malowanie?

— Nie mam na nie czasu — wykrztusiłam skonsternowana nagłą zmianą tematu.

— Bzdura! Pamiętaj, że to ty musisz znaleźć czas na to co ważne — pouczyła mnie. — Brak czasu to tylko wymówka, coś jak żona Armanda w moim wypadku. Twoim problemem jest brak pewności siebie — podkreśliła. — Właściwie nie ma się czemu dziwić po tym, co wyprawiała Faith, całą swoją uwagę i zachwyty kierując pod adresem Luciena. Nigdy nie pochwalałam sposobu, w jaki naciskała tego biednego chłopca, chociaż muszę przyznać, że sama nie byłam o wiele lepsza... No, ale ja miałam tylko Owena. — Powoli zaczynałam mieć problemy ze skupieniem uwagi i chciałam już znaleźć się w samochodzie zmierzającym do domu, gdy Angela swym donośnym głosem zniecka oznajmiła: — Oczywiście jemu było z tym bardzo trudno.

— Komu? Z czym? — nie zrozumiałam.

— Mówię o tych ciągłych przeprowadzkach. Udawałam tylko, że mnie także przygnębiają, chociaż tak naprawdę sprawiały mi nieopisaną frajdę. To pewnie dlatego rozwinęłam w sobie zdolność wszczynania awantur na poczekaniu. Niby nie były one celowe albo przynajmniej nie świadome, ale... Weźmy choćby tę rozpętaną w obecności Clare i Faith. Jak dziś pamiętam, że kiedy się potem w pośpiechu pakowałam, myślałam z radością: Hurra, nigdy więcej bliźniaków ani pani Wicks. Czas na zmianę! To wtedy czułam się najszczęśliwsza, kiedy prowokowałam zmiany, nawet jeśli ceną były gruzy zo-

stawione za sobą. Wszelako Owen chciał prawdziwego domu. Pewnego razu powiedział mi, że chciałby mieszkać w jednym miejscu na tyle długo, by zdążyć coś zgubić. Przypuszczam, że nie tyle chodziło mu o samo gubienie przedmiotów, ile o poczucie przynależności. W świetle tego rozumiem, dlaczego tak ważna jest dla niego ta wasza szkółka: kiedy człowiek musi dzień w dzień babrać się w ziemi ogrodniczej, z pewnością czuje się stuprocentowo uziemiony — zaśmiała się szaleńczo.

Naprawdę zaczynałam się o nią martwić; taka dawka głębokich przemyśleń i szczerości nikomu nie mogła wyjść na dobre.

— Dobrze się czujesz? — zapytałam ją z niepokojem w głosie. —

Zachowujesz się tak, jakbyśmy już nigdy miały się nie zobaczyć.

Spojrzała na mnie nieprzytomnie, tak że ciarki przeszły mi po plecach. Wreszcie zaczęła chichotać.

— A, już wiem, o co ci chodzi. Nie ma powodu, żeby się mną przejmować. Nie zamierzam popełnić samobójstwa ani nic w tym stylu. Podejrzewam, że to jest mój sposób, żeby odreagować to, co przytrafiło się biednej Esme.

— Skoro tak mówisz... — Zaczęłam zbierać się do wyjścia. —

Konieczniesz musisz nas odwiedzić, im szybciej, tym lepiej, bo zimą pokój gościnny robi się nie do wytrzymania. — Mnie samą zadziwiła swoboda, z jaką wypowiedziałam to zaproszenie, jak gdyby coś takiego jak „my” nadal istniało. Ale miło było zachować pozory. — Laura i Billy są tacy słodcy.

— Możesz na mnie liczyć — odparła z szerokim uśmiechem.

Już miałam odejść od stolika, przy którym siedziałyśmy, lecz w ostatniej chwili zawahałam się, nachyliłam i cmoknęłam Angelę w policzek, co było wydarzeniem bez precedensu. Co za ironia losu, pomyślałam idąc w stronę parkingu, że stosunki między mną a Angelą uległy niespodziewanej poprawie właśnie wtedy, kiedy moje małżeństwo się sypie. Z przeraźliwą jasnością zdałam sobie sprawę, że właściwie nigdy jej nie ufałam — nie po tym, co zrobiła ostatniego lata w Glory Cottage. Awantura, jaką wywołała, położyła kres

wakacjom tam spędzanym, a na domiar złego winą za to obarczono mnie. Owen stał oparty o furgonetkę, lekko przygarbiony, z rękoma wciśniętymi w kieszenie i tak głęboko zamyślony, że zauważył moje pojawienie się, dopiero kiedy się doń odezwałam.

— Twoja matka się zmieniła.

— Yhm.

— Nie uważasz, że to dobrze?

— Być może — wzruszył ramionami — ale jak dla mnie stało się to trochę za późno.

Przeżuwałam ten komentarz w myśli, aż mnie olśniło, przy czym nie było to olśnienie z rodzaju przyjemnych. „Za późno” oznaczało, że wszystko się skończyło. Nasze małżeństwo, firma, rodzina. Nawrócenie Angeli nie miało w takiej sytuacji najmniejszego znaczenia, ba, zakrawało wręcz na szyderstwo. Poczułam, jak wokół narasta ciemność i rozpacz dławi mnie niczym duszący szal. Płonne nadzieje legły w gruzach.

Postanowiłam pierwsza przypuścić atak, cóż miałam do stracenia?

— Nie zamierzasz nic wyjaśnić? Albo chociaż przeprosić?

Skrzywił się, lecz nie oderwał wzroku od jezdni.

— Nie wydaje mi się, bym miał za co przeproszać.

— Co takiego?! Właśnie zniszczyłeś nasze małżeństwo i masz czelność powiedzieć...

Przerwał mi w pół słowa.

— O jakim małżeństwie mówisz? — zapytał z okrutnym uśmiechem.

Pytanie zostało zadane tak spokojnie, głosem całkowicie wypranym z emocji, że przestałam mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do miejsca, w jakim się znaleźliśmy. W ciągu zaledwie paru dni z małżonków, którzy mieli swoje problemy, zamieniliśmy się w ludzi gotowych rzucić sobie w twarz najgorsze oskarżenia. Nie chcąc wdać się w czczą kłótnię ani powiedzieć czegoś, czego nie dałoby się cofnąć, zmilczałam. Owen nadal

się krzywo uśmiechał. Zaczęłam podejrzewać, że skoro już podjął decyzję, z niecierpliwością wypatrywał rozwoju wypadków i spodziewanej wolności. Być może dla niego także życie rodzinne było krępującym ruchy kaftanem bezpieczeństwa. Zgoda, wykazał się odpowiedzialnością — wytrzymał w małżeństwie, jak długo potrafił —

jednakże teraz, gdy na horyzoncie zobaczył promyk nadziei, nie był w stanie już myśleć o niczym innym, jak tylko o oswobodzeniu się z więzów, które niegdyś mylnie wziął za więzi rodzinne. Bardzo prawdopodobne, że po Angeli odziedziczył nie tylko płowe włosy i atrakcyjny wygląd, ale również — a może przede wszystkim — jej cygańską naturę i niepokój, pchające go wciąż do przodu.

Najbardziej frustrujące było to, że w przeciwieństwie do mnie umiał sobie z zaistniałą sytuacją świetnie poradzić. Jego nic nie potrafiło zranić, podczas gdy dla mnie końcem świata okazały się nawet ostatnie wakacje w Glory Cottage.

Teraz mogłam powiedzieć, że byłam zaledwie katalizatorem, lecz aż do rozmowy z Angielą uważałam, że wina leży wyłącznie po mojej stronie. Deszcz padał bez ustanku od wielu dni. Faith zabrała całą gromadkę na kryty basen, mnie pozostawiając w domu, gdyż cierpiałam na ból zęba. Uznawszy widać, że nie jest to poważna przypadłość, nakazała mi pomagać przy bliźniakach. Na tyłach domu Clare Drummond i pani Wicks pochłonięte były jedną z tych absurdalnych czynności, przeszywaniem starych prześcieradeł czy pruciem znoszonych swetrów, a w salonie Angela próbowała zagłębić się w lekturze, podczas gdy roczne podówczas bliźniaki brodziły wśród morza połamanych zabawek i radośnie brudziły ściany czym popadnie. Nie miałam nic przeciwko temu, że chłopcy zostali puszczeni samopas, ale czułam się urażona z powodu ignorowania własnej osoby. Przecież bolał mnie ząb i należała mi się odrobina zainteresowania! Próbowałam różnych sztuczek, żeby wciągnąć ją w rozmowę — wszystko bezskutecznie do czasu, kiedy w chwili desperacji oznajmiłam:

— A Esme i ja jesteśmy jak siostry.

Angela rzuciła mi szybkie spojrzenie znad czytanej książki.

— Chcesz powiedzieć, że bardzo się lubicie?

— To też — skoro wreszcie udało mi się zwrócić jej uwagę na siebie, nie miałam zamiaru tak łatwo się poddać — ale głównie z powodu Faith i pana Drummonda.

— Ach tak? — Angela całkowicie ignorowała bliźniaki, z których jeden próbował wepchnąć drugiemu do ucha cały herbatnik.

— Łączy ich powinowactwo dusz — powiedziałam nieco mniej pewnie, gdyż nagle przypomniałam sobie ostatni raz, kiedy popuściłam wodze fantazji, i co się wtedy stało. Za nic nie chciałam, żeby Lucien znów się na mnie pogniewał i się do mnie nie odzywał całymi dniami, ale jako że nie było go w pobliżu, istniała szansa, że nigdy się nie dowie, że znowu wskoczyłam na swego ulubionego konika: problem naszego ojcostwa. No i tak bardzo zależało mi na tym, by porozmawiać z Angelą jak równa z równą.

— Naprawdę? — nie spuszczała ze mnie oczu. Przybrałam nonszalancką pozę i „światowym” głosem Luciena wyrecytowałam:

— Oczywiście już od lat nie bywają kochankami, ale pan Drummond jest balsamem na duszę matki.

Pewnie powiedziałabym o wiele więcej, gdyby nie to, że uwaga Angeli nagle skupiła się na bliźniakach — ten o zapchanym herbatnikiem uchu próbował zdekapitować brata za pomocą plastikowej łyżeczki. Przez chwilę obie przyglądałyśmy się powstałemu zamieszaniu, po czym nagle Angela cisnęła książkę w kąt i wybuchnęła płaczem.

— Nie zniosę tego ani chwili dłużej! — wykrzyknęła.

Chcąc jej jakoś pomóc i zapobiec poważniejszym obrażeniom, odebrałam maluchowi łyżeczkę i poklepałam go nią po łysej główce — rozległ się dźwięk jak przy obieraniu jajka na miękko. Dzieciak się oczywiście rozdarł, ale na tym się skończyło. Niewiele pamiętam z reszty tamtego dnia, wiem tylko, że do czasu powrotu wycieczki z basenu całkowicie zapomniałam o rozmowie z Angelą. Ona niestety nie zapomniała.

Jakieś cztery dni później obudziły mnie krzyki Faith, Angeli i Clare, które nie ustawały przez całe rano, a wczesnym popołudniem wszyscy oprócz właścicieli opuścili Martin's Court i Glory Cottage — Angela z Owenem udali się w jedną stronę, a Faith, Lucien, Rob i ja w drugą. Już nigdy nie mieliśmy tam wrócić, przynajmniej nie całą piątką.

Później się dowiedzieliśmy, że kłótnia wybuchła z powodu niezdarność Clare, która potłukła swój ulubiony czajniczek do herbaty na tyle kawałków, że ani ona, ani pani Wicks nie były w stanie go posklejać. Roniąc łzy nad tą kolosalną stratą, postanowiły wyrzucić skorupy do śmieci. Czajniczek został zastąpiony innym, który dotąd skrywał się w zakamarkach kuchennego kredensu, teraz zaś musiał przez dwa dni pędzić samotny żywot, dopóki nie sprawiono mu kompana w postaci pasującego doń dzbanuszek na mleko. Faith, nie mogąc dłużej zdzierżyć marudzenia Clare, i to z tak błahego powodu jak brakujący dzbanuszek na mleko, rzuciła niewinne: „Poproś Johna, niech ci przywiezie dzbanuszek z Londynu. Jestem pewna, że widziałam identyczny w jego mieszkaniu”. Relacjonując całe wydarzenie Ericowi, powiedziała, że dopiero na widok skamieniałej twarzy Clare uprzytomniła sobie, że ta nigdy nie postawiła nogi w londyńskim mieszkaniu Johna. „Skąd o tym wiesz?” — zażądała odpowiedzi Clare. Faith zaczęła się rozpaczliwie wycofywać, plotąc, co jej ślina na język przyniosła, i niebezpieczeństwo zostałoby zażegnane, gdyby nie nagłe pojawienie się Angeli niosącej stertę brudnych ubrań do prania. Jeden z bliźniaków zaczął w tamtych dniach ząbkować i Angela jak nic miała za sobą nieprzespaną noc, co uczyniło ją złą jak osa, szukająca tylko celu do użądlenia. Obrzuciła spojrzeniem rozgrywającą się przed nią scenę, po czym błyskawicznie podjęła decyzję, by dolać oliwy do ognia — tak to przynajmniej widzę z perspektywy czasu. Oskarżyła Clare o przymykanie oczu, Faith zaś o dwulicowość; oberwało się także nieobecnemu Johnowi, który miał wprowadzić pod własny dach kochankę w przebraniu oddanej przyjaciółki. Rozpętało się istne pandemonium. Angela cudem tylko uszła karzącej ręce pani Wicks wyposażonej w żelazko z duszą.

Deszcz właśnie przestawał padać i przymierzaliśmy się do spuszczenia na wodę naszej łódki, kiedy niczym antyczna Furia pojawiła się Angela, krzyżąc do Owena, że ma się natychmiast pakować, bo zaraz wyjeżdżają. Owen podawał Esme, która już siedziała w łódce, Śnieżynkę Trzy, wciąż młodego i bardzo płochliwego, ale usłyszawszy słowa matki, stanął jak wryty i wyraźnie pobladł. Nieświadomi tego, co rozegrało się pod naszą nieobecność w kuchni Martin's Court, przyjęliśmy, że to jakiś żart albo krótka wycieczka, toteż rzuciliśmy tylko: „No to na razie, Owen. Do zobaczenia wkrótce” i odbiliśmy łódką od brzegu. Owen jednak z wielką powagą krzyknął za nami: „Zegnajcie!” i noga za nogą powlókł się za matką. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam, jak porusza się w ten charakterystyczny, nieco nerwowy sposób, który ostatnio stał się jego nieodłączną cechą.

Niecałe pół godziny później przysłała po nas matka, każąc nam wracać na brzeg, a do podwieczorku w Martin's Court zostały tylko Clare Drummond, pani Wicks i Esme — znów pozbawiona towarzystwa rówieśników. Matka oczywiście już знаła całą historię i była skłonna zwrócić na mnie, źródło rewelacji Angeli, swój nieposkromiony gniew. Na szczęście prawie nie pamiętam, co nastąpiło potem, chociaż przypuszczam, że Faith nieźle się po mnie przejechała. Wiem tylko, że Lucien przekupił Roba, żeby usiadł na przednim siedzeniu, podczas gdy sam usadowił się razem ze mną na tylnej kanapie i przez całą drogę powrotną do domu ścisnął mnie za rękę i szeptał uspokajająco: „Nie płacz, Janey. To nie twoja wina”. W kolejnych dniach także trzymał moją stronę.

Jednakże teraz jechałam do domu z Owenem i nie było przy mnie Luciena, który by mnie podnosił na duchu i chronił przed nadciągającą burzą. Bo że burza nadciągała, tego byłam pewna. Ulotniła się gdzieś żalność, którą czułam minionego wieczoru siedząc przed lustrem i przygotowując mowę pożegnalną. „Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia”? Po moim trupie! Skoro bez mrugnięcia powieką potrafili mnie skrzywdzić, nie będę się z nimi patyczkować! Problem leżał w tym, że Owen i Dina byli w posiadaniu wszystkich

atutów, a do tego ja sama zamierzałam im romans ułatwić, wracając wieczorem do Glory Cottage. Przeklinałam w duchu Aidana, który szlajał się Bóg wie gdzie, zamiast pilnować roznamiętnionej żony.

„O jakim małżeństwie mówisz?“, pytanie Owena raz po raz powracało do mnie w myślach, lecz nie potrafiłam zebrać się w sobie i na nie odpowiedzieć. Chociaż bardzo chciałam wygarnąć Owenowi prawdę prosto w oczy, powstrzymywała mnie świadomość, że on może mnie zranić o wiele dotkliwiej aniżeli ja jego. Nie pozostało mi nic innego, jak wziąć się w garść. Kiedy podjeżdżaliśmy pod dom, powiedziałam:

— Ty wysiądź. Sama pojedę po dzieci.

Owen zmarszczył brew. Widziałam jego twarz z profilu, toteż jak zwykle z boku wydał mi się nadzwyczaj zacięty; ostry podbródek i wydatny nos, blade zaciśnięte wargi — nie był to przyjemny widok, chociaż w niczym nie umniejszał jego atrakcyjności. Z przykrością pomyślałam, że wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby wciąż mnie tak nie pociągał.

— Jak sobie życzysz — wzruszył ramionami.

— Wcale sobie tego nie życzę! — wrzasnęłam. — Ale ciebie to nic a nic nie obchodzi!

— Nie o to...

Nie dałam mu skończyć.

— Też sobie czas znalazłeś, żeby zacząć udawać, że się mną w ogóle przejmujesz!

— Daj spokój, Jane. Wszystko przekręcasz i wyolbrzymiasz.

— Och, teraz jeszcze...

Miał lepsze wycucie czasu ode mnie; swą ostatnią uwagę rzucił na moment przed tym, nim zatrzymał furgonetkę przed bramą, i właściwie nie pozostało mi nic, jak tylko się poddać. To znaczy teoretycznie mogłam go zmusić, żeby wysłuchał mojego komentarza, siedząc jak przymurowana i nie pozwalając mu wysiąść, ale jaki to miało sens? Otworzyłam drzwi i zeskoczyłam na ziemię, a Owen gramolił się za mną. Wystawiając głowę na zewnątrz, przyoblekł twarz w coś na kształt uśmiechu.

— Wygląda na to, że Esme jednak z tego wyjdzie.

— Tak.

— Wracaj szybko — rzucił jeszcze, kiedy okrężną drogą zajmowałam miejsce za kierownicą, po czym odwrócił się i obszedł dom dookoła, żeby dostać się do tylnych drzwi.

Kiedy straciłam go z oczu, ogarnęło mnie poczucie niepowetowanej straty. Zawsze sobie obiecywałam, że pewnego dnia namaluję portret Owena, taki, który ukaze jego delikatność i siłę, oddając mu sprawiedliwość. Udało mi się zrobić parę szkiców, pobieżnych i nieczytelnych dla niewprawnego oka; ukazywały go w różnych pozycjach, lecz żaden nie przedstawiał jego rąk. Poczułam żal, że tak już pozostanie. Morze utraconych okazji...

Dina, gdy ją zobaczyłam wszedłszy do jej domu po dzieci, ani trochę nie przypominała „tej drugiej” z moich wyobrażeń. Włosy miała schowane pod chustką w grochy, a na sobie wystrzępiony sweter szetlandzki i ogrodniczki z džinsu w czerwone żyrafy. Uśmiechnęła się na mój widok.

— Witaj, Jane — przywitała mnie jakby nigdy nic. — Wchodź dalej, tylko uważaj na ten bałagan. Świetnie się dzisiaj bawiliśmy.

Przecinając jej nieskazitelny hol, gdzie unosił się subtelny acz sztuczny zapach odświeżacza (cytryna i sosna), z zawstydzeniem uświadomiłam sobie, że śmierdzą króliczymi siuškami. Na dodatek kilka suchych listków, które przyczepiły mi się do ubrania w furgonetce, wybrało sobie akurat ten, jakże niewłaściwy moment, żeby się ode mnie odczepić i płynnym ruchem opaść na puszysty dywan koloru kawy z mlekiem. Nawet w lepszych czasach, gdy byłyśmy jeszcze przyjaciółkami, w jej domu jak z żurnala czułam się brudniej sza i bardziej zaniedbana aniżeli w rzeczywistości, tym razem zaś nie zdziwiłabym się, gdyby mnie wprost nazwała kopciuchem.

Trójka dzieci siedziała przy kuchennym stole i niestrudzenie wycinała z czasopism zdjęcia, które potem według tylko im znanego klucza zostawały naklejone na szary papier i kartki bloku technicznego. Laura pracowała z właściwym jej zacięciem — bez względu na to, co akurat robiła — i jej uroczą twarzyczka przybrała skupiony i napięty wyraz. Billy, za-

czerwieniony od całodniowego dotrzymywania kroku starszej dwójce, sprawiał wrażenie, że wyklejanki go nie interesują, i pewnie wiele by dał, żeby znaleźć się przed telewizorem.

— Cześć! — powiedziałam głośno. — Jak wam idzie?

Laura, która właśnie precyzyjnymi ruchami wycinała zdjęcie puszek karmy dla kotów, nawet na mnie nie spojrzała, Billy jednak nie zawiódł mamy i oparłszy główkę na pulchnej rączce, rzucił w moją stronę rozanielony uśmiech. Z trudem powstrzymałam łzy. Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane? myślałam. Czemu me mogę ich stąd zabrać w jakieś bezpieczne miejsce, gdzie byśmy żyli długo i szczęśliwie? Odezwał się tylko Duncan.

— Dzień dobry, ciociu Jane — przywitał mnie grzecznie.

Nie usatysfakcjonowana kreatywnością dziecięcych paluszków Dina także dała popis. Na dalszym końcu stołu leżało z sześć pomarańczy z ponacinaną skórką i obwiązanych cienką wstążką, dzielącą je na ćwiartki. Niektóre z nich miały powbijane w miąższ goździki.

— Odświeżacz powietrza — pośpieszyła z wyjaśnieniem. — U fryzjera przeczytałam artykuł o tym, jak w dawnych czasach radzono sobie z nieprzyjemnymi zapachami.

Nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy.

Laura skończyła wreszcie wycinać puszkę kociego żarcia, teatralnym gestem odłożyła nożyczki i sięgnęła po klej. Rączka Billy'ego wystrzeliła w kierunku nożyczek, ale zaraz została przygwożdżona słoikiem z klejem.

— Nie ruszaj co nie twoje — wysyczała Laura.

Billy podskoczył i strącił ze stołu swoje małe nożyczki, po czym się rozszłochał. Zrobiłam krok w jego stronę, żeby go pocieszyć, ale Dina mnie ubiegła.

— Och, Billy — zamruczała, sięgając ręką po gruby kawał szarlotki domowej roboty — byłeś taki grzeczny, nie psuj tego teraz.

Billy nigdy nie miał nic przeciwko temu, by go spacyfiko-wano słodyczami.

— Dziękuję, ciociu Dino — powiedział z pełną buzią, a ja zrozumiałam, jak czuje się generał, któremu na jego oczach dezertują żołnierze.

Postanowiłam reagować, nim będzie za późno.

— Musimy porozmawiać, Dina. Na osobności.

— Jasne — odparła zgodnie i rzucając mi spojrzenie pełne współczucia, zaczęła sprzątać ze stołu. — No, dzieci, na dzisiaj wystarczy. Jane była z wizytą u cioci Esme... — Cioci Esme? pomyślałam. A czyj to pomysł? I skąd ta wydra o tym wie? — ...Na pewno potrzeba jej teraz chwili spokoju i filiżanki gorącej herbaty. A wy w nagrodę, żeście się tak ładnie sprawowali, możecie obejrzeć tę kreskówkę, o której wam wcześniej mówiłam.

Być może sprawił to jej ton głosu — rzeczowy i pewny siebie niczym u przewodnika starej daty — ale dzieci udały się do salonu bez słowa protestu, co rzadko kiedy zdarzało im się w domu, gdy odrywano je od ciekawego zajęcia. Zastanowiło mnie, czy właśnie w tym tkwi klucz do sukcesu, jeśli chodzi o jej związek z Owenem. „No, kochanie, tak się dzielnie uporałeś z sadzonkami sałaty i pierwiosnków, że zasłużyłeś sobie na dziki seks, o którym ci wcześniej mówiłam...”

Wbijając wzrok w plecy Diny podniosłam jedną z pomarańczy i przez chwilę ważyłam ją w ręce, zastanawiając się, czyby jej nie cisnąć z całą siłą, po krótkim namyśle doszłam wszakże do wniosku, że pomarańcza, choćby naszpikowana goździkami, to jednak nie granat. Odłożyłam ją delikatnie na miejsce. Moment później Dina obróciła się twarzą do mnie. — Napijesz się herbaty, Jane? — zaświergotała. — Prawdę powiedziawszy wyglądasz tak, jakbyś potrzebowała czegoś żdziebko mocniejszego. Co powiesz na to, żebyśmy zaszalały i mimo wczesnej pory napiły się po kapce sherry?

Zorientowałam się, że dłonie zaciskam w pięści. Rozluźniając palce, wycedziłam:

— Przestań zachowywać się, jakby nic się nie stało. Jak gdybym o niczym nie wiedziała...

Mechanicznym ruchem wcisnęła korek na powrót w szyjkę butelki i zapytała głuchym głosem: — Chodzi ci o Owena?

— Oczywiście, że chodzi mi o Owena — odparłam rozwścieczona do granic. — A o kogóż by innego?

— Musiałaś już wcześniej zauważyć, że Owen mi się podoba.
— Nawet jeśli tak było, ty n i e musiałaś iść z nim od razu do łóżka.
— Nie rozumiem dlaczego nie. Aidan i ja jesteśmy zwolennikami małżeństwa otwartego, obiema rękoma podpisujemy się pod stwierdzeniem, że jeśli się kogoś naprawdę kocha, szanuje się prawo tej osoby do wolności i różnorodności.— Czyż to nie dziwne, że nigdy przedtem o tym nie wspomniałaś?

Popatrzyła na mnie nieco zmieszana.

— Myślę, że to dlatego, że nie poruszałyśmy podobnych tematów...

— A ja myślę, że dlatego, iż doskonale zdawałaś sobie sprawę, że za nic w świecie nie pozwoliłabym ci się zbliżyć do Owena, gdybym wiedziała, co roi ci się w tym twoim mózdzku!

— Naprawdę, Jane, rozczarowałaś mnie. Miałam cię za nowoczesną kobietę, a ty mi tu wyskakujesz z tym całym „miłość równa się własność”. Mnie by nie przeszkadzało, gdybyś ty i Aidan...

— Co?!! — Wybałuszyłam na nią oczy, gdyż sama myśl, że bladego i ani trochę niepociągającego Aidana mogłabym dla urozmaicenia woleć od boskiego Owena, sprawiła, że zrobiło mi się niedobrze. Odzyskawszy mowę, wysyczałam: — Nie dotknęłabym tej karykatury mężczyzny nawet kijem!

— O, to było niemiłe!

Zdumiewało mnie jej zdziwienie, jak gdyby była zaskoczona, że czuję się zdradzona i oszukana.

— Najpierw udajesz moją przyjaciółkę, a chwilę potem postępujesz jak ostatnia dzzira!

— Nie przesadzaj, Jane. Uprawialiśmy z Owenem seks zaledwie parę razy — upiła łyczek sherry, marszcząc w skupieniu brwi. — Konkretnie cztery albo pięć.

Poczułam, że robi mi się słabo.

— Ty suko! — warknęłam.

Oczy jej się paskudnie zwały. Pociągnęła solidny łyk alkoholu i wzruszając ramionami skomentowała:

— To wszystko twoja wina.

— Jak to?

— No przecież to oczywiste. Traktujesz go jak kawałek drewna bez uczuć i potrzeb, a potem jeszcze się dziwisz, kiedy zwróci się do kogoś innego... Właściwie powinniśmy ze sobą zostać, tylko po to żeby cię ukarać! Świadomość, że Owen - najwierniejszy i najlojalniejszy z przyjaciół — zalił się na mnie obcej babie, zabolęła znacznie bardziej niż fizyczna zdrada.

— Upiłaś go — stwierdziłam twardo. — Ludzie wygadują głupstwa, kiedy są pijani.

— *In vino veritas* — Powiedziała z dumą i przesadną artykulacją. Chociaż na twarz wystąpił jej rumieniec, zdołała zapanować na głosem. - Być może pomoże ci to, Jane - ustaliliśmy z Owenem, że jesteś niezdolna do długotrwałego związku z drugim człowiekiem, prawdopodobnie nie z własnej winy. W sercu wciąż nosisz wyidealizowany obraz swego brata któremu żaden żyjący mężczyzna nigdy nie dorówna do pięt. Zgadza się z Owenem, że to strasznie smutne, ale

Nie mam pojęcia, jakim cudem udało mi się zabrać dzieci, nie zabijając albo przynajmniej ciężko nie raniąc Diny. W drodze do domu niedowierzenie walczyło o lepsze z wściekłością. Jak mogłam być tak ślepa?! wyrzucałam sobie. Miałam ją za zwykłą, przeciętną kobiecinę zaprogramowaną genetycznie do członkostwa w kółku różańcowym, nim osiągnie pięćdziesiątkę, a tymczasem proszę, ledwie się odwróciłam a już pokazała pazurki istnego kociaka i ma odwagę prosto w oczy mówić mi o swobodzie seksualnej i małżeństwie otwartym jakby była jakąś hipiską żyjącą w komunie i mającą za zadanie skaptować nowego członka. A to przecież ja byłam wolnym duchem o niekonwencjonalnych poglądach — tak przynajmniej dotąd o sobie lubiłam myśleć. Jakież jednak człowiek potrafi być naiwny, utyskiwałam w duchu. W porównaniu z nią jestem wzorem cnót niewieścich! Przelotnie przyjął nawet ze nowoczesne spojrzenie na małżeństwo mogła zawdzięczać czasopiśmom: strona 10 - jak zrobić odświeżacz powietrza

z pomarańczy i paru goździków?; strona 64 — jak kochać partnera, zapewniając mu równocześnie poczucie wolności?

O tym nie może być nawet mowy! postanowiłam. Od tej chwili nie spuszczę Owena z oka.

Zaraz jednak uprzytomniłam sobie, że tego samego wieczoru muszę wrócić do Glory Cottage.

A ułamek sekundy później spłynęło na mnie wspomnienie słów Esme o śmierci Luciena.

Pogubiłam się w tym wszystkim zupełnie.

W tym samym momencie podjechałam pod naszą bramę.

Owen właśnie obchodził szklarnię dookoła, zamykając ujścia wentylacji.

W przeszłości dzieliliśmy to monotonne zajęcie, ale w chwili obecnej myśl o dzieleniu z nim czegokolwiek wydawała się nie do zniesienia.

Kiedy mu się przyglądałam, przedwczesny fajerwerk rozjaśnił granatowiejące niebo, po czym nastąpił huk.

— Jutro już święto Guya Fawkesa! — krzyknął do nas Owen.

Nie ufając własnemu głosowi, nie odezwałam się. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam ideę fajerwerku — czułam w sobie taką burzę emocji, że w każdej chwili spodziewałam się, iż głowa mi eksploduje, a na zewnątrz wydostaną się różnokolorowe uczucia. Niektórym towarzyszyłby huk, inne posykiwałyby tylko cicho, wszystkie jednak byłyby wyraziste i jednoznaczne: głośne i czerwone — to gniew; posykujące zielone — zazdrość; popykujące żółte — tchórzostwo; ciche i czarne — rozpacz. Tylko po co czarny kolor w fajerwerku? zastanowiłam się i nagle przeraziły mnie własne myśli. Czyżbym popadała w obłąd? Zaczerpnęłam powietrza i nim odwaga mnie opuściła, wyrzuciłam z siebie:

— Jak śmiałeś rozmawiać o mnie z Diną?! To było tanie zagranie, gorsze niż... — urwałam, zdawszy sobie sprawę, że wściekłość w żaden sposób nie chroni mnie przed bólem, który narastał we mnie godzinami, grożąc, że teraz wybuchnę płaczem. Dokończyłam sucho: — Tak czy inaczej wieczorem znów wyjeżdżam, ale tylko na jeden dzień.

Owen odwrócił się do mnie.

— Naprawdę musisz?

— Prawdę powiedziawszy, tak. Zresztą nie udawaj, że interesuje cię, co robię. — Owen na powrót zajął się domykaniem szybek wentylacyjnych, z których jedna się zablokowała w pozycji „otwarte”. Poświęcił jej całą swoją uwagę, mnie traktując jak powietrze. Lodowatym głosem oznajmiłam:

— Nic nie mogę poradzić na to, co zaszło... co jest między wami, ale nie życzę sobie, by ta czarownica kręciła się koło moich dzieci. Czy to jasne?

— Owszem, jasne, tyle że bez znaczenia, jak mi się wydaje. Niech to szlag! — wykrzyknął, ale ten cień emocji skierowany był pod adresem szybki, która rozpękła się na dwoje przy próbie wymuszonego przesunięcia w metalowej prowadnicy. — Trzeba będzie to jutro naprawić — dodał już spokojnym głosem. Ten spokój, podobnie jak wcześniej Diny, doprowadzał mnie do szału. Spodziewałam się niemal, że zaraz wysłucham wykładu na temat własnego prowadzenia się, egoizmu i przestarzałego pojmowania wierności małżeńskiej. Jednakże Owen zrobił parę kroków w moim kierunku i zapytał: — Powiesz mi, dokąd jedziesz?

Potrząsnęłam tylko głową.

— Wrócę jutro — rzuciłam, choć sama nie wiedziałam, czy to dobry pomysł.

— Nie uważasz, że powinnaś zostać?

— Nie mogę.

Uznawszy temat za zamknięty, pochylił się i zaczął robić porządek z pustymi tackami po nasionach.

— Policja chciała z tobą rozmawiać — oznajmił.

— Ze mną? Dlaczego?

— Rutynowe przesłuchanie, tak powiedzieli. Rozmawiają z każdym, kto znał Esme, chociaż najbardziej im zależy, żeby się skontaktować z Robem.

— Ach tak.

— Nawiasem mówiąc stwierdzili, że to nieco dziwne, gdy mąż nie wie, gdzie podziewa się żona. Innymi słowy sugerowali, że doskonale wiem, gdzie jesteś, tylko z jakiegoś powodu cię kryję.

— A to dlaczego?

— Dlaczego cię kryję? — Czyżby to był uśmiech? — Sam nie wiem. — Nie, Owen nadal miał poważną, napiętą twarz.

— Tak czy inaczej najbardziej interesował ich Rob.

— Czemu mi to powtarzasz? Nie mam pojęcia, gdzie go szukać!

— Wcale nie twierdę, że to wiesz — uspokoił mnie, zaraz jednak na powrót wprowadził w stan czujności. — Najdziwniejsze jest to, że policja podejrzewa Roba o ten atak... Wprost trudno uwierzyć, prawda?

Odwrociłam się, na wypadek gdyby Owen podniósł głowę i spojrzał na mnie. Pod lewym okiem nerwowo drgał mi mięsień.

— To śmieszne — powiedziałam, ale nie przekonałam nawet siebie.

Owen w dalszym ciągu porządkował tacki, a czynił to tak metodycznie jak wszystko, czego się tknął. Z jednej strony jego spokojne ruchy stanowiły ukojenie dla moich skołatanych nerwów, z drugiej jednak ten spokój był z jakiegoś powodu nie na miejscu i tylko ostatkiem siły woli powstrzymywałam się, by nań nie ryknąć, żeby zaczął się wreszcie zachowywać jak czująca ludzka istota.

— Zdaje się, że ktoś ze schroniska słyszał, jak się kłócili na parę godzin przed tym, zanim podniesiono alarm. Męski głos, najwyraźniej Rob, groził Esme, że ją zabije, jeśli...

— Jeśli co?

— No właśnie, tu się zaczynają schody. Nikt nie jest tego pewien na sto procent, ale wydaje im się, że usłyszeli „jeśli nie będziesz cicho”.

— Policja ci to wszystko powiedziała? Owen pokręcił głową nad moją naiwnością.

— Powiedzieli ojcu Esme, a on powiedział twojej matce.

— No dobrze, ale skąd ty to wiesz? Zresztą i tak trzeba wziąć poprawkę na przekłamania w eterze.

— Pewnie tak — wzruszył ramionami, zarzucając temat.

— Poza tym Rob, przy wszystkich swoich wadach, nie jest typem mordercy.

— Zgadza się.

— Wiedziałaś, że od pół roku on i Esme ze sobą mieszkali?

Przytaknęłam.

— Było jej zdjęcie w jednym z artykułów prasowych na temat Roba.

— Zawsze byłem zdania, że do siebie pasują, i naprawdę nie rozumiałem, dlaczego go rzuciła dla twojego brata.

— Lucien po prostu brał, co chciał.

Wyparowała gdzieś złość i jad towarzyszące początkom naszej rozmowy i pozostała chłodna uprzejmość, jaką obdarzają się nowo poznani sobie ludzie albo znajomi, którzy spotykają się po latach i niewiele mają sobie do powiedzenia. Pewnie tak byśmy rozmawiali, gdybyśmy pozostali tylko przyjaciółmi.

— Aha, jeszcze jedno, powinienem był ci od razu powiedzieć. Dzwonił do ciebie jakiś mężczyzna. Nie zostawił nazwiska ani wiadomości.

— Kto to mógł być?

— Nie poznałem po głosie. Wyrażał się bardzo poprawnie i zaznaczył, że będziesz zachwycona mogąc z nim porozmawiać.

Pewnie Rob, pomyślałam. Potrzebował czegoś pilnie i zdecydował się na ten niebezpieczny krok. Chwała Bogu, że udało mu się zmienić głos.

— Kiedy dzwonił?

— Dzisiaj rano. — To musiał być Rob. — I kilka razy zeszłej nocy.

Zatem nie on. Na pamięć powróciły mi mgliste ostrzeżenia matki na temat głuchych telefonów i podejrzanych typów kręcących się wokół domu. Jak najszybciej chciałam się znaleźć w środku, nie wystawiona na atak z ciemności.

Dzieci, które właśnie zapoznawały Śnieżynkę Dziesięć z urokami srebrnego ekranu, były zbulwersowane, kiedy oderwaliśmy je od telewizora i zapakowaliśmy do furgonetki.

— Ale on będzie za nami tęsknił! — marudziły.

— Nie martwcie się o niego. Miał ciężki dzień i musi się wyspać. Nawet króliki lubią od czasu do czasu trochę spokoju — wyjaśniał cierpliwie Owen.

— Śnieżynko! — rozdarł się Billy, przytykając nos do brudnej szyby.

— Co za głupie imię dla królika — parsknęła po swojemu Laura. — Co innego na przykład Puszek.

Słuchając ich dalszych przekomarzań w sprawie imienia dla królika, nie mogłam wyjść z podziwu, że umyka im dramatyzm rozgrywającej się wokół sytuacji. Poczulałam przypływ miłości do nich i zazdrość, że ich życie jest takie proste. Jednakże w miarę zbliżania się do domu Diny, koło którego musieliśmy przejechać, chcąc dostać się na stację kolejową, odżyła we mnie złość, a powietrze w furgonetce wręcz zaczęło iskrzyć od wstrzymywanego napięcia. Przez resztę drogi próbowałam wymyślić jakieś druzgoczące pożegnanie, które by poszło Owenowi w pięty i sprawiło, że poczuliby się tak samo odarty z godności jak ja, lecz nie starczyło mi czasu bądź inwencji. Kiedy zajechaliśmy na dworcowy parking, wycalowałam na do widzenia dzieci, Owenowi zaś rzuciłam oschłe:

— Nie odprowadzaj mnie.

— Nie zamierzam — odparł, zaraz jednak wszystko popsuł, dodając: — Jane, obiecaj mi, że będziesz ostrożna — jakbyśmy nie przeżywali właśnie kryzysu małżeństwa, tylko nadal o siebie dbali.

Odeszłam od furgonetki szybkim krokiem i przyciskając do piersi torbę z bezcenną zawartością, rzuciłam przez zęby:

— Akurat!

Stałam w deszczu patrząc, jak Owen wycofuje z parkingu i kieruje się z dziećmi w stronę domu. Było mi głupio, że w chwili złości zachowałam się jak rozkapryszona dziewięćcio-latka, ale nic już na to nie mogłam poradzić. Zostałam sama ze swoim smutkiem i nieszczęściem.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy już znalazłam miejsce siedzące w pociągu, byłam bliska łez. Przed Diną i Owenem musiałam udawać, że jestem silna i samowystarczalna, jednakże tak naprawdę byłam bezradnym i bardzo wystraszonego kłębkiem nerwów.

Nie chcąc stracić zmysłów, przynajmniej jeszcze nie teraz, uznałam, że czas najwyższy zapoznać się z zawartością pamiętnika Esme. Nawiasem mówiąc polecam podobną lekturę wszystkim, którzy nie znoszą podróżować pociągiem — czyjeś intymne zwierzenia stanowią doskonałą odtrutkę na transport publiczny, choć nie zawsze są najlepszym sposobem, by poprawić sobie samopoczucie. Obietnica złożona Robowi przestała mnie obowiązywać, gdy tylko zdałam sobie sprawę, że od samego początku mnie oszukiwał. Przede wszystkim zaś zżerała mnie ciekawość, i słusznie, jak się niebawem okazało. Pamiętnik Esme przykuł moją uwagę już od pierwszych stron, a wyłącznym jego minusem była zdawkowość. Podczas nie tak znów długiej podróży — najpierw do Londynu, a potem w stronę hrabstwa Berkshire — zdążyłam przeczytać go kilkakrotnie. Podejrzewam, że próbowałam nauczyć się tekstu na pamięć.

No więc znowu jestem w Martin's Court i czuję się, jakbym nigdy stąd nie wyjeżdżała. Nie wydaje mi się jednak, żeby to miało większy sens. Peter zaproponował ten wyjazd, gdyż zależy mu, żebym wróciła myślami do czasu, kiedy byłam dzieckiem.

Rob zaś popiera Petera w całej rozciągłości, uważając, że tylko w ten sposób dają sobie prawdziwą szansę.

To naprawdę dziwne uczucie znów się tutaj znaleźć. Po śmierci Mamusi byłam wściekła na Tatę, że pozwolił przyjechać tutaj temu mężczyźnie — w chwili takiej jak tamta! — I przysięgam sobie, że moja noga tu więcej nie postanie. Nienawidziłam wtedy Taty, tego miejsca, wszystkich wiążących się z nim okropnych sekretów. Ale Peter powiedział, że muszę tu przyjechać, żeby mógł się rozpocząć proces „przebaczenia”. Kłopot polega na tym, że sama nie jestem pewna, czy chcę komukolwiek przebaczyć — na razie rzecz jasna, bo przypuszczam, że prędzej czy później będzie trzeba. Najśmieszniejsze jest to, że Peter powtarza mi do znudzenia, że nie powinnam nic robić tylko dlatego, że ktoś tego po mnie oczekuje; jego zdaniem najważniejsze jest, bym nauczyła się decydować za siebie, a tu proszę: kazał mi tutaj przyjechać i przebaczać, no i jestem — wbrew własnej woli.

Sekrety to dziwna sprawa. W głębi duszy człowiek zdaje sobie sprawę z ich istnienia, jednakże świadomie się do tego nie przyznaje — no bo to przecież sekret! Zdaniem Petera to właśnie sekrety narobiły najwięcej zamieszania w moim życiu; otaczały mnie, odkąd byłam małą dziewczynką — najpierw jeden poważny sekret, a potem mnóstwo wynikających z niego drobnych zatajeń i tajemnic.

Później. Nienawidzę sekretów, odkąd Lucien wymyślił tę głupią zabawę, a potem zadreślał nas opowieściami o swoim piątym sekrecie, który by nas rzekomo powalił, gdybyśmy go poznali, a nawet — kto wie — może i drastycznie zmienił nasze życie. Wszyscyśmy go prosili, żeby nam powiedział, ja także udawałam, że mi zależy, ale tak naprawdę miałam to w nosie. Wcale nie chciałam poznać jego głupiego sekretu, bo zawsze strachem napawało mnie to, co niedopowiedziane i tajemnicze, prawdopodobnie dlatego że intuicyjnie wyczuwałam prawdę o Mamie i Tacie, chociaż świadomie nie dopuszczałam do siebie myśli, że coś jest nie tak. Z tego samego względu nie interesowały mnie cudze sekrety i nie obchodzi mnie, że ktoś nazwie mnie tchórzem, co to niczym struś chowa głowę w piasek. A już zwłaszcza nigdy się nie prosiłam, żeby poznać sekret Roba. Cią-

ży mi ta wiedza i nie mam pojęcia, co z tym począć, skoro Rob zmusił mnie, bym mu przyrzekła, że przenigdy go nie zdradzę i nie pisnę słówkiem nikomu, nawet mojemu terapeutce. Tak jakbym w ogóle kiedykolwiek chciała coś wiedzieć! Przez cały ten czas ani razu nie zapytałam go, jak zginął Lucien, ale teraz kiedy sam z tym wyskoczył jak filip z konopi, nie potrafię wymazać tego obrazu z pamięci. Im mocniej staram się o wszystkim zapomnieć, tym bardziej mnie to męczy i czasem wydaje mi się, że muszę coś z tym zrobić, komuś powiedzieć, ale z drugiej strony wiem, że mi nie wolno. Tak bardzo żałuję, że poznałam ten jego okropny sekret!

Rob twierdzi, że zdradzając mi go, okazał mi zaufanie, że był to dowód jego uczucia do mnie, najważniejszej osoby w jego życiu. Sama nie wiem, co o tym myśleć; moim zdaniem to nieuczciwe obarczyć kogoś taką wiedzą. Wyjaśniał mi przy tym, że istnieje wiele rozmaitych sposobów na odebranie komuś życia (jakbym sama tego nie wiedziała po tym, co Lucien wyprawiał tamtego lata!), że każdy z nas ma czyjeś życie na sumieniu. Tłumaczył mi to, ale ja nie jestem do końca przekonana, że miał rację.

Pamiętam jednak wymyśloną przez Luciena zabawę w zabijanie. Kazał nam zrobić listę tylu sposobów zabicia człowieka, na ile tylko potrafiliśmy wpaść. Jak zwykle wygrał on sam. Gdzie tam było naszym nudnym rewolwerom i podciętym paskom hamulcowym zaczerpniętym z westernów i dreszczowców do tego, co proponował on! Wypisał wszystkie znane człowiekowi rośliny trujące i ubolewał, że latem nie kwitną złotokapy ani nie owocuje wilcza jagoda. Ja wcale nie żałowałam, gdyż obawiałam się, że gdyby w zasięgu ręki Luciena pojawiła się naturalna trucizna, mógłby ją wypróbować na biednym Śnieżynce. Nawet teraz, gdy jestem dorosła, na samą myśl o tym wszystkim przechodzą mnie ciarki. Czy już wtedy przeczuwał własną przedwczesną śmierć?

Mnie też przeszły ciarki. Słowa Esme otwierały drzwi temu co nienazwane, a nie byłam pewna, czy chcę je poznać. Doskonale rozumiałam jej niechęć do sekretów — sama najchętniej bym zacisnęła powieki i nigdy się nie dowiedziała prawdy

o śmierci Luciena, już bardziej ciekawił mnie sekret kryjący się za małżeństwem Clare i Johna Drummondów. Dziwne, że aż do teraz nie rozumiałam, że dzieciństwo Esme — podobnie jak moje — upłynęło pod znakiem sekretów, których pilnie strzegli przed nią jej własni rodzice. Być może dlatego byliśmy sobie zawsze bliskie, chociaż nigdy się dobrze nie poznałyśmy ani nawet specjalnie nie polubiłyśmy. Naznaczone piętnem tajemnicy nie potrafiłyśmy nawiązać prawdziwej przyjaźni, której podstawą jest otwartość i szczerłość.

Postanawiając czytać dalej, miałam nadzieję lepiej poznać Esme, a dopiero w drugiej kolejności odkryć dręczące ją sekrety.

Później. Wczesnym popołudniem pokazało się słońce, toteż wybrałam się nad rzekę. Wszystko wygląda tak samo jak dawniej, z tą tylko różnicą, że szopa na łódź jest jeszcze bardziej zapuszczona, a sama łódka to przegniły wrak. Ze zdziwieniem przypomniałam sobie, jak zielone jest światło nad rzeką, zwłaszcza gdy dzień przechodzi w zmrok. Zawsze bardzo lubiłam ten widok.

Pamiętam, że całymi godzinami potrafiłam przesiadywać na brzegu rzeki, obserwując poruszający się odwiecznym rytmem nurt. Śledziłam wzrokiem unoszące się na powierzchni wody gałązki i liście zmierzające w stronę morza. Już wtedy przeczuwałam, że tak jest najbezpieczniej: pozwolić się porwać prądowi, nie walczyć i dzięki temu nie zostać zranionym. Jednakże ta metoda nie sprawdziła się w życiu — teraz wiem, że unoszenie się z prądem było moim największym błędem. Od tej chwili będę robić tylko to, czego sama naprawdę chcę.

Najlepsze wspomnienia pochodzą oczywiście z czasów, kiedy byliśmy tu wszyscy: ja, Rob, Lucien i Jane, a potem także Owen. Myślę nawet, że nigdy nie miałam innych przyjaciół. Dzieci z miasteczka mnie nienawidziły, sama nie wiem czemu. Twierdziły, że zadzieram nosa, ale to przecież one nie chciały bawić się ze mną, a nie na odwrót! Kiedy trochę podrośliśmy, koledzy i koleżanki ze szkoły uważali, że jestem wobec nich niegrzeczna, czego nie potrafiłam zrozumieć, gdyż to nie ja rzucałam w nich kamieniami i grudkami biota... Jak dziś pamiętam

wyzywiska i ciosy, jakich mi nie żalowali. Być może dlatego nigdy nie lubiłam chodzić do szkoły i stawałam na głowie, żeby wymyślić jakiś pretekst, cokolwiek, byle tylko zostać w domu. Mamusia i tak nie zwracała na mnie uwagi, a jeśli nawet przysłano kogoś ze szkoły, żeby dowiedział się, jaki jest powód mojej częstej absencji, zawsze brała moją stronę. Wszyscy uważali nas za bogatych i zarzucali nam, że się wywyższamy, ale to przecież oni mieli w domach pralki i komputery, i całą masę innych urządzeń, podczas gdy w Martin's Court nigdy nie było choćby porządnego telewizora.

Wakacje to co innego. Były magiczne, a Rob, Lucien, Jane i Owen — wyjątkowi. Kiedy mieliśmy siebie nawzajem, nie potrzebowaliśmy do szczęścia nikogo innego. Całymi dniami bawiliśmy się w wymyślane przez Luciena gry — w jego towarzystwie po prostu nie sposób było się nudzić. Wystarczyło, że z błyskiem w oku rzucił: „Właśnie wpadł mi do głowy genialny pomysł”, a już drżałam z podniecenia na nową, fantastyczną zabawę. Miał niezwykle dar przydawania nawet smutnym sprawom takiej wagi, że stawały się godne zapamiętania, mimo iż człowiek wolałby o nich nie pamiętać. Tak było ze Śnieżynką Dwa i jego pogrzebem. Lucien przeszedł wtedy samego siebie, żądając, byśmy spalili Śnieżynkę, jakby był kupą suchych liści, chociaż wszem wobec wiadomo, że królik to nie wiking! Nawet jako dziecko to wiedziałam i nie uważałam, żeby całopalenie miało większy sens. Na szczęście Owen mnie rozumiał i w ostatniej chwili uratował Śnieżynkę od ognia i wody 'i mogliśmy go pochować jak Pan Bóg przykazał. Jane jak zwykle była nabzdyczona. Zapewne Lucien jej przygadał, ale nawet to nie mogło zepsuć magii tamtych dni. Tak bardzo chciałam, by lato nigdy się nie skończyło, ale niestety dorośli musieli rozpętać awanturę o głupi dzbanuszek do mleka. Dziwne, ale potem najbardziej brakowało mi Jane, chociaż nigdy się specjalnie nie przyjaźniłyśmy. Przypuszczam, że po prostu chciałam mieć siostrę i z braku laku to ona pełniła tę funkcję w moim życiu. Bliźniaki pojawiły się w nim za późno, bym ich zdążyła dobrze poznać, czego teraz oczywiście bardzo żałuję — a poza tym byli to chłopcy. Kiedy Tata wysłał mnie do tej okropnej szkoły z internatem, miałam nadzieję poznać

tam jakąś miłą dziewczynkę, która zajęłaby miejsce Jane, ale znowuż nikt nie chciał się ze mną przyjaźnić! Tylko dlatego, że nie mieliśmy w domu kolorowego telewizora i nie byłam na bieżąco z gwiazdami muzyki pop, a jedyńi chłopcy, jakich znałam, czyli Rob, Lucien i Owen, byli kolegami, a nie sympatiami, jak mówiły o swoich przyjaciółach dziewczęta z internatu, wszyscy traktowali mnie, jakbym urwała się z choinki. Jestem pewna, że Jane tak wcale o mnie nie myślała. Może któregoś dnia ją o to zapytam. Właściwie mam nawet pretekst, żeby się z nią skontaktować — moim zdaniem powinna wiedzieć, że kręci się koło mnie jakiś facet, który o nią wypytuje, no ale Faith stanowczo mi zabroniła rozmawiać o tym z kimkolwiek. Wygląda na to, że Faith także ma swoje sekrety... Nie zamierzam opowiadać o tym Robowi, który zawsze robi z igły widły, ale Jane naprawdę powinna wiedzieć.

„Kręci się koło mnie jakiś facet, który o nią wypytuje...” Znów ten tajemniczy mężczyzna! pomyślałam. Najpierw usłyszałam o nim od Faith, potem od Owena, a teraz od Esme. Mimowolnie rozejrzałam się wokół, poczuwszy na sobie czyjś zimny, świdrujący wzrok. Być może w tej właśnie chwili szykuje się, by mnie osaczyć. Przypatrzyłam się uważnie pozostałym pasażerom — żaden nie wydał mi się podejrzany. Na przykład naprzeciwko mnie siedział starszawy jegomość, przeciętny aż do bólu, i czytał „Financial Timesa”. Kiedy jednak podniósł na mnie zaciekawiony wzrok, poczułam się obnażona i narażona na atak w każdej chwili. Czym prędzej uciekłam spojrzeniem w bok, a potem wróciłam do lektury.

Później. Po maturze odkryłam, że mężczyźni wcale nie uważają mnie za dziwaczkę. Lgnęli do mnie jak muchy do miodu i zdawali się mnie lubić, co było dla mnie niejakiem zaskoczeniem po ciężkich przejściach w dzieciństwie i wczesnej młodości. Oczekiwali, że będę chodzić z nimi do łóżka, a ja nigdy nie mówiłam „nie”. W seksie pociągła mnie nieosiągalna w innych warunkach bliskość z drugim człowiekiem, cóż z tego, że krótkotrwała. Kochałam się często i z kim popadnie, gdyż tylko w ten sposób mogłam zapęłnić dającą mi się we znaki

pustkę. Tak było do czasu, aż spotkałam Roba. Wciąż mam przed oczyma tamten słoneczny marcowy dzień, jak wędruję wskroś dziedzińca college'u pod ramię z Samem Pearsonem, a Rob wychyla się z któregoś okna i zamasyście do mnie macha. Później twierdził, że tak się ucieszył na mój widok, że omal wylądował dwa piętra niżej, ale na szczęście dla nas obojga tak się nie stało. Sam Pearson poszedł natychmiast w odstawkę, a Rob i ja staliśmy się nierozłączni — nie opuszczałam go nawet wówczas, gdy przygotowywał się do egzaminów: po prostu siedziałam cichutko jak myszka w jego pokoju i mu się przyglądałam. Z początku czuł się z tym głupio, żenowała go moja obecność, a nawet martwił się, że się zanudzę na śmierć, ale ja tkwiłam twardo na posterunku. Idylla trwała, kiedy przeprowadziliśmy się do Londynu — aż do pewnego wieczoru, na który zaplanowaliśmy wyjście w trójkę (ja, Rob i Lucien), ale Robowi w ostatniej chwili coś wypadło, no i w miasto poszliśmy tylko Lucien i ja. Sama nie wiem, jak do tego doszło, ale tej samej nocy wylądowaliśmy w łóżku.

Nie. Nie mogę oszukiwać samej siebie. Pewnie, że mogłabym zwalić winę na jeden kieliszek wina za dużo czy wymyślić coś równie banalnego, ale chyba powinnam być wobec siebie uczciwa.

Po pierwsze, nie umiałam odmawiać. (Peter mówi, że właśnie tego muszę się teraz przede wszystkim nauczyć i że dzięki temu wzrośnie moje poczucie własnej wartości, chociaż ja nie potrafię dostrzec związku.)

Po drugie, Lucien był moim idolem. Zawsze wszystkim przewodził, był niezwykle inteligentny, mądry i zabawny i wprost nie mieściło mi się w głowie, że mogę mu się podobać. Krótko mówiąc, byłam zachwycona, że zwrócił na mnie uwagę.

Po trzecie, jak już wspomniałam wyżej, lubiłam seks, no i faktycznie byłam nieziemsko pijana.

Tak czy inaczej wylądowaliśmy razem w łóżku, odbyły się jakieś zapasy i z tego co pamiętam, przeżycie nie było wcale takie znów rewelacyjne, nie umywało się do tego, czego doświadczałam z Robem. Oczywiście kiedy Rob się o wszystkim dowiedział, był na mnie niewiarygodnie zły. Nadszedł najgorszy dzień mego życia. W kółko słyszałam wymówki i żebym „się zdecydowała,

kogo wybieram ", chociaż moim zdaniem w ogóle nie powinno być o tym mowy — chciałam być z Robem. Nie odważyłam się mu tego jednak powiedzieć, gdyż sądziłam, że już go utraciłam. Siedziałam więc tylko i płakałam. Rob odszedł, a jakiś czas potem zginął Lucien i tym sposobem utraciłam ich obu.

Kolejny okres życia pamiętam jak przez mgłę. Pracowałam tu i tam, zmieniałam mężczyzn jak rękawiczki, nie dla urozmaicenia wszakże, gdyż wszyscy wydawali mi się jednym i tym samym — obcym — człowiekiem. Po prostu żaden z nich nie był Robem.

Wreszcie Rob stał się osobą publiczną, zaczął się pokazywać w telewizji, a ja potrafiłam siedzieć jak przymurowana przed telewizorem i chłonąć jego widok, wyrzucając sobie, że pozwoliłam mu odejść. Nie posiadałam się więc z radości, kiedy w zeszłym roku skontaktował się ze mną.

Zdziwiło mnie tylko, jak bardzo się zmienił — był uosobieniem ostrożności. Ja jednak nie zastanawiałam się nad tym zbyt, gdyż najważniejsze dla mnie było to, co powiedział: że przez cały ten czas nie tracił nadziei, czekał i wreszcie mnie odnalazł. Czyż kobieta może usłyszeć coś bardziej romantycznego? Martwiło mnie, że nie chce uprawiać seksu, podejrzewałam nawet, że chce mnie w ten sposób ukarać, ale on wyjaśnił, że tym razem wszystko musi być inaczej. I rzeczywiście było nie tylko inaczej, ale i lepiej. Udało mi się przełamać jego opór podczas niewysłowienie nudnego meczu piłki nożnej — od tamtej pory był to nasz rytuał i tajemnica. Któregoś razu doszliśmy w tym samym momencie, a na ekranie dosłownie w tej samej chwili padł gol i na trybunach podniósł się nieopisany hałas, jakby wiwatowano na naszą cześć. To było niesamowite. Zdarzało nam się to robić przy transmisjach rozgrywek tenisowych, a czasem także przy krykocie, ale to już nie było to samo.

Jedyny kłopot polega na tym, że Rob zdaje się czegoś ode mnie oczekiwać, a ja nie wiem, co to jest, więc ku swej rozpaczycy nie mogę mu tego dać. Kiedyś mu nawet zarzuciłam, że oczekuje ode mnie zbyt wiele, ale on zaraz zripostował, że ja z kolei oczekuję zbyt mało, co jest jeszcze gorsze, i rozmowa się urwała. Cóż, być może miał rację. Rzeczywiście nie mam wygórowanych oczekiwań, prawdę powiedziawszy sama nie wiem, czego

chcę od życia, i to bynajmniej nie dlatego, żebym była szczęśliwa. O, do tego mi daleko.

Później. A właśnie że wiem. Wpadłam na to spacerując po ogrodzie. W miejscu, w którym spotykaliśmy się jako dzieci, z szumem rzeki i Mulów w tle, olśniło mnie, że chcę, by wszystko zostało po staremu. Chcę, by Lucien był na powrót pośród żywych i żeby cała nasza piątka znów była dziećmi, żebyśmy nigdy już się nie rozstawali i na zawsze pozostali w świecie naszego magicznego dzieciństwa.

Czasem śnię, że tak właśnie jest. To są dobre sny. Niekiedy jednak sen w ułamku sekundy przedzierzga się w koszmar. Na przykład paręnaście nocy temu śniło mi się, że Lucien tonie w rzece — wypadł z łódki — a Rob przygląda mu się beznamiętnym wzrokiem, po czym wybucha szatańskim śmiechem, nie zwracając uwagi na moje prośby, by coś zrobił. Obudziłam się zlaną potem i z bijącym sercem i zobaczywszy obok siebie w łóżku śpiącego głęboko Roba, poczułam przemożny strach.

Nie wydaje mi się, bym mogła z nim porozmawiać o moich koszmarach. Wystarczą mu własne, które nie opuściły go, mimo że on sam już dawno opuścił mury więzienia. Rob mawia, że to co się stało, zawsze będzie go prześladować, na jawie i we śnie. Jego zdaniem albatros starego żeglarza symbolizuje poczucie winy. Chcąc zrozumieć, o czym on mówi, spróbowałam czytać „Pieśń o starym żeglarzu”, ale zrezygnowałam po paru zwrotkach — według mnie to czysty bełkot. Oczywiście Robowi powiedziałam, że przeczytałam do końca i że bardzo mi się podobało, ale po jego oczach poznałam, że przejrzał moje kłamstewko.

Prawda jest taka, że im usilniej staram się coś zrozumieć, tym bardziej niezrozumiale mi się wydaje. Toteż przez większość czasu nawet się nie staram, bo i po co? Analogicznie jest z tym pamiętnikiem: ani trochę nie uważam, żeby miał mi w czymś pomóc. Z podobnych względów nie czuję potrzeby, by dowiedzieć się, kim jest mężczyzna wypytyjący mnie o Jane, a w przeszłości nie chciałam poznać słynnego piątego sekretu Luciena. Później. Rob powiedział, że zdradził mi swój sekret dlatego, że mnie kocha i że wierzy, iż go nie wydam. A chwilę potem spytał mnie, czy go na pewno kocham. Ilekroć mi zadaje to pytanie,

odpowiadam „tak”, ale szczerze mówiąc sama nie wiem... Niby skąd mam to wiedzieć?! Przypuszczam jednak że rzeczywiście go kocham, co jest o tyle dziwne, że odkąd pamiętam, durzyłam się w Owenie. Lucien, Jane i Rob mieli siebie nawzajem, podczas gdy Owen i ja byliśmy samotnymi wilkami, by tak to ująć. Czasem jest mi żal, że nigdy nie byliśmy parą z prawdziwego zdarzenia. Wskoczyłabym mu do łóżka, gdyby tylko skinął, ale on chyba nigdy nie miał na to ochoty. Zawsze wolał Jane, chociaż ona była zbyt nabzdyczona i zadufana w sobie, by to zauważyć.

Chwilami zdaje mi się, że nie znoszę Jane. Wiem, że sama sobie przeczę, bo trochę wcześniej napisałam, że była moją jedyną przyjaciółką, ale teraz chodzi mi bardziej o to, że nie znoszę jej ignorancji w sprawie Owena.

Później. Rob od dawna mi powtarza, że powinnam wreszcie wziąć się w garść. Nawet nie wie, jak bardzo się staram i jakie to trudne!

Przypuszczam, że byłoby mi trochę łatwiej, gdybym miała pracę albo hobby, które odwracałyby moją uwagę od trosk. Zawsze zazdrościłam Jane, że potrafi malować i że chce to robić — talent plus wytrwałe dążenie do celu równa się pasja. Ja jednak nie jestem w niczym dobra, brak mi pasji, a każdy, kto mnie bliżej pozna, prędzej czy później stwierdza, że nie ma ze mną o czym rozmawiać. Przyciąga ich do mnie moja uroda, pod którą kryje się pustka.

Później. Zaczynam dostawać gęsiej skórki ze strachu. Wcale mi się nie podoba, że jestem tutaj sama, a pani Wicks traktuje mnie jak nierozgarniętą czterolatkę. Ma z Tatą na pieńku, i nic dziwnego. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, czemu się nie wyprowadziła po śmierci Mamusi — być może chce bronić jej pamięci w miejscu, w którym żyła, podobnie jak zawsze jej broniła za życia. Jeśli się nad tym lepiej zastanowić, to naprawdę dziwaczne — no ale pani Wicks zawsze była dziwna. Na dodatek zeszłej nocy wydawało mi się, że słyszę płacz Mamusi, a kiedy rano wstałam, byłam niemal przekonana, iż nad rzeką zastaną pozostałą czwórkę.

Jeszcze trochę i do szczytu zwariuję.

Później. No cóż, chyba pora wrócić do Londynu i zmierzyć się znowu z rzeczywistością.

Nie zdawałam sobie sprawy, że płaczę, dopóki starsza-wy jegomość od „Financial Timesa” nie rzucił mi kraciatej chustki do nosa.

— Dziękuję — szepnęłam, wycierając oczy i zastanawiając się, czy wypada także wydmuchać nos.

— Nie ma za co — odparł przyjaźnie. — Na mnie podobny wpływ wywierają notowania giełdowe.

Kiedy wysiadał na następnej stacji, powiedział, że mogę zatrzymać chustkę. Jego bezinteresowna dobroć sprawiła, że od nowa się rozszlochałam.

Skończywszy czytać pamiętnik byłam gotowa wyskoczyć z pociągu i pognać pieszo do szpitala, żeby wziąć Esme w ramiona i zapewnić ją, że od tej chwili jej nie opuszczę i będę jej przyjaciółką, póki śmierć nas nie rozłączy. Och, Esme, myślałam żałośnie, dlaczego tak późno cię poznałam? Przysięgam, że nie miałam pojęcia, iż za twoją piękną twarzą kryją się uczucia. W tym ostatnim nie byłam odosobniona

— zdaje się, że mało kto zadał sobie trud dotarcia do jej duszy. Wszakże nie mogłam sobie wybaczyć, że pomyliłam się co do jednego: to co brałam za pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa, było rozbijającą naiwnością, czymś w rodzaju lunatykowania przez życie. Być może i tak wyrosłaby na kobietę łatwo poddającą się wpływom i niezbyt błyskotliwą, lecz jej samotne i dziwaczne dzieciństwo nie przygotowało jej na to, co czeka ją poza murami Martin's Court. (Jeszcze raz zastanowiłam się, jakież to sekrety ukrywali przed nią rodzice, lecz pośpiesznie porzuciłam ten temat uznawszy

— podobnie jak Esme — że cudze sekrety rzadko kiedy wychodzą na zdrowie.)

Wstrząsnęła mną jej naiwność, przez którą nieraz wydawała się denerwująco dziecinna, a często nawet celowo trzpiotowata, lecz która równocześnie jawiła się jako rzadki i niezwykle cenny dar. Coś czego ani ja, ani większość ludzi nie mamy — i być może nigdy nie mieliśmy.

Chciałam postrzegać tę naiwność jako cechę wartą podziwu.

Bardziej nagląca była jednak kwestia, ile z tego, co napisała o Robie, było prawdą. I tutaj niestety musiałam się poddać.

Jej przemyślenia i uwagi mogły być równie bystre, co błędne —jak to zwykle bywa z ocenami wystawianymi śmiertelnikom przez świętych czy jak w wypadku Esme: przez chodzącą niewinność. Wszystko inne jednak zaczynałam widzieć z przeraźliwą jasnością.

Przestałam się dziwić, że Robowi tak bardzo zależało na przejęciu pamiętnika, nim zrobi to kto inny. W chwili słabości obnażył się przed Esme, dzieląc się najskrytszą tajemnicą, lecz gdy wrócił mu zdrowy rozsądek, pojawiły się obawy. Tajemnica miała związek ze śmiercią Luciena... być może pośrednio z sekretem Luciena. Najbardziej logiczne wyjaśnienie było zarazem tak fantastyczne, że czym prędzej zepchnęłam je na skraj umysłu.

Decydując się przeczytać pamiętnik miałam nadzieję uzyskać odpowiedzi, tymczasem pojawiło się tylko więcej pytań. A jednak nie to sprawiło, że po policzkach wciąż ciekły mi łzy.

„Odkąd pamiętam, durzyłam się w Owenie... Zawsze wołał Jane, chociaż ona była zbyt nabzdyczona i zadufana w sobie, by to zauważyć" — napisała Esme. „O jakim małżeństwie mówisz?" — zapytał mnie Owen. Żal to zbyt słabe słowo, by określić to, co czułam. Wyrzuciłam na śmietnik brylantową kolbę i dopiero poniewczasie się zorientowałam, co uczyniłam. Miłość Owena była skarbem, z którego nie zdawałam sobie sprawy i którego nie doceniałam tak długo, jak długo byłam w jego posiadaniu. A teraz pozostały mi tylko wspomnienia.

Na miejscu wzięłam taksówkę i w milczeniu pokonałam te parę kilometrów dzielące stację od Martin's Court. Idąc w zapadającym zmroku na przełaj przez trawnik i wskroś sadu ze wzrokiem utkwionym w Glory Cottage, nie miałam pojęcia, co powiem Robowi. Jakie zachowanie będzie naturalne wobec tego najstarszego z przyjaciół, który przez ostatnie dziesięć lat ukrywał przede mną prawdę o tragicznej śmierci mojego brata? Przez głowę przemykały mi pytania i oskarżenia, jedno bardziej nieadekwatne od drugiego, aż pozostała tylko pustka.

„Napytałaś sobie biedy, co?", powiedział jakiś

głos, podczas gdy inny chichotał: „Szukajcie, a znajdziecie”. Nie miałam pojęcia, co to znaczy.

Patrząc na wszystko z perspektywy czasu sama się sobie dziwię, że ani trochę nie obawiałam się Roba, chociaż nawet policja uważała go za głównego podejrzanego w sprawie ataku na Esme, ona zaś sugerowała, iż maczał palce w wypadku Luciena.

Nie miałam jednak wątpliwości, że wykorzystał mnie, posłużył się mną jak marionetką, obsadził w trzecioplanowej roli swego dramatu, nie trudząc się, by choćby naszkicować fabułę. Całe swoje życie utrzymywana byłam w niewiedzy przez tych, których obowiązkiem było dzielić się ze mną wszystkim — przez Faith z jej wiecznymi unikami, przez Luciena z jego nieszczęsnym piątym sekretem, przez Owena i Dinę knujących za moimi plecami — i niech mnie szlag, jeśli na to samo pozwolę Robowi! Ogarniał mnie gniew, prawdziwy gniew, nie jakaś tam zwykła irytacja czy złość. Gniew niczym ostry nóż, zdolny zatopić się w warstwie kłamstw i dotrzeć do samego sedna, bez względu na koszt.

Otworzyłam drzwi wiodące do wnętrza Glory Cottage.

W środku było ciemno. Przemknęło mi przez myśl, że Rob wykradł się cichcem, kiedy mnie nie było, i poczułam mieszaninę ulgi i rozczarowania.

Zapaliłam światło. W pomieszczeniu n.a dole panował nieskazitelny porządek, wszystkie zasłony były zaciągnięte.

— Rob? — odezwałam się ostrożnie. Odpowiedziała mi cisza.

Odważyłam się na nieco głośniejsze: — Rob?! To ja, Jane. Jestem sama.

U szczytu schodów pojawiła się jakaś postać.

— Chryste, Jane, nareszcie. Myślałem, że już nigdy nie wrócisz.

Na widok jego tak dobrze znajomej, teraz ściągniętej napięciem twarzy i bezradnego niczym u dziecka spojrzenia zawahałam się. Chyba naprawdę wariuję, upomniałam się w duchu. Jak mogę podejrzewać kogoś, kogo znam od dziecka? Podświadomie chcąc zadośćuczynić wcześniejszym, zdradzieckim jak mi się zdawało, myślom, powiedziałam szybko:

— Znalazłam pamiętnik Esme... — Nim skończyłam mówić, wyrwał mi go bez słowa, wydając tylko jakieś nieartykułowane dźwięki, i trzęsącymi się rękoma przekartkował, nie zatrzymując oczu na żadnej ze stron na tyle długo, by mógł przeczytać pełne zdanie. Najwyraźniej czegoś szukał. Swojego imienia? Znalazłszy je czy cokolwiek innego, co było jego celem, skupił wzrok w jednym miejscu, by już po chwili zatrzasnąć okładki z hukiem. Usatysfakcjonowany podszedł do kominka, na którym jak dopiero teraz zauważyłam, starannie ułożył podpałkę i cienkie drewnienka. — Rob, co ty wyprawiasz? — Jednym susem znalazłam się przy nim i chciałam mu odebrać brulion, lecz on pchnął mnie mocno, tak że wylądowałam aż na kanapie, na szczęście miękkiej od poduszek.

— Cholera, Rob! Nie możesz...

— Trzymaj się ode mnie z daleka — ostrzegł pocierając zapałkę.

Kiedy ogień zajął szczapy i wystrzelił pierwszym długim płomieniem w stronę komina, Rob umieścił pamiętnik w palenisku, po czym pozostał na miejscu — sporadycznie poprawiając coś pogrzebaczem albo dodając chrustu, który miał przygotowany pod ręką — aż dopaliła się ostatnia kartka i po pamiętniku została tylko kupka popiołu. Dopiero wtedy wstał z kucek, otrzepał spodnie z kurzu i odwrócił się do mnie.

— Dlaczego to zrobiłeś? — zapytałam, podnosząc na niego wzrok, gdyż zgodnie z jego ostrzeżeniem nie ruszyłam się z kanapy o włos.

— Esme by sobie tego życzyła — oznajmił, unikając mojego spojrzenia.

— Kłamiesz!

Drgnął, jakby moje oskarżenie dotknęło go do żywego, po czym się nagle rozluźnił i wzruszył ramionami. Cokolwiek chciał zrobić czy powiedzieć, zaniechał tego i wolnym krokiem przeszedł do aneksu kuchennego, gdzie z kredensu wyjął butelkę wina. Poczułam, jak na powrót ogarnia mnie gniew.

— Pamiętnik znaleziony — rzekł ze słabym uśmiechem

— zatem czas na małą uroczystość.

— Ale mówiłeś, że tam będą wskazówki dotyczące tego, kto zaatakował Esme — nie dawałam za wygraną.

— No cóż, myliłem się.

— Skąd ta pewność? Przecież nawet go porządnie nie przeczytałeś! Jego palce zacisnęły się na szyjce butelki.

— Jane, przestań się wtrącać, dobrze? I tak nic nie rozumiesz.

— Właśnie że rozumiem — wypaliłam. — Przynajmniej część. Wiem, że zmyśliłeś tę historyjkę o Esme, narkotykach i niewłaściwym środowisku, w jakim się rzekomo obracała. Pamiętnik był ci potrzebny po to, by chronić siebie, a nie ją!

Po raz pierwszy tego wieczoru jego wzrok napotkał mój, a ja się skurczyłam ze strachu. Rob wyglądał tak, jakby mógł mnie zamordować i nie mieć z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Zastanowiłam się, czy przypadkiem nie przejrzałam oto jego prawdziwej natury...

— Przeczytałeś? — spytał zmienionym głosem. Sparaliżowana strachem skinęłam tylko głową.

— Niech cię szlag, Jane! — krzyknął. — Przecież wyraźnie powiedziałem, że nie wolno ci tego robić! Obiecałeś! — czynił mi wymówki, a ja nadal milczałam. — Ufałem ci, Jane...

— Ufałeś?! O czym ty, do cholery, mówisz, co? To ja ci ufałam!!

Niczym jakaś bezmózga idiotka zostawiłam rodzinę i zjawiłam się tutaj na twoje rozpaczliwe SOS! Kłamałam wszystkim w żywe oczy, byle tylko cię chronić, i ukradłam czyjaś własność, żebyś ty mógł cisnąć ją w płomień! Dziwię się, że jeszcze mnie nie zamknęli za pomaganie przestępcy! Pewnie prędzej czy później to zrobią i będą mieli rację! I co dostaję w podziękę? Stek kłamstw!... No więc dowiedz się, że mam dosyć bycia wykorzystywaną i okłamywaną przez wszystkich dokoła. I że wiem, że w pamiętniku było coś, czego za żadne skarby nie chciałbyś pokazać innym!

Wszystko to wykrzyczałam niemal jednym tchem, a Rob biał z każdym moim słowem. Przy ostatnim zdaniu oczy mu się zwęziły.

— Co takiego tam było, Jane? Co ona o mnie napisała? Nie zamierzałam się zatrzymywać, skoro zabrnęłam już tak daleko.

— Napisała, że ty i Lucien w chwili tamtego wypadku... Napisała, że...

— Lepiej tego nie mów, Jane! — przyskoczył do mnie i ręką zakrył mi usta.

Wyszarpnęłam się w panice.

— Napisała, że ty...

— Wiem, co napisała, do cholery! Tego właśnie się bałam i dlatego musiałem zniszczyć pamiętnik! Posłuchaj mnie, Jane, posłuchaj bardzo uważnie. Powiem ci, co się wtedy stało

— złapał mnie za obie ręce. — Pozwól mi tylko wyjaśnić... Proszę, Jane... Trzymał mnie mocno, dotkliwie wbijając paznokcie w ciało, a twarz miał centymetry od mojej, tak że widziałam złote cętki na jego piwnych tęczówkach i siateczkę drobnych zmarszczek wokół oczu. Oboje ciężko dyszeliśmy, po jego czole spływała strużka potu, a mnie łapał skurcz od zbyt silnego uścisku na przegubach. Serce waliło mi jak szalone — z emocji bądź strachu.

— Niby dlaczego mam ci teraz uwierzyć? — spytałam.

— Jak dotąd nie powiedziałaś mi nic, co choćby w przybliżeniu było prawdą!

— Mylisz się! — zaprzeczył zapalczywie. — Nie zawsze mówiłem ci całą prawdę, ale nigdy cię nie oszukiwałem, Jane. Zaufaj mi, to wszystko, o co cię proszę. Zaufaj i wysłuchaj.

Przybrał ton głosu, jakim można by przekonywać dziecko, żeby porzuciło kolegów i piaskownicę i przyszło do domu na obiad. Patrzył na mnie łagodniej i już tak mocno nie trzymał za nadgarstki. Oczywiście nie ufałam mu ani trochę, ale chciałam przekonać się, co tym razem wymyśli.

— No? Mów, co masz do powiedzenia — zachęciłam go.

— Za chwilę... — Odwrócił się i wziął do ręki odstawioną wcześniej butelkę. — Zróbmy to jak należy. Mnie przyda się łyk czegoś mocniejszego, a tobie? — Rozlewał wino do kieliszków, a ja nie mogłam się pozbyć uczucia, że jest dla mnie miły jak akwizytor i podobnie jak obwoźny sprzedawca chce mi wcisnąć kit. Wciąż poznać po nim było zdenerwowanie. Robił co mógł, żeby sprawiać wrażenie spokojnego i godnego zaufania, ale zdradzały go drobne gesty — napinanie i rozluź-

nianie mięśni rąk, nerwowe bawienie się pustym do połowy kieliszkiem, dreptanie z kąta w kąt. — No więc... — podjął — jak zapewne wiesz, Esme oskarżyła mnie w pamiętniku o śmierć Luciena.

— Skąd ty o tym wiesz, skoro go nie czytałeś?

— Tyle akurat zdążyłem przeczytać. — Czyli jednak zatrzymał się na fragmencie, w którym najczęściej pojawiała się jego imię. — Skupmy się jednak na tym, co istotne. Teraz ty chcesz poznać prawdę i przypuszczam, że jestem ci to winien. — Przystanął przy zlewie, żeby dokręcić kapiący kurek.

— Zrozum jednak, że niełatwo mi o tym mówić... — Jednym haustem dopił wino i podszedł do stołu, aby sobie dolać. — Chcesz też? — zapytał, lecz odmówiłam. — Myślę, że czułem się winny jego śmierci... Dlatego nie przyszedłem na pogrzeb. Nie potrafiłem stawić czoła wszystkim tym drobnym rytuałom, których się po mnie spodziewano. Po prostu nie mogłem...

— urwał i głuchym głosem dokończył: — ...ponieważ w moim odczuciu cała ta tragedia rozegrała się przeze mnie.

— Jak to?

Zdjął z wieszaka mokry ręcznik i rozłożył go na ocieka-czu do wyschnięcia, po czym odwrócił się do mnie i blado uśmiechnął.

— Ta wycieczka w góry to był mój pomysł. Nadszedł czerwiec po wielu miesiącach niewidzenia się z Lucieniem z powodu jego... zbliżenia się do Esme. W dalszym ciągu byłem na niego zły. Czułem gniew i byłem urażony w męskiej dumie, typowe. Wtedy do mnie zadzwonił, powiedział, że musi ze mną porozmawiać, że to ważne. Nie chciałem z nim gadać, chyba nawet odłożyłem słuchawkę. Następnego dnia znowu zadzwonił... zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Nic z tego nie rozumiałem. Nie chciałem mu wybaczać, ale wziął mnie na przetrzymanie; dzwonił do mnie tak długo, aż w końcu zacząłem z nim rozmawiać, w jednej chwili przenosząc się w czasie. Czułem się tak, jakbym znów miał dziesięć lat, za grosz wolnej woli i przyjaciela przywódcę, któremu nie sposób się było oprzeć. — Rob stał nieruchomo, z dłońmi zatkniętymi pod pachy i wzrokiem wbitym w wyblakłe linoleum pod jego stopami. — Wreszcie Lucien oznajmił, że do mnie

przyjdzie i że może wybierzemy się na wycieczkę jak za starych dobrych czasów. W tym momencie spanikowałem. Nie mogłem dopuścić, by naszedł mnie w mojej ostoi i zawładnął wszystkim, co było dla mnie ważne. Zaproponowałem spotkanie na neutralnym gruncie, w Dorsecie. Znałem tam przytulny pub nad samym morzem... To znaczy grupa przyjaciół się tam zatrzymała podczas Wielkanocy i bardzo go zachwalali, głównie dlatego, że był tani. Przypuszczałem, że Lucienowi się nie przelewa, dlatego wybrałem to miejsce... Poza tym obaj lubiliśmy się wspinać. Umówiliśmy się na piątek wieczór... Wydawało mi się, że dam radę wytrzymać w jego towarzystwie jeden krótki weekend bez wystawiania siebie na szwank, pod warunkiem że spotkanie będzie gdzieś na zewnątrz, wszędzie byle nie u mnie w mieszkaniu... Rozmawiając z nim byłem prawie pewien, że to wytrzymam...

— Zatem byłeś przy nim, kiedy zginął?

— Nie! — zaprzeczył gwałtownie, podnosząc głowę i pięścią uderzając w otwartą dłoń. — Nie, nie byłem tam. W ostatniej chwili stchórzyłem i nie pojechałem do Dorsetu.

— Co takiego?!

— Przez cały piątek biłem się z myślami i późnym popołudniem uznałem, że to nie dla mnie. Ze nie potrafię stanąć z nim twarzą w twarz.

Oszukiwałem się, że może do rana mi przejdzie, toteż zatelefonowałem do tamtego pubu i zostawiłem wiadomość, że coś mnie zatrzymało, ale postaram się do niego dołączyć nazajutrz. Całą noc nie spałem i bladym świtem doszedłem do wniosku, że nie chcę tam jechać. Zadzwoiłem raz jeszcze i przekazałem barmance kolejną wiadomość, po czym zdjąłem słuchawkę z widełek i wyszedłem z domu. Weekend spędziłem w mieszkaniu przyjaciela. Kiedy wróciłem do siebie, czekała tam na mnie informacja, że Lucien miał wypadek... Moją pierwszą myślą było: to moja wina. To ja go zabiłem. Nikt by nie zniósł takiego napięcia, załamałem się... We własnych oczach byłem mordercą.

— To jakieś szaleństwo!

— Tak uważasz, Jane? No to pomyśl, że gdybym się zgodził, by Lucien odwiedził mnie w mieszkaniu, do wypadku nigdy by nie doszło. Nawet gdybym zaproponował inne miej-

sce na spotkanie, gdziekolwiek byle nie w tym pubie w Dorsecie, do wypadku by nie doszło. Być może wystarczyłoby, żebym tam pojechał i przy nim był, a Lucien by nie zginął. To ja jestem kluczowym ogniwem, które połączyło cały szereg zdarzeń prowadzących do jego śmierci. Czy w ogóle potrafisz sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek z takim obciążeniem?

Już chciałam mu powiedzieć, żeby wziął się w garść i przestał rozczulać nad sobą, gdyż nikt przy zdrowych zmysłach w podobnej sytuacji by się nie obwinał, kiedy przypomniało mi się coś, o czym nie myślałam od wielu lat. W tym samym tygodniu, kiedy Lucien wydzwaniał do Roba, zatelefonował także do mnie, proponując wspólny weekend z Faith i Eri-kiem — jeśli tylko było to możliwe, jeździliśmy do domu rodzinnego razem, ponieważ w dwójkę łatwiej nam było znieść horror rodzinnego życia. Zbyłam go jednak, ciesząc się na planowane spotkanie z Robem, a kiedy umarł, długo obwinałam się o jego śmierć. Różnica między mną a Robem była taka, że z biegiem lat moje poczucie winy zmalowało i znikło, podczas gdy jego uparcie trwało i go nękało. Prześladowało go niczym albatros starego żeglarza.

— Myślę, że potrafię, Rob — zapewniłam go. — Nie rozumiem tylko, po co to całe zamieszanie z pamiętnikiem Esme. Wystarczyło pójść na policję i wszystko im wyjaśnić.

— Chcesz powiedzieć, że moja reakcja- była dziwna?... Może i była, ale zastanów się, na litość boską! Ja wiem, jak to jest zostać niesłusznie oskarżonym! Głosić swoją niewinność i widzieć pogardliwe spojrzenia oskarżycieli. Czytać z ich twarzy: „Ty kłamliwy sukinsynu, teraz już nam się nie wywiniesz”. Czuć się jak robak na haczyku. Uwierz mi, Jane, człowiek, który raz przez coś takiego przeszedł, zrobi wszystko, by się to nigdy nie powtórzyło.

Jego ostatnie słowa zabrzmiały szczerze; w końcu spędził czteiy najlepsze lata życia za kratami za przestępstwo, którego nie popełnił, i niewątpliwie w obawie przed kolejną pomyłką systemu sprawiedliwości miał prawo zachowywać się nieracjonalnie. Dłoń mu drżała, kiedy podnosił kieliszek do ust.

— Wszystko będzie dobrze — powiedziałam czekając, aż odstawi kieliszek, żeby znów mu dolać.

Popatrzył na mnie powątpiewająco.

— Może.

Umysł pracował mi gorączkowo, kiedy układałam w całość zasłyszane właśnie rewelacje i fakty znane mi od lat. Przez długą chwilę żadne z nas nie przerywało milczenia. Wreszcie odezwałam się:

— Pamiętasz nasz ostatni wspólny wieczór? To chyba był czwartek, tuż przed weekendem, kiedy Lucien miał wypadek. — Przytaknął bez cienia emocji. — Powiedziałeś mi wtedy, że musisz wyjechać na parę dni. Nie rozumiem, czemu ukryłeś, że jedziesz spotkać się z moim bratem?

Bezwiednie wzruszył ramionami.

— Nie wiem... Może wołałem nie mieszać cię z Lucienem bardziej, niż to było konieczne. Z trudem przychodziło mi wtedy uporać się z tym, co wobec niego czułem.

A co z uczuciami wobec mnie?! chciałam krzyknąć. Rob chyba zrozumiał swoją gafę, bo spojrzał na mnie niepewnie. Atmosfera zauważalnie zgęstniała.

Poprawił się na krześle, przyglądając mi się z nagłym napięciem. Po raz pierwszy od chwili, kiedy dwa dni temu znalazłam go skulonego na dnie Mułów, zauważyłam, że patrzy na mnie jak na dziewczynę, w której się zakochał pewnego lata, na moment zanim Lucien runął w przepaść, a nasz świat legł w gruzach. Nie byłam gotowa odpowiedzieć na to spojrzenie ani tym bardziej kontynuować tego tematu.

— U kogo się wtedy zatrzymałeś?

— Co?

— Powiedziałeś, że zamiast pojechać do Dorsetu, do Luciena, zatrzymałeś się u przyjaciela. U kogo?

— Ach, o to ci chodzi... Nie pamiętam... Zresztą jakie to ma teraz znaczenie? — zreflektował się nagle. — Wiem, powinienem był przyjść do ciebie.

— Nie o to chodzi.

Rob nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Jane, na miłość boską, co ty sobie myślałaś? Ze zepchnąłem twojego brata w przepaść?

Dopiłam wino i wlałam resztę z butelki do swojego kieliszka, nie pytając Roba, czy ma jeszcze ochotę. To już nie była rozmowa, a przesłuchiwać wolałam trzeźwego niż pijanego.

— Sama nie wiem, co myśleć — rzekłam cicho. Uśmiechnął się niedowierzająco.

— Hm, faktycznie można uznać, że miałem motyw. Było nie było, Lucien odbił mi dziewczynę. Jedyną prawdziwą miłość mojego życia. Miałem prawo go nienawidzić z powodu Esme...

— Ach, Esme... — Ścisnęło mnie w piersi na jej wspomnienie. Miało to coś wspólnego ze sposobem, w jaki Rob na mnie patrzył, z tym wszystkim, co wyczytałam w pamiętniku, oraz ze świadomością nieuniknionej zdrady. W rozpaczliwej próbie złagodzenia napięcia rzuciłam: — Przeszmuglowaliśmy z Owenem królika do sali, w której leży Esme. Jego zdaniem miała przypomnieć sobie Śnieżynki i się przebudzić... Cud się nie zdarzył, ale chyba udało nam się jakoś do niej dotrzeć... próbowała się uśmiechnąć, zatrzepotała nawet powiekami. Teraz się jednak zastanawiam, czy sobie tego nie wyobraziliśmy, dlatego że tak bardzo nam zależy, żeby wyzdrowiała... Pielęgniarka powiedziała, że trzeba mieć nadzieję...

— To wspaniale — wtrącił Rob.

— ...ale że nie można liczyć na zbyt wiele. — Zastanawiałam się przez chwilę. — Skoro już zniszczyłeś pamiętnik, nie musisz się chyba dłużej ukrywać? Może pojechałbyś ją odwiedzić jeszcze dzisiaj? — Tylko ciekawe, co ja wtedy pocznę, pomyślałam ze smutkiem.

Rob nadal mi się przypatrywał. W miarę jak we mnie narastały wątpliwości i konfuzja, jego ogarniał spokój.

— Tego właśnie chcesz, Jane? — spytał ledwie dosłyszalnym głosem.

— Nie wiem — odparłam szczerze. — Zbyt wiele się ostatnio działo i naprawdę nic już nie wiem. Niestety potwierdziły się moje obawy: Owen faktycznie ma romans... Nawet nie próbowali się bronić, powtarzali tylko, że za bardzo się przejmuję, wyobrażasz to sobie?

— Biedna Jane. Przeszłaś prawdziwe piekło. Ale tylko dzięki tobie się nie rozsypałam... — Zżymałam się w duchu,

jak bardzo sztucznie zabrzmiały jego słowa, jak gdyby odczytywał je z telepromptera, kiedy znalazł się tuż przy mnie i czułym gestem odgarnął mi włosy z czoła. — Cały dzień na ciebie czekałem. Nie miałem wiele do roboty, toteż dużo rozmyślałem i doszedłem do wniosku, że musiałem ci się wydać straszliwym egocentrykiem w ostatnich dwóch dniach. Przykro mi, Jane, naprawdę mi przykro. Bo zdałem sobie także sprawę z tego, jak bardzo cię potrzebowałem, i to nie tylko z powodu tego przekłętego pamiętnika...

Coś uderzyło o drzwi i w tym samym momencie otworzyły się na oścież. Zdażyłam tylko kątem oka pochwycić wyraz śmiertelnego przerażenia na twarzy Roba, nim zniknął za wątpliwą osłoną kredensu. Zastanowiło mnie, czego się wciąż boi, skoro pamiętnik został spalony i nie ma już przeciwko niemu żadnych dowodów, ale zaraz moją uwagę przyciągnęła sylwetka Johna Drummonda.

Wystarczył mi rzut oka na niego, by odetchnąć z ulgą: mogłam podejmować pół miasteczka, a on niczego by nie zauważył.

— Wpadłem tylko na chwilę — wysapał — i zaraz jadę do szpitala.

Pomyślałem jednak, że powinnaś wiedzieć, iż policja złapała sprawcę ataku na Esme. Okazał się nim jeden z pensjonariuszy Branden House, czego się wszyscy od samego początku domyślaliśmy. — Za kredensem rozległ się brzęk kieliszka spadającego na podłogę, ale John był zbyt zaaferowany, by to usłyszeć. — Już był za to notowany, i to nie raz. Mają jego odciski palców i wszystko... Poza tym telefonowali ze szpitala. Zdaje się, że Esme jest na dobrej drodze do wyzdrowienia... Po waszej wczorajszej wizycie zaczęła odzyskiwać przytomność. Policja nie odstępowała jej ani na krok, chcą jak najszybciej potwierdzić swoje podejrzenia.

Oczy mu lśniły od łez radości, twarz wykrzywił grymas przypominający uśmiech.

Ledwie powstrzymując łzy wzruszenia, wyjąkałam:

— Och, John, to wspaniała nowina... Poklepał mnie po ramieniu.

— Wiem, moja droga, wiem. Chwilę potem już go nie było.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rob wyionił się zza kredensu wycierając ręcznikiem spodnie.

— Cholera — rzucił, trąc pracowicie — poplamilem winem nowe ubranie.

— Słyszałeś, co powiedział John? Skinął głową.

— Przypuszczam, że chodzi o Hamisha. Naprawdę miałem nadzieję, że wrócił na dobrą drogę, ale jak się okazuje, myliłem się. Nieszczęśnik musiał się przyznać do winy... — Widząc mój pytający wzrok, dodał: — Odciski palców to żaden dowód, często bywał u nas w mieszkaniu, podobnie jak oni wszyscy. Chryste, mam tylko nadzieję, że to nie przypadek wymuszonych zeznań.

— Och, z pewnością nie — zbagatelizowałam jego niepokój — w końcu policja wie, co robi.

— Nie bądź naiwna, Jane. Policjanci to też ludzie i nierzadko się mylą... popatrz na mnie, jeśli nie wierzysz.

Im dłużej myślałam o tej ostatniej uwadze, tym głębszego przekonania nabierałam, że kryje się za nią coś więcej, jednakże nie potrafiłam stwierdzić dokładnie co — umysł miałam wyczerpany od ciągłego zastanawiania się.

— Co teraz? — zapytałam.

— Hm, na początek może mała uroczystość, co? — zaproponował Rob.

— Ciekawe, czy znajdzie się jeszcze trochę wina?

Kiedy poprzedniego dnia robiliśmy z Johnem zakupy w miasteczku, widząc, że kupuję byle jakie wino w supermarkecie, hojnie udostępnił mi swoją piwniczkę. Choć nadal gnębiły mnie własne problemy, uznałam, że nadszedł czas skorzystać z jego oferty i trochę się rozluźnić, ciesząc się z tego, że stan Esme się poprawia. Na zmierzenie się z kłopotami osobistymi przyjdzie jeszcze pora, myślałam. Udałam się do Martin's Court, gdzie zastałam panią Wicks w tak dobrym humorze jak chyba jeszcze nigdy dotąd (musiała naprawdę przeżywać wypadek Esme, biedactwo). Pobłażliwie przyglądała mi się, jak starannie wybieram spośród win Johna dwie butelki o nazwach zapisanych na kartce przez Roba, i nawet nie zapytała, po co mi tyle alkoholu.

Popijając szlachetny trunek obserwowałam uważnie Roba, próbując rozgryźć, co czuje, lecz nie było to łatwe. Z pewnością poczuł ulgę na wieść o schwytaniu przestępcy i poprawie stanu zdrowia Esme, ale zamiast się uspokoić, stał się jeszcze bardziej pobudzony. Nie wydawał się zły na swego pensjonariusza, raczej rozczarowany jego brakiem silnej woli, co mnie zdumiało. Parę chwil spędził rozpatrując możliwe powody tak brutalnego ataku na znajomą i przyjazną osobę, jednakże nie doszedł do żadnych konstruktywnych wniosków. Bardziej niż zbłąkaną duszą podopiecznego martwił się tym, że jego postępek, nagłośniony w mediach, które Rob poznał zarówno z dobrej, jak i ze złej strony, nie przysłuży się Branden House.

— Powinienem tam być — rzekł z przekonaniem, ale nie wykonał żadnego ruchu. Kończyliśmy właśnie drugą butelkę wina.

— Zaczekaj z tym do rana — doradziłam mu z egoistycznych pobudek.

— Ze świeżą głową bardziej im się przydasz...

— Chyba masz rację — westchnął. Przestał nareszcie krążyć i klapnął koło mnie na kanapie, machinalnie obejmując mnie ramieniem. Na zewnątrz wiatr hulał wśród gołych gałęzi sadu, ale w Glory Cottage panowało miłe ciepło, podsycane ogniem kominka. Siedzieliśmy tak długą chwilę, aż Rob przerwał milczenie: — Teraz kiedy wszystko zbliża się ku szczęśliwemu końcowi, nie żałuję ostatnich dwóch dni...

W więzieniu często tęskniłem do tego miejsca, obiecywałem sobie, że przyjadę tu, gdy tylko wyjdę na wolność, lecz nigdy nie dotrzymałem obietnicy... Aż do przedwczoraj. Czuję się tak, jakbym wrócił do domu, jakby domknęło się koło wydarzeń... Naprawdę żałuję, że nie stało się to wcześniej.

— Ja też — odparłam cicho. — Choć z początku tak nie myślałam, teraz cieszę się, że mnie tu wezwalesz.

— Och, Jane... Gdyby nie ty... Pewnie bym ze sobą skończył...

— Nie mów tak! — powiedziałam z mocą, czując, jak jego palce bawią się kosmykiem włosów nad moim uchem. Pozwoliłam mu na tę pieśczętę, tłumacząc sobie, że Rob jest dla mnie niczym brat, i z przeraźliwą jasnością zdałam sobie sprawę, że to nasza ostatnia szansa, by odtworzyć magię i niewinność, jakich doświadczyliśmy w tym miejscu jako dzieci. Wyjątkowa atmosfera Glory Cottage, wrażenie odosobnienia czy wręcz oderwania od reszty świata oraz bliskość Roba sprawiły, że magia odżyła. Tej nocy byliśmy tylko my i nasze wspomnienia, a wszelkie sprawy przynależne do świata po drugiej stronie sadu: problemy, walczące o życie przyjaciółki, niewierni mężowie, decyzje czekające, by je podjąć, i zarzucone obowiązki poszły w zapomnienie. Świat skurczył się do odbicia w szkle kieliszka zabarwionego pomarańczowym odbłaskiem ognia i do naszych myśli. Poza tym nic się nie liczyło. — Pamiętasz lato sekretów? — spytałam cicho.

— Niezbyt dobrze — ręka Roba zamarła przy płątku mojego ucha.

— Lucien kazał nam pomyśleć jakiś sekret... Ty odkryłeś prawdę o rzekomym naziściu z sąsiedztwa, a Lucien był oczywiście niepokieszony, chociaż starał się tego nie okazywać.

— A, już pamiętam. Esme twierdziła, że pani Wicks ma zrosnięte palce u nóg, ale nigdy nie udało się nam tego sprawdzić...

— Mój sekret był zmyślony — przyznałam ze wstydem.

— A czym zaskoczył nas Lucien?

— W tym rzecz, że niczym — poskarżyłam się jak mała dziewczynka. — Wściekł się na mnie za to, że skłamałam na

temat naszego ojca, i zabawa się skończyła. Nigdy nam nie powiedział... A piąty sekret miał być najlepszy, tak przynajmniej twierdził. Przy mnie nigdy nie puścił pary z ust. A przy tobie...?

— Też nie.

— Tak bardzo chciałabym wiedzieć, co to było.

Rob odwrócił do mnie głowę i patrząc mi prosto w oczy rzekł:

— Może nic...

— Jak to? — zdziwiłam się.

— Chodzi mi o to, że Lucien prawdopodobnie nie miał sekretu godnego uwagi, a zabawę wymyślił po to, żeby poznać nasze tajemnice. A może słuchając opowieści o staruszku z sąsiedztwa czy stopach pani Wicks uznał, że jego sekret wypadłby blado, i ostatecznie wstydził się go zdradzić. Nawet to, że się na ciebie zdenerwował, za tym przemawia. Typowe postępowanie Luciena: zwalić winę na kogoś innego i samemu zachować twarz za wszelką cenę.

— Jesteś wobec niego niesprawiedliwy.

— Tak sądzisz? No, sama pomyśl...

Nie chciałam o tym myśleć. Już dawno pogodziłam się, że nigdy nie poznam piątego sekretu, ale jego istnienie, to, że ktoś kiedyś go znał, sprawiało, że czułam się lepiej. Gdyby i to mi odebrano, gdybym musiała przyznać, że go po prostu nie było, cóż by mi pozostało? Ciemność i pustka...

Zmieniłam lekko pozycję, tak że ramieniem opierałam się teraz o Roba.

— Przytul mnie, Rob — wyszeptałam. Objął mnie mocniej. — Nie wierzę, żeby nie miał sekretu — ciągnęłam, kiedy poczułam się pewniej.

— Lucien zawsze nas przewyższał o głowę. Był najcudowniejszą osobą, jaka kiedykolwiek stapała po ziemi...

— Bzdura, Jane!

— Dlaczego tak mówisz? Przecież też go uwielbiałeś!

— Kiedyś. Dawno, dawno temu. Jednakże koniec końców go przejrzałam.

Wyrwałam mu się.

— O czym ty mówisz? — zapytałam ze złością.

Na twarzy igrał mu uśmieszek pełen tryumfu, patrzył na mnie wyzywająco.

— Wiesz, wydaje mi się, że z tego twojego brata to był niezły oszust.

— Co?! — zabrakło mi słów.

— Nie, masz rację — sprostował po chwili zastanowienia.

— Oszust to zbyt szarmanckie określenie. Był dupkiem, a my widzieliśmy w nim ósmy cud świata.

— Jesteś pijany, Rob!

— Masz rację jak cholera — powtórzył, przybliżając twarz do mojej i obdarzając mnie nienawistnym spojrzeniem.

— I zamierzam upić się jeszcze bardziej! Genialny Lucien, Lucien bohater, ple-ple... Daruj sobie, Jane! I mnie także, bo nie zniosę jego kolejnej laurki. Przez minione dwa dni nasłuchiłem się dość kłamstw, więc może dla odmiany będziemy ze sobą szczerzy, co, Jane?

— Kłamstw? O czy ty mówisz, Rob?

— Przecież wiesz, Jane. Zawsze to wiedziałaś. Pomimo wszystkich swoich wad nie jesteś przecież głupia. No, to kiedy poznałaś prawdę o swoim braciszku, co? Pewnie mniej więcej w tym samym czasie co ja, tyle że nie chciałaś tego przyznać, nawet sama przed sobą, i dalej się oszukiwałaś. Naprawdę musiałaś pozwolić mu się niemal zniszczyć, nim to zrozumiałaś?

— Zamknij się! — zakryłam uszy rękoma. — Zwariowałeś! Luce był dla mnie wszystkim...

— O tak, w to akurat nie wątpię... Uwierz mi, Jane, ja cię nie obwiniam, przecież sam dałem mu się omotać. Pamiętam, że gdy próbowałem komukolwiek powiedzieć, jak ważny jest Lucien w moim życiu, patrzono na mnie jak na wariata albo co gorsza geja. Oczywiście to nie o to chodziło, przynajmniej nie z mojej strony, a ze strony Luce'a, cóż... sądzę, że jego nie interesowali ani faceci, ani kobiety. Z tego co opowiadała mi Esme, w ich krótkim romansie seks grał najmniej istotną rolę. Moim zdaniem był tak zakochany w samym sobie, że zwyczajnie nie był zdolny związać się uczuciowo z drugim człowiekiem, nieważne jakiej płci.

— To co mówisz, jest chore. Nie mam zamiaru tego słuchać!

Podniosłam się, żeby wstać i uciec od niego, ale mnie przytrzymał i wbił głębiej w kanapę, wpatrując się we mnie pałającymi oczyma. Oczywiście mogłam mu się przeciwstawić, z pewnością mogłam, ale nie podjęłam żadnego wysiłku, aby to uczynić.

— A właśnie że mnie wysłuchasz, do cholery, bo jesteś jedyną osobą, która jest cokolwiek w stanie zrozumieć. Taką mam przynajmniej nadzieję... Latami nie zauważałem jego wad, zupełnie jak ty. W moich oczach jawił się jako tytan, wybitna jednostka, która rodzi się raz czy dwa na całe pokolenie. Pragnąłem jego bliskości, pragnąłem znaleźć się w jego blasku...

— Ależ naturalnie, Rob — uchwyciłam się jego ostatnich zdań jak tonący brzytwy — Lucien był najbardziej niezwykłym czło...

Przerwał mi niecierpliwie.

— Wiesz, często się zastanawiam, czy bałamucił nas celowo czy też sam wierzył w stworzony dla niego mit, i do szału mnie doprowadza, że dałem się wodzić za nos. Ba, ja nawet pomagałem podtrzymywać tę żalną iluzję! Przypuszczam, że wolałem to, niż przyznać, że całe życie czciłem szarlatana...

Wbiłam mu pięści w pierś.

— Jesteś zazdrosny, Rob, to wszystko. Nie dorastasz Lucienowi do pięt i o tym wiesz. Zżera cię zwykła ludzka podła zazdrość.

— Jane, ostrzegam cię. Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

— Nie zapominaj, że Lucien był moim bratem! Rob zaśmiał się szalenie.

— Mam cię oświecić? Powiedz tylko, gdzie zacząć. Może od studiów? Proszę bardzo, to jedno z jego większych kłamstw. Wcale nie zdobył stypendium naukowego, na liście przyjętych był w ogonie. Uczył się tak sobie, a w czasie egzaminów końcowych zwyczajnie się załamał, co samo w sobie nie jest niczym haniebnym i przytrafiło się lepszym od niego, ale w jego wypadku to była oczywiście tragedia, którą musiał utrzymać przed wszystkimi w tajemnicy. Dotrwał jakoś do końca sesji I z ledwością uzyskał absolutorium, po czym nadal mydlił

wam oczy, tobie i Faith. Już wtedy nie mogłem się nadziwić, że wierzycie mu bez zastrzeżeń... I tak to się ciągnęło: z każdą kolejną porażką tonął w bagnie sekretów i kłamstw, gdyż nie dopuszczał do siebie myśli, że jednak nie jest ideałem. W jego mniemaniu jeśli nie był najlepszy, był nikim.

— Ale przecież on zawsze był najlepszy!

— W szkole tak, ale nigdzie poza tym. W rzeczywistości był zadufanym w sobie dupkiem mającym się za ósmy cud świata, jak już ci mówiłem. Nie tolerował współzawodnictwa, perspektywa prawdziwego życia go przerażała: on, ubóstwiony przez wszystkich Lucien, musiał zaczynać od zera jak każdy inny człowiek. To dlatego miotał się po studiach jak ryba w sieci, próbując to tego, to znów tamtego, bez powodzenia zresztą. Znów odnalazłam w przemowie Roba coś, czego mogłam się ucześcić. Przecież to właśnie drobne niedoskonałości Lu-ciena i jego wady czyniły go wyjątkowym.

— Mnie i Faith powiedział kiedyś, że nie zamierza się mozolnie wdrapywać na szczyt, tylko od niego zacząć i zobaczyć, jak się sprawy potoczą...

— O, jestem pewien, że Faith mu uwierzyła, zawsze spijała słowa z jego ust, jakby to były prawdy objawione. Założę się, że nie miała pojęcia, że tuż przed wypadkiem zatrudnił się w pizzerii!

— To oszczerstwo! Lucien prowadził wtedy badania...

— Doprawdy? Cóż, ich tematem musiały być nawyki żywieniowe londyńczyków.

— Nie wiedziałam...

— Zgadza się, Jane. Nie wiedziałaś. — Głos mu złagodniał, w oczach pojawiło się współczucie. — Byłaś jego ofiarą w większym chyba stopniu niż ja...

— To śmieszne! — zaprotestowałam słabo.

Opuścił mnie cały wigor, siedziałam bez ruchu przytłoczona ciężarem Roba i słów, które rzucił mi prosto w twarz. Nie zniżyłabym się do choćby najslabszego protestu, gdyby nie to, że w głębi duszy zaczynałam zdawać sobie sprawę z tkwiącego w nich ziarna prawdy. Wierzyłam Robowi, gdyż tylko on kochał mojego brata równie mocno jak ja i tylko on miał prawo

mówić o nim takie straszne rzeczy... Znajdowałam się w stanie takiego pomieszania, że całkowicie zaskoczyło mnie to, co wtedy uczynił Rob: wolno, bardzo wolno, nachylił twarz do mojej i wycisnął na moich wargach pocałunek. W pierwszym odruchu odpowiedziałam nań, zaraz jednak odwróciłam się ze łzami w oczach.

— Tak strasznie mi go brak, Rob. Tęskniłam za nim każdego dnia z tych dziesięciu lat...

— Wiem o tym, Jane — zapewnił mnie. — Ja także za nim tęsknię. Lecz to nie zmienia postaci rzeczy: Lucien był draniem.

— Proszę, nie mów tak o nim. Rob był jednak bezlitosny.

— Wiesz, dlaczego poszedł z Esme do łóżka? Dlaczego zaczął z nią chodzić, mimo że jego zdaniem była nudna i głupiutka? Otóż dlatego, że nie mógł ścierpieć naszego szczęścia, nie mógł znieść, że jest z niego wykluczony. Nikt nie miał prawa do choćby odrobiny radości, która nie pochodziła od wspaniałomyślnego Luciena... Takim to człowiekiem był twój ukochany brat!

W tym momencie przebrała się miarka.

— Dość tego! — krzyknęłam, równocześnie waląc go z całej siły w pierś i węzowym ruchem wywijając się z jego uścisku.

Od uderzenia zaparło mu dech, jednakże zdołał mnie złapać, nim spadłam z kanapy.

— Ależ dlaczegoż to, Jane? — zapytał, wciąż trzymając mnie w pasie.

Patrzyłam na niego z nieudawanym przerażeniem, kiedy uśmiechając się paskudnie zwolnił uchwyt, a ja grzmotnęłam plecami o podłogę. —

Czyżbyś nie chciała poznać całej prawdy? Bo ja mówię prawdę i tylko prawdę, Jane — zapewnił mnie uroczyście i zaraz dodał: — Lucienowi nigdy nie zależało na Esme.

— Skąd wiesz?

Leżałam na wznak, a Rob zwieszał się nade mną, podpierając się dłońmi za moją głowę. Lekko uginając ręce w łokciach, obniżył się i delikatnie mnie pocałował, po czym oderwał się i z dziwnym błyskiem w oku rzekł:

— Sam mi powiedział. — Objęłam go za szyję i przyciągnęłam do siebie, toteż następne słowa wymruczał mi wprost do ucha. — W Dorsecie, tego samego dnia, kiedy miał wypadek.

Chciałabym móc powiedzieć, że gdy tylko usłyszałam ostatnie wyznanie Roba, zerwałam się i odsunęłam od niego z obrzydzeniem, z bezpiecznej odległości żądając, by natychmiast wyjaśnił mi, co przez to rozumie.

Jednakże nie mogę tego zrębie, gdyż pozwoliłam mu się obsypywać czułymi pocałunkami w nadziei, że akt miłości między nami ochroni nas oboje przed bolesną prawdą. Niezdarnie i niecierpliwie zrywaliśmy z siebie krępujące nas ubrania, a potem oddaliśmy się we władzę wrażeniom płynącym z naszych ciał łudząc się, że rozbudzone zmysły przyćmią wszelką myśl i świadomość.

Rob uniósł się nieco na łokciach, żebym mogła zdjąć sweter, a kiedy znów się nade mną pochylił, ja ze zdziwieniem skonstatowałam, że z tak małej odległości jego twarz jest zaledwie rozmytą plamą, pojawiającym się w polu widzenia i zaraz na powrót znikającym łukiem nosa czy czerwienią ust, i że choć te części składowe powinny scalać się w dobrze mi znane rysy, tak się jednak nie dzieje. Rob przedzierzgnął się w kogoś obcego. Znałam i kochałam jego wygląd, tembr głosu, nawet drobne tiki, które nie zmieniły się ani na jotę podczas ostatnich dziesięciu lat, lecz wiedziałam, że mężczyzna mający mnie za parę chwil wziąć nie jest tym samym, którego obraz mam wypalony w pamięci.

„W Dorsecie, tego samego dnia, kiedy miał wypadek.” Moment przerwy w pocałunkach, który nastąpił, gdy Rob zdejmował buty i spodnie, wykorzystałam, żeby zebrać myśli. Ułamek sekundy później jego ręce znów spoczęły na moim ciele, ja zaś zadałam pytanie:

— Co chcesz przez to powiedzieć? Przerwał pieszczotę i wydyszał:

— A jak ci się zdaje?

Chciałam jakoś odpowiedzieć, ale nagle nastrój Roba uległ zmianie; zniknęła gdzieś jego delikatność, ruchy stały się gwałtowne, pocałunki bolesne. Dłonie, dotąd łagodnie

błądzące po zakamarkach mego ciała, jęły brutalnie eksplorować. Zrobiło mi się zimno ze strachu, kiedy przed oczyma stanął mi obraz pogrążonej wciąż w śpiączce Esme — jego przyjaciółki i kochanki przez ostatnie pół roku.

— Rob — zaczęłam, lecz zamknął mi usta swoimi, równocześnie we mnie wchodząc.

Ku własnemu zdumieniu poczułam, że moje ciało odpowiada na jego ruchy z namiętnością, która nie miała nic wspólnego z wątpliwościami i podejrzeniami zapełniającymi mój umysł. Bądź też z nich właśnie wynikała. Przeraziło mnie, że przyjemność, którą odczuwam, spowodowana jest bardziej poczuciem zagrożenia aniżeli podnieceniem. Że oddaję się nie Robowi przyjacielowi, lecz Robowi nieznanemu, i czerpię z tego niewysłowioną rozkosz, graniczącą z utratą zmysłów. Wkrótce było po wszystkim, czemu nie należało się dziwić, wzięwszy pod uwagę dziesięcioletni czas oczekiwania na tę chwilę, budujące się przez minione dwa dni napięcie oraz ilość wina, którą pochłonęliśmy. Wyczerpani leżeliśmy na przetartym dywaniku, gdzie przed laty rozkładaliśmy swoje książki i gry. Nie rozmawialiśmy. Rob być może zapadł w sen, ja być może pozostałam przytomna — nie wiem. Najbardziej prawdopodobne, że oboje znajdowaliśmy się w stanie transu, zawieszeni pomiędzy snem i jawą, świadomi tego, gdzie jesteśmy, lecz pozbawieni czucia i umiejętności rozumowania. Czas przestał istnieć. W myślach wyłaniały się obrazy i zostawały zastąpione innymi — wszystko bez udziału naszej woli. W którymś momencie usłyszałam we własnej głowie głos: Tak właśnie wygląda życie w czarnej dziurze. Nie bałam się jednak.

Kiedy w końcu wstałam i zerknęłam na zegarek, było już dobrze po północy, z czego by wynikało, że przeleżałam na podłodze parę godzin. Nie patrząc nawet na Roba poszłam na górę do łazienki i przygotowałam sobie kąpiel. W wannie pozostałam, aż wystygła woda, a wtedy jeszcze raz cała się namydliłam i spłukałam ciepłym strumieniem z prysznica. Mimo to wycierając się w niegdyś puszysty, a teraz przetarty ze starości ręcznik nadal czułam się brudna.

Schodząc na parter rozważałam, czyby nie wymknąć się cichaczem, zanim Rob się przebudzi. Mogiam udać się na stację i tam dotrzeć do pierwszego rannego pociągu do Londynu, w ten sposób pozostawiając za sobą wszelki brud i tajemnice. Nie ukrywam, że bardzo chciałam tak właśnie postąpić, lecz coś mnie powstrzymywało. Przypuszczam, że znalazłszy się na progu poznania ostatniego sekretu, nie mogłam tak po prostu odwrócić się i odejść. Ciekawość była silniejsza ode mnie, silniejsza od zdrowego rozsądku. Zamiast więc wyjść, przemknęłam się do części kuchennej, gdzie zrobiłam sobie parę kanapek i zaparzyłam kawę. Instynktownie czując, że Rob tylko udaje, że śpi (od tej pory byliśmy połączeni więzami wykraczającymi poza ramy znajomości czy nawet przyjaźni i mieliśmy wiedzieć o sobie więcej, niżbyśmy chcieli), podeszłam do niego i trąciwszy go lekko stopą podstawiłam mu pod nos kubek z kawą.

— Musimy porozmawiać.

Jęknął i przewrócił się na drugi bok, nie dałam jednak za wygraną.

— Na rany Chrystusa, Jane, jest środek nocy, czy to nie może poczekać do rana?

— Dość się naczekałam. Dziesięć lat to szmat czasu, nie sądzisz?

— Jak zwykle przesadzasz.

Włożyłam mu w dłoń kubek z gorącą kawą, toteż nie miał innego wyjścia, jak podnieść się do pozycji siedzącej i oprzytomnieć, chociaż nie przestawał marudzić na nieludzką godzinę i potworny ból głowy. Nie zwracałam na to uwagi.

— Byłeś tam, prawda? Byłeś z Lucieniem, kiedy spadł w przepaść.

— Jane, daj spokój, to było tak dawno temu. Czasem lepiej jest nie wiedzieć...

— Czyżby? To czemu przedtem zrobiłeś mi wykład uświadamiający, jaki Lucien był naprawdę? Dokończ, co zacząłeś.

— Uważałem, że zasługujesz, by się tego dowiedzieć.

— Ach tak? Dzięki. Mimo to nadal nie mam pełnego obrazu. Brakuje mi tej części o tobie i albatrosie.

Skrzywił się i rzucił mi wściekłe spojrzenie.

— Wyczytałaś to w pamiętniku Esme? — spytał.

— Tak — przyznałam. — To dlatego go spaliłeś, prawda? Na wypadek gdyby Esme sprecyzowała, czym dokładnie był ten albatros.

— Nawet nie pamiętam, jak wiele jej powiedziałem. Oboje byliśmy wtedy zalani w pestkę... Jakiś czas potem napomknęła, że zawarła to w swoim pamiętniku, a mnie ogarnął szal.

— Mów dalej.

— Chryste, Jane, chyba nie sądzisz, że próbowałem ją zabić, co?

— Oczywiście, że nie — pośpieszyłam z zapewnieniem, chociaż w tamtej chwili niczego nie byłam pewna. — Przecież złapali tego, kto to zrobił.

— Właśnie — przyznał z ulgą Rob.

— Mnie możesz powiedzieć, co się naprawdę stało. — Cisza. — No dalej, Rob. Podświadomie chcesz się przede mną wygadać, inaczej byś mnie tu nie ściągnął — improwizowałam.

— Od kiedy to znasz się na psychologii?

— Cóż, zdaje się, że w ostatnich dniach przeszłam przyśpieszony kurs. Rob zmarszczył czoło, rozważając coś w duchu.

— No dobrze — zgodził się wstając. — Ale najpierw muszę się ogarnąć. Otumaniony snem nie potrafię jasno myśleć.

Chciałam go powstrzymać w obawie, że to tylko wykręt, by niczego mi nie powiedzieć — mógł wyskoczyć przez okno i uciec w siną dal w samych skarpetkach albo nawet podciąć sobie żyły kupionymi przeze mnie żyletkami (wszystko było możliwe wśród niesamowitej ciszy Glory Cottage w środku nocy) — lecz zdawałam sobie sprawę, że nie mogę mu zabronić skorzystania z łazienki. Niestety mój instynkt się nie mylił. Kiedy po parunastu minutach Rob wrócił na dół, widać po nim było, że nad sobą panuje. (Głowę musiał włożyć pod kran, gdyż włosy miał mokre i przyklejone do czaszki.) Dziarskim krokiem przeszedł na wskroś pomieszczenia, po drodze zabierając kubek z kawą.

— Następnym razem kup neskę — poradził. — Ten rodzaj jest przeznaczony do ekspresu.

Uszy mi poczerwieniały, bardziej z powstrzymywanego napięcia, aniżeli dlatego, że skrytykował moje umiejętności pani domu.

— Opowiesz mi wreszcie o sobie i Lucienie? — zapytałam, z trudem nadając głosowi spokojne brzmienie.

— Jane, naprawdę nie ma o czym opowiadać. Niepotrzebnie dramatyzujesz.

— Kłamca! — Nić odpowiedział, a ja poczułam, że przewaga, jaką miałam nad nim zaraz po przebudzeniu, zniknęła i że muszę od nowa przełamać jego opór. Po chwili twarz rozjaśnił mi uśmiech. Wprawdzie wiele lat upłynęło od czasu, kiedy po raz ostatni imitowałam dyszkant Luciena, ale nie zawadziło sprawdzić, czy nadal to potrafię. Wciąż normalnym głosem poinformowałam Roba: — Musisz mi opowiedzieć. W przeciwnym razie nigdy nie zaznasz spokoju. — I natychmiast, nie czekając na jego reakcję, głosem Luciena zaczęłam recytować:

Nieraz, pomiędzy dniem a nocą, Wraca ta męka cała Ipóki grozy nie opowiem, Serce w mej piersi pała.

Sztuczka polega na tym, żeby umiejętnie zaakcentować słowa takie jak „męka” czy „groza”, i chyba mi się udało, gdyż ręce Roba zaczęły drżeć do tego stopnia, że łyżeczka, którą mieszał kawę, wypadła mu z dłoni.

— Przymknij się, Jane — rozkazał. — To co robisz, jest chore.

— W takim razie mi opowiedz. — Kiedy znów nie dostałam odpowiedzi, odchrząknęłam i ciągnęłam recytację:

*Kłątwa sieroty może ducha
Z wyżyny ściągnąć w piekło,
Lecz, o, straszniejsze jest przekleństwo
W źrenicach umarłego!*

— Niech cię szlag, Jane! — Dłońmi złapał się za brzeg zlewu, jakby obawiając się, że bez podpory upadnie. — Niech cię szlag!

— Opowiedz mi.

Znów mi się wymknął. Odzyskawszy panowanie nad sobą, wyprostował się i zerkając na zegarek, rzucił:

— Cholera, już prawie rano. Powinienem zbierać się do szpitala.

Widząc, że nie pozostało mi wiele czasu, postanowiłam zarzucić subtelności. Poza tym nie pamiętałam więcej zwrotek.

— Zamordowałeś mojego brata — rzekłam bezbarwnym tonem.

No, wreszcie udało mi się przykuć jego uwagę. Wpatrywał się we mnie przez bardzo długą chwilę wzrokiem całkowicie wypranym z emocji, ja wszakże nie spuściłam oczu. W nagrodę zobaczyłam, jak kąciki ust mu drgają i na twarz wypęła coś w rodzaju uśmiechu. Wzruszając ramionami podszedł do stołu, wysunął sobie jedno z krzeseł i usiadł ciężko.

— Wygrałaś, Jane. Cokolwiek usłyszysz, pamiętaj, że sama o to prosiłaś, więc nie miej do mnie pretensji... Pamiętasz zabawę w zabijanie? — zapytał zniechęcony. — Pamiętasz obsesję Luciena na punkcie wszystkiego, co miało związek ze śmiercią?

— Znowu mówisz nie na temat. Udał, że mnie nie słyszy.

— Nic tylko w kółko gadał o śmierci, zabijaniu, morderstwach i tak dalej. Nie rozumiałem tego. Po co komu lista wszystkich możliwych sposobów uśmiercenia drugiego człowieka? Po co zastanawiać się, które sposoby są „z premedytacją”, które „w afekcie”, a które stanowią zwykły wypadek? Zadawał nam mnóstwo pytań, ale nigdy nie czekał na odpowiedź. Czy jeśli pijany kierowca śmiertelnie potrafi pieszego, to jest gorsze czy nie od sytuacji, w której ktoś zaatakowany wyciągnie w obronie własnej nóż i zasztyletuje napastnika? A co z nieuratowaniem komuś życia, na przykład nieudzieleniem na czas pierwszej pomocy? Czy jest to bardziej godne potępienia aniżeli zbrodnia w afekcie? No i czy morderstwem jest wysłanie żołnierzy na pewną śmierć na polu bitwy — czy

generałów należałoby za to postawić przed sądem? W takim razie czemu dostają medale? Czy, czemu, dlaczego? Wypytywał nas dzień po dniu, noc po nocy, tak że w końcu miałem tego serdecznie dość. Z pewnością to widział, lecz pytał nadal: „No, Rob, jak uważasz, co jest gorsze...”

— No i co z tego? — przerwałam mu. — W ogóle nie rozumiem...

— Ja też nie rozumiałem. I nigdy nie byłem pewien, jak mu odpowiedzieć. Czuję, że oczekuje konkretnej odpowiedzi, ale nie wiedziałem jakiej. Mówił o tym nawet wtedy, gdy skończyły się nasze ostatnie wakacje w Glory Cottage. A jeśli ktoś chory umrze, bo nie dostanie na czas lekarstwa...? Albo dziecko w odległym kraju wyzionie ducha, bo komuś w Anglii żal było wrzucić do puszki jedną monetę?... Kiedyś posunął się nawet do stwierdzenia, że wszyscy jesteśmy mordercami, i gdybyś go słyszała, doszłabyś do wniosku, że niemal chciał, żeby tak właśnie było. Lucien miał nadzieję, że każdy z nas jest mordercą. To się nie trzymało kupy!

— W dalszym ciągu nie widzę związku między tymi bredniami a śmiercią Luciena — powiedziałałam chłodno.

— Przykro mi, ale ten związek jest. — Zamyślił się.

— Jaki mianowicie? — Rob nadal milczał, z pozornym zainteresowaniem przypatrując się swoim dłoniom, chociaż ja wiedziałam, że myślami jest daleko, zarówno w czasie, jak i przestrzeni. Postanowiłam spróbować z innej beczki. — Lucien do ciebie dzwonił, prawda?

— Tak — szepnął. — Powiedział mi, że chce pojechać do Dorsetu na weekend i mnie zaprosił, aleja odmówiłem.

— Dlaczego?

— Bo byłem na niego zły.

— Z powodu Esme?

— Tak, ale nie tylko o nią chodziło.

— A o co?

— O niego. Dopiero kiedy odbił mi Esme, zrozumiałem, jaki jest naprawdę, dotarło do mnie, że przez cały ten czas się co do niego myliłem. Czuję się wykorzystany, zawiedziony i nie mogłem mu tego wybaczyć. — Zrobił krótką przerwę, lecz tym razem nie musiałam go ciągnąć za język. Poczł po-

trzebę wyrzucenia tego z siebie, potrzebę, by się usprawiedliwić i przekonać mnie, że to co się stało, było nieuniknione. — No więc nie chciałem się z nim spotkać. Nic wtedy, być może nigdy. Rany wciąż były świeże i nie miałem ochoty ich rozdrapywać, przysparzać sobie bólu. Chyba mu nawet powiedziałem, że na weekend jestem umówiony z tobą, ale on nie przyjmował odmowy do wiadomości, taki już był. Nazajutrz znów zadzwonił, z nieco odmiennym planem. Tym razem przystałem na jego propozycję. Jak teraz o tym myślę, wydaje mi się, że miałem nadzieję, iż powie lub zrobi coś, co sprawi, że znów będę go mógł kochać i szanować jak dawniej. Tak czy inaczej zgodziłem się, kiedy zaproponował, żebyśmy dołączył do niego dopiero w sobotę rano. Pojechałem do Dorsetu pociągiem, a on odebrał mnie ze stacji i jego samochodem razem pojechaliśmy do jakiejś wioski nad samym morzem. Lucien lubił piesze wędrówki, chociaż robił wokół nich straszne halo, mówił, że czuje się niczym jeden z tych poetów romantyków z grupy Wordswortha czy jakiś ekscentryczny wiktoriański pisarz, Dickens na przykład, który nie przeżył dnia bez paroki-lometrowego spaceru. Oczywiście z pogardą wyrażał się o innych piechurach i zawsze odstawał ubiorem, gdyż z uporem maniaka wkładał rzeczy absolutnie niepraktyczne na szlaku. Tamtego dnia miał na sobie pasiastą płócienną kurtkę, dzięki której przypominał leżak plażowy, i buty, zupełnie zwykłe miejskie trzewiki, za to pod kolor kurtki...

— Och, pamiętam — wpadłam Robowi w słowo, ciesząc się na tę możliwość zanurzenia się w przyjemnych wspomnieniach. Lucien pozostawał sceptyczny wobec jakiegokolwiek aktywności czy sportu, które by wymagały specjalnego ubioru, nigdy nawet nie sprawił sobie porządnych kąpielówek, w razie potrzeby używając po prostu slipków albo krótkich spodenek.

— ...Ruszyliśmy brzegiem zbrocza — ciągnął Rob, jakby mnie w ogóle nie było. — Od samego początku nie opuszczało mnie wrażenie, że nasze spotkanie ma jakiś cel, który Lucien sobie założył, lecz którym się ze mną nie podzielił. W miarę rozmowy domyśliłem się, że chodzi mu o to, by wy badać, co czuję wobec Esme. Wydawał się nią stokrotnie

znudzony i chciał jak najszybciej zerwać tę męczącą dla niego znajomość, wcześniej jednak musiał się upewnić, że Esme i ja nie zejdziemy się za jego plecami. Satysfakcję sprawiała mu świadomość, że zerwał łączącą ją ze mną więź, że nasza miłość obumarła za jego przyczyną. Nie mogłem w to uwierzyć, ale tak właśnie było! Ogarnęła mnie furia.

— Dałeś jej ujście?

— Chyba żartujesz? Nie pamiętasz, jak Lucien rzucał się na ofiarę, kiedy ta nieopatrznie okazała słabość? A przecież gdybym się przed nim przyznał, że mnie dogłębnie zranił i że jestenna tego z tego powodu wściekły, jak nic poczytałby to za moją słabość.

— Co było dalej?

— Szliśmy piaszczystą plażą, nad naszymi głowami ciągnęło się urwisko. Widzisz, ścieżka, którą wybraliśmy na początku, w pewnym momencie się rozwidlała i zamiast pójść dalej górą, zdecydowaliśmy inaczej. Łagodne zbocze z czasem przeszło w kamieniste urwisko, tak że pozostały nam tylko dwie drogi odwrotu: albo wrócić po własnych śladach, albo wdrapać się po skałach. Znajdowaliśmy się jednak daleko od punktu rozwidlenia i nie uśmiechało mi się wracać taki kawał, jednakże Lucien optował za łatwiejszą drogą.

— Tak, nigdy nie lubił się wspinać wyczynowo.

— Otóż to. Zaczął marudzić, że amatorzy wspinaczki górskiej mózgi mają w pionierkach, i kąśliwie pytał, czy Esme na mnie poleciała po jednym z moich pokazów akrobacji, kiedy to niczym szympana na brzytwie wisiałem ucepiony jedną ręką skały, drugą posyłając jej całusa. Zignorowałem go całkowicie i w milczeniu zacząłem się wspinać, gdyż po prostu miałem go dość. Chciałem znaleźć się jak najdalej od jego wstrętnego judzącego głosu i jego przekonania o własnej wyższości i doskonałości. Cieszyłem się, że przez paręnaście minut będę sam; sądziłem, że wróci plażą nadkładając drogi i dając mi czas na ochłonięcie i że spotkamy się na górze. W zależności od mojego tempa miałem nawet do pół godziny spokoju. Wspinając się rozważałem, czyby go nie zostawić samego i nie złapać okazji w stronę stacji; myśl o spędzeniu z Lucieniem całego weekendu wydawała mi się w tamtej chwili nie do zniesienia. Pałałem do niego szczerą nienawiścią. Gramoląc się na szczyt zauważyłem, że ten palant wspina się za mną. Krzyknąłem, żeby się nie

wyglupiał, ale on głosem drżącym ze strachu odkrzyknął, że też ma ochotę pobawić się w Spidermana.

— Po co to zrobił?

— Lucien nie wyobrażał sobie, że może być w czymś gorszy ode mnie. Chciał mi udowodnić, że jest jeśli nie lepszy, to przynajmniej równy mnie, nawet gdy chodziło o parę głupich skałek. Stałem na szczycie i spoglądałem na niego z góry, i wydawało się, że dobrze sobie radzi, chociaż sapał ciężko z wysiłku i pot zalewał mu oczy. Do końca wspinaczki miał jeszcze z dwa metry, kiedy zacząłem iść w stronę stacji. Wrzasnął, żebym go nie zostawiał i na niego zaczekał, ale ja szedłem dalej zły jak nigdy dotąd. Chwilę potem zaczął krzyczeć, że utknął, i wtedy zawróciłem. Dzielilo nas może półtora metra. „Ale cię nabrałem”, powiedział i ja potraktowałem to jako żart, gdyż był dosłownie na wyciągnięcie ręki, jeszcze parę ruchów i znalazłby się bezpiecznie na płaskiej powierzchni. Jednakże Lucien naprawdę spanikował, był sparaliżowany strachem. Przykucnąłem, a on podniósł na mnie głowę i wtedy po raz pierwszy zobaczyłem go takim, jakim jest, a nie takim, jakim chce być postrzegany. Był przerażony, ale to nie o to chodziło, bardziej o to, że nieposkromiony strach sprawił, że z jego twarzy spadła maska i moim oczom odsłoniła się jego prawdziwa natura... — Rob zamilkł na parę chwil, odtwarzając w umyśle tamtą scenę, w wyniku czego jego twarz nabrała pustego wyrazu. Kiedy znów się odezwał, malowała się na niej pełna okrucieństwa satysfakcja. — Wpatrując się w niego pomyślałem: „Lucien, ty draniu. Po raz pierwszy w życiu mam nad tobą przewagę i jeśli uważasz, że tak łatwo z niej zrezygnujesz, to się cholernie mylisz”. Czuję się świetnie, czuję się silny... — urwał i ukrył twarz w dłoniach. Kiedy znów na mnie spojrzał, wyraz zadowolenia zniknął bez śladu, a w jego miejsce pojawił się ból i żal. Umknął wzrokiem i cicho powiedział: — Niech Bóg się nade mną zmiłuje... Odczuwałem radość, że mój przyjaciel cierpi i się boi, nie słuchając jego próśb o po-

moc, a wystarczyło mi tylko wyciągnąć rękę... O tak — dotknął mnie. Zmartwiałam. Rob dawno oderwał dłoń od mojego ramienia, zwijając ją w pięść i przytykając do czoła, ja jednak wciąż czułam na sobie uścisk jego palców. Cisza się przedłużała, toteż zapytałam:

— I wyciągnąłeś? Wolno potrząsnął głową.

— Zrobiłem coś jeszcze gorszego — powiedział, ciężko przetykając ślinę. — Oznajmiłem Lucienowi, że rumowisko na zboczu uniemożliwia mi udzielenie mu pomocy. W tamtej chwili zupełnie się rozkleił i zaczął skomleć... Wspaniałomyślnie go pocieszyłem, że sprowadzę kogoś z pobliskiej farmy, i kazałem mu się trzymać... — Rob roześmiał się sardonicznie. — Obiecałem, że za pięć minut wrócimy z liną i go stamtąd wyciągniemy, i zapowiedziałem, że pod żadnym pozorem nie wolno mu się ruszyć z miejsca. Zaczął mnie błagać, żebym go nie opuszczał, że spadnie beze mnie, i niemal się ugiąłem. Niemal... — Rob zamknął oczy. — A potem go tam zostawiłem i odszedłem na tyle daleko, że nie słyszałem jego jęku ani szlochów.

— Zostawiłeś go? — spytałam z niedowierzaniem. Nie dosłyszał mojego pytania.

— Przysiadłem na wielkim otoczaku za załomem skalnym. Zapaliłem papierosa. Ręce lekko mi drżały, bo choć widok jego bezradności sprawił mi przyjemność, to byłem także wstrząśnięty całym zajściem. Powoli się jednak uspokajałem. Zaczynałem nawet rozumieć, że właśnie ten strach, który zobaczyłem na jego twarzy i w jego oczach, niczym nie zamaskowany strach, jest kluczem do prawdziwego Luciena. Dziwiłem się samemu sobie, że nie dostrzegłem tego wcześniej, no ale trudno cokolwiek dostrzec, kiedy człowiek ma głowę pochyloną w bałwochwalczym pokłonie. Lucien się bał. Czego się obawiał, tego się już nigdy nie dowiem, lecz niewątpliwie za wszystkimi jego buńczuczными słowami, kuglarstwami i gierkami krył się strach... To dlatego udawał, dlatego chciał mieć nad wszystkimi kontrolę. W momencie kiedy przyszło zrozumienie, przestałem odczuwać złość. Zrobiło mi się go

zał. Dopaliłem papierosa i wstałem z zamiarem wyciągnięcia Luciena stamtąd, lecz w tej samej chwili usłyszałem przeraźliwy krzyk mewy, tyle że od razu wiedziałem, że to nie była mewa. Zacząłem biec, potknąłem się o coś, wreszcie stanąłem na krawędzi urwiska i zobaczyłem, że miejsce, w którym zostawiłem Luciena, jest puste. Odmawiałem przyjęcia do wiadomości tego co oczywiste. Łudziłem się, że mimo wszystko zdołał podciągnąć się na brzeg zbocza i teraz czai się gdzieś w pobliżu, chcąc mi napędzić strachu, albo poszukał innego, dogodniejszego miejsca do wdrapania się czy też postanowił spełznąć ze skały i jednak poszedł plażą. Spojrzałem w dół i go zauważyłem, zobaczyłem tę jego pasiastą kurtkę, lecz nawet wtedy moją pierwszą myślą było: „O, połamany leżak”. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że to na co patrzę, to Lucien. Spodziewałem się ujrzeć go maszerującego brzegiem morza albo środkiem plaży, ale nie leżącego tuż przy skałach, wygiętego w nienaturalnej pozycji. Wiedziałem, że nie żyje.

— I co zrobiłeś?

— Najpierw długo wymiotowałem.

— A potem?

— Chyba odszedłem stamtąd, ale nie jestem pewien. Właściwie nie jestem pewien niczego od chwili, kiedy zobaczyłem go leżącego ze złamanym karkiem; czułem się jak na haju albo jak ci alpiniści, którym w miarę zdobywania wysokości zaczyna brakować tlenu... To co było wcześniej, nadal widzę z przeraźliwą jasnością, ale potem wspomnienia zakrywa mgła. Pamiętam uczucie unoszenia się, chociaż musiałem normalnie iść, i słowa raz po raz rozlegające mi się w głowie: „To niemożliwe, to po prostu nie-moż-li-we”. Nie podjąłem żadnej świadomej decyzji, ale oddalałem się stamtąd, jakby mnie coś odpychało od miejsca, w którym on leżał. Nawet przez moment nie przyszło mi na myśl, że można mu pomóc. Teraz wiem, że była to panika w najczystszej postaci, jednakże wtedy nie wiedziałem nic.

— Czy podobnie się czułeś, kiedy znalazłeś Esme?

— Chyba tak.

— Coś łatwo panikujesz, nie uważasz, Rob?

— Może...

— Która była godzina, kiedy zostawiłeś tam Luciena?

— Zerknąłem na zegarek, kiedy paliłem papierosa, było dokładnie dziesięć po jedenastej.

— A jego znaleziono dopiero o trzynastej. Lekarze powiedzieli później, że gdyby go przywieziono do szpitala godzinę albo dwie wcześniej, nie byli tego pewni, gdyż w przeciwieństwie do ciebie nie wiedzieli, kiedy się zdarzył wypadek, być może miałyby szansę.

Rob spojrział na mnie beznamiętnie. ' — Sądzisz, że tego nie wiem?

— Zabiłeś go nie raz, ale dwa razy, Rob — powiedziałam zimno.

— To był wypadek!

— Nieprawda! Zostawiłeś go na pewną śmierć! Kazałeś mu wisieć ucepionym skały, mimo że wiedziałeś o jego lęku wysokości. Po to tylko, żeby zaspokoić swoją ambicję, żeby się na nim zemścić...

— No, nie krępuj się, Jane, wyrzuć z siebie wszystko. Lecz wiedz, że cokolwiek mi powiesz, ja zdążyłem to samo powiedzieć sobie tysiąc razy albo i więcej.

— Jakoś trudno mi w to uwierzyć...

— Cóż, o to nie mogę cię winić.

— Na litość boską, Rob! Daruj sobie te wytarte frazesy!... —

Zaczerpnęłam powietrza i syknęłam jadowniczo: — Mam nadzieję, że po tej spowiedzi czujesz się jeszcze gorzej!

— No cóż, prawdę powiedziawszy...

— Nieważne, Rob! — przerwałam mu, gdyż nie chciałam usłyszeć, co ma do powiedzenia. — Powinieneś czuć się z tym źle, bardzo źle... To najohydniejsza, najbardziej godna pożałowania historia, jaką w życiu słyszałam. Jesteś zły do szpiku kości, Rob, i mam nadzieję, że widok leżącego na dnie wąwozu Luciena będzie cię prześladował do końca życia. Zasłużyłeś na to, żeby cierpieć.

Ku mojemu zdumieniu Rob się uśmiechnął.

— Z pewnością wciąż od czasu do czasu będę cierpieł, a mój albatros nigdy mnie nie opuści... Ale wiesz, Jane... Przez pierwszy rok czy dwa lata myślałem o tym nieus-

tannie, a teraz coraz częściej zdarzają mi się dni, kiedy nawet o tym nie pamiętam. Oczywiście ostatnie wydarzenia... groźba utraty Esme, spotkanie z tobą... spowodowały, że koszmar powrócił, lecz ty paradoksalnie mi pomogłaś. Rzeczywiście musiałem się wygadać, i to nie komu innemu, a właśnie tobie. Tylko ty potrafisz mnie zrozumieć. Wzdrygnęłam się. Czyżby Rob sugerował, że słuchając go udzieliłam mu swoistego rozgrzeszenia? W ten sposób uczyniłby ze mnie swą współniczkę... Chciałam zaprzeczyć, lecz nie znalazłam właściwych słów. Zbyt późno pojęłam rozpaczliwe wyznanie Esme: „Cięży mi ta wiedza i nie mam pojęcia, co z tym począć”.

Nagle poczułam się bardzo, ale to bardzo zmęczona. Kiedy za oknem świtało, zdałam sobie sprawę, że spowiedź Roba związała mnie z nim znacznie silniej aniżeli wcześniejszy akt fizycznej miłości. Bałam się, że już nigdy nie zdołam się od niego uwolnić.

Wpatrywał się we mnie z napięciem, gdy z trudem wstawałam i noga za nogą wlokłam się do sypialni z myślą, by jak najszybciej opuścić to miejsce i Roba, który zgodnie z moimi obawami był obcym człowiekiem. Przysiadłam na łóżku, lecz zamiast się zacząć pakować, osunęłam się na bok i zasnęłam kamiennym snem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Później tego samego ranka Rob i ja znów siedzieliśmy twarzą w twarz przy stole. Spałam przeszło pięć godzin i kiedy przebudziłam się trochę po dziesiątej, dom był cichy i pusty. W pierwszej chwili pomyślałam, że Rob wyjechał do szpitala, tak jak to zapowiadał, lecz przy dokładniejszej inspekcji okazało się, że wciąż jest na miejscu. W odległym kącie sadu palił zerwaną wcześniej w pocie czoła tapetę, której kolejne płachty z wolna obracały się w popiół i gęstą smugę dymu.

— Była tak ohydna, że na nic lepszego nie zasługiwała — poinformował mnie wróciwszy do domu, po czym obiema dłońmi objął podany mu kubek z kawą i rzeczowym tonem dodał: — Nadal pozostaje otwarta kwestia zaufania, Jane. Czy mogę ci ufać, oto jest pytanie...

Jakby nigdy nic insynuował, że nie jestem godna zaufania!

— A jeśli nie, to co? — zapytałam zaczepnie. — Zdzielisz mnie czymś w głowę?

Uśmiechnął się do mnie krzywo i rzekł:

— Nie musisz się obawiać o własną skórę, Jane. To raczej ja jestem w niebezpieczeństwie. Wolę nie myśleć, co by się ze mną stało, gdyby prawda o okolicznościach śmierci Luciena wyszła na jaw... —

Żałowałam, że pogarda, jaką wobec niego żywiłam, nie może przybrać materialnej formy i niczym pocisk zmieść go z powierzchni ziemi. — No, no — pokręcił głową — patrzcie państwo. Jane mnie nienawidzi... Nie tylko ci

się nie dziwię, ale wręcz stanowi to dla mnie swojego rodzaju ulgę. Musiałem się tego spodziewać, kiedy zdecydowałem, że ci wszystko opowiem. Ogół ludzi zna mnie od dobrej strony, jedynie tobie wyjawilem swój mroczny sekret.

— I uważasz, że powinnam zatrzymać go dla siebie?

Już zadając to pytanie, znałam odpowiedź — komu bowiem miałam zdradzić tajemnicę Roba? Owenowi, z którym praktycznie nie rozmawiałam? Czy może Faith, której z pewnością nie życzyłam, by dowiedziała się, że jej ukochany syn zginął z powodu podłości swego najlepszego przyjaciela, brata niemal? Pozostawała jeszcze prasa, ale na to także nie potrafiłabym się zdobyć.

Rob wzruszył ramionami.

— Zrobisz, jak zechcesz. Czyż to nie dziwne, że ponad połowę życia przeżyłem w cieniu Luciena, bojąc się wychylić głowę i nie dbając o opinię innych, i dopiero po jego śmierci, ba, później nawet, po wyjściu z więzienia, odkryłem, jak to jest znaleźć się świetle jupiterów?... Kiedy stałem się osobą publiczną, wszystko się zmieniło. Z jednej strony nadal byłem tym samym, nic niewartym Robem, lecz z drugiej ludzie mnie słuchali i podziwiali. Z początku źle się czułem z tą dwoistością, ale z czasem się do niej przyzwyczailem, więcej, zacząłem wierzyć, że jeśli uda mi się sprawić, by mnie nadal poważano, by widziano we mnie wyłącznie godnego szacunku Roba Hallama, zła część mojej istoty zniknie jak bańka mydlana...

Zastanowiłam się nad tym, co powiedział, i długo ważyłam swe następne słowa.

— To co stało się w Dorsecie, jest niewybaczalne. Ale dla mnie chyba jeszcze gorsze jest to, co mówiłeś wczoraj o Lucie-nie. Jak można po tylu latach przyjaźni pluć jadem na zmarłego?...

Rob odchylił się na oparcie krzesła i potarł brodę nerwowym gestem.

— Przypuszczam, że szukam sposobu, by zapomnieć i sobie wybaczyć. A gdybym wreszcie przestał go kochać, byłoby to możliwe...

— To wstrętne.

— Pewnie tak — westchnął. — Tyle że to co wczoraj mówiłem, nadal pozostaje prawdą. Oczywiście każdy medal ma dwie strony i ja całkowicie ominąłem tę drugą stronę... Nieraz myślę, że największą tragedią Luce'a było to, że nie zdołał pozbierać się do kupy. A wystarczyłoby, gdyby przyznał sam przed sobą, że jest zwykłym człowiekiem, nie geniuszem wszech czasów... Wtedy mógłby jeszcze coś zrobić ze swoim życiem, a tak... Moim zdaniem, Jane, oboje ponosimy częściową winę za jego ostateczny upadek.

— Co za bzdury opowiadasz?! Niby jak?

— My chcieliśmy widzieć w nim bohatera, tak samo jak Faith. Żadne z nas nie pozwalało mu być przeciętnym chłopcem czy zwykłym młodym mężczyzną. Ja, kiedy przekonałem się, jaki jest naprawdę, nie potrafiłem wybaczyć mu zdrady, a ty, Jane... ty nawet nie chciałaś przejrzeć na oczy. Tak bardzo mi go teraz żal...

— Nic z tego nie rozumiem — rzuciłam poirytowana, że mówi zagadkami.

— No więc się zastanów — poradził mi i zapytał: — Masz zamiar powiedzieć Faith?

— Nie widzę potrzeby. Wyraźnie się ucieszył.

— Oczywiście możesz powiedzieć, komu żywnie ci się podoba; nie potrafię cię powstrzymać ani nie mam prawa żądać od ciebie obietnic dochowania sekretu, ale powinnaś wiedzieć, że z chwilą gdy świat usłyszy całą prawdę o Robie Hallamie, ja wrócę tutaj, tyle że nie do Glory Cottage, a prosto do rzeki.

— Grozisz mi?

— Ależ skąd! — zaprzeczył. — Załedwie informuję. Nawiasem mówiąc, jak uważasz, czy to uczyniłoby cię morderczynią? Nie, pewnie nie. Wina byłaby całkowicie po mojej stronie.

— Zgadza się, Rob. Sam byłbyś sobie winien — potwierdziłam wstając. Zmrużył oczy i uśmiechnął się nieprzyjemnie.

— Ale mimo to, Jane... mimo to czułabyś się jak morderczyni, możesz mi wierzyć.

Ruszyłam w stronę drzwi. — Lepiej się zbierajmy, Rob.

W powietrzu czuło się nadchodzącą zimą, a niebo przybierało charakterystyczny różowawy kolor zwiastujący przymrozek, kiedy nasz pociąg turkocząc zmierzał w stronę Londynu. Spóźniliśmy się na południowy skład, toteż przyszło nam poczekać na następny, ale mimo nudy typowej dla poczekalni dworca kolejowego niewiele ze sobą rozmawialiśmy. Rob zaopatrzył się w trzy gazety i czytał każdą od deski do deski, a ja chcąc zająć czymś ręce, za ostatnie drobniaki kupiłam parę kanapek, co okazało się błędem. Rewelacje Roba wywołały w moim organizmie coś na kształt umysłowej choroby morskiej i już po pierwszym kęsie jedzenia odczułam nudności, natomiast pierwsza myśl, próba ułożenia sobie wszystkiego, spowodowała zawroty głowy. Byłam wrakiem człowieka. Niezdolna analizować przeszłości ani snuć planów na przyszłość, bezradnie obserwowałam pojawiające się przed oczyma i zaraz znikające oderwane obrazy. Blond czupryna Owena sięgająca kołnierzyka kombinezonu, kiedy nachylał się, żeby umieścić w wilgotnej glebie kolejną sadzonkę sałaty; pasiasta kurtka Luciena, którą sprawił sobie tego ostatniego lata i która rzeczywiście upodobała go do leżaka; chłopięcy dyszkant pytający: „Jak myślicie, ile istnieje sposobów na uśmiercenie człowieka?” i cieniutki głosik Laury odpowiadający: „Przecież to oczywiste, głupku” — jej ulubione zdanie, mające przywołać Billy'ego do porządku. Uderzyło mnie, że głos mojej córki, kiedy była poirytowana, i głos mego brata w dzieciństwie brzmiały niemal identycznie. Jak to możliwe, zastanawiałam się w duchu, że nigdy wcześniej tego nie dostrzegłam? Czy to dlatego, że Laura jest jak skóra zdjęta z Owena? Nagle oczy wypełniły mi się łzami; Laura i Lucien nigdy się nie poznają, mimo że tak wiele mają wspólnego... istna tragedia. Rob utrzymywał, że Lucien się bał. Nie mogłam tego zbagatelizować, zwłaszcza że mój instynkt podpowiadał mi, że przynajmniej w tym Rob mnie nie okłamał. Zatem czego się bał? Dlaczego nie poparł swej hipotezy dowodem? Czemu nie podał powodu strachu? Kolejna myśl przemknęła

i znikła, nim zdołałam ją pochwycić. Bez przekonania podjęłam próbę rozważenia tego wątku jeszcze raz, lecz zamiast ciągu myśli pojawił się obraz: ciemna bezkształtna masa, coś na kształt mgły, z której tu i ówdzie wyzierał kawałek ludzkiego ciała — a to stopa, mogąca należeć do Luciena, a to ręka czy połowa twarzy przypominająca mi Roba, a może raczej Owena... Chciałabym mieć odwagę namalować niepewność i zamęt panujące w mojej duszy, pomyślałam. Dobrzy ludzie na ogół doradzają artyście amatorowi: „Maluj to, co widzisz”, lecz co z tym, czego zobaczyć się nie da? Czy w ogóle można namalować to, co niedopowiedziane, prawdę ukrywającą się wśród masy kłamstw?... Oderwane myśli, nienazwany strach, na wpół zapomniany sen. I czerń. Pragnęłam, by przez mój umysł — moje życie — przegnał wiatr i rozpedził tę czerń, tak bym mogła wreszcie zobaczyć wszystko jasno.

Kiedy pociąg zajeżdżał na londyński dworzec Paddington, zerwałam się na równe nogi i zaraz musiałam na powrót usiąść — szok, jak się okazuje, jest w istocie fizycznym doświadczeniem. Rob jakby nigdy nic uśmiechnął się do mnie, odłożył zaczytaną gazetę i rażnym głosem zaproponował:

— Spodziewam się, że też chcesz jak najszybciej zobaczyć Esme. W takim razie możemy wziąć jedną taksówkę.

Wciąż oszołomiona od nadmiaru wrażeń, w braku własnego planu skinęłam niemrawo głową. Nie umknęło jednak mojej uwadze, że w miarę jak ja pogrążałam się w chaosie i pomieszaniu, Rob odzyskiwał pewność siebie i dziarskość. Zupełnie jakby to, co wyczytał w wiadomościach, przeniosło go z jego prywatnego koszmaru do właściwego świata, na scenę, na której musiał grać dalej. Parę osób się za nim obejrzało

— być może go rozpoznały albo po prostu wyczuły silną osobowość. „To chyba jakiś aktor”, szepnęła do swej towarzyszki kobieta stojąca za moimi plecami w kolejce po taksówkę. Rob powrócił do swojej jasno zdefiniowanej roli, zakładając maskę i przybierając ważną minę niczym lekarz przeciskający się przez wianuszek gapiów, kiedy zdarzy się wypadek. „Proszę mnie przepuścić. Jestem lekarzem.” „Wszystko będzie do-

brze, on tu jest" — rozlegają się głosy ulgi w tłumie. Pytanie tylko, k t o tutaj jest? Kto jest koło mnie? Ilu tak naprawdę jest Robów Hallamów? Na pamięć wróciła mi jego postać, skulona na dnie Mułów; jego wyrzuty sumienia, kiedy pod osłoną nocy wyrzucał z siebie spowiedź swego życia. Kiedyś sądziłam, że go znam — ostatnio dowiedziałam się o nim tak dużo, że musiałam sama przed sobą przyznać, że nigdy nie byłam dalsza od poznania go naprawdę.

— Dobrze się czujesz? — zapytał biorąc mnie pod ramię. Maską uprzejmego zainteresowania, zawodowe ciepło w oczach. Odtrąciłam go.

— Nic mi nie jest — odparłam opryskliwie, modląc się w duchu, by kolejka posuwała się szybciej i żebym znalazła się w bezpiecznym wnętrzu taksówki, nim nogi całkowicie odmówią mi posłuszeństwa. Wreszcie przyszła nasza kolej. Taksówka podjechała, Rob rzucił kierowcy nazwę szpitala i pomógł mi wsiąść do środka, jakbym była własną babcią. Po drodze zaproponował wystudiowanym głosem:

— Jeśli tylko nikt znajomy nie zobaczy, jak razem wysiadamy z taksówki, powinniśmy chyba mówić, że wpadliśmy na siebie przy wejściu. Nie ma potrzeby rozgłaszać wszem wobec, że ostatnie parę dni spędziłem razem z tobą w Glory Cottage. Zgadzasz się ze mną?

Znów skinęłam głową. Będę musiała wymyślić przekonujący powód zerwania tapety w jednej z sypialni, pomyślałam, ale to z pewnością będzie łatwiej wyjaśnić niż obecność Roba w Glory Cottage w tym samym czasie, kiedy ja się tam zatrzymałam. Zresztą moje życie to stek kłamstw, czemu by nie dorzucić kolejnego?

Zwrot „stek kłamstw” powrócił do mnie jak refren upartej melodii. Co za dziwne określenie, kiedy się nad tym głębiej zastanowić. A jednak życie Roba, Luciena, moje były takim właśnie stekiem kłamstw, nic dodać, nic ująć. Rob przez tyle lat udawał oddanego przyjaciela, Lucien kogoś, kim w rzeczywistości nie był, co go ostatecznie doprowadziło do zguby, moje małżeństwo przypominało farsę — a iluż kłamstw jesz-

cze nie odkryłam? Może na nich zasadza się życie, a nie na prawdzie? pomyślałam z przerażeniem. Moje najwcześniejsze wspomnienie związane z Lucieniem: ma sześć czy siedem lat (ja jestem odpowiednio młodsza), leży w łóżku z gorączką, Faith przynosi mu talerz z obiadem; Lucien kręci nosem: „Znów stek... Stek kłamstw”. Oczywiście nie zrozumiałam wtedy dowcipu, zresztą nie jestem pewna, czy rozumiem go teraz. W następne święta popakował prezenty w bibułkę i poprzyczepiał do nich karteczki z napisami takimi, jak: **UWAGA! ZŁA FRETKA** albo **UWAGA! TRUCIZNA**, ułożył je w stertę i nie odstępując choinki mamrotał pod nosem: „Sterta prezentów, stek kłamstw, sterta prezentów, stek kłamstw”. Faith naturalnie była zachwycona jego kreatywnością. W świetle tego, co minionej nocy naopowiadał mi Rob, zaczęłam wątpić, czy nasza matka dobrze robiła wychwalając Luciena pod niebiosa w każdej sytuacji, kiedy wykazał się inteligencją. Na przykład ta gra słów mogła być niczym innym jak przypadkiem zrodzonym w umyśle psotnego dziecka.

Poczułam potrzebę podzielenia się tą uwagą z Robem, powstrzymałam się jednak, gdyż nie chciałam, by uznał, że wyciągam doń rękę na zgodę. Przedłużające się milczenie przerwał Rob, i to dopiero wtedy, gdy podjeżdżaliśmy pod bramę szpitala.

— No cóż, Jane, wygląda na to, że wracamy z bajki do prawdziwego życia. — Zmarszczył czoło i z nieukrywanym niepokojem dodał: — Tak bardzo się boję o Esme... Już ją kiedyś utraciłem... — Spojrzał na mnie i zaczął z siebie wyrzucać potok słów. — Przez pewien czas myślałem nawet, że jestem w jakiś sposób napiętnowany, że przynoszę pecha każdemu, kto się do mnie zbliży. — Choćbym jednak chciała na to jakoś zareagować, nie dał mi szansy. — Nie potrafię przewidzieć, co przyniesie życie, Jane. Czy w ogóle będziemy się widywać, więc powiem ci to tu i teraz i zapamiętaj sobie to dobrze. Kochałem tego twojego szalonego brata. To, że się na niego wściekłem, nie miało znaczenia: prędzej czy później gniew by mi przeszedł i byśmy się z Lucieniem pogodzili. Zawdzięczałem mu tak wiele... i nigdy nie zdołałem spłacić długu, jaki u niego zaciągnąłem. Nawet sobie nie umiem wy-

obrazić, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie on. Pozwalając mu umrzeć, zabiłem część samego siebie. Och, udało mi się to przeboleć... prawie... ale zawsze będę za nim tęsknił.

— Wiem — powiedziała przez ściśnięte gardło i poklepała go lekko po ramieniu, nim odwróciła głowę do okna. Zajeżdżaliśmy pod szpital. Wchodząc na salę Esme poczułam się jak na zlocie czarownic. Podobnie jak często bywa ze środkami komunikacji publicznej, kiedy autobusy czy tramwaje jeżdżą stadami, wszyscy jej bliscy postanowili odwiedzić ją o tej samej godzinie. Już na korytarzu słyszeliśmy harmider podnieconych głosów — z których oczywiście o jeden czy dwa decybele wybijał się głos Faith, co wywołało u mnie gwałtowny skurcz serca. Na nasz widok rozmowy ucichły jak nożem uciął.

Właściwie taką reakcję wywołało pojawienie się Roba, gdyż na mnie mało kto zwrócił uwagę. Oczy wszystkich skierowane były na marnotrawnego kochanka, przyjaciela czy kim tam był naprawdę dla Esme.

Faith pierwsza odzyskała kontenans, teatralnym ruchem zakrywając usta i wydając zduszone:

— Rob!

Miała na sobie jasnoszarą sukienkę z wełny najlepszego gatunku, a wokół szyi zamotaną szafirową apaszkę, tak że jej rozszerzone szokiem czy nawet przerażeniem ciemne oczy ładnie się komponowały z ubiorem. Nieco z tyłu za nią, z boku, stał Erie, na którego twarzy także wymalowane było zdumienie, co było widokiem rzadkim, gdyż poczciwina na ogół nie zaprzętał sobie głowy niczym innym poza swoim ukochanym golfem — nawet w sytuacjach takich jak ta lubił analizować ostatnią rozgrywkę bądź planować następną, a wtedy nic nie mąciło mdłych rysów jego twarzy. Zmieniony nie do poznania rzucił niespokojne spojrzenie w stronę Faith i wymamrotał:

— Lepiej późno niż wcale, jak powiadają.

John Drummond nie próbował ukryć wstrząsu, jaki przeżył na nagłe pojawienie się Roba. Wzruszony zrobił ku niemu parę kroków, mówiąc przy tym:

— Rob, chwała Bogu, że jesteś wreszcie.

Za Johnem czaili się dwaj postawni i opaleni na ładny brąz młodzieńcy — z pewnością byli to zawezwani do domu z zamorskich wojaży młodszy bracia Esme, choć trudno mi było w to uwierzyć. Jeden z nich uderzająco przypominał wybujałą i wiotką Clare Drummond, podczas gdy drugi, tylko trochę niższy, miał oczy Johna i Esme. Obaj wciąż jeszcze nie otrząsnęli się ze skutków zmiany czasu.

Po drugiej stronie łóżka, ramię przy ramieniu, stali Owen i Angela. Nie wyglądali najlepiej. Poza tym w pomieszczeniu znajdowała się rudowłosa pielęgniarka i mieszana para w cywilu, w której jednak na milę rozpoznawało się stróżów prawa. Zwłaszcza ta ostatnia dwójka obserwowała rozgrywającą się scenę z żywym zainteresowaniem. Rob nie widział nikogo poza kruchą postacią złożoną na łóżku. Od wejścia do sali nie odrywał wzroku od Esme, a przez twarz przelatywały mu skrajne emocje. Przemierzył salę, zignorował usługującą policjantkę, która zwolniła dla niego krzesło, i z jękiem opadł na kolana, chwytając dłoń Esme i podnosząc ją do ust.

— Och, Esme — wyszeptał z zamkniętymi oczyma.

Jako córka swojej matki myślałam, że jestem uodporniona na przedstawienia teatralne, jednakże występ Roba napawał mnie odrazą. Posykująca złością karmazynowa myśl utorowała sobie drogę do mojej świadomości, każąc mi przejrzeć na oczy. W końcu co ja i marnotrawny przyjaciel Esme robiliśmy minionej nocy, co?

Faith wycierała spotniałe ze wzruszenia oczy, inni pochylali głowy z szacunkiem, a ja wpatrywałam się z niedowierzaniem w plecy Roba, nie wiedząc, czy mam rozwiać złudzenia wszystkich czy też nie. Przeważyla fascynacja dziejącym się na moich oczach dramatem — postanowiłam zatem wytrwać do końca przedstawienia, by dowiedzieć się „kto zabił”. (Gwoli ścisłości muszę jednak przyznać, że i mnie zakręciły się pod powiekami łzy i musiałam upominać się w duchu, że nic nie jest tym, czym się wydaje.) Nie zamierzałam podważać szczerości jego uczuć do Esme, nie na podstawie jednej spędzonej ze mną nocy, lecz nie mogłam nie widzieć, że wszystko, co Rob czyni i mówi od wejścia na salę, jest na pokaz; za wszelką

cenę musiał wyrzucić dobre wrażenie na Johnie i Faith, na personelu szpitala i policji, na pozostałej widowni i być może nawet na mnie. Będąc o tym przekonana — patrząc na niego i pogardzając nim z całego serca, a także na próżno starając się go znienawidzić — zarazem czułam, że mój cynizm jest trochę na wyrost. Przecież Rob nie czynił nic poza tym, że udawał człowieka, jakim chciał być. Pomyślałam nawet, że Rob-osoba publiczna oraz Rob-zaszczute zwierzę są równie prawdziwymi jego wersjami i kto wie, która z nich jest bliższa jego przyrodzonej naturze. Z pewnością nie był ostatnim szubrawcem — w końcu czuł się winny śmierci Luciena, podczas gdy wielu szlachetniejszych na jego miejscu umyłoby od wszystkiego ręce, tłumacząc się okolicznościami. Co więcej, Rob swoje odpokutował, jego kara była niewspółmierna do winy — zwłaszcza że wciąż jeszcze mógł utracić Esme. Przyglądając się mu, jak szczerze płacze nad jej i swoim losem, zaczynałam rozumieć, że Rob musiał przywdziać maskę i zacząć grać, aby samemu odkryć, kim jest naprawdę.

Z zadumy wyrwała mnie Faith. Położyła mi na ramieniu dłoń, szepcząc do ucha:

— Wprost nie mogę w to uwierzyć... Rob... Po wszystkich tych latach... Mimowolnie się od niej odsunęłam — nie interesowała mnie rola w jej farsie zatytułowanej „Szczęśliwa rodzina”, zaraz jednak przypomniała mi się obietnica złożona Robowi w taksówce, toteż lekkim tonem powiedziałam:

— Och, ja też... Ciekawe, gdzie się podziewał, prawda? Wyobraź sobie, że wpadliśmy na siebie w wejściu do szpitala.

Owen rzucił mi spojrzenie z ukosa. Jego oczy, zimne i pełne gniewu, sprawiły, że wnętrzości się we mnie przenicowały. Jakim cudem miał na mnie taki wpływ? Dlaczego pod jego wzrokiem wiłam się jak piskorz, sama nie wiedząc, co czuję, po brzegi wypełniona wyrzutami sumienia? Jakim prawem przysparzał mi cierpień?!

Każdy robił co mógł, by stać się mniej widzialnym i zapewnić Robowi minimum prywatności przy wezłowie łóżka

Esme. Koło mnie i Faith utworzyła się grupka ludzi, rozpoczęły się prezentacje i wymiana grzeczności. Zostałam oficjalnie przedstawiona bliźniakom, lecz przytłoczona ich wzrostem zapomniałam języka w gębie i nie wyrecytowałam przygotowanej na tę okazję przemowy, że pamiętam ich z czasów, jak jeszcze jeździli w wózku. Wymieniłam uściski dłoni z policjantem (łysym i spoconym) i policjantką (obdarzoną istną lwią grzywą, lecz równie mało jak jej kolega odporną na gorąco i duchotę). Uśmiechałam się, wyrażałam ubolewanie, kręciłam głową i przytakiwałam, podczas gdy atmosfera wokół gęstniała. Czułam się, jakby ktoś przyłożył mi ręce do gardła, musiałam walczyć o każdy łyk powietrza.

Podobnie jak pozostali starałam się nie zerkać na Roba i Esme, lecz wzrok sam podążał w ich stronę. Pomyślałam nawet, że stanowią coś w rodzaju żywej rzeźby, jaką można by wykuć na podstawie jednego z wiktoriańskich malowideł, które miały to do siebie, że potrafiły uchwycić melodrama-tyzm chwili. Oczyma wyobraźni zobaczyłam oryginał: wpadające przez okno przyćmione listopadowe światło, blada twarz ofiary ledwie odcinająca się od bieli poduszki, zrozpaczony kochanek u wezgłowia, splecione palce dłoni obojga... I tytuł, najoczywistszy z możliwych i jakże adekwatny: „Czy kiedykolwiek mu wybaczy?” Przyglądając się im w milczeniu, jednym uchem słuchałam podnieconego szeptu zebranych. Dowiedziałam się, że Esme odzyskała przytomność nieco wcześniej tego samego dnia podczas wizyty pary „terapeutów”; to na dźwięk głosu Owena albo na dotyk króliczych wibryss Esme po raz pierwszy od wypadku otworzyła oczy i przemówiła. Policjantka rada by była natychmiast wyciągnąć z niej zeznania, jednakże Esme ograniczyła swą wypowiedź do poinformowania zebranych, że boli ją głowa i chce jej się pić, oraz ucieszyła się na widok Owena, co wzięto za najlepszy znak ze wszystkich. W wyniku krótkiej wymiany zdań okazało się, że jest świadoma, iż miała wypadek i że jest w szpitalu, ale odmówiła wdania się w szczegóły, tłumacząc się wielkim zmęczeniem. Obecnie wszyscy — nie wyłączając najbardziej sceptycznych i ostrożnych w rokowaniach członków personelu medycz-

nego — byli zdania, że choć nadzwyczaj powoli, to jednak Esme wraca do siebie.

Pod niebiosa wychwalano Owena i jego niezwykłą metodę terapii, a ci, którzy wiedzieli, że jestem żoną cudotwórcy, rzucali mi zaciekawione spojrzenia. Dostyc bezpośrednio w obyciu policjantka dała mi do zrozumienia, że powinnam być wdzięczna losowi za takiego męża — jakbym sama tego nie wiedziała ani nieraz nie słyszała podobnych wynurzeń w przeszłości.

Faith zarzucała bliźniaków pytaniami o ich przerwana podróż, co przyjęli z wdzięcznością, mimo że widać było, iż jej zainteresowanie skupia się na postaci siedzącego przy łóżku mężczyzny. John Drummond obserwował ją z wyrazem niepokoju na twarzy, raz czy dwa dotknął nawet jej ramienia gestem mającym dodać otuchy, podczas gdy ona — świadomie lub nie — oparła się o niego, jakby z wdzięcznością przyjmując podporę. W moich oczach ten ich kontakt fizyczny wydał się o niebo intymniejszy od czegokolwiek, czego byłam świadkiem, jeśli chodziło o Faith i Erica, który w sytuacjach kryzysowych zdobywał się co najwyżej na: „No, no, moja droga”, po czym następowała jego paniczna ucieczka. W jednej chwili powróciły do mnie dziecięce rojenia o romansie pomiędzy moją matką a Johnem i choć prawdopodobnie myliłam się wtedy co do szczegółów, to jednak w ogólnym zarysie musiałam mieć rację.

Konformista Erie, widząc, jak bardzo zdenerwowana jest Faith, zwrócił się do mnie, chcąc być uczestnikiem rozgrywającej się sceny, a zarazem nie ucierpieć emocjonalnie.

— Gdzieżeś to się ukrywała, co? — zagadał. — Owen nie chciał puścić pary z ust.

— W Glory Cottage — odparłam.

— Dlaczego tam, na miłość boską?! — włączyła się Faith, przerywając wyższemu z bliźniaków w pół słowa.

— Po prostu potrzebowałam pobyć sama, a John był na tyle miły, że pozwolił mi się u siebie zatrzymać. Przy okazji, John, klucz zostawiłam u pani Wicks... — zawahałam się, czy by nie dodać słowa wyjaśnienia w związku z zerwaną i puszczoną z dymem tapetą, ale górę wzięło przyzwyczajenie; w końcu

niedomówienia w najlepszym razie, a kłamstwa w najgorszym były ostatnio moim chlebem powszednim. — Jeszcze raz dziękuję za zaproszenie — zakończyłam słabo.

Faith całą swoją osobą dawała mi jasno do zrozumienia, że moje zniknięcie w tak dramatycznej chwili było niewybaczalne, lecz ograniczyła się do stosunkowo niewinnej jak na nią uwagi: — Jane zawsze była trochę dziwna.

Uznałam, że dobrze zrobiłam, nie wspominając o tapecie.

Faith właśnie otwierała usta, żeby coś dodać, być może jakąś bardziej kąśliwą uwagę na mój temat, jednakże nikt już jej nie słuchał, gdyż w tej samej chwili Esme otworzyła oczy i zaczęła mówić.

Wszyscy jak jeden mąż przenieśli się w stronę łóżka, zacieśniając wokół niego kordon — wszyscy z wyjątkiem mnie i Erica, z którego twarzy nie schodził przyklejony uśmiech, zarezerwowany na wszelkie uroczystości rodzinne: chrzciny, wesela i szkolne koncerty, a także mniejsze i większe awantury domowe. Erie po prostu robił, czego się po nim spodziewano, mając nadzieję na święty spokój. Ja przeciwnie, chciałam podejść do łóżka Esme i podobnie jak reszta wyteńczyć słuch, oczekując jakiegoś wiekopomnego wyznania, lecz zatrzymałam się w pół kroku. Nie mogłam pokazać się Esme na oczy — nie po tym, jak bez cienia wstydu przeczytałam jej pamiętnik i zdradziłam naszą przyjaźń uprawiając seks z Ro-bem. W myślach powiedziałam do niej: „Kocham cię, Esme. Będziemy jeszcze prawdziwymi przyjaciółkami, chociaż na razie żadna z nas nie ma pojęcia, na czym polega przyjaźń...” Złożywszy jej tę obietnicę, przeniosłam wzrok na stojącego w nogach łóżka Owena, który z napięcia zaciskał pięści, jakby siłą swojej woli chciał zmusić Esme do jak najrychlejszego wyzdrowienia, spoglądając na nią z wyrazem takiej czułości i współczucia na twarzy, że przez jedną szaloną chwilę pożalowałam, że to nie ja leżę tam bezbronna i uwielbiana.

Kiedy spuściłam oczy, podłoga zaczęła falować i kołysać się miarowo. Gdzieś w oddali policjantka zadawała Esme py-

tania, chcąc potwierdzić podejrzenia. Pomyślałam, że jeszcze chwila i zemdleję, toteż odwróciłam się i kierując się w stronę wyjścia, szepnęłam do Erica:

— Chodźmy. Nie jesteśmy tutaj potrzebni. Uśmiechnął się szerzej — i szczyżej — na myśl o ucieczce,

lecz z przyzwyczajenia nie odmówił sobie komentarza, który wyrecytował naśladując głos Faith niczym bezmyślny gwarek.

— Biedna Jane. Nie dla ciebie takie zgromadzenia... Zeszliśmy do szpitalnianego baru, gdzie Erie stanął

w ogonku po herbatę i krakersy, a ja zajęłam stolik możliwie odległy od osobliwej pary kobiet: starsza z nich, wystrojona w fiołkoworóżowy kapelusz, roniła łzy w koronkową chusteczkę, podczas gdy druga, młodsza i o gabarytach szafy trzy-drzwiowej, pożerała wielką kanapkę, jakby właśnie dopadł ją efekt jo-jo po drakońskiej diecie.

— Co u ciebie? — zapytał Erie, kiedy już wrócił z herbatą i paczką krakersów.

— W porządku — odparłam i na tym rozmowa się urwała.

W przeszłości rzadko ze sobą rozmawialiśmy, a poza tym Erie nigdy do końca nie pojął, na czym polega rola ojczyma. Mnie natomiast nie przychodziło do głowy nic sensownego, co mogłabym powiedzieć.

Rozważałam: „Moje małżeństwo właśnie się skończyło, a ja czuję się, jakbym miała umrzeć” albo „Chyba załamie się nerwowo”, ale nawet tak dramatyczne wyznania wypadłyby blado w miejscu nieprzerwanej tragedii, jakim jest szpital.

Ostrożnie upiłam łyk herbaty, ale gardło miałam ściśnięte, toteż nie chcąc ryzykować, że się poparzę, drżącą ręką odstawiłam kubek na stół, tak że trochę płynu rozlało się na nie najczystszy blat. Obie dłonie złożyłam na podołku i wpatrywałam się w nie, jakby to były jakieś obce stworzenia, a fale mdłości przetaczały się przeze mnie jedna za drugą. Zawodziło mnie własne ciało, byłam z dala od domu i tęskniłam za dziećmi, a jedynym sposobem, by się do nich dostać, było zaczekać na Owena i zabrać się z nim furgonetką. Bardzo nie chciałam być od niego zależna, ale nie miałam pieniędzy na taksówkę. Oczywiście mogłam poprosić Erica o małą pożycz-

kę, ale nie potrafiłam się przełamać, żeby to zrobić, gdyż odkąd pamiętam, Lucien i ja o nic go nie prosiliśmy, w ten sposób dając mu poznać, że jest zaledwie dodatkiem do rodziny, a nasza trójka świetnie by sobie bez niego poradziła. Poza tym powstrzymywało mnie wspomnienie z przyszłości, jako że niewątpliwie musiałabym tę chwilę słabości odpokutować, po stokroć wysłuchując narzekań w stylu: „Biedna Jane. Niby dorosła kobieta, a taka niezaradna”. Potrzeba znalezienia się w domu była jednak tak przemożna, że już, już miałam się złamać, zaczęłam chyba nawet wymawiać imię Erica, gdyż spojrział na mnie przelotnie, zaraz jednak skupił wzrok na czymś daleko za moimi plecami.

Odwrociłam się mimowolnie i na końcu korytarza dojrzałam Angelę, jak zwykle z nieodłączną torebką rozmiarów małego kufra.

— Jane — wysapała, podchodząc do naszego stolika. — Miałam nadzieję, że cię jeszcze złapię. Witaj, Erie... Jane, twoja matka z jakiegoś powodu chce cię pilnie widzieć.

Zareagowałam, nim zdążyłam pomyśleć.

— Przecież nie zrobiłam nic złego.

— Nie wydaje mi się, żeby chodziło o coś, co ty zrobiłaś. Raczej ma to związek z tym, co Esmé powiedziała policji. Faith też z nimi rozmawiała, a teraz szuka ciebie. Zaoferowałam się, że cię poszukam...

Wpatrywałam się w Angelę starając się zrozumieć, o czym mówi. Nawet flegmatyczny Erie przyglądał się jej z pewnym zainteresowaniem.

— A co jedno ma wspólnego z drugim?

Wydała głębokie westchnienie i przysiadła na brzeżku plastikowego krzesła.

— Zacznę od początku, a ty słuchaj uważnie. Esmé dokładnie pamięta wypadek, co jest dosyć dziwne, zważywszy, że na ogół ludzie zranieni w głowę i po parudniowej śpiączce cierpią na amnezję... Zresztą to nieważne. Esmé wszystko pamięta i jest przekonana, że to nie Hamish, którego podejrzewa policja, był napastnikiem. Ma co do tego stuprocentową pewność... — Poczułam zimne ukłucie w okolicach serca. Zatem to był Rob, pomyślałam. Pomimo wszystko to był Rob...

Do mojej świadomości przedarł się głos Angeli: — ...w kółko ją wypytywali, najwyraźniej źli, że ich śledztwo wzięło w łeb i muszą zaczynać wszystko od nowa. Zagięli parol na tego Hamisha, próbowali nawet wmówić Esme, że to był on... Tak czy inaczej podała im rysopis mężczyzny, który ją zaatakował, na tyle dokładny, na ile pozwala jej obecny stan, mówienie wciąż przychodzi jej z trudem. Powiedziała, że wtedy w mieszkaniu Roba widziała go po raz pierwszy, chociaż rozmawiała z nim wcześniej przez telefon. Facet ma około sześćdziesiątki, jest siwy, ot staruszek jak każdy inny, z tym wyjątkiem, że chudzielec jakich mało i ma popsute zęby oraz paskudną bliznę na brodzie... To wszystko, co pamięta. Rob chciał wiedzieć, po co wpuściła go do domu, ale Esme tak się zmęczyła składaniem zeznań, że na powrót zasnęła, biedactwo. Policjanci już się zbierali do wyjścia, żeby po raz drugi rozpocząć mozolną śledczą dłubaninę, kiedy Faith zakryła ręką usta i wydała zduszony okrzyk: „O mój Boże, więc to wszystko moja wina!”, po czym poprosiła policjanta o rozmowę w cztery oczy. — Typowe, pomyślałam. Faith jak zwykle nie mogła przeżyć, że kto inny jest w centrum uwagi, i musiała narobić zamieszania. Ma tupet, trzeba jej przyznać, żeby konkurować z ofiarą napadu, która ledwie wyszła ze śpiączki. — ...przez parę minut — ciągnęła Angela — a kiedy wrócili, policjant zapewniał ją, że pamięta tamtą sprawę, że natychmiast zostanie wydany nakaz aresztowania i że to tylko kwestia godzin, nim go zamkną. Wtedy Faith szeptem powiedziała do Johna: „Wiesz, co to oznacza, prawda?”, a John poważnym głosem odparł: „Tak, trzeba będzie powiedzieć Jane”. Faith przybrała niepewną minę, ale John powtórzył: „Naprawdę trzeba. Uwierz mi, tak będzie lepiej”. W tej samej chwili rozejrzeliśmy się dokoła i zdaliśmy sobie sprawę, że ciebie nie ma na sali. Popatrzyłam pytająco na Erica.

— Wiesz, o co w tym wszystkim chodzi? Zmieszany uciekł wzrokiem.

— No... Hmm... — bąkał. — Sama wiesz, jak to jest...

— Nie — wybuchnęłam — właśnie że nic, kurwa, nie wiem. Nikt mi nigdy nic nie mówi!

— Ale przecież teraz... — wtrąciła Angela, jednakże jej przerwałam.

— Wszystkiego dowiaduję się na szarym końcu! Przekłęte sekrety! Jak ja ich nie znoszę...

— No, no... — zacmokał Erie. — Nie ma powodu wpadać w histerię. — Słowo „histeria” wymówił, jakby to była jakaś wstydliva choroba.

— A niby dlaczego nie wolno mi histeryzować?! — podniosłam głos. — Moim zdaniem mam do tego pełne prawo. Nikt nigdy nawet nie pomyślał, że... — Zauważyłam, iż kobieta w fiołkoworóżowym kapeluszu zaniechała płaczu i z widoczną ulgą oderwała się od swych czarnych myśli. Znacznie ciszej dokończyłam: — Dobrze, już dobrze. Idę tam.

— Grzeczna dziewczynka — rzucił za mną Erie, a ja go w tej samej chwili znenawidziłam jeszcze bardziej.

Sztywnym krokiem przedelfilowałam wzdłuż lady i ruszyłam w stronę schodów, mając szczery zamiar udać się na salę Esme, lecz nagle uderzyła mnie pewna myśl. Jeśli tam się znajdę, znów będę aktorką w przedstawieniu Faith, w przedstawieniu, w którym zakończenie znają wszyscy oprócz mnie. Już czułam się zbrukana. W duchu słyszałam melodrama-tyczny głos Faith: „Jane, kochanie... To trudne dla nas obu, ale... Musisz być silna, skarbie... Pamiętaj, że masz we mnie przyjaciółkę... Zawsze chciałam jak najlepiej...” Wreszcie miałam usłyszeć na jawie to, co dotąd niewyraźnie słyszałam wyłącznie w koszmarach sennych, co kryło się za sekretami, fałszywymi uśmiechami i chwilami nagłego milczenia, z których składało się całe moje życie. Co to będzie? Jaka tajemnica?

Zacisnęłam zęby i zbierałam się na odwagę, by pokonać schody wiodące na pierwsze piętro, gdzie miałam się wszystkiego dowiedzieć i raz na zawsze zostawić sekrety za sobą, kiedy zobaczyłam Owena, jak zamyślony przymierza się do zejścia na dół. Angela, Owen, Faith — ludzie, za których sprawą uwieźłam w sieci kłamstw. Poczawszy potrzebę zerwania tej sieci i oswobodzenia się, lecz nie mając pojęcia, co przyniesie wolność ani nawet gdzie ją znajdę, odwróciłam się na pięcie i pognałam w stronę wyjścia ze szpitala.

Owionęło mnie rześkie jesienne zimno, orzeźwiając zmysły i przynosząc opamiętanie. Postanowiłam, iż zaczerpnąwszy świeżego powietrza i uspokoivszy się, wrócę i stawię czoło temu, co mnie czeka.

Paręnaście kroków od bramy szpitala zaczął mnie mały chłopiec, z trudem podtrzymujący kukłę Guya Fawkesa.

— Pani da pensa — poprosił.

— Przykro mi — odparłam. — Nie mam grosza przy duszy.

Nie sądzę, by mi uwierzył.

Jeszcze kilka kroków i na ulicy zaroilo się od chłopców z kukłami, a nawet samych kukieł porzuconych tu i ówdzie, w lepszym i gorszym stanie. Kawalek dalej, w bramie, ktoś oparł o futrynę wyjątkowo udaną namiastkę Guya Fawkesa, wyglądającą niemal jak żywy człowiek. Spod ronda filcowego kapelusza wyzierały oczy wpatrzone wprost we mnie, jak mi się wydawało.

Chociaż wiem, że to niemożliwe, kiedy mijałam wpatrzoną we mnie kukłę, ta ożyła, drgnęła i ruszyła ślad w ślad za mną.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jeszcze parędziesiąt kroków i poczułam, że ogarnia mnie panika — nie uczucie podenerwowania czy niepokoju, jakie często za nią bierzemy, lecz panika w najczystszej postaci. Narodziła się w piersi, żelazną obręczą ścisnęła mi płuca i gardło, po czym na dobre zawładnęła umysłem. Zniknęły myśli i logika, pozostał zwierzęcy strach.

Ktoś mnie śledził — słyszałam jego kroki tuż za sobą — a ja zamiast zrobić to, co na moim miejscu zrobiłby każdy: schronić się w pierwszym lepszym sklepie, czym prędzej wrócić do szpitala bądź w najgorszym razie obrócić się nagle i zaskoczyć natręta (było wciąż jasno, a wokół nie brakowało przechodniów), brnęłam do przodu niezdolna do jednej logicznej myśli, pchana strachem narosłym w ciągu ostatnich dni i godzin i spotęgowanym widokiem ożywającej kukły, w której twarzy dostrzegłam coś nieuchwytnego, a zarazem wstrząsającego.

Przyśpieszałam kroku, nie chcąc stanąć oko w oko z moją nemezis.

Płachta porzuconej gazety, uniesiona podmuchem listopadowego wiatru, owinęła się wokół słupa lampy, jak gdyby szukając ochrony; przebiegający chyłkiem kot ni z tego, ni z owego miauknął przeraźliwie i jednym susem przesadził mur; serce waliło mi jak oszalałe, w ustach formował się nieartykułowany krzyk.

Nieoczekiwanie — w myślach bądź naprawdę, nie potrafię stwierdzić, gdyż granica pomiędzy tym co wewnątrz a tym

co na zewnątrz stała się niezauważalna — usłyszałam głos Luciena.

Jak ktoś, co po odludnej drodze Strwożony idzie w nocy: Raz obróciwszy się, już tylko Przed siebie zwraca oczy, Bo wie, że przeraźliwy diabeł Tuż za nim stale kroczy.

Diabeł kroczył za mną i we mnie, moją nemezis było coś, czego szukałam i przed czym równocześnie uciekałam całe swoje życie, coś na podobieństwo sznura puszek przyczepionych do kociego ogona. W piersi mnie paliło, każdy oddech był boleśniejszy od poprzedniego. Szum uliczny nie był w stanie stłumić rodzącego się w głębi gardła szlochu. Skręciwszy za róg, zaczerpnęłam palący haust powietrza i w przeblysku świadomości upomniałam się, żeby nie biec. Bez względu na wszystko idź normalnym krokiem, poleciłam sobie w duchu, w przeciwnym razie postawisz się na straconej pozycji. Na poły idąc, na poły biegnąc, potykając się niczym okulawiony koń, rzuciłam się w stronę kolejnego zakrętu. Wszystko na darmo — kroki za mną były tak blisko, że zdawały się echem moich własnych.

Starszy czarny mężczyzna obserwował mnie, jak się do niego zbliżam, po czym gdy znalazłam się na odległość głosu, zapytał:

— Jakież problemy?

Jego pytanie wzmogło tylko mój strach, lecz nie zdobyłam się na odpowiedź — brakło mi oddechu i konceptu, poza tym nic zdążyłabym wyhamować. Moment później zza zakrętu wyłoniła się kobieta z szerokim wózkiem dla bliźniaków i zatarasowała mi drogę, tylko na ułamek sekundy, lecz to wystarczyło. Poczułam czyjeś palce zaciskające się na rękawie kurtki, odór tytoniu i zwietrzałą wodę kolońską i jeszcze jakiś zapach, dziwny i kwaśny.

— Jane, nie uciekaj! — usłyszałam.

Słowa zostały wypowiedziane głosem, który w żaden sposób nie pasował do wychudłej dłoni wystającej z obszarpanego rękawa.

— Nie! — krzyknęłam. — Nie dotykaj mnie! Szponiaste palce na moim ramieniu sprawiały mi ból,

przerażeniem napawało, że napastnik zna moje imię, lecz wśród mieszaniny uczuć nie było zdziwienia.

Nie miał zamiaru dać za wygraną, raz uczepiwszy się, trzymał mocno, teraz zbliżał twarz do mojej, tak że nie mogłam dłużej unikać jego wzroku. Wcale tego nie chcąc ujrzałam cienkie wargi i popsute zęby, wystające kości policzkowe i nijakie oczy i choć nigdy wcześniej nie widziałam tego człowieka, zrobiło mi się niedobrze. Siwowłosa staruszek, którego brodę — dostrzegłam to dopiero z bliska, gdyż pokrywała ją rzadka szczecina — szpeciła paskudna blizna.

Człowiek, który napadł na Esme.

Dlaczego to uczynił? I czego chce ode mnie?

Przyjrzałam się wczepionej we mnie dłoni — była żylasta i pożółkła, zaniedbane paznokcie straszyły odstającymi skórkami. Jej właściciel ciężko dyszał, zmęczony pościgiem.

— Jane! — wysapał. — Wysłuchaj mnie!

— Nie! — wrzasnęłam piskliwie i z całej siły uderzyłam go pięścią, wyrывая się przy tym z jego uścisku. — Nie! Nie!! Nie!!!

Myśląc tylko o tym, by znaleźć się jak najdalej od niego, wbiegłam na jezdnię. Rozległ się pisk hamulców, owionął mnie pęd powietrza wywołany przez maskę samochodu, który minął mnie dosłownie o milimetry, zdążyłam usłyszeć niewybredną wiązaną pod swoim adresem. Przedarłam się na drugą stronę ulicy, potykając się o krawężnik; jakiś chłopak w bojówkach wyciągnął do mnie pomocną dłoń, mówiąc przy tym:

— Hopla! Mamusia nie uczyła, że przed przejściem przez jezdnię trzeba się rozejrzeć na wszystkie strony?

— Ja nie... — sama nie wiem, co chciałam powiedzieć, gdy znów rozległ się ten dziwny, nie pasujący do zmizerniałej sylwetki głos.

— Jane, na miłość boską! Wysłuchaj mnie, ty przekłeta uparciucho. Ja to twój...

Ojciec, pomyślałam widząc, jak z utkwionymi we mnie oczyma zaczyna biec w moją stronę.

— Ojciec — powiedziałam na głos, w tej samej chwili kiedy niebieskie auto wiozące całą rodzinę podcięło mu nogi, co nie wiedzieć czemu przywiodło mi na myśl łaszącego się psa, i wyrzuciło go w powietrze, tak że to co chciał powiedzieć, zamieniło się w okrzyk strachu i bólu.

Ojciec. Przyglądałam się bez jednego ruchu, jak worek kości obleczony w podarty płaszcz szybuje w powietrzu i niezdarnie opada na asfalt, gdzie drga kilkakrotnie, po czym zamiera. Martwą naturę ożywiała cienka strużka krwi spływająca w stronę kratki ściekowej.

Ojciec. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, mimo że nieraz słyszałam, iż w trakcie wypadku czas staje w miejscu. W oddali zawyła syrena policyjna, wokół gromadzili się gapie dzielący uwagę pomiędzy leżącego mężczyznę i kierowcę niebieskiego samochodu, bez ustanku powtarzającego: „Włazł mi wprost pod koła. Nic nie mogłem na to poradzić”.

Ojciec. Przed oczyma przelatywały mi wydarzenia ostatnich sekund: chudy staruszek wpatrujący się we mnie bez drgnienia powieki i robiący krok w moją stronę, pojawienie się niebieskiego samochodu, szybujące w powietrzu ciało... scena niczym z mozaiki minojskiej przedstawiającej walkę człowieka z bykiem... dziwny dźwięk, kiedy ciało uderzyło o asfalt. Mój umysł odtwarzał tę scenę raz po raz bez udziału mojej woli — fatalny w skutkach krok, zderzenie żywej tkanki z metalem, ciało wygięte w łuk, śmiertelny upadek. Nawet kiedy zacisnęłam powieki, nie mogłam się opędzić od tych samych obrazów; gdy otworzyłam oczy, rzeczywistość dopisała do nich nowe zakończenie. W polu widzenia pojawił się radiowóz, kilku policjantów w cywilu rozpraszało tłum gapiów.

Ojciec. Uprzytomniłam sobie, że to czego byłam świadkiem, będzie mi towarzyszyło do końca moich dni... Tymczasem na miejsce wypadku zajechał ambulans, sprawni pracownicy pogotowia przenosili doń pogruchotane ciało, które trzymało się kupy chyba tylko dzięki dziurawemu płaszczowi.

Ojciec. Beznamiętnie obserwowałam, jak jeden z sanitariuszy naciąga szarobury koc na twarz leżącej na noszach postaci.

Ojciec.

Do mojej świadomości zaczęły docierać głosy ludzi wypytyjących, czy się dobrze czuję; ignorowałam je do chwili, kiedy spośród nich na plan pierwszy wybił się głos Johna Drummonda. Bez trudu wyłowiłam go z tłumy i przyglądałam się, jak zbliża się ku mnie, podczas gdy jego sylwetka i niegdyś przystojna twarz zapadają mi w pamięć, by do końca życia kojarzyć mi się z wypadkiem.

— Jane — odezwał się podchodząc — chwala Bogu, że nic ci się nie stało.

Nic mi się nie stało? Chciałam coś powiedzieć, ale zaszczekałam tylko zębami, gdyż w tej samej chwili emocje puściły i zaczęłam się niekontrolowanie trząść — do tego stopnia, że bolał mnie każdy mięsień i każda kostka, a mimo to nie potrafiłam przestać. Obcy popatrywali na mnie z zainteresowaniem, które miało im minąć po paru minutach; już odwracali głowy, pustym spojrzeniem szukając innej atrakcji.

— Ten staruszek... — wycharczałam, walcząc z dreszczami — ...on powiedział, że jest...

— Wiem, co powiedział. — Słowa Johna sprawiły, że zadrżałam jeszcze mocniej i zrobiło mi się-jeszcze zimniej. — Wiem o wszystkim. Nic nie mów, jesteś w szoku. Zaraz cię stąd zabiorę.

Skinęłam głowę i natychmiast się wzdrygnęłam. Drzwi karetki zamknęły się, przedstawienie było skończone, ale ja przeżywałam wypadek wciąż od nowa. Jeden policjant przesłuchiwał kierowcę niebieskiego samochodu, drugi zaczął się zbliżać w naszą stronę, lecz John wyszedł mu naprzeciw. Rozmawiali ścisłymi głosami przez parę długich minut, przy czym policjant zerkał w moją stronę i przytakiwał. Na koniec John wyjął z kieszeni wizytówkę i napisał coś na odwrocie. Nieco uspokojona takim obrotem rzeczy rozejrzałam się wokół, by stwierdzić, że uczynny chłopak w bojówkach zniknął, a tłum się znacznie przerzedził. Niebo matowiało, zapalały się

lampy uliczne nadając otoczeniu upiorny poblask, a ja wciąż dygotałam jak w febrze.

Policjant i John rozeszli się w przeciwnie strony; pierwszy wsiadł do radiowozu i zaczął mówić do własnej pięści — przynajmniej tak to wyglądało, John zaś wrócił do mnie.

— Wszystko załatwione. Miło się przekonać, że adwokat Rady Królewskiej, choćby i były, ma wciąż wpływy. Policja przesłucha cię później... Trochę wyolbrzymiłem twoje roztrzęsienie wypadkiem, ale chyba nie masz mi tego za złe? Zresztą widzę, że faktycznie kiepsko się czujesz... Dasz radę przejść parę kroków? Samochód stoi za rogiem, a do mieszkania jest zaledwie parę kilometrów.

Znów tylko skinęłam głową. John ujął mnie pod ramię i poprowadził w jedną z bocznych uliczek, gdzie zaparkował. Usiadłam z tyłu i złożyłam trzęsące się ręce na drżących kolanach. Wciąż wszystko mnie bolało. Udało mi się zadać nurtujące mnie pytanie, kiedy John przedzierał się przez popołudniowe korki.

— Jak mnie znalazłeś?

— Nie musiałem cię szukać — odparł John łagodnym głosem. — Właśnie mieliśmy rozpocząć poszukiwania, kiedy policja otrzymała zgłoszenie o wypadku tuż za szpitalem.

— Chodziłam w kółko?

— Tak.

Mam nadzieję, że sprawiła to panika, a nie obłąd, pomyślałam.

— Dokąd jedziemy?

— Do mieszkania. Chyba że wolałabyś...

— Nie. Tak będzie dobrze.

Fragmentem umysłu, który nie ucierpiał od szoku, ucieszyłam się, że wreszcie zobaczę słynne londyńskie *pied-a-terre* Johna — miejsce, wokół którego Lucien snuł swoje fantazje i gdzie Faith dostrzegła brakujący dzbanuszek do mleka, miejsce, którego Clare nigdy nie dane było odwiedzić i które pośrednio przyczyniło się do zakończenia najszcześniejszych dni mego życia.

— Czy... — z trudem przychodziło mi wyrażać choćby najprostsze myśli.

— Czy Faith tam będzie?

— Nie... — John zmarszczył brew, jakby poniewczasie uświadomił sobie, że w stanie, w jakim się znalazłam, najbardziej potrzeba mi matczynej pociechy, co nie mogło być dalsze od prawdy. — Faith chciała, żebym ci wszystko powiedział. A mieszkanie należy do kogoś, kogo znam.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Budynek z zewnątrz wydawał się w opłakanym stanie, jednakże za drzwiami frontowymi rozpościerał się inny świat: puszyste dywany na korytarzach, wypolerowane mosiężne gałki przy balustradzie schodów, zapach czystości i świeżości. Windą wjechaliśmy na drugie piętro, gdzie John otworzył pierwsze drzwi po prawej i gestem zaprosił mnie do środka.

— Już jestem! — krzyknął od progu. — Zdarzył się wypadek, Rexa potrącił samochód. Mam tu ze sobą córkę Faith, jest w kiepskim stanie. Rozejrzałam się wokół siebie i z rozczarowaniem stwierdziłam, że Lucien byłby zawiedziony. W mieszkaniu nie było śladu findesieclowej ekstrawagancji — styl wewnątrz był elegancki, lecz skromny: przeważały starannie wybrane meble i obicia w kolorach błękitu i kremowej bieli. John poprowadził mnie do salonu.

— No, Jane, rozgość się — powiedział sadzając mnie na kanapie. Zapadłam się w śliskie poduchy kanapy obitej niepraktycznym jedwabiem i opierając głowę o zagłówek przymknęłam oczy, w nadziei że wreszcie przestanę drzeć i coraz to od nowa przeżywać niedawny wypadek. Z pokoju obok dochodziły przyciszone głosy — udało mi się wychwycić tylko imiona: Jane, Esme i... Rex. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam wziąć się w garść i przygotować na to, co zaraz z woli Faith miałam usłyszeć,

a co miało wyjaśnić mój związek z tym obcym mężczyzną, którego rozpaczliwa próba skontaktowania się ze mną zakończyła się niefortunną kolizją ludzkiego ciała i karoserii samochodu, jednakże nie umiałam wykrzesać z siebie krzty energii i wszystko, do czego byłam zdolna, to przyłożyć twarz do miękkich poduszek i zapaść w sen...

— Witaj, Jane. Nazywam się Oliver. — Poderwałam opadającą głowę i zobaczyłam stojącego naprzeciwko mnie mężczyznę około sześćdziesiątki, który wszakże sprawiał chłopięce wrażenie dzięki zadbanemu wyglądowi i starannie ogolonej twarzy. Nie był urodziwy — wciąż ciemne włosy wyrastały mu z głowy nierównymi kępkami i z całą pewnością miał nadwagę, lecz mankamenty te rekompensował jego uśmiech i nadzwyczaj łagodne oczy, przyjaźnie spoglądające na świat. — Nie mieliśmy okazji się spotkać, nie tak, jak bym sobie tego życzył — ciągnął — ale oczywiście znałem cię ze słyszenia.

— Oczywiście? — wydukałam.

— Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale tak się składa, że jesteśmy spokrewnieni. Prawda, że odlegle, ale krew nie woda... Nie denerwuj się, Jane, zaraz wszystko ci wyjaśnimy. Osobiście zawsze byłem zdania, że nie należało utrzymywać tego przed tobą w tajemnicy, lecz oczywiście nie ja miałem ostatnie słowo... — Znowu to irytujące „oczywiście”, jakbym tylko ja tkwiła w nieświadomości. — No, ale najpierw musimy postawić cię na nogi. Jonty przyrządza w kuchni filiżankę herbaty, ale według mnie potrzeba ci czegoś mocniejszego. Mam tu gdzieś butelkę niezłego koniaku... Co powiesz i na gorącą herbatę, i na lampkę koniaku? — Może być — wzruszyłam ramionami, co musiało zostać odebrane jako przejaw gburowatości, jednakże wynikało z mojej inercji i niemożności podjęcia jakiegokolwiek decyzji.

— Doskonale. — Oliver mówił entuzjastycznym chłopięcym głosem, co sprawiało zabawne wrażenie w połączeniu z jego korpulentnym i posuniętym w latach ciałem. Tak mógłby wyglądać i się zachowywać Lucien, gdyby dożył sześćdziesiątki, pomyślałam. Może faktycznie jestem jakoś spokrewniona z tym miłym staruszkiem? Przecież Lucien musiał się w kogoś wrodzić, jeśli chodzi o charakter. — W takim razie

posiedź sobie tutaj chwilkę, a my wszystko zorganizujemy. Niech cię głowa o nic nie boli.

Gdybym miała siłę, zapewniłabym go, że nigdzie się nie wybieram, ale co do bólu głowy i zmartwień go przysparzających — o, to była zupełnie inna sprawa. Jednakże nie odezwałam się i zwyczajem, którego nabrałam w ostatnich godzinach, po prostu skinęłam głową. Oliver wytoczył się z salonu, w kuchni zbeształ Johna, że „drogie dziecko nie powinno zostawać samo”, co natychmiast mnie do niego przekonało, gdyż nikt nigdy nie nazywał mnie „drogim dzieckiem”, zwłaszcza w dzieciństwie.

Parę chwil potem zmaterializowali się obaj — John niosąc herbatę w filiżance z porcelany tak cienkiej, że niemal prześwitywała, Oliver zaś koniak w baniastym kielichu na cienkiej nóżce. Zgodnie z instrukcją napiłam się najpierw herbaty, która rozgrzała mnie i sprawiła, że wreszcie przestałam się trząść, a potem pociągnęłam łyk koniaku, który pobudził krążenie krwi w żyłach. W tym czasie Oliver rozstawiał Johna po kątach, na tacy pojawiły się kolejne filiżanki i kieliszki i w końcu wszyscy zajęli swoje miejsca. Wtedy John odchrząknął, lecz ubiegł go Oliver.

— Nie ma pośpiechu, Jonty — napomniął łagodnie. — Jeszcze nie wyszła z szoku.

— Nic mi nie jest — wymamrotałam do filiżanki, nie potrafiąc spojrzeć w oczy Johnowi, który przy mnie został nazwany Jontym. — Słucham. John przyjrzał się swoim dłoniom i także nie podnosząc na mnie wzroku, zaczął mówić:

— Postaram się ująć wszystko jak najkrócej. Żałuję, że nie mamy wiele czasu, ale właściwie powinienem być w szpitalu i chcę tam jak najprędzej wrócić, a jeśli będziesz miała jakieś pytania, odpowie ci na nie Oliver, który zna całą historię równie dobrze jak ja.

Oliver uśmiechnął się do mnie promiennie.

— Możesz tu zostać tak długo, jak długo zechcesz—oznajmił, a ja poczułam, że to zaproszenie płynie z głębi serca.

— Dziękuję — powiedziałam do niego z wdzięcznością, do Johna zaś pytająco: — Ten mężczyzna, który mnie śledził...

— Domyślam się, że już wiesz, kim był — rzekł i dla pewności dodał: — Rex Turner był twoim ojcem. Oliver jest jego bratem ciotecznym.

— Nasze matki były siostrami — wyjaśnił Oliver.

— Aha — potaknęłam, jakby ta informacja miała jakiegokolwiek znaczenie.

— A teraz on nie żyje, prawda?

— Bardzo mi przykro — pokiwał głową John. — Zginął na miejscu i z tego co mówią lekarze, nawet nie poczuł, co się stało. Nie cierpiał.

Wiedziałam, że te zapewnienia mają posłużyć uspokojeniu mnie, gdyż przecież nikt nie może mieć choćby najbledszego pojęcia, czego w ostatnich sekundach życia doświadczyło to nieszczęsne ciało opakowane w za duży i potargany płaszcz. Zresztą mężczyzna, który pochwycił mnie za rękaw na ulicy, miał cierpienie wypisane na twarzy — było mu nieodłącznym towarzyszem.

— Dlaczego go nigdy nie poznałam? Dlaczego nikt mi nie powiedział?

— dopytywałam się. — Po co te wszystkie sekrety i kłamstwa?

— Faith uważała, że tak będzie dla ciebie lepiej.

— Niech ją szlag! — krzyknęłam, nagle odnajdując w sobie pokłady siły.

— Nie miała prawa decydować o tym, czy poznam własnego ojca czy nie!

— Zaczekaj, Jane — powstrzymał mój wybuch John. — Wysłuchaj najpierw całej historii, a dopiero potem feruj wyroki.

— Ale przecież on nie żyje. Jest już za późno... Gdybym była wiedziała wcześniej, mogłabym się z nim skontaktować, zobaczyć się z nim...

— Niezupenie, drogie dziecko — wtrącił Oliver. — Widzisz, Rex przez ostatnie ćwierć wieku przebywał w więzieniu.

— W więzieniu? — To by wyjaśniało szarość na jego twarzy i ogólne wrażenie zaniedbania. — Za co?

— Zaraz ci powiem — rzekł John, nie mogąc znaleźć sobie miejsca.

Oliver zaś powiedział po prostu:

— Za morderstwo.

— Aha.

Jak się okazuje, reakcja człowieka na niesłychane wiadomości jest całkowicie nieprzewidywalna. Zamarłam wyprostowana jak struna, bojąc się poruszyć choćby mięśniami twarzy, gdyż to groziło, że stracę nad sobą panowanie, że zacznę histerycznie wrzeszczeć albo cisnę delikatną porcelanową filiżanką w japońskie malowidło wiszące na ścianie, tuż za głową Johna. Zatem siedziałam bez ruchu i wszystko, co powiedziałam, to:

— Aha.

— Nie chciałem, żeby tak to wyszło... — John rzucił gniewne spojrzenie w stronę Olivera — ...lecz niestety do tego się to sprowadza. Rex został skazany na dożywocie, bez prawa wyjścia przed upływem dwudziestu pięciu lat. Odsiedział całe ćwierć wieku. Wiem o tym wszystkim ze szczegółami, gdyż byłem jego adwokatem... Oliver polecił mnie jego rodzinie... Starłem się, jak mogłem, chociaż dowody były obciążające, lecz kiedy twoja matka zajęła miejsce dla świadków... cóż, z tą chwilą Rex był przegrany. Właśnie wtedy poznałem Faith... ty byłaś jeszcze niemowlęciem, Lucien miał co najwyżej cztery latka. Wasza matka postawiła sobie za punkt honoru, że postępek ojca nie odcisnie piętna na waszym życiu, że będziecie mieli normalne dzieciństwo... Zachowywała się doprawdy wspaniale.

Powyżej dziurek w nosie miałam wysłuchiwanie pochwał na cześć Faith.

— Normalne dzieciństwo? — sarknęłam. — Z Edkiem kręcącym się po domu?

John westchnął ciężko.

— Chyba będę musiał zacząć od samego początku...

— Byłabym wdzięczna — wtrąciłam.

— ...choć trudno określić, kiedy się to wszystko właściwie zaczęło. Ja sam poznałem Rexa, kiedy był degeneratem, ale ci, którzy znali go wcześniej, twierdzili, że w młodości miał zadatki na dobrego człowieka. Nawet ja znalazłem się pod urokiem jego osobowości; był niezwykłym mężczyzną, choć trudno było dokładnie powiedzieć dlaczego. Tak czy inaczej nigdy nie spotkałem podobnego człowieka w areszcie. Lucien

odziedziczył po nim niezwykle charakter, mimo że z wyglądu różnili się jak dzień i noc, na szczęście jednak razem z ojcowskimi genami nie otrzymał w spadku predyspozycji do gwałtownych napadów szału. Jeden Bóg tylko wie, czemu Rex był taki a nie inny; wzrastał w rodzinie jakich wiele: surowy ojciec, oficer o ciężkiej ręce, hołdujący starym metodom wychowawczym, oraz matka, która dla odmiany syna rozpieszczała tak, że nawet morderstwo uszłoby mu w jej oczach na sucho... Gdy poznali się z Faith, świata poza nim nie widziała, dostrzegając w nim tylko dobre cechy: inteligencję i charme. Prawdę powiedziawszy, a wiem to z zeznań świadków, Rex w niczym się nie różnił od tysiąca innych młodych mężczyzn ze swego pokolenia, z którymi twoja matka mogła się zadawać; był przystojny i utalentowany, zdarzało mu się wypić i nie miał jasno sprecyzowanej drogi życiowej, niemniej był pewien, że świat stoi przed nim otworem. Romans Faith i Rexa, jeśli nie błyskawiczny, był z pewnością szybki: pobrali się sześć miesięcy od dnia poznania. Oglądałem ich zdjęcia ślubne i myślałem sobie...

— Jakie zdjęcia ślubne?! — przerwałam Johnowi zranionym głosem. — Mnie mówiono, że zagięły.

— Postaraj się zrozumieć, Jane — powiedział łagodnie John. Po jego oczach poznałam, że zdaje sobie sprawę, iż sprawia mi ból, sam domagając się współczucia, że musi to wszystko przeżyć raz jeszcze.

— Przepraszam — szepnęłam. — Proszę, mów dalej.

— Tak czy inaczej wydawali się najnormalniejszą i bardzo atrakcyjną młodą parą. Faith wspomniała kiedyś, że być może powinna zwrócić większą uwagę na jedno czy dwa wydarzenia sprzed ślubu, które z lekka ją zaniepokoiły, lecz jak większość panien młodych wierzyła, że zmieni małżonka na lepsze. Niestety stało się na odwrót, chociaż nie z winy Faith. Do pierwszego poważnego incydentu doszło zaledwie kilka tygodni po ślubie. Faith była zdezorientowana. W tamtych czasach nie istniało pojęcie „przemocy domowej”, nie było do kogo zwrócić się o pomoc. Po prostu należało cierpieć w milczeniu, modląc się, że nie dojdzie do najgorszego i że sąsiedzi o niczym się nie dowiedzą. Faith więc cierpiała, nie

mówiąc o niczym nikomu, nawet najbliższej rodzinie i przyjaciołom. Nadzieją na przyszłość napawała ją to, że Rex po każdym wybuchu wracał do niej skruszony na kolanach, prosząc o wybaczenie i obiecując poprawę. Kiedy Faith zaszła w ciążę, rozpoczął się najlepszy chyba okres ich życia: w domu zapanował spokój, chociaż doskwierały im problemy finansowe. Rex okazał się czułym mężem, wspierającym ją w trudnych miesiącach pierwszej ciąży, chociaż takie jego zachowanie mogło wynikać nie z czułości, lecz potrzeby kontrolowania sytuacji. — John zamilkł, jakby wracając myślą do wydarzeń z przeszłości i próbując zrozumieć coś, co dotychczas mu umykało. Po krótkiej chwili wyrwał się z zamyślenia i kontynuował: — Parę miesięcy po narodzinach Luciena Faith wróciła do pracy.

— Do teatru?

Zdałam sobie sprawę, że całe życie powątpiewałam w prawdziwość teatralnej kariery matki, traktując jej opowieści jak jeszcze jeden rodzinny mit.

— Tak. Możesz się temu dziwić, Jane, ale twoja matka, z tego co słyszałem, zapowiadała się na naprawdę dobrą aktorkę. I chyba tu był pies pogrzebany... Pierwszą rolę po przerwie dostała w nieobiecującej produkcji, która jednak trafiła na deski West Endu, i w tym samym czasie Rex zaczął jej utrudniać, życie swoimi humorami. Faith ponoć rozważała rzucenie kariery, byle tylko utrzymać w domu spokój, lecz ta praca sprawiała jej przyjemność, a poza tym potrzebowali pieniędzy, jak zawsze, gdyż twój ojciec częściej był na bruku niż na etacie. Z łatwością przychodziło mu zdobyć pracę, lecz jej utrzymanie graniczyło z cudem, przy jego wybuchowym charakterze i arogancji, jaką okazywał wszystkim na każdym kroku. Nic dziwnego, że nigdzie długo nie zagrzał miejsca. Któregoś wieczoru, kiedy Faith wróciła po przedstawieniu do domu, Rex czekał na nią pijany. Wybuchła kłótnia, która skończyła się tym, że twoja matka wylądowała w szpitalu z połamanymi zębami.

— Policja o tym wiedziała?

— Tak, ale Rexowi nie postawiono zarzutów. Tego typu wypadki w przeszłości określano jako „kłótnia domowa”

I rzadko kiedy doczekiwały się dalszego ciągu w sądzie. Poza

tym jego rodzina starała się załagodzić konflikt, ojciec zawiązał Rexa do hrabstwa Suffolk, a Faith i Lucien zostali w domu. Sprawę uznano oficjalnie za zamkniętą. Niestety do czasu...

— Faith była już wtedy w ciąży ze mną? John unikał mojego wzroku.

— Nie... To stało się... później — powiedział.

— Zatem mów dalej — poprosiłam.

— Faith stała się ostrożna, to wtedy zaczęły się wieczne przeprowadzki; nie chciała, by Rex wiedział, gdzie mieszka. On z kolei twierdził, że chce uratować ich małżeństwo i widywać syna. Jednakże Faith nauczona doświadczeniem nie ufała mu i nie ustawała w wysiłkach, by na dobre stracić go z oczu, do czasu kiedy od teściów dowiedziała się, że Rex zamieszkał z młodziutką piosenkarką, Dawn Lacey zdaje się. Dała się przekonać, że Rexowi zależy tylko na kontakcie z Lucieniem, i nawet miała wyrzuty sumienia, że chcąc chronić siebie odgrodziła murem ojca i syna. Uległa na tyle, że zabierała Luciena do domu teściów w hrabstwie Suffolk, wszakże nadal utrzymywała swój aktualny adres w tajemnicy, mimo że Rex sprawował się bez zarzutu podczas każdego takiego spotkania. Mniej więcej wtedy zaoferowano jej rolę w pilocie serialu telewizyjnego, którą po długich deliberacjach przyjęła. — W miarę opowieści głos Johna stawał się coraz bardziej monotony, jak gdyby w ten sposób można było pozbawić trucizny słowa, które miały zaraz paść. — Na nieszczęście Faith w tym filmie grała młodą kobietę o niezbyt sztywnych zasadach moralnych, jeśli wiesz, co mam na myśli. Później biegły sądowy psychiatra stwierdził, że oskarżony zatracił zdolność rozróżniania rzeczywistości i fikcji... Pilot odniósł sukces i zaplanowano całą serię odcinków, a Rexowi udało się zdobyć adres studia, w którym odbywały się próby. Pewnego wieczoru, kiedy wypił więcej niż zwykle, śledził Faith w drodze do domu i wtargnął za nią siłą do mieszkania. Rozpętała się karczemna awantura i... no cóż, zdaniem Faith gdyby nie interwencja sąsiadów, którzy usłyszeli jej krzyki o pomoc, Rex byłby ją zabił.

Zapadła cisza. Za oknem, na tle zabarwionego pomarańczową poświatą nieba, które w Londynie uchodzi za nocne, ponad dachami okolicznych kamienic wybuchły przedwczesne fajerwerki. Miałam dziwne uczucie, że dobrze znam historię, którą John opowiada mi po raz pierwszy w życiu.

— Jak? — chciałam wiedzieć.

John rzucił niespokojne spojrzenie w stronę Olivera, jednakże ten zachęcił go, by mówił dalej.

— Nożem — odparł cicho. — Chciał poderżnąć jej gardło.

— Aha. Rozumiem — rzekłam, gdyż tak właśnie zawsze było. Przecież od maleńkości widziałam bliznę Faith, tę nieco poniżej ucha, którą rzekomo wyniosła z wypadku samochodowego.

— Choć wydaje się to wprost niewiarygodne, jego rodzinie znów udało się go ochronić przed konsekwencjami. Rexa wysłano do amerykańskiej kliniki dla dzieci bogaczy, które zeszyły na złą drogę. Światowej sławy psychiatrzy ręczyli swoją opinią, że po terapii będzie niewinny jak baranek. Teściowie zapewniali ją, że już nigdy nie będzie się z nią kontaktował. I rzeczywiście tak było. Niestety jego przyjaciółka miała mniej szczęścia niż Faith; prawie rok po dniu, w którym twoja matka widziała Rexa po raz ostatni, zamordował Dawn Lacey.

Chociaż cały czas się tego spodziewałam, informacja zapadła w moją świadomość niczym pancernie opakowana przesyłka najeżona nalepkami „Ostrożnie!” i „Uwaga!” Powtarzałam sobie, by tak to zostawić, nie pytać już o nic więcej, nie zaglądać do środka, gdyż ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Jednakże koła historii nie da się zatrzymać, nawet jeśli jest to małe kółko zupełnie prywatnej historii, jaką jest moje życie.

— Nie opuściłeś czegoś przypadkiem, John? — zapytałam. — A co ze mną? Skoro matka nie była w ciąży, kiedy się rozstali jako tako w zgodzie, czyżbym została poczęta w tę noc, kiedy usiłował ją zabić? John nadal nie patrzył mi w oczy. Ledwie słyszalnym szeptem rzekł:

— Przypuszczalnie tak.

Nagle poczułam się niezręcznie w towarzystwie tych dwóch łagodnych mężczyzn, którzy na swoje barki wzięli zada-

nie przekazania mi bolesnej prawdy. Chyba nawet musiałam przestać się dziwić — i mieć pretensje — że matka nigdy sama nie powiedziała mi tego wszystkiego i że kiedy w końcu zdecydowała, że jednak powinnam się dowiedzieć, wołała wyręczyć się dwójką niemal dla mnie obcych ludzi. Byłam dzieckiem poczętym wśród gniewu i gwałtu, myślałam. Lucien przynajmniej był owocem miłości, podczas gdy moje istnienie wzięło początek z wybuchu niepohamowanej wściekłości, która o mały włos zakończyłaby się śmiercią ofiary — i moją także. Nic dziwnego, że nie byłam ulubionym dzieckiem Faith... Przełknęłam ciężko, odzyskując zdolność mówienia.

— I Faith zdecydowała się zeznawać przeciwko niemu? — upewniłam się.

— Tak. Nawet jego rodzice byli bezradni w obliczu miażdżących dowodów. Oliver mnie zarekomendował i naprawdę zrobiłem wszystko co w ludzkiej mocy, ale zeznania Faith przygwoździły oskarżenie; dla sądu ważne było podobieństwo obu ataków oraz motywów. Tak się złożyło, że nieszczęsna Dawn Lacey zdobyła wtedy trzecią nagrodę w państwowym konkursie dla młodych muzyków i Rexa zżerała zazdrość. Pił przez cały wieczór i kiedy Dawn wróciła do domu, czekał na nią z żelazną podstawą lampy. Oczywiście jako adwokat Rexa byłem bardzo niemiły dla Faith, gdyż tylko dyskredytując jej zeznania i jej osobę miałem szansę zyskać uwolnienie swego klienta. Ale Faith była niezrównana, nie ustąpiła nawet o milimetr, nie dała się zapędzić w koziego róg, jak wielu świadków przed nią i po niej. Po prostu stała tam i opowiadała swoją historię z niesamowitą wprost godnością i przekonaniem. A przede wszystkim z niebywałą jak na taką kruchą kobietę odwagą.

— Tak, to akurat potrafię sobie wyobrazić. — Wiele razy rzucałam taki komentarz, kiedy była mowa o mojej matce, jednakże po raz pierwszy pozbawiony był cienia sarkazmu.

— Jak to zwykle bywa w takich wypadkach, kiedy w grę wchodzi miłość, seks i morderstwo, zainteresowanie mediów było ogromne. Rozprawa sądowa stanowiła pożywkę dla niezliczonych artykułów i programów, sprawa nie schodziła z pierwszych stron gazet całymi tygodniami. Ofiary: dwie piękne kobiety; złoczyńca: młody, dobrze się zapowiadający męż-

czyzna z porządnej rodziny; namiętność, zazdrość i wreszcie zbrodnia, czegoż chcesz więcej, kiedy jest się dziennikarzem prasy bulwarowej? Twoja matka była rozchwytywana długo po tym, jak już wszystko ucichło, i oczywiście dostawała niezliczone propozycje obsadzenia małych i dużych ról, jednakże bynajmniej nie z powodu swego skądinąd znacznego talentu. Była tego świadoma, wiedziała, że odium tej sprawy nigdy jej nie opuści. Okrzyknięto ją nawet gwiazdą sceny, srebrnego ekranu i sali sądowej. Nie miałoby znaczenia, jak bardzo jest zdolna i ile pracy wkłada w stworzenie postaci, którą gra, na zawsze miała pozostać żoną mordercy. Gdyby była sama, być może zgodziłaby się zapłacić tę cenę, jednakże nie wyobrażała sobie takiego życia dla siebie i Luciena. Trochę czasu jej zabrało, nim ostatecznie zerwała wszelkie kontakty ze środowiskiem filmowym i teatralnym, powiedziała mi kiedyś nawet, że była to najtrudniejsza decyzja w jej życiu: zrezygnować z wybranego, ukochanego i uprawianego z takim sukcesem zawodu, jednakże nie widziała innej możliwości. Podjąwszy ją wszakże, nie zawróciła z raz obranej drogi. Zmieniła swoje, i wasze także, nazwisko w obawie przed dociekliwymi dziennikarzami, którzy po latach potrafią wytropić ofiarę przestępstwa i w sezonie ogórkowym opisać ją w artykule zatytułowanym „Wczoraj i dziś”. Erica знаła od lat i postanowiła dać sobie drugą szansę w małżeństwie, w swym nowym małżonku najbardziej ceniąc ciapowatość i absolutną przewidywalność.

Jęknęłam w duchu. Żałowałam, że Lucien nie dożył tej chwili, nie po to, by wysłuchać opowieści o brudzie, z którego się wzięłam, lecz by zyskać potwierdzenie swych słów, że to właśnie nudziarstwo Erica wywindowało go w oczach Faith.

— Ale dlaczego Rex... to znaczy mój ojciec... skrzywdził Esme? — spytałam.

— Sami nad tym główkujemy. Zdaje się, że szukał dojścia do ciebie... Widzisz, kiedy Lucien zmarł, Rexowi nie dano przepustki na pogrzeb. Faith przesłała mu, przez teściów rzecz jasna, parę fotografii, które miały pomóc podtrzymać wspomnienia. Obawia się, że nieopatrzenie wetknęła też do koperty

jedno czy dwa zdjęcia zrobione w Glory Cottage i ukazujące całą waszą piątkę, a także, zapewne przez pomyłkę, zdjęcie Luciena, Roba i Esme z czasów Oksfordu. Kiedy Rob stał się osobą publiczną, Rexowi nie zajęło wiele czasu dodanie dwóch do dwóch, zwłaszcza że Esme przewijała się w artykułach traktujących o Branden House.

— To prawda. Sama mogłam przeczytać w jakimś czasopiśmie, że Esme jest twoją córką.

— Widać Rex uczeplił się tej wątlej nici łączącej Esme z tobą. Być może kierowały nim ojcowskie uczucia, chociaż Faith uważa, że powodem były raczej pieniądze. Telefonował do Esme kilkakrotnie, ale Faith zakazała jej cokolwiek mówić

0 tobie, nie zdradzając przy tym tożsamości Rexa ani co go łączy z waszą rodziną. W porywie złości, pijany, postanowił spotkać się z Esme osobiście i coś z niej wyciągnąć, ale jak zwykle stracił nad sobą kontrolę, złapał pierwszy przedmiot, jaki mu się nawinął pod rękę, i... Cóż, wszyscy wiemy, jak to się skończyło.

Rzeczywiście. Esme wylądowała w szpitalu i cudem tylko wróciła do zmysłów, a ja usłyszałam więcej, niż byłam zdolna przyjąć do wiadomości. Jakby opatrność postanowiła wysłuchać moich próśb i hurtem się z nimi uporać, odsłaniając przede mną wszystkie skrzętnie dotąd ukrywane sekrety. Pozostało może jeszcze to i owo do wyjaśnienia, ale nie miałam wątpliwości, że z czasem dowiem się wszystkiego.

Od długiej chwili panowała cisza. Kiedy wyrwałam się z zamyślenia i podniosłam wzrok, zorientowałam się, że John

1 Oliver wpatrują się we mnie z niepokojem, jak dwójka lekarzy, którzy właśnie zaaplikowali pacjentce lek z rodzaju tych, co to wóz albo przewóz, i teraz czekają na efekt swej działalności.

Opowieść Johna dobiegła końca i teraz przyszła moja kolej, by coś powiedzieć.

— Chyba powinniśmy być wdzięczni, że pod ręką miał wazon, a nie nóż...

John aż się wzdrygnął.

— Tak. Można powiedzieć, że Esme miała dużo szczęścia.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Opowieść Johna zajęła mu więcej czasu, niż się spodziewał, toteż zorientowawszy się, która godzina, pośpieszył do szpitala, zostawiając mnie w „dobrych rękach”.

Oliver nie odstępował mnie na krok niczym zafrasowany pulchniutki anioł stróż. Był przy mnie, kiedy zjawiała się policja, żeby mnie przesłuchać, i dobrze, gdyż bez jego wsparcia chy-babym się rozkleiła. Bombardowana pytaniami starałam się odpowiadać pełnymi i sensownymi zdaniami, które towarzysząca detektywom policjantka skrupulatnie spisywała. Dano mi spokój dopiero, kiedy drobnym maczkiem zapełniła parę bitych stron, pod którymi musiałam jeszcze złożyć podpis. Najbardziej obawiałam się tego, że konieczność złożenia zeznań, i to w obecności zupełnie obcych osób, przywoła w mojej pamięci tragiczny wypadek, tak że już nigdy nie pozbędę się go z myśli, jednakże paradoksalnie przyniosła mi ulgę. Po wyjściu policjantów zdarzało mi się przypomnieć sobie poszczególne sceny — a to koziółkujące w powietrzu ciało, a to suchotniczą dłoń drącą asfalt paznokciami w przedśmiertnych drgawkach — lecz nie nękały mnie one często i straciły wiele z realności. Terapia szokowa poskutkowała i to mnie cieszyło.

Oliver zaproponował, abym wzięła długą gorącą kąpiel i nawet pożyczył mi świeże ubranie, żebym miała się w co przebrać, co stanowiło o tyle dobry pomysł, że byliśmy podobnego wzrostu. Jeśli nawet miałam jakieś obiekcje, zniknęły, gdy zobaczyłam, co dla mnie wybrał. Jasna jedwabna kosz-

la i cienkie płócienne spodnie bardzo przypadły mi do gustu, a dołączony do nich pasek pomógł utrzymać wszystko na właściwym miejscu, jako że byłam znacznie od Olivera szczuplejsza. Ani trochę nie przeszkadzało mi, że ten odległy i do niedawna całkowicie mi nie znany krewny mówi mi, co mam robić. Leniwie leżąc w wannie i rozkoszując się ciepłem i gustownymi dekorami na przesłoniętej parą ścianie, poważnie rozważałam, czyby go nie poprosić o pomocną dłoń w życiu na zewnątrz jego przytulnego mieszkania. Pomyślałam sobie, że dobrze by mi zrobiła zmiana na wszystkich frontach. Skoro już poznałam własną przeszłość, dotąd niejasną i tajemniczą, dumiałam, nie zaszkodziłoby zakreślić się koło teraźniejszości i przyszłości, które nagle zaczęły mi się jawić niezwykle mgliście i niepewnie.

Jak zwykle byłam rozdarta. W mojej głowie toczyła się dyskusja, na którą nie miałam najmniejszego wpływu. Ten mężczyzna na ulicy nie ma z tobą nic wspólnego, mówił jeden głos. Erie może i jest nudziarzem, potrafiłby świętego wyprowadzić z równowagi i ogólnie rzecz biorąc jest beznadziejny, ale przynajmniej jest normalnym człowiekiem, a nie jakimś psychopatą. Kiedy już byłam skłonna złożyć obietnicę, że nigdy się na niego poskarżę i dzielnie będę znosić jego dziwactwa, coś mi w tym przeszkodziło. Jak możesz?! czynił mi wymówki drugi głos. Ten mężczyzna był twoim ojcem. Czy nie jego potrzebowałaś, odkąd tylko zaczęłaś, myśleć? Czy nie od niego masz połowę genów, a być może w połowie jesteś takim samym człowiekiem — dobrym czy złym — jak on? Czyż nie rozpoznałaś go od pierwszego spojrzenia? Czy nie dostrzegłaś się w jego oczach? Od dziś aż do twojej śmierci to jego oczy będą na ciebie spoglądać z lustra. Poza tym było w nim coś z Luciena... Znów włączył się pierwszy głos: to nic nie znaczy...

Byłam tak zmęczona jak nigdy przedtem ani potem w całym swoim życiu. Chętnie zaprzestałam rozważań i skoncentrowałam się na szczegółach — na finezji dekorów, miękkości ręcznika kąpielowego, chłodzie jedwabiu i szorstkości spodni, kiedy już się ubrałam. Efekt był zadowalający. Ostrożnie przyjrzałam się sobie w lustrze i dostrzegłam całkiem miłą

twarz wystającą ze stójkowego kołnierzyka. Zastanowiłam się przelotnie, czy nie traciłam wiele ubierając się w damskie i rozmiarowe ciuchy, skoro przebrana w męskie i o parę rozmiarów za duże prezentuję się całkiem, całkiem. Zaraz jednak do mnie dotarło, że już raczej chodzi o jakość ubioru. Może gdybym postawiła na jakość... Ha, jakbym miała na to szanse!

Oliver chyba umiał czytać w myślach, gdyż taktownie zapytał, czy nie chciałabym zadzwonić do męża.

— Na pewno się martwi — dodał.

— Nie wydaje mi się. Uniósł w zdziwieniu brwi.

— Aż tak źle, drogie dziecko?

— Nawet gorzej — odparłam z goryczą.

— Zatem tym bardziej powinnaś z nim porozmawiać.

Ja jednak najbardziej potrzebowałam rozmowy z dziećmi. Chociaż kłamstwem byłoby twierdzenie, że cały czas o nich myślałam i usychałam z tęsknoty, to prawdą było, że ilekroć zaprzątnęły moje myśli, czułam wręcz fizyczny ból, że nie ma ich przy mnie. Zerknęłam na zegarek. O tej godzinie szykują się do snu — biorą kąpiel, marudzą przy wybieraniu bajki na dobranoc. Przed oczyma stanęły mi ich zaróżowione od gorącej wody twarzyczki, wilgotne włoski przyklejone do czoła, kolorowe piżamki i papucie i ten nieustanny szmer głosików, którymi odwlekają chwilę zgaszenia światła. Tak bardzo chciałam go usłyszeć. Ale mogła być z nimi Dina i co niby miałam powiedzieć, gdyby to ona odebrała telefon? Biłam się z myślami, rozważając wszystkie za i przeciw, kiedy z holu zawołał mnie Oliver.

— Ktoś do ciebie dzwoni! — krzyknął.

Wzięłam od niego słuchawkę i z niepokojem przyłożyłam do ucha.

Dobiegł mnie napięty i lekko poirytowany głos Owena.

— Dzwonię ze szpitala.

— Skąd wiedziałeś, gdzie mnie zastaniesz?

— Od Johna — odrzekł burkliwie, po czym rzucił: — Właśnie się zbieram do domu. Jeśli chcesz, mogę po ciebie podjechać za jakieś dwadzieścia minut.

Rozważyłam to w duchu. Ujął mnie sposób, w jaki wypowiedział słowa „do domu”, tak niefrasobliwie, jak gdyby nasze małżeństwo nie stało na skraju przepaści. Zaraz jednak wyobraziłam sobie, jak siedzę koło niego w rozpadającej się i zalatującej kompostem furgonetce, nie mogąc się zdecydować, czy lepiej milczeć czy rozmawiać. Nie miałam ochoty ani na jedno, ani na drugie. Marzył mi się cud. Pomyślałam, że jeśli będę grać na zwłokę, sprawy może rozwiążą się same. A poza tym żał mi było przebierać się w swoje byle jakie ciuchy. Powiedziałam więc:

— Chyba zostanę tu na noc, a do domu przyjadę porannym pociągiem. Nie odpowiedział od razu; zdążyłam go sobie wyobrazić, jak stoi przy szpitalnianym automacie z twarzą ściągniętą napięciem i tym charakterystycznym dla niego wyrazem dezaprobaty w oczach.

— Na pewno tak wolisz? — upewnił się po chwili milczenia.

Westchnęłam przeciągle i nerwowo szarpnęłam za kabel od słuchawki, tak że aż zadzwieczał.

— Oczywiście. W przeciwnym razie zabrałabym się z tobą, prawda?

— Co to było? — zapytał nie na temat Owen. Zignorowałam go i powtórzyłam wyraźnie:

— Wrócę do domu jutro.

— Jane... — zaczął. Potem rozległ się jakiś brzdęk i padło zduszone: — Cholera! — po czym w słuchawce rozległ się sygnał.

Pozostałam przy aparacie przez minutę czy dwie, na wypadek gdyby chciał oddzwonić, ale to nie nastąpiło. Moja bujna wyobraźnia podsunęła mi obraz Owena sięgającego po słuchawkę po to, by poinformować Dinę, że mają mnie z głowy do jutra, i natychmiast zatrzęsłam się z zazdrości i gniewu.

Kiedy zadzwieczał brzęczyk, rzuciłam się do telefonu, ale Oliver wystawił głowę z kuchni, mówiąc:

— To dzwonek do drzwi. Ja otworzę. — Podeszedł do domofonu i po chwili z uśmiechem wcisnął guzik zwalniający

zamek na dole. — Witaj, Faith. Oczywiście, że się ciebie spodziewałem. Znasz drogę.

Zazwyczaj na samą myśl o spotkaniu z matką puszczały mi nerwy, tym razem jednak poczułam coś na kształt niepewnej ciekawości. Wraz z historią opowiedzianą przez Johna wszystko się zmieniło i zaświtała we mnie nadzieja, że być może uda nam się choć w części zasypać dzielącą nas przepaść. Nie śmiałam liczyć na to, że zaczniemy się lubić.

Obserwowałam ją uważnie, kiedy wchodziła do mieszkania. Z łatwością przyszło mi wyobrazić sobie tę kruchą kobietę sprzed ćwierćwiecza, która na sali sądowej wypowiadała słowa mające sprawić, że mężczyzna jej życia znajdzie się za kratkami. Przyglądając się, jak przy pomocy Olivera zwinnym ruchem wyswobadza się z płaszcza, potrafiłam nawet zrozumieć, co czuła, kiedy dla dobra dzieci poświęcała karierę. Zawsze uważałam, że jest niebrzydka, a swego czasu była nawet piękną. Tego dnia po raz pierwszy będąc świadoma jej życiowej drogi wyobraziłam ją sobie w podeszłym wieku.

Właściwie nie powinnam była się zdziwić, że Faith i Oliver to starzy przyjaciele — przecież postaci dramatu na ogół się znają i tylko ja byłam zawsze nieświadomym niczego statystą.

Oliver nie pytając podał jej szklanek whisky i zapytał, czy zostanie na kolacji. Podziękowała mu wylewnie za trunek i za zaproszenie, ale jako że „biedny Erie” czekał na nią w samochodzie, musiała się śpieszyć. Na tę ostatnią wiadomość ogarnął mnie chłód.

— John mi wszystko powiedział — poinformowałam ją. —

Niepotrzebnie przyszłaś, zwłaszcza że nie masz dla mnie czasu.

Muszę jej to przyznać, wczuła się w rolę.

— Jane... Jak sądzę, jesteś na mnie zła, gdyż uważasz, że cię oszukiwałam... — przycupnęła na fotelu i skrzyżowała zgrabne nogi.

Oliver wymruczał jakieś przeprosiny, że mu się kolacja przypała, i uciekł do kuchni, Faith zaś ciągnęła: — ..ja jednak nieraz zastanawiałam się, czyby ci nie powiedzieć, lecz każdorazowo uznawałam, że nie mam na to siły. Widzisz,

Jane... są sprawy, o których człowiek wolałby zapomnieć. Tak czy inaczej teraz już wiesz.

— Tak.

— Jest jeszcze coś... Z pewnością dziwi cię, że ten mężczyzna... Rex... zadał sobie tyle trudu, żeby cię odnaleźć, że nawet posunął się do pobicia biednej Esme...

— Zakładałam, że tak bardzo chciał mnie poznać — odparłam bez cienia ironii.

Faith pokręciła głową.

— On chciał twoich pieniędzy, Jane.

Po raz pierwszy od wieków wybuchnęłam śmiechem.

— Moich... pieniędzy?... — prawie się krztusiłam.

— Tak.

— A jakich dokładnie? Kieszonkowego? Skąd ten pomysł, że mam jakieś pieniądze?

— Ależ tak właśnie jest, Jane. Masz pieniądze albo żeby być ściśłym, będziesz je miała, jak tylko załatwi się wszelkie formalności. Nie ma tego wiele, więc się zbytnio nie podniecaj, ale i tak dobrze, że Rex nie położył na nich łapy. — Patrzyłam na Faith nic nie rozumiejąc, toteż zlitowała się i wyjaśniła: — Jakiś czas temu zmarła jego matka. Zawsze przepadała za Rexem i nie zmienił tego nawet wyrok za morderstwo, cóż, niech jej ziemia lekka będzie... Ale wracając do tematu, jej mąż, a twój dziadek tak pokierował sprawami finansowymi, że nawet po jego śmierci (a zmarł ponad dziesięć lat temu) nie mogła przepuścić majątku na synalka psychopate. Wszystko przeszło na jego bratanka, ale małą część zapisał w spadku tobie.

— To te pieniądze, która dałaś mnie i Owenowi w prezencie ślubnym?

— Tak... Wtedy wydawało mi się prostsze nie wdawać się w szczegóły, dlatego wymyśliłam historyjkę o polisie ubezpieczeniowej. Nie sądziłam, że to nie koniec... Teraz wszakże okazało się, że matka Rexa także miała odłożoną ładną sumkę...

— Skąd to wszystko wiesz? — przerwałam jej, wietrząc kolejne kłamstwo.

— Cóż, w pewnym sensie utrzymywałam z teściami kontakt, o ile można to tak nazwać. W rzeczywistości wszystko

było załatwiane przez prawników: oni łożyli na edukację Luciena, a ja od czasu do czasu przesyłałam im świadectwa, oczywiście z wymazanym adresem szkoły. Na tym polegała umowa między nami. O tobie nawet nie wiedzieli... do czasu. Potem, kiedy teść już nie żył, a Lucien miał wypadek, zrobiło mi się żal starej samotnej kobiety i przez prawników przekazałam jej wiadomość, że ma jeszcze wnuczkę. No i tym sposobem jesteś spadkobierczynią...

— Kiedy się o tym dowiedziałaś? — drążyłam.

Aż do tej chwili Faith mówiła płynnie i gładko, głosem pozbawionym emocji, jakim można by rozmawiać z księgowym, jednakże kiedy zadałam jej ostatnie pytanie, poruszyła się niespokojnie w fotelu i odpowiedziała wymijająco:

— Och, nie pamiętam dokładnie. Pewnie parę miesięcy temu... — Byłam pewna, że kłamie, z moich pośpiesznych obliczeń wynikało, że wie o tym od jakichś czterech, pięciu miesięcy. — Oczywiście zamierzałam powiedzieć ci wcześniej, ale...

— Ale co? — wpadłam jej w słowo. — Co cię powstrzymało?

Wysączyła resztkę whisky, znów zmieniła pozycję, po czym spojrzała na mnie wyzywająco — to było coś nowego.

— Jeśli mam być z tobą szczerą, Jane, czekałam, aż przejdzie wam ten bzik na punkcie szkółki ogrodniczej czy jak to zwał. Utopiliście w niej pieniądze po dziadku i nie chciałam, żeby to samo stało się ze spadkiem po babci...

— Na litość boską, Faith, my nie utopiliśmy tych pieniędzy, tylko je zainwestowaliśmy! A ty, cały czas wiedząc, że grozi nam bankructwo, siedziałaś na tyłku i się przyglądałaś! Nie mogę w to uwierzyć!

— Nie bądź niesprawiedliwa, Jane. Zawsze was wspierałam, ciebie i Owena, każdy ci to powie. Ale głupotą i czystą nieodpowiedzialnością z mojej strony byłoby pomagać wam w przedsięwzięciu, które okazało się całkowitą klapą.

Byłam na dobrze znanym gruncie — w końcu kłótnie z Faith to nie pierwszorzyna, jednakże ostatnim wysiłkiem woli powstrzymałam się i wycedziłam przez zęby:

— Zatem sugerujesz, że masz monopol na wszystko, w tym na sposób, w jaki Owen i ja powinniśmy przeżyć nasze życie?

— Jane, opanuj się. Zgoda, wiele dzisiaj przeszłaś, ale co za dużo, to niezdrowo. Wiesz równie dobrze jak ja, że nigdy nie wtrącałam się do twojego małżeństwa.

— Czyli ukrywanie przede mną wiadomości o spadku twoim zdaniem się nie liczy?

— No wiesz, Jane!... Ja tego przed tobą nie ukrywałam! Po prostu zależy mi, żebyście zrobili z tych pieniędzy dobry użytek. Zignorowałam jej zapewnienia i dobre intencje.

— Ile tego jest?

— Już ci mówiłam, nie tak znów wiele. No i jeszcze trzeba będzie odprowadzić podatek...

— Ile?

— Po wszystkich odliczeniach zostanie jakieś dwadzieścia pięć tysięcy. Poczułam, jak na twarz występuje mi rumieniec, bynajmniej jednak nie spowodowany radością, tylko czystym gniewem. Z moich obliczeń wynikało, że Faith wiedziała o spadku już wczesnym latem, kiedy to los zwrócił się przeciwko nam i naszemu głównemu klientowi — jego doprowadzając do ruiny, a nas na sam jej skraj. Niemal słyszałam, jak w głowie zgrzytają kółka zębate staromodnego liczydła: dwadzieścia pięć tysięcy funtów pokryłoby nasz debet w banku, zakup nowej furgonetki, może nawet wystarczyłoby na reklamę, wydrukowałibyśmy ulotki i pomyśleli o poważnym marketingu, zainstalowałibyśmy ogrzewanie w największej szklarni i rozszerzyli ofertę, może nawet zaczęlibyśmy spłacać hipotekę... Wszystko to mogliśmy zrobić, ale kiedyś — teraz było za późno. To znaczy pieniądze oczywiście się przydadzą, tyle że na rozwód, a nie na interes: dzięki spadkowi po babci będę w stanie spłacić Owena i wykupić się psim swędem z naszego wspólnego niegdyś marzenia.

Popatrzyłam zimno na Faith.

— A jednak powinnaś była mi powiedzieć, jak tylko się dowiedziałaś.

— Cóż, lepiej późno niż wcale, prawda? Nie rozumiem, czemu się pieklisz o parę głupich miesięcy. Zresztą sama wiesz, jacy są prawnicy. Moim zdaniem to ty zachowujesz się niewłaściwie: zamiast się cieszyć, jesteś jak zwykle obrażona na cały świat. Doprawdy, Jane, jesteś niemożliwa.

— Nie — zaprzeczyłam, starannie dobierając słowa. — Nie chodzi o to, że jestem niemożliwa, tylko o to, że całymi latami szłam przez życie po omacku i teraz ta nagła jasność mnie oślepiła. Niemniej zaczynam przeglądać na oczy.

Faith popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

— Miło mi to słyszeć.

— Przypominam ci go, prawda? — ciągnęłam, zignorowawszy jej komentarz.

Uciekła wzrokiem.

— Cóż, jesteś jego córką, skarbie. Na pewno są jakieś podobieństwa.

— Nie mówię o wyglądzie, tylko o czymś znacznie głębszym.

— Nie rozumiem...

— Ilekroć na mnie patrzysz, nawet w tej chwili, przywodzę ci go na myśl, tak? — zapytałam bez ogródek.

Faith zamarła, tylko oczy latały jej szaleńczo i kiedy zahaczyły o biblioteczkę, jeła nimi nerwowo skanować tytuły książek, licząc na inspirację lub cudowną ucieczkę, zmianę tematu, czy ja zresztą wiem na co? Chciałam, żeby spojrzała na mnie, żebyśmy wreszcie zaczęły burzyć ten mur, który zawsze między nami istniał, a którego pierwszą cegłę postawiła ona, nie ja.

— Byłam dobrą matką — powiedziała wreszcie.

— Tak, wiem o tym, niemniej...

Ostentacyjnie odstawiła szklanekę po whisky na ławę.

— Z pewnością będziemy musiały o tym kiedyś porozmawiać, ale teraz ani czas, ani miejsce po temu. Obie miałyśmy ciężki dzień, a biedny Erie pewnie zamarza na śmierć w aucie...

Całe napięcie opuściło mnie w jednej chwili, oklapłam jak przekłuty balon, wiedząc, że to tylko wymówka, że nigdy nie nadejdzie właściwa pora ani nie znajdziemy się we właściwym

miejscu. To prawda, była dobrą matką. Na tyle, na ile potrafiła, starała się być nawet kochającą matką, ale przychodziło jej to z trudem — to znaczy względem mnie, bo Luciena kochała bezwarunkowo. Nie winiłam jej o to, w końcu to po moim poczęciu nosiła brutalną pamiątkę — bliznę po ostrzu noża. Nie winiłam jej nawet o to, że wstając teraz do wyjścia czuła wyraźną ulgę, że nasze spotkanie dobiega końca. Jasność przyniosła zarówno świeży ból, jak i upragnioną wiedzę.

— Jeszcze jedna sprawa, Faith... — Odwróciła się do mnie, gotowa zaspokoić tę zachciankę, była tylko szybciej ode mnie uciec. — Czy Lucien wiedział?

— Rozmawialiśmy o tym... jeden jedyny raz — przyznała.

— Kiedy?

— Któregoś weekendu przyjechał z Oksfordu... Erie był wtedy na jakimś turnieju golfowym... Upiliśmy się nieprzytomnie, Lucien wyrzucał z siebie podejrzenia, to co przeczuwał przez całe życie, więc mu powiedziałam.

— Ale wcześniej, kiedy był młodszy? W czasach kiedy jeździliśmy do Glory Cottage?

— Z pewnością nie — odparła z mocą. — Najlepsze lata swego życia poświęciłam, by was chronić.

— A jednak Luce wiedział — powiedziałam cicho. — Jestem pewna, że wiedział już wtedy.

— To niemożliwe! Przyszedłby z tym do mnie, zawsze rozmawialiśmy o wszystkim, co go trapiło.' Był zupełnie inny niż ty, skarbie... No, a teraz lepiej już pójdę i uratuję Erica od śmierci z zimna.

Czułam taką pewność, że Faith się myli, że aż zrobiło mi się jej żal.

Gdyby tylko wiedziała o obsesji Luciena tamtego lata... Gdyby słyszała jego uporczywe pytania: Ile istnieje sposobów na odebranie komuś życia? Czy morderca to człowiek inny od wszystkich, czy też każdy w pewnych okolicznościach może kogoś zabić? Gdyby była świadoma jego zainteresowania dziedzicznością: Czy ludzie rodzą się mordercami, czy stają się nimi wskutek jakichś wydarzeń?... Lucien wykopał też skądś książkę o frenologii napisaną jeszcze w czasach królowej Wiktorii i cały jeden dzień spędziliśmy na obmacywa-

niu sobie nawzajem czaszek w poszukiwaniu „morderczych wzgórków”, jak je ochrzcił. Ja dzięki Robowi wiedziałam coś, czego Faith nawet nie przeczuwała — że Lucien pod pozorami zuchowatości skrywał swój strach, z powodu czego, to już inna sprawa. Dzięki własnej głupocie doświadczyłam gniewu Luciena, kiedy zmyśliłam historyjkę o śmierci naszego ojca, i nigdy nie poznałam jego piątego sekretu, który najpewniej dotyczył prawdy o Reksie, chociaż oczywiście mogę się co do tego mylić. Chciało mi się wyć, że cały czas, całe swoje krótkie życie Lucien w samotności cierpiał z powodu naszego pochodzenia. Jakżeż żałowałam, że nie było nam dane wspólnie uporać się z tym koszmarem... Najgorsze było zaś to, że ten żal zostanie ze mną przez resztę życia.

Faith wkładała w holu płaszcz. Oliver wyłonił się dyskretnie z kuchni i stał taktownie z boku, kiedy się żegnałyśmy.

— No, chwała Bogu, że mamy to już za sobą. — Faith uśmiechała się z ulgą, jakby rozmowa ze mną uwolniła ją od bólu zęba. — Oliver, kochanie, tak bardzo ci jestem wdzięczna, że zaopiekowałeś się Jane... Nie pozwól jej tylko wejść sobie na głowę.

Niemal spodziewałam się, że upomni mnie, żebym się grzecznie zachowywała i pomogła pozmywać po kolacji, lecz Faith jak zwykle mnie zaskoczyła i bez słowa przytuliwszy policzek do mojej twarzy, zniknęła za drzwiami.

Oliver i ja staliśmy przez chwilę w milczeniu.

— Niezwykła kobieta — stwierdził, kiedy na dole trzasnęły drzwi.

— Zadziwiająca — przytaknęłam.

— I chyba nie najłatwiejsza w pożyciu, także jako matka. Gdybym się nie wstydziła, tobym go uściskała.

Nic nie mogło poskromić mojego apetytu, nawet niezwykle i nieprzyjemne wydarzenia ostatniej doby. Rzuciłam się na to, co w zaciszu kuchni przyrządził Oliver, i smakowało mi wybornie, choć była to kolacja „na winie”. Tego wieczoru kucharzowi nawinęła się pod rękę resztką zupy kremu z awokado, jajka smażone z sardelą, szeroki wybór serów i owoce na

deser. Butelka wina, jaką sprokurował, zadowoliliby nawet tak wytrawnego kiperą, jakim był Rob.

Wybierając z patery soczystą figę, zapytałam:

— Znałeś mojego brata Luciena?

— Tylko z opowieści Jonty'ego, tak jak ciebie. Widziałem was wszystkich raz w życiu, krótko po tym, jak urodziły się bliźniaki, w Glory Cottage.

— I co o nim myślałeś?

— To był wyjątkowy chłopiec. Bystry i czujny, z rodzaju tych, którzy już w dzieciństwie mają zadatki na wielki sukces. Pełen radości życia, psotny, a przy tym... — urwał i zaczął obierać winogrono.

— A przy tym...? — chciałam usłyszeć, co naprawdę myślał o Lucieniu.

— Trudno to ubrać w słowa. Pamiętam, że byłem pod jego silnym wrażeniem i nawet po powrocie do Londynu wciąż o nim myślałem, gdyż... Lucien był bardzo pewny siebie, wasza czwórka też wydawała się zadowolona, a jednak... — znowu zawiesił głos i sięgnął po kolejne winogrono — ... wyczuwałem w nim jakiś niepokój. „Był zagubiony” to chyba za mocne określenie, ale kiedy napomknąłem o tym Jonty'emu, powiedział, że on ma takie samo wrażenie, i to w odniesieniu do całej waszej piątki. Oczywiście był świadomy, że Esme dorastała w nietypowych warunkach, a Rob i Owen praktycznie nie wiedzieli co to normalny dom... Jednakże w wypadku twoim i Luciena to było coś innego; wy mieliście normalnego ojca, który zniknął, został wymazany z ludzkiej pamięci niczym jakiś opozycjonista totalitarnego reżimu...

— Myślę, że Lucien wiedział.

— O Reksie? Na jakiej podstawie tak sądzisz?

— Och, z mnóstwa powodów, które w dzieciństwie nie były dla mnie jasne. Jego zachowanie, to co mówił i robił, jakie gry wymyślał... to wszystko nabiera sensu dopiero wtedy, gdy się wie, że w ten sposób próbował na swój sposób uporać się ze świadomością, że jego ojciec jest mordercą.

— Być może masz rację, Jane, ale nigdy nie wiadomo na pewno...

Zamyśliłam się nad jego wcześniejszymi słowami.

— To dziwne, że wydawaliśmy się zagubieni podczas wakacji w Glory Cottage. Właściwie tylko tam czuliśmy się jak w domu, czuliśmy, że należymy do jakiejś rodziny, że mamy siebie nawzajem.

— Ulotne przyjemności takie już są — westchnął Oliver. — Unosi się nad nimi cień desperacji.

— Bardzo to głębokie — wyszczerzyłam do niego zęby w uśmiechu. Skoro sam wcześniej napomknął coś o nietypowym domu rodzinnym Esme, postanowiłam zapytać: — Czy to tutaj John mieszkał, kiedy przyjeżdżał do Londynu? Czy to przez ciebie Clare i Esme nigdy go nie odwiedzały?

— Tak. Tak się składa, że to moje mieszkanie, a ja jakoś nigdy nie przepadałam za Clare...

— A czy Clare o tym wiedziała? To znaczy: o tobie? Oliver zmarszczył brwi.

— Myślę, że wolą nie wiedzieć. Wystarczało jej, że Jon-ty nie zdradza jej oficjalnie.

— Pamiętam, że Lucien wymyślał niestworzone historie na temat tego mieszkania... Wszystko, co choć odrobinę sekretne, zawsze strasznie go fascynowało. Twierdził, że John pławi się w luksusie, sypia na barokowych łóżach o złożonych postumentach i siaduje na wyściełanych aksamitem sofach... Jednym słowem nic tylko cielesne uciechy wśród piersiastych nimfetek.

— Cóż, w tym ostatnim się pomylił...

— Zatem Clare była tylko marionetką, mającą zapewnić Johnowi poważanie społeczeństwa?

— Adwokat, zwłaszcza adwokat Rady Królewskiej, musi być poza wszelkim podejrzeniem.

— Czy to nie pachnie hipokryzją?

— Ależ tak. Nie możesz jednak obwinać Jonty'ego, prędzej tych, dla których ważne są pozory... Nawiasem mówiąc, teraz kiedy ta nieszczęsna kobieta jest już w niebie, mogę zdobyć się na przyznanie, że Jonty nawet ją lubił. Na swój sposób oczywiście.

Nieco później wrócił John. Obawiałam się, że będę musiała zwolnić sypialnię i spędzić noc na sofie w salonie, lecz

uspokoił mnie mówiąc, że wpadł tylko na chwilę, gdyż razem z bliźniakami jest w drodze do Martin's Court, a wizytę złożył po to tylko, by uprzedzić mnie, iż w wieczornych wiadomościach najpewniej pojawi się informacja o tragicznej śmierci Rexa i zwolnieniu z aresztu mężczyzny niesłusznie podejrzewanego o atak na Esme.

— Dziękuję — rzekłam i po chwili wahania dodałam: — Wiem, że się śpieszysz, John, ale chciałabym cię o coś zapytać... Czy to możliwe, że Lucien jako dziecko znał prawdę o Reksie Turnerze?

John przyjrzał mi się uważnie.

— Hmm... No tak... Musisz pamiętać, Jane, że twój brat był bardzo byстрыm chłopcem i choć miał zaledwie cztery latka, kiedy doszło do procesu, wchłaniał informacje jak gąbka wodę. Nie wszystko wtedy rozumiał, to oczywiste, lecz podświadomie czuł, że nie może zdradzić się ze swą wiedzą przed Faith. Magazynował fakty, by dopiero później je pojąć, ale na swój sposób znał prawdę nawet wtedy...

— Wydajesz się tego taki pewien...

— Widzisz, Jane — westchnął John — Lucien odwiedził mnie kiedyś, krótko po tej straszliwej kłótni pomiędzy Clare i Faith... więc musiał mieć jakieś piętnaście lat. Jak tylko go zobaczyłem, od razu domyśliłem się, o czym chce rozmawiać, i jakoś udało nam się przez to wspólnie przebrnąć. Pamiętam, że był niezwykle pobudzony... Powiedział mi, że przestudiował archiwalne egzemplarze gazet z rocznika, w którym odbywał się proces, i w ten sposób zyskał potwierdzenie tego, co od małego podejrzewał. Naturalnie było mi go niezmiernie żal, ale on me potrzebował współczucia. Podzieliłem się z nim tymi nielicznymi faktami, których nie znał, nie mogąc się przy tym nadziwić, że z taką godnością i odwagą, z jakimi zniósł bolesną prawdę. Pod koniec rozmowy wymógł na mnie obietnicę bym nie zdradził go przed Faith. Rzucił też jakiś komentarz na temat odwiecznej debaty: co kształtuje człowieka, geny czy wychowanie. Kiedy wychodził, widziałem w jego oczach determinację, by na swój sposób poradzić sobie ze stygmatem. Och, Lucien, pomyślałam, nic dziwnego, że dążenie do doskonałości cię zniszczyło...

Po wyjściu Johna Oliver i ja udawaliśmy, że nie zauważamy telewizora, jednakże nasza ciekawość zwyciężyła i w końcu włączyliśmy odbiornik.

Rzeczywiście podano informację o wypadku, w którym poniósł śmierć Rex Turner, niedawno zwolniony z więzienia po wieloletnim wyroku za zamordowanie znanej piosenkarki Dawn Lacey. Na ekranie pokazała się fotografia młodego mężczyzny, w niczym oprócz blizny na brodzie nie przypominającego człowieka, który zaczepił mnie na ulicy. Dostrzegłam wszakże inne podobieństwo — w jego oczach i profilu nosa, układzie kości policzkowych i kształcie szczęki widziałam siebie.

Nie zdążyłam jeszcze otrząsnąć się z szoku, kiedy spiker gładko przeszedł do kolejnej wiadomości, o zwolnieniu z aresztu pensjonariusza Branden House niesłusznie podejrzanego o napad na Esme Drummond. Nim zdołałam się na to przygotować, na ekranie pojawił się Rob, przystojny i tryskający pewnością siebie, wyrażający ubolewanie, że wymiar sprawiedliwości znowu się pomylił i o mały włos złamałby życie jeszcze jednemu niewinnemu człowiekowi. Na jego widok ogarnęły mnie sprzeczne uczucia. Przede wszystkim nienawiść (zostawiając Luciena samemu sobie przyczynił się do jego śmierci) połączona z niepewnością (czy aby na pewno można to nazwać morderstwem?). Nie mogłam nie zauważać analogii pomiędzy sytuacją, jaka rozegrała się nad brzegiem morza w Dorsecie, a tą z londyńskiej ulicy, która przytrafiła się mnie. Gdybym chciała widzieć w Robie mordercę, w sobie musiałabym ujrzeć morderczynię, gdyż wyrrywając się z uchwytu ojca i przebiegając na drugą stronę ulicy przyczyniłam się do jego śmierci... A jednak nie oskarżono mnie o spowodowanie wypadku ani tym bardziej o morderstwo. Zresztą gdybać można było w nieskończoność, ot choćby: co by było, gdyby Faith nie ukryła prawdy przed Esme i ostrzegła ją przed Rexem?... Do niczego to jednak nie prowadziło, przynajmniej do niczego konstruktywnego, gdyż spirala wzajemnych oskarżeń i samoobwiniania mogła się skończyć tylko szaleństwem, tak jak to nieomal się stało w przypadku Roba. Czyż nie lepiej było skoncentrować się na terażniejszości i próbach zmierzenia się z rzeczywistością, jak to właśnie na moich oczach

czynił Rob? Nienawidziłam go i kochałam w tej samej chwili
— chciałam cisnąć ciężkim przedmiotem w jego zadowoloną z siebie twarz, a zarazem wiwatować na jego cześć.

Tuż przed wyjściem John mimochodem wręczył mi pożółkłą ze starości kopertę.

— Skoro zaczęłaś wypytywać o brata, pomyślałem sobie, że powinnaś to przeczytać... To list, który znalazłem w rzeczach Esme, kiedy za radą policji przeszukiwałem jej rzeczy w nadziei, że natknę się na jakieś odniesienie do jej napastnika. Jestem pewien, że nie miałyby nic przeciwko temu... Potem przekaż go Oliverowi, a Rob już dopilnuje, żeby wrócił w to samo miejsce, z którego go zabrałem.

Lekturę listu zostawiłam sobie niejako na deser, zwieńczenie dnia obfitującego w dramatyczne wydarzenia. Po kopertę sięgnęłam, kiedy już leżałam w ciepłym i miękkim łóżku

— po raz pierwszy od wieków, jak mi się zdawało. Długo patrzyłam na skreślony starannym charakterem pisma mojego brata ówczesny adres Esme i stempel pocztowy z czerwcową datą sugerujący, że list został wysłany w tym samym tygodniu, kiedy Rob i Lucien wybierali się na wycieczkę do Dorsetu. Ostrożnie wyjęłam cienki papier listowy i zaczęłam czytać.

Lucien niemal od razu przeszedł do rzeczy, informując Esme, iż jego zdaniem ich związek nie ma przyszłości i że zamierza o tym powiedzieć Robowi, kiedy zobaczy się z nim nazajutrz. Dalej pisał:

W trakcie naszej wtorkowej kłótni z przenikliwością większą, niż kiedykolwiek mógłbym u Ciebie podejrzewać, rzuciłaś mi w twarz oskarżenie, że wszystkie nasze problemy biorą się stąd, iż wiecznie jestem niezadowolony. Ze nie potrafię wrzucić na luz i choć raz cieszyć się życiem. Pragnę Cię zapewnić, droga Esme, że to nie Ty byłaś powodem mego niezadowolenia, lecz ja sam. Zapytałaś mnie nawet, czy zdarzyło mi się być szczęśliwym, i w ciągu ostatnich dni nieraz zadawałem sobie to samo pytanie, by dojść do wniosku, że tak. Byłem szczęśliwy w czasach, kiedy wspólnie spędzaliśmy wakacje w posiadłości Twego ojca, kiedy świat zdawał się rozumiały i przychylny. Od wtedy jednak wszystko się zmieniło. Na banał zakrawa powiedzenie o utraconym raj, niemniej tak właśnie to czuję. Mam nadzieję, że wybaczysz mi minione kilka miesięcy i że jeszcze uda nam się odtworzyć magię tamtych lat...

Treść listu wryła mi się w pamięć, nim zgasiałam światło. W uszach rozbrzmiewały mi słowa Luciena, wymawiane jego, a zarazem nie jego głosem. Po raz pierwszy poznałam swego brata od strony, której nie dane mi było dojrzeć, kiedy jeszcze żył mimo że zawsze wydawało mi się, iż jesteśmy ze sobą nad wyraz blisko. Dopiero wiele lat po śmierci, kiedy wspomnienia były już wyblakłe i słabo czytelne, odsłonił swe prawdziwe ja, głębię jestestwa, serce, które ukrywał nawet przede mną. Było to więcej, niż mogłam pojąć, więcej, niż mogłam zniesć...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Pociąg turkotał i pogwizdywał, a ja bez protestów poddawałam się jego rytmowi i z ochotą wrażeń, jakie często ogarnia mnie podczas podróży — że nie należę do żadnego konkretnego miejsca ani czasu. Tym razem wszakże miałam zbyt wiele do przemyślenia, by krótka trasa umożliwiła mi dojście do ładu z samą sobą. Czułam się poniekąd jak wąż, który wyrósł ze swej starej skóry, lecz nim pokaże się światu w całej krasie nowej i błyszczącej, musi nieźle się nagimnastykować, będąc przy tym narażonym na rozliczne niebezpieczeństwa. Oczywiście wolałabym porównanie z barwnym motylem wydobywającym się na światło dzienne z szarej i bezkształtnej poczwarki, jednakże rozsądek głosem Lucjena podpowiadał mi, że muszę zadowolić się jedną z tych wijących się kreatur spośród tysiąca śliskich stworów.

Zmianie uległ cały mój świat, całe życie, jej piętnem naznaczeni zostali wszyscy, których kiedykolwiek znałam. Wiedziałam, że Faith i ja już nigdy się do siebie nie zbliżymy, teraz jednak mogłam ją przynajmniej szanować za to, co przeszła i co dla mnie i Luciena poświęciła, chociaż nie przestanę się zastanawiać, czy jej decyzja, by za wszelką cenę utrzymywać nas w nieświadomości, była słuszna. Z bólem serca po raz pierwszy zrozumiałam, dlaczego zawsze podcinała mi skrzydła — nie dość, że dziecko gwałtu, to jeszcze miałam czelność przejawiać artystyczne talenty, które ona musiała w sobie stłumić. Powoli zaczynało do mnie docierać, że morderca

rani nie tylko swą bezpośrednią ofiarę, lecz każdego, kto jest z nim w jakikolwiek sposób związany, i że ukarany zostaje nie tylko on za swój haniebny uczynek, ale i wszyscy jego bliscy, nieważne jak bardzo niewinni.

Mój ojciec był mordercą. Gdyby dano mi wybór, zdecydowanie wolałabym Johna Drummonda o gołębim sercu albo nawet tego nieostrożnego kierowcę rajdowego, którego wymyśliłam i o którego tak strasznie pogniewał się na mnie Lucien. Jednakże jak to w życiu bywa, nie miałam wyboru i nie pozostało mi nic innego, jak uporać się z koszmarem.

Pozwalając, by pociąg unosił mnie z Londynu, poprzez coraz rzadziej zaludnione tereny podmiejskie i wiejskie, do domu, w myślach zaczęłam się przyglądać nowo naszkicowanej mapie przeszłości. Nie było to przyjemne, lecz i tak o niebo bezpieczniejsze niż rozważania o niepewnej wciąż przyszłości.

Mając w perspektywie dwudziestopięcioletni spadek, bez oporów pożyczyłam od Olivera trzydzieści funtów, które umożliwiły mi wzięcie ze stacji taksówki — wydarzenie bez precedensu i nadzwyczaj miłe. Słońce wyjrzało zza chmur, kiedy zmierzaliśmy w kierunku szkółki ogrodniczej, toteż poprosiłam kierowcę, by wysadził mnie w jakimś oddaleniu od bramy, gdyż miałam ochotę na krótki spacer, a poza tym coraz mniej uśmiechało mi się stanąć oko w oko z rzeczywistością. Wolnym krokiem doszłam do bramy i noga za nogą powlokłam się w stronę drzwi, mijając po drodze równe rzędkie pustych donic. W promieniach jesiennego słońca ogród zrobił na mnie tak samo dobre wrażenie jak wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy i zachwyciłam się jego zaniedbaną urodą. Na ten obraz nałożył się widmowy ogród moich marzeń, miejsce, które mieliśmy tu stworzyć wspólnie z Owenem. Pośrodku na otwartej przestrzeni tkwiłaby sadzawka otoczona urokliwymi pierwiosnkami i irysami, i kaczeńcami, natomiast pod murem ciągnęłyby się grządki z kwiatami leśnymi, a odrestaurowaną zabytkową szklarnię wypełniałyby rośliny egzotyczne... Pożałowałam, że to tylko marzenie.

Weszłam tylnymi drzwiami i natychmiast uderzył mnie panujący w domu spokój. Miejsce było całkowicie wyludnione, bez Owena i bez dzieci, nawet bez notki na kuchennym stole, gdzie się podziali. Kota także nie było. Wystawiwszy głowę na zewnątrz, zauważyłam brak furgonetki. Poczułam, jak narasta we mnie histeria. Spodziewałam się wszystkiego — dzikiej awantury, wykrzykiwanych pretensji i żądań, bolesnych słów o separacji, lecz nigdy nawet na moment nie przyszło mi do głowy, że Owen może po prostu zabrać dzieci i zniknąć z mojego życia, pozostawiając mnie z niczym.

Tylko Dina mogła wiedzieć, co się z nimi stało. Wprawdzie przyrzekałam sobie, że prędzej wyzionę ducha, niż się do niej odezwę, zwłaszcza w tak krępującej sprawie jak miejsce pobytu mojego męża i dzieci, lecz w zaistniałej sytuacji nie miałam innego wyjścia.

Nim zdążyłam zrobić krok w stronę drzwi lub telefonu, usłyszałam brzęk szkła.

Nagromadzona wściekłość dodała mi skrzydeł. Wyprysnęłam jak strzała i w okamgnieniu znalazłam się na ścieżce okalającej mur ogrodu, gotowa wziąć na młodocianych chuliganach odwet za zdradę Owena.

Ani żywego ducha.

Zakląłam. O, tym razem nie miałam zamiaru poddać się i wrócić do domu, jakby nic się nie stało. Tym razem pałałam żądzą zemsty, a że od dawna podejrzewałam, które to łebki nas napastują, w ułamku sekundy podjęłam decyzję, że pójdę do ich rodziców i tak im wygar...

Brzęk tłuczonej szyby.

Po krzyżu przebiegły mi ciarki. A może to nie dzieci? Może to jakieś wyrostki, które zwiedziały się, że posesja stoi pusta, i postanowiły się tutaj zabawić? Nieco spokojniejsza, lecz ani trochę mniej gniewna, zakradłam się w stronę szklarni.

To co zobaczyłam, tak mnie zszokowało, że przez chwilę czy dwie nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu, o podjęciu jakiegokolwiek akcji nie mówiąc.

Pośrodku szklarni, wzdłuż której ciągnęły się w rzędach istne kohorty zieleniących się sałatek, tyłem do mnie stał

Owen. Na moich oczach uniósł rękę, zamachnął się i cisnął kamieniem w odległy koniec tunelu. Brzdęk.

Owen chrząknął z zadowolenia, po czym schylił się w poszukiwaniu kolejnego kamienia nadającego się do destrukcyjnego rzutu. Nie przejmował się sadzonkami, deptał je i roztrącał czubkami buta, a kiedy wykręcił się nieco, by sięgnąć po kamień, który wpadł mu w oko, na jego twarzy dojrzałam wyraz dzikości. Oczy miał pociemniałe z gniewu, policzki zaczerwienione z emocji. Musiał mnie dostrzec kątem oka, gdyż wydał jakiś nieartykułowany dźwięk i się wyprostował.

— Zatem — powiedział lodowatym tonem — postanowiłaś jednak wrócić do domu.

Zrobiłam krok do przodu.

— Do cholery, Owen, co ty wyrabiasz?

— Czy to nie jasne? — odparł, odwracając się ode mnie i biorąc kolejny zamach.

— Owen, nie!! — wrzasnęłam.

— A to czemu? — Brzdęk.

— Przestań natychmiast! Co cię opętało? Zwariowałeś czy co? — krzyczałam.

— Niewykluczone.

— Gdzie dzieci? — zapytałam nieco spokojniej.

— U Diny.

— Dlaczego tam?

— Bo wolą być tam niż tutaj — wzruszył ramionami. — Chyba zauważyłaś, że nikt tu nie lubi przebywać. Poza tym dziś rano Laura została zraniona w policzek kawałkiem szkła, kiedy jakiś szczeniak z nowego osiedla cisnął przez mur cegłą... — Spojrzał na mnie zimno i dodał: — Och, nie martw się — jak gdybym udawała swój niepokój — to tylko draśnięcie. Chociaż na wszelki wypadek byliśmy u lekarza.

— Boże, to straszne.

— Nie do końca. Udało nam się zwrócić uwagę policji, byli już u rodziców łobuziaków... — widząc moje nierozumiejące spojrzenie, wyjaśnił: — Dina rozpoznała dwójkę. Stara dobra Dina, co byśmy bez niej zrobili?... Laura i Billy byli

roztrzęsieni zajściem, więc zaproponowała, że ich zabierze **do** siebie... Ja musiałem załatwić coś w centrum.

Już chciałam wybuchnąć, że jakim prawem Dina zajmuje się moimi dziećmi, kiedy potrzebują opieki matki, ale w porę ugryzłam się w język — przecież **to** była moja wina, nie jej, że była na miejscu, kiedy zdarzył się wypadek.

— Biedna Laura...

Owen przyglądał mi się z okrutnym uśmiechem.

— Co za szkoda, że cię tu nie było. Świetnie się bawiliśmy.

W skroniach mi waliło, zaczynałam się trząść. Nie miałam pojęcia, co wstąpiło w Owena, jak mam z nim rozmawiać, co zrobić...

— Chwałą Bogu, że policja się tym zainteresowała — wykrztusiłam wreszcie.

Owen bawił się kamieniem.

— Lepiej późno niż wcale — mruknął. Przerzucił kamień do drugiej ręki i wybuchnął: — Dlaczego, do kurwy nędzy, nikt nic nie robi i tylko czeka, żeby komuś innemu stała się krzywda?! Przecież Laura mogła zostać poważnie ranna albo nawet...

Wzdrygnęłam się mimowolnie na tę niedopowiedzianą możliwość.

— To dlatego doprowadzasz szklarnię do ruiny?

— A co, nie mogę? — spytał buńczucznie, unicestwiając kolejne paręnaście sadzonek. Poczulałam niesmak, jakbym była świadkiem ataku ojca na własne dziecko; świeżo w pamięci miałam jego zapał i troskliwość, okazywane każdej roślince i swej pracy. — Przecież to wszystko nie ma najmniejszego sensu. Niby kto miałby zebrać plon, któryśmy zasiali? — Rzucił kamień, lecz jakoś tak bez przekonania, i pocisk spadł na ziemię, nim dosięgnął szklanej ściany. — Co za strata czasu — westchnął. — Wszystko na darmo...

— Jest jeszcze szansa — powiedziałam.

— Niby jaka? Zresztą nieważne, ty i tak nienawidzisz tej pracy. Poza tym jest za późno na ratunek.

— Dlaczego tak uważasz?

— Och, ominął cię jeszcze jeden mały dramat... Miałaś wczoraj nosa, nie chcąc się ze mną zabrać z Londynu. Furgonetka rozkraczyła się po drodze na amen. Facet z pomocy drogowej powiedział, że nawet nie warto naprawiać, chyba że chcę wyrzucać pieniądze w błoto... Jakbyśmy jakiegokolwiek mieli — zaśmiał się chrapliwie. — Byłem rano w banku, gdzie usłyszałem, że nie ma mowy o choćby małej pożyczce, o kredycie na samochód nie wspominając. Jesteśmy ich zdaniem niewypłacalni.

— Gnojki.

— Może, ale w tym akurat mają rację. Jane, spójrz prawdzie w oczy, tu się wszystko rozsypuje. Przedwczoraj przysiadłem i jak wszystko dobrze policzyłem, okazało się, że pierwsze wpłaty zaczniemy dostawać na wiosnę, a do tego czasu praktycznie nie mamy za co żyć.

— Dlatego nie ucieszyło cię błogosławieństwo Angeli? Owen skinął głową.

— Właściwie powinienem się jej roześmiać w nos, ale jakoś odeszła mnie ochota do żartów... Zwłaszcza że parę dni temu dostałem przedziwny list od Armanda Baera; jego zdaniem Angela kwalifikuje się do leczenia psychiatrycznego... Nic z tego nie rozumiem. — W pierwszej chwili także byłam lekko skonfundowana, ale zaraz przypomniałam sobie jej narkomanię i skłonności lesbijskie, wymyślane po to, żeby uwolnić się od niegdysiejszej miłości i ojca Owena, któremu nagle zamarzyło się szczęście rodzinne. Próbowałam to jakoś ogródkami wyjaśnić, ale Owen i tak słuchał mnie tylko jednym uchem, zrozpaczony upadkiem firmy. — Myślałam, że koniec problemów przyniesie ulgę, bardzo się jednak myliłem — powiedział.

— Może wszystko się jeszcze ułoży — pocieszyłam go, nie odważając się wspomnieć o spadku po babci.

— Nic się już nie ułoży — rzekł twardo. — Powinienem był to dostrzec, kiedy był na to czas. Początek końca nastąpił, kiedy zbankrutował nasz główny odbiorca, ale wtedy miałem huk roboty, no i wszystko wciąż jawiło mi się w różowych kolorach. Ależ ze mnie głupiec! — Spojrzał na mnie. — A ty co jesteś taka smutna, co? Przecież sprawy toczą się po twojej

myśli... Kiedy sprzedamy dom i działkę, wyjdziemy prawie na zero. Tego właśnie chciałaś, prawda?

Tego właśnie chciałam? zastanowiłam się. Oczywiście, że miałam dosyć ciągłej niepewności, zimna i dreptania w miejscu, ale raczej na pewno nie chciałam takiego końca.

— No więc co dalej? — spytałam.

— Bóg raczy wiedzieć — odparł Owen ponuro.

Nie chcąc, by znów zaczął ciskać kamieniami, a może także z innych powodów, których wszakże nie byłam świadoma, rzuciłam:

— Słyszałeś, co się stało? Owen wykonał półobrót.

— Na miłość boską, Jane! Ja tam byłem! Rozmawiałem z Esme i Robem... A może mnie nie zauważyłaś?... — Uniósł rękę do rzutu.

— Nie chodzi mi o to — powiedziałam szybko. — Pytałam, czy ktoś poinformował cię, że mój ojciec byt mordercą.

Kamień wypadł mu z dłoni.

— Jak to? Erie? Zdusiłam w sobie śmiech.

— Nie, nie Erie... Mój ojciec miał na imię Rex... Rex Turner. Spędził w więzieniu ćwierć wieku odsiadując wyrok za zamordowanie niejakiej Dawn Lacey... Wcześniej próbował pozbawić życia Faith. To on wydzwaniał, szukał mnie, chciał ze mną porozmawiać... Kiedy wyszłam ze szpitala, poszedł moim śladem. A potem... potem pojawił się niebieski samochód, potrącił go i wyrzucił w powietrze... Pogotowie przyjechało za późno, a może nie żył już w chwili zetknięcia z twardą nawierzchnią jezdni.

— Jezu... — Twarz Owena mieniła się barwami, kiedy opuszczały go złość i dzikość, wreszcie przybrała blady odcień, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Odruchowo zrobił krok w moją stronę, żeby mnie pocieszyć, jednakże zreflektował się, zatrzymał w miejscu i poszukawszy wzrokiem dogodnego miejsca, klapnął na stertę tacek po sadzonkach. — To wszystko prawda?

Kiwnęłam głową.

— John mi opowiedział. — Trzęsłam się już na całego, nie z zimna, lecz z nagromadzonego szoku. W głowie przemykały mi myśli o tych wszystkich razach, kiedy po śmierci Luciena Owen brał mnie w ramiona i pocieszał niczym małe dziecko. Tęskniłam za tym, lecz rzeczywiście było już za późno, zbyt późno się nawzajem poraniliśmy, żebyśmy jeszcze umieli sobie pomóc. Zdałam sobie sprawę, że to jest właśnie ta czarna dziura, której obawiałam się całe życie, że właśnie w nią wpadam, i żeby się przed tym bronić, wyrzucałam z siebie słowa: — Nie wszystko jeszcze rozumiem, ale powoli zaczynam to sobie układać... John był adwokatem mojego ojca... oczywiście wtedy nie przyjaźnił się jeszcze z Faith, której zeznania przypieczętowały winę Rexa. Nawet John wyrażał się o niej z uznaniem... Potem matka zmieniła nazwisko, zrezygnowała z kariery scenicznej, w nadziei że uda jej się zapewnić nam normalne dzieciństwo. Wiem, że próbowała mnie pokochać... Jednakże zbyt późno go jej przypominałam.

Nie widziałam reakcji Owena, gdyż głowę miał pochyloną, wpatrywał się w ziemię pod stopami.

— A więc to o tym wczoraj szeptano... W pewnym momencie zgromadzeni przy łóżku Esme zaczęli wymykać się parami na korytarz i wracali z dziwnym wyrazem twarzy. Byłem święcie przekonany, że plotkują o Robie i Esme...

— W pewnym sensie tak było... Widzisz, to Rex, mój ojciec, zaatakował Esme. Bo nie chciała mu powiedzieć, gdzie mnie znajdzie, a on tak bardzo potrzebował tej informacji, że... — Przypomniało mi się, co przeczytałam w jej pamiętniku o mówieniu „nie”. Nauczyła się odmawiać, lecz niemal przypłaciła to życiem.

Owen wstał, wciąż unikając mojego wzroku, i przeszedł parę kroków, po czym zapatrzył się w głąb tunelu, ponad tysiącami malutkich roślinek, które miały nadzieję doczekać wiosny.

— Zawsze wyczuwałem jakąś tajemnicę... — powiedział zamyślony.

— Ja też... Tyle że nigdy nie spodziewałam się, że może chodzić o morderstwo. Lucien wiedział od samego początku... To dlatego zawsze musiał być najlepszy, musiał udowodniać

wszystkim swoją wartość. Dlatego tak bardzo baj się przegranej...

— Może — stwierdził lakonicznie Owen. Milczał przez chwilę, po czym zamyślonym głosem ciągnął: — Na swój sposób wszyscy się tego baliśmy, Rob i Esme, ty i ja... nie tylko Lucien. Żadne z nas nie miało poczucia przynależności... Tylko w Glory Cottage czuliśmy się jako tako pewnie. Tylko tam mieliśmy jakieś znaczenie, przynajmniej dla siebie nawzajem, w świecie, który sobie stworzyliśmy i którego byliśmy pępkiem... Myślę, że przeniosłem to do dorosłego życia... Zawsze obiecywałem sobie, że moje dzieci będą miały prawdziwy dom, że nigdy nie poczują się niechcianymi gośćmi... Laura i Billy mieli nawet szansę na coś lepszego, aleja wszystko spaprałem.

— Nie mów tak— zaprotestowałam. Udał, że mnie nie słyszy.

— Myślałem, że wystarczy siedzieć na tyłku w jednym miejscu, ciężko pracować i nie podnosić głosu. Przede wszystkim to ostatnie, gdyż kłótnie kojarzyłem z przeprowadzkami... Kiedy Angela zaczynała krzyczeć, wkrótce musieliśmy opuścić miejsce, które akurat nazywaliśmy domem, i przenieść się gdzieś indziej. — Owen zacisnął pięści. — Przyrzekłem sobie, że nam to się nigdy nie zdarzy.

Pomyślałam o tych wszystkich okazjach, kiedy jego spokój wyprowadzał mnie z równowagi, i pożałowałam, że przyczynę poznałam dopiero teraz. Jak zwykle za późno. Owen nadal ogarniał wzrokiem efekty naszej pracy i dzieląca nas przestrzeń była zbyt duża, by ją przebyć — zarówno w sensie dosłownym, jak i metaforycznym. Najbardziej zaś bolało, że to wszystko było tak strasznie niepotrzebne. Przypomniały mi się słowa Esme: „Owen zawsze wołał Jane, chociaż ona była zbyt nabzdyczona i zadufana w sobie, by to zauważyć”. Czy tak właśnie było? Czy to możliwe, że byłam aż tak ślepa? Z rozpaczą zdałam sobie sprawę, że myliłam się co do każdej osoby, jaka pojawiła się w moim życiu, zapewne więc i co do Owena także. Wałąc w niego na oślep i gdzie popadnie sprawiałam, że nawet on stracił do mnie cierpliwość i nic nie pozostało z pierwotnego silnego uczucia.

A skoro myślałam się kiedyś, czy jest możliwe, że mylę się i teraz? pomyślałam.

Być może po raz ostatni rozległ się w mojej głowie chłopięcy dyszkant Luciena i ujrzałam go stojącego w odbijającej od brzegu łodzi. W jego ciemnych oczach igrały ogniki dziecięcego niepokoju i rozbawienia, lecz ja widziałam w nim wrażliwego młodego człowieka, który całe swoje życie przeżył w cieniu potwornego sekretu, w samotności przezeń narzuconej, i zrozumiałam nagle, że to właśnie ten sekret doprowadził go na skraj przepaści. A teraz ten sam sekret stał się moim udziałem.

W tejże się chwili modlić mogłem I z mej się szyi zsunął -O, teraz wolnej już! — albatros. I w toń jak ołów runął.

Cóż, ja się nie modliłam — a przynajmniej nie robiłam tego tak jak należy. Chyba że prawdziwą modlitwą można nazwać wysłuchanie swej wewnętrznej mądrości.

Od tamtego lata w Glory Cottage sądziłam, że poznanie piątego sekretu Luciena stanowiłoby w moim życiu odpowiednik cudownej nici, która wskazałaby mi wyjście z labiryntu, jakby to wystarczyło, żeby poradzić sobie z rzeczywistością. Jednakże pomimo wszystkiego, czego się w ostatnich dniach dowiedziałam, a było tego niemało, ba, więcej nawet, niżbym sobie życzyła, byłam dalsza od wyjścia niż kiedykolwiek.

A może znajdowałam się tak blisko upragnionej furtki, że zwyczajnie ją przeoczyłam?...

Podniosłam wzrok na Owena i przyjrzałam mu się z uwagą — jego szlachetnemu profilowi, wydatnej, lecz subtelnej szczęce, pasemku jasnych włosów opadających na czoło — lecz tym razem zobaczyłam więcej. Całymi latami byłam zauroczona jego wyglądem, za nic mając wewnątrz, skoncentrowana na sobie do tego stopnia, że go właściwie nie zauważałam.

Postanowiłam zadać mu pytanie.

— Owen, powiedz mi... Ile w twoim życiu znaczy Dina? Popatrzył na mnie wilkiem, po czym uciekł wzrokiem.

— To zależy — odparł z namysłem. — Jej w to graj... Ona i Aidan najwyraźniej faktycznie mają układ, że sobie nawzajem nie wchodzą w drogę... zdaje się, że to się nazywa otwarte małżeństwo... tyle że do tej pory, z powodu Duncana i paru innych, cała otwartość przypadała w udziale Aidanowi. Teraz Dina wyrównuje rachunki i czyni to bardzo chętnie. Pozwól, że też cię o coś zapytam. Ile w twoim życiu znaczy Rob? Bo przecież z nim byłaś, prawda? — Skinęłam tylko głową, a Owen ciągnął: — Tego się właśnie bałam. Wiesz, jakie to dziwne uczucie, kiedy spełniają się najgorsze obawy? Ja całe lata żyłam w strachu, że wolisz Roba, że ja jestem tylko namiastką...

Patrzyłam na niego chwilę zdumiona, nim się odezwałam.

— To nie tak! To co kiedykolwiek było pomiędzy Robem i mną, skończyło się dziesięć lat temu. Teraz po prostu przecięłam ostatnią łączącą nas nić.

— To już chyba nie ma znaczenia, prawda? — bardziej stwierdził, niż zapytał Owen.

Powiedział to cichym i bezbarwnym głosem, lecz mnie jego słowa uderzyły z niesłychaną wprost siłą: zabrzmiały niczym ogłoszenie wyroku. Już czułam, jak rodzi się we mnie gniew, tak dobrze znajome uczucie podczas konfrontacji z Owenem, lecz tym razem zapanowałam nad sobą. Ogarniała mnie ciemność i wiedziałam, że tak jak wcześniej muszę mówić, aby ją pokonać.

— Czy ty mnie w ogóle kiedyś kochałeś? Twarz mu stężała.

— Czy nie za późno na takie podchody słowne, Jane? Tydzień temu potraktowałabym tę odpowiedź jako akt wrogości, dzisiaj wszakże usłyszałam w niej ból i żal.

— To żadne podchody, Owen. To naprawdę istotne... Przyszedł czas podjąć ważną decyzję i po prostu muszę to wiedzieć... Czy ożeniłeś się ze mną z litości, w imię przyjaźni z Lucieniem?

— Z Lucieniem? A co on ma z nami wspólnego?

— Bo zawsze myślałam... Zawsze mi się wydawało... Uważałam, że to nie było małżeństwo z miłości.

Owen zgubił gdzieś maskę i patrzył teraz na mnie oczyma pełnymi niedowierzania.

— Nie z miłości? Z litości?! A niby z jakiego powodu miałbym się nad tobą litować? Nie pleć bzdur, Jane.

— No więc dlaczego się ze mną ożeniłeś?

— Jezu, Jane, ty to masz wycucie czasu! Sam nie wiem... ale przypuszczam, że musiałem mieć jakiś powód. Może mi się zdawało, że cię kocham.

— Za co?

— Cóż, zgadzam się z tobą, że kiedy teraz o tym rozmawiamy, nawet mnie ta koncepcja wydaje się nieprawdopodobna, ale wtedy... — Nie dokończył żartu i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. — Ty pytasz poważnie, co? I po co ci ta wiedza? Żebyś mogła ode mnie odejść, zaspokoiwszy swoją próżność?

— Nie — zaczęłam, nie wiedząc, jak zareagować na to oskarżenie, lecz Owen mnie nie słuchał.

— O, przypomniałem sobie — roześmiał się gorzko. — Choć to chyba niemożliwe, pokochałem cię za twą energię. Energię i gniew, które rozpierały cię w równym stopniu. W porównaniu z tobą czynny wulkan wydawał się wygasły. I nieciekawym. Tyle że ostatnio zatęskniłem za nudą, wiesz? — Owen, przestań! — W tym momencie zrozumiałam, że Owen cierpiał na syndrom Erica, i chciałam go powstrzymać, nim powie coś, czego już nie dałoby się cofnąć. — To znaczy... Być może się myliłam... Mam na myśli to, że... Do jasnej cholery! Niezbyt dobrze mi to idzie... — Co za niedomówienie! Szło mi wprost fatalnie. Gdyż właściwie powinnam go przeprosić za tysiące sytuacji, w których zawiodłam i zachowałam się jak jędza, lecz jeszcze nie byłam na to gotowa, pomimo wcześniejszej determinacji, by wszystko postawić na jedną kartę. — Chodzi o to, że chyba za łatwo się poddajemy. Nie widzę powodu, dla którego nie mamy dać sobie drugiej szansy tylko dlatego, że każde z nas popełniło parę błędów. Czuję, że możemy wyjść z dołka. Czuję, że nawet to — zatoczyłam ręką krąg — ma szansę powodzenia. Ty myślisz tak samo, dawaleś

mi to nieraz do zrozumienia... Po prostu musimy tego chcieć wystarczająco mocno i tak się stanie. A na błędach można się uczyć... — zakończyłam niepewnie.

— O, to będzie długa lekcja... — rzucił sarkastycznie.

— Tym razem będę pomagać — obiecałam.

Owen nadal na mnie nie patrzył. Bezmyślnie przejechał palcem po rusztowaniu szklarni.

— A co z nami? — zapytał z napięciem.

— Też będę się bardziej starać.

— Aha...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, gdyż w ogrodzie rozległy się dziecięce głosy. Przodem biegł Billy, z zaróżowionymi policzkami i przekrzywionym na bakier beretem. Laura, z królikiem w ramionach, kroczyła dostojnie u boku Diny, która wystrojona w połyskującą kurtkę i modną czapkę niosła przed sobą tacę nakrytą kraciatą ścierką.

— O nie — jęknął Owen. — Znów obiad z mikrofalówki.

Zatem jest jeszcze nadzieja, pomyślałam.

— Owen, po prostu oboje musimy się postarać — powiedziałam twardo.

— Skąd u ciebie ta nagła zmiana? — zapytał nieufnie. — Chodzi ci o dzieci?

Rozważyłam tę kwestię w duchu, korzystając, że tamta trójka przystanęła w połowie drogi od bramy do szklarni. Przyjrzałam się Laurze i Billy'emu: chłopiec kuczał, ostrożnie badając pozostałości po fajerwerku, natomiast dziewczynka stała wyprostowana, głaszcząc delikatnie Śnieżynkę. Miłość, którą do nich poczułam, wręcz zabolala, jednakże to nie z ich powodu pragnęłam ratować swoje małżeństwo.

— Nie — odparłam. — Zależy mi na tobie... na nas. Odwrócił się do mnie wreszcie, wciąż nieufny, z marszem na czole.

— Dlaczego? — spytał.

— Bo... — zająknęłam się. — Bo to ważne... Bo nie chcę cię zawieść. Bo znamy się tak długo i tak wiele razem przeszliśmy, że to byłaby cholerna strata pozwolić się temu ot tak skończyć... A niech to szlag! — poddałam się. — Bo

cię kocham, Owen. Zawsze cię kochałam, choć wiem, że nie okazywałam tego tak, jak byś na to zasługiwał... I nawet jeśli rzeczywiście jest za późno, nawet jeśli rzeczywiście przesraliśmy swoją szansę, to chcę, żebyś wiedział, że cię kocham.

Ha! pomyślałam. I jak ci się to podoba, czarna dziuro, co? Weź się i udław, a mnie daj wreszcie święty spokój!

Wyobraziłam sobie, że Lucien bije mi brawo, zdumiony moim nagłym przebłyskiem elokwencji i odwagi cywilnej, i pod powiekami poczułam łzy. Przyszło mi na myśl, że to jest m ó j piąty sekret. Ze być może każdy ma swoją tajemnicę... Lucien ukrywał wiedzę o naszym ojcu, Faith prawdę o swej przeszłości, Esme... nawet John... — nikt nie był wyjątkiem. Także pani Wicks mogła mieć w zanadrzu coś poważniejszego niż szpotawe stopy, chociaż akurat to ostatnie pozostało po dziś dzień nie rozwiklaną zagadką. W tamtej chwili jednak nic się nie liczyło, nic oprócz mojego sekretu, zdradzonego właśnie mężczyźnie, który dawno, dawno temu mnie pokochał — że chcę być z nim i tylko z nim.

Powtórzyłam więc:

— Kocham cię, Owen.

Do szklarni wpadły roześmiane dzieci. Billy z dumą machał żalostną resztką fajerwerku, a Laura walczyła ze Śnieżynką, który w panice wyrywał się z jej objęć, jednakże na mój widok oboje zamarli w pół kroku. Billy wykonał jeszcze jeden zamach tekturowym rulonem i dźgnął nim niechcąc Śnieżynkę; królik szarpnął się ostatkiem sił i dał susa w przeciwną stronę szklarni. Czułam, że po twarzy ciekną mi łzy. Owen wszakże stał jak przymurowany nie zwracając uwagi na całe zamieszanie.

— Jesteś tego pewna, Jane? — zapytał rzeczowym głosem. — A może to tylko skutki szoku po tym, czego się wczoraj dowiedziałas o ojcu?

Pokręciłam energicznie głową.

— Stuprocentowo pewna — uspokoiliam go. — Pod warunkiem że ty nie uważasz, że jest już za późno.

Dina, która także zbliżyła się do nas na odległość głosu, przysłuchiwała się naszej wymianie zdań i mina jej rzedła, co

stanowiło dla mnie wystarczającą satysfakcję. Laura i Billy przyglądali się nam z otwartymi buziami, zapewne zdając sobie sprawę z doniosłości chwili, chociaż już nie ze szczegółów, które szczęśliwie ich ominęły.

Owen wciąż marszczył brew.

— No, nie wiem... — powiedział w końcu. Przejechał palcami po włosach, tak że zaczęły mu sterczeć na wszystkie strony. Ramiona miał nadal przygarbione, ale wokół oczu pojawiły się delikatne zmarszczki sugerujące uśmiech. Wreszcie, z wielkim wysiłkiem, jakby czekała go mozolna wędrówka, rzekł: — ...myślę jednak, że powinniśmy się o tym przekonać.

Podniósł lekko ramiona w ostrożnym zapraszającym geście.